BIBLIOTEKA POLSKA.

KRASIŃSKI POEZYE.

I.

LIPSK.
F.A. BROCKHAUS.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXIII.

POEZJE

ZYGMUNTA

KRASIŃSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1883.

WSTĘP.

Bolesne koleje przebyła ojczyzna i jęczy pod jarzmem błędów, jakie ją w grób istnienia wpędziły!

Ale te cierpienia, te rany okrutne, chociaż pozornie śmiertelne i grożące, jeszcze nie zupełnie opanowała zgnilizna, by śmierć była nie odwołaną.

Życie nasze za silne, wiara za święta, serce za pełne, a duch za wzniosły, by ten promień cudny, ta nadzieja, zagasnąć mogły. Jeszcze uczuwamy tętno sił bijących w sercu naszem; jeszcze oddychamy uczuciem, górnem władzą rodu, co mimo tyloletniego znoju, coraz pewniej dąży do zamierzonego celu.

Oczy zaślepienia otwierają nam się powoli. Drogę otwartą, prawą, przed nami, oświeca miłość, prostota przodków i poświęcenie, a zatem wiara wzniosła! Ujrzeliśmy ostatecznie ścieszki do celu wiodące; duch religji rozsądku powoli prowadzi słabe kroki zabłądzonych istot, co pragną zbawienia!

Ciało zepsute zdrowieje, namaszczone balsamem świętości zamiaru.

Członki rodu bronią się chorobie i niby jasnowidząc niebezpieczeństwo śmierci, pracują niezmordowanie harmonją pospólną, by, jeżeli nie wyleczyć zupełnie zmartwiałego ciała, nie dozwolić mu gnić dalej.

Czujemy życie nasze, a to życie nadaje nam wieszcze przeczucie jutra!

Duch święty i stróż onego, przemawia ciągle do nas głosem prawdy, strojnym w anielskie światło wieszcze.

Szczęśliw, kto głosu onego usłucha! Szczęśliw, kto zrozumie wołanie sumienia rodu!

A zrozumie brat wyraz brata, albowiem ten rodzimym językiem i rodzimą chęcią objawia przyszłość, ucząc w pokorze przeznaczenia i cierpliwości, żywić ową iskrę nadziemską, ów płyn przyrody, jaki w nadprzyrodzonej dla nas postaci ogrzewa, ocuca, umacnia, myśli ogólnej zaginąć nie dozwala!

Chwała duchowi!

Poznacie zapewne, bracia mili, jaki to duch stróżuje nad nami.

Życie, popędem genjuszu podniesione do eterycznej stery zachwytu, oświecone prawem światłem, rozpoznaje prawdę i widzi przyszłość! Ten duch, to życie jest nam Wieszczem.

Imię wzniosłe, święte!

Uczucie wieszcza budzi się przez boleść; mowę cudowną rodzi niebezpieczeństwo, miłość rodu.

Bracia! zegnijmy tu kolano przed mądrością Boga, który cudownemi drogami wiedzie nas i przytłumiwszy zepsucie doświadczeniem krzyża, z boleścią wpaja prawdę, daje znać wspaniały cel żywota naszego!

Przez cierpienia to ojczyzny uszlachetnił się duch narodu; przez karę więzów, czyści się żywioł zepsucia, aby w przyszłości rozjaśnieć na horyzoncie sławy światłem onejże. Ale nie ziemskiej sławy, bo ta zanadto poziomy cel. Rozjaśnieje ród nasz promieniem z nieba, przeszedłszy przez czyściec doświadczeń i stanie się wzorem

światu; wodzem, nie z orężem w ręku, ale z orężem cnót wygórowanych i wiary! Do tego celu gonić nam wytrwale — tam szczęście nasze!

Nadaremnie rozum pracuje zeschłą nauką swoją; nie rozumu nam, ale rozsądku i serca !

Słabości nasze gniotą nas przecież jeszcze. Należymy dzisiaj do ziemi w materjalizmie; i tylko duchowi, temu wieszczemu uczuciu i jasnowidzeniu, winniśmy wzrok prosty, który, przedzierając ziemi ciemnice, oświeca nam pracę naszą.

O bracia! wzniosłe i święte powołanie wieszcza rodu!

Jest on owym ogniem Zoroastra, jaki nam podniecać — koniecznością; albowiem zagaśnie ten — zagaśnie i nadzieja, i pojęcie przeznaczenia!

Cierpienia rodu naszego ożywiały i ożywiają wieszcze życie.

Daremne zabiegi materjalizmu, daremne prace przemocy — dopóki posiadamy wodza uczuć, jesteśmy silni. Albowiem, aby posiadać, musimy wiedzę mieć, a mając wiedzę, uczuwamy, rozumiemy siłę. —

Święte prace na polu tem nie dadzą nam wygasnąć w pamięci świata.

Pomimo uczuć świata i niechęci, podziwiają narody utwór cudowny i mimowolnie rodzi się litość u nich, co nie śmiejąc może wyjść na jaw, wyrywa się pod postacią podziwu, chwalby.

A chwaląc, mogąż oni skrytością zapomnieć przeszłego życia; zapomnieć, że dzisiaj dla nas istnieje mimo śmierci pozornej? i jutro, jutro zabłysnąć musi tym silniejszym promieniem prawdy, im górniejsze uczucia wieszcze, górniej uszlachetniają ród ojczysty?

O nie, nigdy zapomnienie pochłonąć nas nie może,

póki tylko jedno życie nadziemskie, ozdabia choćby grób matki!

A tu nad grobem onej tyle wieńców przeszłości, tyle wawrzynów cierpień, tyle wianków nadziei!

Zarodek wieszczy rozgałęzia się nadprzyrodzonym torem; i coraz nowe i nowe błyszczą gwiazdy, i coraz nowe i nowe jaśnieją promyki, że ojczyzna, w samej chorobie śmiertelnej, lśni światłem korony chwały męczeńskiej!

Zabłysły między temi gwiazdami cudowne meteory, niezgłębioną siłą, przy piorunowym biegu, wzniosły się ponad wszelkie światła nadziemskie, jaśniejąc więcej niż promieniem słonecznym.

Ludzkość oddała im hołd poddaństwa, ukoronowała chwałą bóstwa i potworzyła im ołtarze w zdumionych sercach.

Ale przebiegł czas ludzkości....

Zanadto wysoko wzniosły się wieszcze króle — już, już nie dojrzeć ich — nareszcie wybijają się do Stwórcy, nie będąc więcej objętości godnej świata, nie znajdując na nim odpowiedniego miejsca....

Żałoba pokryła świat....

I teraz choć gwiazdy na horyzoncie błyszczą, wieszczych meteorów nie ma! Nie rozjaśniają więcej nocy materjalizmu — tylko pamięcią.

Wszakże niedaremne światło ich i bieg.

Świat widział, a widząc raz, nie może więcej być ślepym; przynajmniej być nie powinien, albowiem uczucie wzroku wyryło się w sercu jego i goreje tam i żywi iskrę ducha.

Rozmarzone duchy z miłością powtarzają wrażenie światła. Wyryte litery wiedzy rozwijają władze onej; i powoli, z wytrwałością rodzajnego ziarna, przy

ciepłe na niwie ojczystej, rodzić będą owoce chęci Twórcy — nowe meteory.

Jeszcze za świeża strata, by jej przepomnieć; za wielki brak, by go zastąpić....

Wieszczej to władzy poświęcam słowo moje, acz niegodne, by go dalej rozwijać, przecie słowo serca.

Brak wyrazu, brak pojęcia świętego; umię tylko czuć świętość i czcić, zegnawszy kornie kolano! By zaś dla istot ziemi rozjaśnić to słowo suche, nie stylem uczucia serca, ale uczuciem stylu samego twórcy, w kilku wyrazach sprobuję dla wiekuistej pamięci skopjować tę cudowną drogę jednego meteoru z pojęcia tego spółbrata, bo jako niegodne pióro me, tak znów za niewiadoma głowa drogi onej.

Tym to jednym z cudownych meteorów jest Zygmunt Krasiński!

Nie łatwo jednym zamachem pióra skreślić tyle cnót i zasług, poświecić oku tak wielkim blaskiem genjusza. Praca podobna żąda i czasu i zdolności. Nie będąc wszakoż uzbrojonym w źródła dostateczne, a nie posiapając szczęścia znajomości osobistej przedmiotu czczonego, tylko przez pojęcie ducha w pracy dokonanej ocenić go można. Dla tego też krótkie wspomnienie na początku zbioru utworów, nie jest życiorysem. Maleńki promyk z pozgonnych opisów śp. Zygmunta, dozwala nam odsłonić po części tylko owo życie tajemne, tajemniczego twórcy i ten to promyk rzucam w świat jako wstęp, drogoskaz do łatwiejszego pojęcia myśli wieszcza.

Zygmunt, hrabia, Krasiński pochodzi z przezacnej,

a wysoko postawionej rodziny w Polsce. Ojciec jego Wincenty, Starościc Opinogórski, pełny młodocianej siły życia, kiedy usłyszał o sławie oręża Napoleona I., z energją i ogniem prawego syna kraju, rzucił się pod jego chorągiew. Prawie najpierwszym był z pomiędzy rodaków okolicy, co krok podobny uczynili. Umiał ocenić władzca Francuzów stanowisko i zapał młodego magnata polskiego, powierzając mu dowództwo pułku Chevaux-légers, złożonego z samych Polaków, jacy odznaczyli się między zastępami obcemi wrodzonem narodu naszego męstwem. Z tym pułkiem służył on wiernie obowiązkowi, a przebywszy dobre i złe z onym koleje, nie opuścił go ani na chwilę, póki nie wstąpił w stan małżeński, zamieszkawszy w Paryżu. Małżonką jego była Marja Radziwiłłowna.

W Paryżu to 1812 roku przyszedł na świat Zygmunt, bohater, o którego życiu wspominam.

Przeleciała chwila szczęścia małżeńskiego lotem piorunu. Cesarz Francuzów ogromną armję stawiał na pognębienie i zawojowanie mocarstwa północy. Myśl nieszczęśliwa tej wyprawy opanowała umysł jego całkowicie, rodząc zgubę. Rozkaz najwyższy zburzył więc i szczęście pokoju Krasińskiego, przeznaczając mu siedzibę na czele pułku swego w Chantilly, gdzie natychmiast odjechał, poruczając małżonce z synem powoli za nim podążyć. Tam to życie obozowe ojca, zapoznało niemowlę jeszcze z męskością uczuć do śmierci pieszczonych. Ulubieniec przez ojca, od pułku całego pieszczony, był Zygmunt więcej na rękach żołnierskich, aniżeli u piastunki i chociaż nie zapamiętał on dokładnie chwil tych, jako sennego marzenia kolebki, zostawiły przecie one ślady niezatarte w niemowlęcym umyśle, zaszczepiając silne uczucie patrjotyzmu, ucząc być Polakiem.

Kiedy potęga Napoleona I. roztrzaskała się o twarde lody północy, a marzenia więcej nie bruzdziły w głowie jego, marznąc mrozem i mrożąc namiętności, Aleksander Cesarz Rossji, widząc w Wincentym Krasińskim zdolności niezwykłe, w swojem wspaniałem posłannictwie, zatwierdził młodego dowódcę na stanowisku jego, mając w myśli przynęcać do siebie waleczne szczątki podbitego narodu. Jako Generał sprowadził się Krasiński do Polski i osiadł w Warszawie z małą swą familją. Tu to była chwila pierwsza dla Zygmunta odetchnięcia atmosferą ojczystą, jakiej dotychczas nie pokosztował jeszcze, będąc Polakiem. Wciągał on ten balsam przeczuciem roskosznem powołania przyszłości, już wtedy gwiazdką życia błyszczącej ponad skronią jego. — Pod czułą opieką matki, wzrastała sława i nadzieja kraju, niby kwiat delikatny obcego nieba, albowiem na obcej ziemi zeszły; przecie nasienie, posiadając sok swojski, dawało naturze rodowy pokarm, by rozwinęła władze umysłu. Opieka staranna rozwijała to czucie, a umysł dziecięcia do wyższości przeznaczony, już w chwilach owych błyszczał bystrością pojęcia i zadziwiał znawców. Zadumieli wszyscy tym cudem niezwykłym; wychwalając go zaś bez końca, pomyślał że kto, jaką drogą pójdzie owo dziecię? Tysiączne domysły przesuwać się mogły, ale by Zygmunt jako wieszcz żył tylko w cierpieniu i umarł cierpieniem.... nie pomyślał zapewne żaden z otaczających. A rozwijała się i delikatność uczucia tam. Każdy żart nieuważny wtedy już dotykał go mocno, iż tracił humor i wesołość, uczuwając jak go za nizko sądzono; lecz potrafił on już oddać wet za wet, rozumiejąc ową cnotę wynagrodzania dobrem — zło wszelakie!

Pominę ja tu drobnostkowe przypadki, bijące w oko

otaczających go, niesłychanemi dary. Jak powiedziałem, nie żywot Zygmunta, ale wspomnienie krótkie opisywać zamyślam, a do tego ulotne, urywkowe, przez brak materjałów, które z czasem wzbogacą literaturę ojczystą, opracowane piórem zasłużonych mężów. Zauważam tylko mylne owe psychologiczne mniemanie iż wczesny dowcip i rozwicie władz umysłowych dziecięcia, z wiekiem giną bez śladu. Zygmunt nasz przecie, rósł i rozwijał siły dwoiste, a wychowując się przy nabywaniu wiadomości, nie tracił skarbów, prawie z urodzeniem zlanych nań szczodrze od natury, co biły w oczy otaczających go przyjaciół familji.

Straż nad dziecięciem aż do siódmego roku życia, dla różnych powodów, powierzyli rodzice Baronowej la Haye, Francuzce, przebywającej w Polsce, która już miała dlań u siebie towarzysza zabaw, jaki stał się potem jego wiernym i statecznym przyjacielem.

Tym towarzyszem był August Cieszkowski. — Przy nadejściu sposobnego czasu do nauki, powierzono Zygmunta opiece Józefa Korzeniowskiego; ale zasługi tego męża usłały mu drogę do katedry Krzemienieckiej, że opuścić musiał niedługo miłe mu i zaszczytne zajęcie. Na jego stanowisko poświęcił się Jakubowski, a gdy i tenże musiał po drodze życia kroczyć dalej, Chlebowski dokonywał rozpoczętej roboty, przygotywując Zygmunta do zdania egzaminu szkolnego. Młodzieniec zdolnym się okazał do najwyższej klassy!

Widzimy tutaj iż wychowanie swojskie cudownie działa na pączek młodocianego życia. Bo i w cóżby się obrócił dowcip i pojęcia naszego wieszcza pod pedantyzmem zagranicy? Jeżeli dary pozostać miały, zamieniłyby się zapewne w uczucie jakieś nie znane, niby Voltairowskie, i ów cel życia na niwie ojczystej

nie przyniósłby tak wspaniałego plonu. Utwory boskie wieszcza, stałyby się prostemi poezjami, co pełne powabu i elegancji, grą słów są tylko, a nie chwytają za serca! O, wielki to wzór dla rodziców Polaków, ważna porada ku prowadzeniu dziatek swoich!

Mając podstawy myśli polskiej, rozwijał Zygmunt w szkołach publicznych wiedzy zarodki i pędził coraz bystrzej, coraz dalej.

Narzekają przyjaciele jego, iż nauczyciele, budując na niezwykłem pojęciu młodziana, za ciężko obarczali go suchą pracą; i że już w tym początku życia z czucia zarodkiem, bolesne zawody przelały w charakter jego smutek i tęsknotę, iż oboje towarzyszyły mu do grobu samego.

Jest w tem głęboka prawda, ale Zygmunta o wiele boleśniejsze uderzały ciosy. Spodobało się Bogu w młodocianym biegu jego, pozbawić go najsilniejszej podpory słabych kroków, zabierając mu matkę! Zapadła ona w chorobę piersiową, jaka z woli przeznaczenia przerwała nić jej żywota. Po niejakim więc przeciągu boleści matka Zygmunta opuściła świat doczesności, pomimo najusilniejszych zachodów lekarzy.

Zrozpaczony ojciec tą stratą, zamknął się dla świata i gdyby nie obowiąski publiczne, jużby on pewnie doń nie wrócił. To odosobnienie rodzicielskie jeszcze smętniej podziałało na uczucie Zygmunta. Widział boleść rodzica ukochanego, bolał sam nad sieroctwem, i temi dwoma okolicznościami bolał dwoisto.

Jeszcze raz, podwójną stratę poniósł Zygmunt. Stracił w matce jaką nadewszystko miłował — szczęście posiadania jej — stracił macierzyńską opiekę. Ojciec, powołany do publicznego życia, nie mógł dni swoich w całości poświęcić ukochanemu synowi — a więc po-

wierzył go opiece nauczycieli. Gdy obarczanie go przez tych ostatnich nadpotrzebną pracą, obrzemieniło zanadto znękany umysł jego, to dziś obostrzało uczucie sieroctwa surowe obchodzenie się tych ludzi. Za ambitny był on wówczas, by ulżyć temu, wyjawiając ojcu prawdziwy stan rzeczy. A więc w cichości bolał i cierpiał, delikatnem uczuciem pojąwszy, iż lepiej cierpieć samemu niż przyczyniać kłopotów dawcy życia. A cierpiał żywo, jako najdelikatniejszego serca stworzenie! I dopiero to cierpienie wrodziło weń smętność charakteru, z natury już smętnego, rozburzyło całość młodego uczucia żywości, wpoiło myśli górniejsze, które potem wybujały plonem sławy. — Z cierpieniem tem zaszczepił się wieszczy płyn i stworzył genjusza! Ale to cierpienie zachmurzyło na całe życie istnienie jego, iż chwile młodości, pełne lekkomyślnego zachwytu, u niego wspominały się wiecznie ponuro i smętno!

Najszczęśliwsze dla niego chwile były te, które mu pozwalały obcować z ojcem. Poświęcał mu serdecznie Generał czas wolny od interesów, i wtedy to wpajał weń światło i ogień miłości ojczystej. Tem godniejsze podziwu i chwalby nauki te były, iż płynęły z ust człowieka przesiąkłego cudzemi obyczajami i na obcym dworze. Albowiem nieszczęsną manją naśladownictwa magnaci polscy chwytają modę obczyzny, stając się apostołami gorliwymi w kraju własnym, i przekabacają przykładem nie tylko współrodaków, ale nadewszystko własną dziatwę. Zaszczyt wielki pamięci ojca Zygmunta, iż posiadając wonczas tenże sam polor obcy, syna swojego kształcił, jako prawy syn kraju dla dobra kraju tego, wpajając swojskie uczucia. To też nauki ojczyste wolnej chwili Generała stały się źródłem szczęścia dla ojca, pochodnią jasną dla syna po drodze śmierci kra-

jowej i drodze zepsucia; a dla narodu chwałą i dumą, że dom arystokratyczny magnata polskiego, wychował niepojętego wieszcza ludu....!

Przez towarzystwo czysto polskie, a ludzi sławnych na wszelakich drogach narodowych, jacy się u Generała Krasińskiego zbierali, nabywał dwunastoletni Zygmunt gustu w narodowej wiedzy i smaku w onej obcowaniu. Widział i poznał on tam: Woronicza, Niemcewicza, Brodzińskiego, Dmochowskiego, Koźmianów, Kicińskiego, Kwiatkowskiego, Lelewela, Lindego, Bentkowskiego, Odyńców, i wielu innych mężów, czy to służbą publiczną, lub na polu sławy literackiej zasłużonych. Jakże te światła wpłynąć nie miały na ukształcenie młodziana, co tak delikatne uczucie serca posiadał, przez ukryte cierpienie wypróbowane? — Tam to, schodził się on z Konstantym Gaszyńskim, który go później i w przyjaźni i w pracach nie odstąpił aż do grobu.

Zjeżdżali się z różnych prowincji literaci na wieczory do Krasińskich. Odczytywanie na nich różnorodnych utworów, dozwoliło oświecić Zygmunta światłem krytycznego sądu. Różne dowcipki i żarty gości nad utworami czytanemi, uczyły go sądu pewnego, oraz ostrowidzenia w utworach wszelakich, które to władze, złagodzone uczuciem jego delikatności, przemieniały tę krytykę w życzliwą radę.

Na posiedzeniach tych zapoznał się najpierw z utworami poezji nowej szkoły. Król wieszczów i twórca nowej szkoły, Adam, wystąpił własnie w on czas z dziełami swego ducha, co nie chciały się chwycić ani rozumu, ani pojęcia klassycyzmu. W gronie Generała zaczęto pierwsze krytyki i pierwszą walkę tych dwóch żywiołów. W szrankach walki występowali w zapasy i starzy i młodzi; a ścierali się bardzo długo, póki nie zwyciężył

genjusz nowego wieszcza. Rzucono się do czytania nieznanych dotąd zagranicznych dzieł, w zamiarze nabycia światła krytyki — ale miasto krytyki obudziło się zamiłowanie. Szekspir, Calderon, Dante, Gete, Szyler, Biron, Skott, i t. p. smaku im bowiem popsuć nie mogli.

Wierzę ja tu iż uczucie obrońców literatury staropolskiej było prawe, pojęte znajomością ducha czasu. Nie chcieli oni dać popędu dla potomności w jasnowidzeniu, iż ten smak obczyzny, jak już popsuł obyczaje kraju, tak romantyzmem zbałamuci zupełnie serca i sprowadzi szaleństwo rodu. To przeczucie było sprawiedliwe, niestety! Ogrom literatury płaskiej francuskiej zarzuca kraj nasz, a biedna ojczysta spoczywa w kącie! I musi to być utwór zadziwiający świat cały, by jako ojczysty, był protegowany przez Polaka. Nieszczęśliwe to zaślepienie rodu naszego!

Goście salonu Generała przewidywali więc przyszłość, jeżeli stając w obronie klassycyzmu, strącali z tronu Króla Mistrzów, Adama, Polaka! Woleli oni poświęcić jednego dla całości!

Lecz rzućmy rozumowanie do rzeczy nie należące!

Rozprawy podobne głęboki wpływ na Zygmunta wywarły. Za młody był on, aby w nich mieć udział, przecie słyszał one; pojął i umiłował piękność, genjusz i sztukę — w prawem świetle. Żywa serca wyobraźnia poczęła tworzyć marzenia, poczęła burzyć spokojem, nie dając pracować mechanicznie w sferach nauki. Zapewne wiedzieć on jeszcze nie mógł celu życzeń swoich; była tam pierwsza miłość jaka pali i niszczy bez wiedzy istoty, a rozwija się coraz bardziej, pomimo wiedzy i chęci. Dumamy badawczo nad tem dziwnem uczuciem, aż póki tajny płomień, góra, niby ogniem buchać mająca,

nie wyrzuci na jaw lawy żądz skrytych! Tak Zygmunta opanowała miłość, choć nie ziemska, nie cielesna, ale opanowała żądza twórcza, i miotała nim — a on walcząc usilnie w przeczuciu potrzeby przytłumienia jej do czasu dojrzałości, silił się długo, nie pojmując sam czego pragnie serce, duch.... Aż wzburzone uczucie zawrzało pianą, wybuchając na jaw myśli i pojęcia! — Otwarły się tu jego oczy — poznał co to za siła, co w nim burzy — poznał że jest wieszczem!

Młodociane siły za słabe jeszcze do oporu owego nadziemskiego uczucia. Zygmunt, nie mogąc dłużej w nieczynności umysłu wytrzymać, chwycił za pióro i skreślił utwór pierwotny. W dumie zadowolenia z pracy, postanowił ojcu zrobić niespodziankę, poświęcając mu w dzień imienia pierwszą próbę sił literackich. — Przyjął ojciec pracę tę, ale przewidując gorycze i niestałości zawodu, oraz pragnąc ujrzyć kiedyś ukochanego syna w połysku zasług urzędowych, zakazał mu nadal czas wolny na podobne poświęcać rozrywki. Wszakoż nadaremne usiłowania. Nie da się ludzką siłą zabić duch wieszczy, bez zabicia i ciała, kiedy duch on przeczuwa moc do wypełnienia powołania, do sławy! Zawód górny wieszcza rodu nie może być uwięziony obowiązkiem ziemianina. Nie poznaje często bowiem brat owej nadzwykłej górności powołania, widząc tylko w niem ziemskie boleści i strapienia cielesne, obawiając się i unikając onych potłumieniem ducha. Albowiem życie to jest życiem z krwi jego, i pragnienie jego jest: usłać drogę wędrówki tej kwiatem samego powodzenia i szczęścia!

Otóż wszelaka straż nad genjuszem Zygmunta była nadaremną. Idąc za górnym głosem powołania, tajnie przed okiem świata, wypracował on drugi utwór prozą

poetyczną, na tle historycznem, jaki później Fl. Dmóchowski w Literackim Dodatku publiczności przekazał. Trzeci utwór jego także prozą, na tle narodowem historycznem, już ogłoszonym został publicznie, jako szczęśliwe naśladownictwo sławnego Waltera Skotta. Stało się to wszakoż dopiero w 1829 roku.

Tymczasem rok 1825 pozbawił Rossję Monarchy jej Aleksandra I., a ze śmiercią jego zakłócił spokój kraju Polski, co pod obiecującem berłem tego Cesarza, żyjąc nadzieją, goiła choć po części zadane rany — nadzieją.

Odkryto prace prawych synów ojczyzny.

W oczach rządu obcego prace te były spiskiem, zbrodnią okropną, bo wydzierającą mu nieprawnie nabytą zdobycz. Złożono sąd na przeniewierców!

Biedni sędziowie związani przysięgami, nie potrafili ani kraju, ani rządu zadowolić wyrokiem. Nastała niezgoda w ich kole. Jenerał Krasiński, nie zdradą lub zaprzaniem się polskiego imienia, ale z właściwem sobie pojęciem obowiązku działając, ściągnął na imię swe niezadowolenie narodu. Popularność jego przez to upadła i dawne dobrane towarzystwo opuściło schadzki w domu, dotychczas ulubionym. Od tego czasu imię Krasińskich zaćmiło się plamą, w mniemaniu może niesprawiedliwego, ale przez cierpienia i męki usprawiedliwionego narodu!

Zygmunt wstąpił do Uniwersytetu w Warszawie mając lat piętnaście. Swoją osobą, genjuszem, obejściem, zyskał on imię, przychylność, a w ogólności spółczucie młodzieży polskiej. Nieszczęsna przecie gwiazda Zygmunta, od początku życia zachmurzona dziwnem przeznaczeniem, i tu przyćmiewać się miała, pogrążając go w niezasłużonej boleści.

Wojewoda Piotr Bieliński, prezes owego sądu sejmowego, prawy syn ojczyzny i ulubieniec narodu, umarł prawie nagle. Na pochowanie zacnych szczątków przygotowało miasto obchód wspaniały. Dla przyczyny właśnie, iż Wojewoda był prawym człowiekiem, a oznaki współczucia narodu, demonstracją patrjotyczną, zabroniła władza szkolna, z rozkazu rządu, brać udział uczniom i studentom w tym obchodzie, nakazując o tej godzinie wszystkim znajdować się na prelekcjach. Zakaz ten oburzył młodzież polską, iż wiedzona lekkomyślnością wieku, postanowiła mimo tego uczcić prawość Bielińskiego, przeprowadzeniem zwłok do grobu.

Tu Zygmunt znalazł się w przykrem położeniu. Wypadało mu słuchać ojca i nie łączyć się z młodzieżą, która znów oburzyć się tą zdradą w jej przekonaniu mogła. Z boleścią w sercu i przeczuciem złego, zrezygnował Zygmunt chęci serca; przybył więc sam jeden na prelekcję polskiego prawa, które wtedy sławny Bandtkie wykładał—i rzeczywiście postępek ten ściągnął złe światło nań, iż go towarzysze nauk jawnie potępili. Ale przez tę okoliczność tem szlachetniejsze było poświęcenie! Gdy następnych dni wstąpił do Uniwersytetu, przyjęto go z nieukontowaniem, groźbą, obelgą, a nawet w myśli gwałtu. Przyjął te zniewagi młodzian z dumą w oku, z pokojem w sercu, nie zniżając się do tłumaczeń. Znalazł też obrońców w szlachetnym Konstantym Gaszyńskim i Konstantym Danielewiczu, za co zawiązał z nimi sojusz dozgonnej przyjaźni.

Zniknęło szczęście Zygmunta i spokój w towarzystwie zawziętych współuczniów. Musiał on znosić dalsze obcowanie z nimi; choć się czuł niewinnie poniżonym. Lecz znosił obrazę w milczeniu, sercem przebaczając niesprawiedliwość!

Widząc Jenerał w stanowisku syna grożące niebezpieczeństwo zdrowia, skłonił go do wyjazdu za granicę. Zygmunt osiadłszy w Genewie, pracował po francuczku dla różnych dzienników, a gdy serce zapragnęło odmiany życia, by rozerwać się w boleści, udał się do Włoch. Przejeżdżając Szwajcarję, poznał tam przypadkiem Adama i polubili się. Mickiewicz odkrył w młodzianie strunę nadziemskiego lutnisty i pokochał miłością bezstronnego wieszcza. Cały czas pobytu w jednem mieście przebywali razem, i tam to przez obcowanie z Królem Wieszczów, ożył utajony w Zygmuncie ogień święty, rozmarzyła się wyobraźnia, rozpłomieniło uczucie, umacniając postanowienie ducha.

Wypadki 1830 roku wstrząsły niebezpieczenie istotą jego.

Uczucie silne powinności Polaka, obudzona, wpojona z mlekiem rodzicielki, miłość kraju, zawrzały naraz. Ale obowiązek względem ojca zakazywał tu znowu czynnego udziały w pracy ojczystej, że Zygmunt, przywiedziony do ostateczności nieszczęśliwem położeniem swojem, zmęczył ducha i ciało, a nie mogąc znieść nadal stanowiska bezczynnego, ciężko zapadł w chorobę i cały rok na łożu niemocy pokutował ciałem za opór uczuciom zadany. — Cierpienia jego od dzieciństwa tak ostro duszę raniły, iż przemieniły się tu w trawiącą boleść, jaka już do zgonu była mu nieodstępnym towarzyszem.

W 1832 roku nakazał mu ojciec jechać do Petersburga. Cesarz Mikołaj dał mu wolę do wyboru między stanem cywilnym lub wojskowym urzędu najmilszego, który byłby godnym stanowiska jego ojca Jenerała. Nie olśniony ziemskością Zygmunt, prosił tylko o pozwolenie pobytu za granicą. Bystrem okiem samo-

dzierżcy ujrzał tu mocarz grunt żądania, i przykazał mu w Petersburgu dalszego czekać przeznaczenia. Przebywszy tam zimę, nieprzyzwyczajony do klimatu wilgotnego, a zepsuty Włoch powietrzem, delikatnego zdrowia Zygmunt, zapadał powoli w chorobę ogólnego rozprzężenia organizmu, iż lekarze Dworu jednomyślnie wyjazdu jego w kraje ciepłe żądali, przepowiadając śmierć prędką w razie dłuższego tu pobytu. Te okoliczności zaledwie uwolnić go zdołały z pod potęgi przemocy; opuściwszy niemiłe życie w obliczu onej, odetchnął całą piersią wolnem powietrzem. Jednakoż nie bez korzyści przeminął czas pobytu jego w Petersburgu; poznał on tam przyszłą towarzyszkę doczesnej wędrówki na ziemi....

Z Petersburga udał się do Grefenbergu na kurację. Zmiana powietrza podziałała na zdrowie jego. Nudne życie kąpielowe uprykrzyło mu się do tyla w Grefenbergu, że mimo osłabionych sił, dla rozrywki, chwycił za pióro i skreślił utwór nowy.

Była to powieść wydana w Wrocławiu, jaka mimo niezwykłej piękności poetycznej, mimo zachwytu rozognionej wyobraźni ducha młodzieńczego, nie posiadała treści, odpowiedniej dalszemu przeznaczeniu prac wieszcza. To też i Zygmunt potępiał utwór ten później, jako niegodne i niewłaściwe do druku dzieło. Wszelakoż inszy był sąd ocenka publiczności. Kto chce zachwycić się ogniem uczucia a pięknością wyrażenia, w tym utworze tylko one znajdzie. Przelało się w powieść tę uczucie ognia poety, co, nie używając chwil młodocianych do pełnych czynów lekkomyślności, bez doświadczenia wieku, bez celu życia, używa ich tylko, by przez krewkie czyny wyrzucić ten ogień wnętrza, jaki ruchem konwulsyjnym ducha peł-

nego dumy życia, niepokoi. Te to uczucia, te czyny młodości, nie jednemu przynoszące nieszczęście aż do grobu, z boleśnie chwyconem doświadczeniem, przelał Zygmunt w powieści owej na papier. Jednym zamachem pióra przebył tu Mistrz kilkoletnie pędy i jednym zamachem pióra stał się dojrzałym! — Otóż powieść owa jest obrazem burzy młodości; w niej maluje się całe życie twórcy; i aby pojąć ten skok niezwykły zdatności proroctwa, winien każdy, nim zabierze się do czytania tworów innych Zygmunta, przebiedz z uwagą powieść tę, arcydzieło prozy poetycznej na ojczystej niwie!

Z pozbyciem się tego ducha namiętnego zaczął autor czuć i myśleć inaczej.

Przenikliwy ducha jego wzrok, porównywając publiczne kraju wypadki, domyślał się przyszłości. Jako młodzian wiekiem, zadziwiał on przenikliwością trafnego pojęcia, prawdą i niezachwianem światłem myśli, a z tychże dwóch wyrocznym nie do naśladowania — sądem. Całość wypadków rozczłonkowała się tam w rozumie i sercu, wyryła się w niezmierzonej pamięci, a jak ziarno pełne, zasiana z pilnością na roli wieszcza, wydała owoc obcy, nieznany jeszcze, a pięknością cudowny. Był to utwór zaczęty w Wiedniu, jeszcze w 1834 roku, co raził powabem, nęcił zachwytem nie będąc przecie pojętym od życia ziemskiego, aż dopiero następne wypadki świata pokazały, jak niezgłębionem jasnowidzeniem przepowiedziano w nim okropność i mękę rodu.

Rok 1836, przebył Zygmunt we Włoszech. Pod laurowem niebem zagłębiony w przeszłości historji, zakochany w cudownym kształcie jej teraźniejszości, wypracował nową poezję. Tło wyjęte z dziejów Rzymu,

całość pełna piękności; a choć na obcej niwie odlana, samą tylko narodowość mająca na celu. W utworze tym bowiem ujrzeliśmy znowu czysty obraz narodu, ozdobiony zawsze ramą jutra — proroczym duchem kraju macierzyńskiego.

Źródła, z których spisuję tych niegodnych słów parę, opowiadają przyjazd Zygmunta do Warszawy w 1838 roku. — Dziwiono się, iż miasto ujrzeć dumnego wieszcza, z powodu już pozyskanej sławy, znaleziono w nim przeciwnie — przyjaciela szczerego jak przedtem, a bez najmniejszej odmiany uczucia przeszłości. Niech mi wolno będzie na to odpowiedzieć. —

Prawdziwy genjusz, co buja po niedościgłych krainach marzeń i przyszłości, nie może posiadać wad ziemi, że tak powiem — uczuć ziemi. — Jeżeli myśl nasza do tyla oświecona światłem wiedzy, iż tworzy i działa niepojęcie dla świata; jeżeli oko ducha tak wysoko wzniesione, iż przedziera się przed nadziemskie zasłony: cielesny byt nasz, uczuć ziemskich prawie posiadać nie może. Wziąwszy dalej, wyżej, pojęcie genjusza — śmiało twierdzić można, że mistrz nie jest więcej istotą ziemi, człowiekiem. Nie należy on już do tej sfery utworzonej z życia ziemi — nie posiada on już owego ciała z namiętnościami; albowiem duch podnosi ciało i wszelką wyższą myślą truje właściwość jego. — Tak Zygmunt, ów twórca nad zrozumienie ludzkości, do ziemi należeć nie mógł, więc nie mógł posiadać wad onej. Poeta bowiem z wadami temi jest wierszopisem, a okropna otchłań między tymże i wieszczem!

Przy końcu wspomnę jeszcze o tym przedmiocie. Teraz wracam do opisu.

W Warszawie nie długo przebywał Zygmunt, zmu-

szony wyjechać do Karlsbadu dla poratowania zdrowia. Lato więc to w Karlsbadzie to w Teplitz, zimę w Neapolu czy Rzymie przepędzał. Towarzyszył mu pospolicie jeden z przyjaciół jego w tych podróżach, nie chcąc samotnie puszczać chorego w obczyznę. —

W tych także czasach począł przemawiać piórem do uczucia miłości....

Kiedy zwłoki Napoleona I. w 1840 roku sprowadzono i pogrzebiono w pałacu Inwalidów w Paryżu, a naród rozrzewniony spomnieniem przeszłości, sławy zmarłego, wylewał uczucia swoje przez poetyczne natchnienia, chwycił i Zygmunt za pióro. Bezimiennie jak zwykle, skreślił wiersz piękny, w którym każdy mógł poznać rękę co go pisała. Uczucia jego bowiem ku Napoleonowi, jako Polaka, musiały także przemówić, w hołdzie spomnienia przeszłości.

W owym czasie wielki Adam dał się usidlić w przewrotne sektarstwo mistrza nowej wiary.

Poznał Zygmunt niebezpieczeństwo grożące zawodowi przyjaciela i wszelkiemi siłami pracował nad odprowadzeniem go od współczucia dla tak błędnych zaślepień. Wszelako już wtenczas gwiazda Adama wzleciała na najwyższy wielkości i sławy szczyt — a więc powoli zaczęła kryć się oku ziemskiemu.

W 1842 roku bawiąc Zygmunt w Rzymie poznał lepiej tę, jaka mu na towarzyskę przyszłego życia przeznaczoną była. Porozumiały się tam dwoiste dusze i rok 1843 ujrzał wieszcza zaręczonym z Elzbietą, Hrabianką Branicką; poczem przyjęto, na dniu 26. Lipca w Drezdnie, błogosławieństwo kościoła.

Przebywając we Włoszech tą razą, stworzył bujną pieśń serca swego, co odbiła wiernie wszystko cierpienie i życie, trawiące jego schorzałą istotę. W poezji tej

uczy on znosić mękę, niepoddając się rozpaczy, ale z wiarą stałą w przeznaczenia przyszłość. Uczy tam — na ofiary ołtarzu położyć dobro i nadzieje, bez zostawienia cząstki najmniejszej ciału i jego słabościom. Albowiem ofiara nie całkowiła, nieszczerą jest, z zadowoleniem Bóstwa przyjętą być nie może. Uczucie wieszcze przyszłości, maluje w utworze tym obrazy mgliste, nieznane, pełne powabu i goryczy prawdy zarazem, jakie przy jasnowidzeniu wieszcza, przebijają się we wszystkich tworach jego. Ta twórczość wieszcza zachwyca wszystkich, a tworzy naśladowców. Jednakowoż daremne będą naśladownictwa, bo niedołężne, niby kroki dziecięcia, które poraz pierwszy po ziemi stąpa, lub starca, co ślepo dąży ku grobowi. Bo nie każdemu dała natura genjusz wieszcza i wiele upłynie wody, zanim drugiego Adama, drugiego Zygmunta ujrzy nasz kraj osierocony.

Przez dwuletni pobyt w ojczyznie, który Zygmunt w cichości i jękach przebył po części w Warszawie, sposobem ojca Jenerała, utworzył w salonach swoich dobrane przyjaciół kółko. Salony te ustroił nie zbytek sam i przepych, ale i smak jego. Stosownie do struny uczuć urządził on mieszkanie swoje, niby w mglistej przyszłości ducha innej sfery. Najulubieńszą izbą jego była przyćmiona światłu dziennemu komnata, odpowiedna przyćmionemu szczęściu, z mglistą myślą mieszkańca. Zwykle w godziny wieczorne trapiły go najwięcej dolegliwości choroby. Słuchał on wtedy rozmów i odczytów literackich zebranego towarzystwa, nie mówiąc wiele. Ale koło północy, kiedy spokój ulgę w cierpieniach przynosił, otwierały się usta jego; i słuchano z chciwością wyrazów nadziemskich, niby szemrzącego strumyka lub szumu potoku! I otwierano oko

duszy na ten cudny koloryt, odbijający się w pojęciu, niby słońce w tysiącznych promieniach wody; a ucho słuchaczy roskoszowało w czarujących dźwiękach wieszczowej lutni, co złotolitemi strunami genjuszu naciągnięta, jęczała i kwiliła melodją tajemniczego świata! Zygmunt bowiem nie tylko czułą myśl, ale i żywe słowo posiadał w zdroju darów swoich.

Rok 1844 zajaśniał Zygmuntowi promykiem radości, darząc go pierwszym potomkiem: Imię jego Władysław. Było to wynagrodzenie Boga za stratę przyjaciela młodości w osobie Konstantego Danielowicza, który zmarł po długiej chorobie w Monachium na dniu 27. Marca, 1842 roku.

Pogorszenie stanu zdrowia Zygmunta zmusiło go znowu do opuszczenia kraju.

Wyjechał do Nizzy — zkąd przemówił do braci znowu cudownie, pełnemi uczucia słowy. Straszliwy rok 1846 nadszedł nareszcie.

Przesiąkła ziemia krwią bratnią, zawrzało powietrze skargą bratobójstwa; a genjusz potępienia w ludzkiej postaci u steru rządu, zatopił spragnione krwi szlachetnej, szpony w morzu tejże krwi, przelanej za pokusą jego! Plama czerwona zakryła niebo południa Polski; łona pożaru, niby ogień piekielny olśniła dusze i tysiące synów poniosło męki straszliwe za ukochaną matkę; poniosło z rąk tych, coby miasto być bratobójcami, krwawy oręż na obronę rodu obrócić winni! Przekleństwo zawisło po nad częścią Polski. Bóg opuścił siedzibę dotychczas prawą, i zniszczenie i śmierć zalały niewierny ród. Historja zapisała na dziw i postrach, czyn piekła!

Dramat ów straszny otworzył dopiero oczy współbratom co czytali utwór proroczy Zygmunta. Bolesne

uczucie owładało wieszczem samym — tem boleśniejsze iż przepowiedział zgrozę natchnieniem ducha. Iskra życia przyciemniała znowu boleścią nad ludem, otwarła grobu wrota.

W tym roku strasznym urodził mu się drugi syn Zygmunt. —

Radość z wypadku tego, przy ogólnem cierpieniu nie mogła być zupełną. Widział wieszcz, że ogień pożaru Europy nie zagasł jeszcze, ale przyćmiony popiołami ofiar, tli w ukryciu i musi przy pierwszym podmuchu wiatru na nowo odżyć płomieniem. To też nie wrócił pokój duszy.

Zjechawszy 1848 roku do Rzymu, ujrzał obawy ziszczone. Uszanowanie i uczucie religijne ożywiło tam w głowie jego myśl utworzenia zastępu z gorliwych katolików dla obrony powagi głowy kościoła, kiedy ta upaść miała zaślepieniem. Następstwa nie dały dojrzeć zamiarowi.

Czasu tego ujrzał się znowu z Mickiewiczem w Rzymie. Zabolało Zygmunta ciągłe zaślepienie wieszcza tego. Przeminął bowiem już tutaj zawód górny Adama, dumą potęgi własnej zaślepiony. W tej dumie, uporem silnie trzymał raz powzięte wyobrażenie, będąc pewnym odbudowania zwalisk rodu właśnie tą fałszywą drogą, kiedy tymczasem Zygmunt pracował na tejże niwie przez poddanie się woli wyższej, przez ufność w ojcowskiej wierze. Nie pomogły przedstawienia i drogoskazy prawdy Zygmunta; jako ludzie, kochając się równością zawodów, musieli jako Mistrze odrębnie gonić. — Jednakże stosunki ziemskie pozostały na dawnej stopie i chętnie odwiedzał Mickiewicz dom Krasińskiego, ukochawszy jego szczeropolską gościnność.

Jak w Adamie uczucie religijne obumarło zarozumieniem ziemskości, tak znowu Zygmunt uczuł potrzebę wzmocnienia onego w sobie praktyką czynu, i od tego czasu jego prace zmierzały bezustannie do tego celu. Upokorzył się tu sławny wieszcz przed dawcą talentu, zapierając się prawie samego bytu swego. Widząc w tworach dawniejszych niektóre błędy przeciw zasadom wzniosłym, poprawił i zmienił takowe, niby w ofierze prawdzie przedwiecznej. A nie były to właściwie błędy, tylko wspomnienia i pozory, które precz odrzucił.

Roku 1848, w Czerwcu, udał się przez Szwajcarję do Francji, by rozeznać kipiący żywioł rewolucji tamtejszej. Zasmuciły go czynności, duch, i wszystko co widział; ujrzał przepaść nad którą stał ród ów, bo nie widział tam jedności myśli ogółu, która jedynie kraj utrzymać może.

Ukończywszy kurację kąpieli, osiadł w Badenie. Życie tamtejsze, pokojem natury, ożywiło powoli siły. W godzinach wolnych od zatrudnienia światowego, odbywał przechadzki po romantycznej okolicy w towarzystwie żony, układając myślą porządek dalszego ciągu, już dawniej wspomnionego dramatu; a jeżeli natchnienia wątek zerwany został, muzyka żony ożywiała takowe. Niechęć do wszelakich a lekkomyślnych odmian i gwałtownych, nie dozwoliła mu pozostać w Badenie, w czasie tamtejszych rozruchów i usunął się do Berna w Szwajcarji, gdzie go silna choroba dwa miesiące zatrzymała. Ztamtąd po wyzdrowieniu, rozkazem najwyższym powołany został do Warszawy, gdzie zapadł mocno znowu na nieszczęsną słabość oczów.

Żona jego udarowała go córką Marją w miesiącu Lipcu, 1850 roku.

Słabością do izby przykuty, dla pożytecznej rozrywki, zajął się czytaniem dzieł Świętej Teresy i to zatrudnienie ożywiło ducha jego do nowej pracy, iż spisał wiele pięknych wierszy na tle religji.

Za pozwoleniem, dla ratunku zdrowia, wyjechał Zygmunt znowu za granicę, najprzód do Treport potem do Heidelbergu z żoną i nowo-narodzoną córką, by tam zimę przepędzić. Nie mógł on w tym czasie pracować w zawodzie swoim dla słabości oczu, a przytem choroba ciężka jego syna Władysława, okropnym razem przeszyła serce. Wszelako ocalało szczęśliwie dziecię — i po przebyciu lata w Badenie, pojechał Zygmunt do Rzymu. W cierpieniu i nudzie rozmyślanie nad czynnościami świata musiało stanowić jedyną jego rozrywkę. Politykę zgłębiał ochotnie — i badając prace Francji, tak dokładny sąd wydał o jej przyszłości, że znając takowy jeden z jego znajomych, gdy podług tejże pokierował obroty pieniężne, ze spełnieniem przepowiedzianych wypadków znaczne odniósł korzyści. Zygmunt wtedy już przewidział dążności i prace Prezydenta Francji, naznaczając mu dziedzictwo cesarskiego tronu, sławnego pogromcy świata, Napoleona pierwszego.

Wzmocniwszy cokolwiek siły, odbywał spacery po cudnych okolicach włoskiego półwyspu; zwiedzał starożytne zabytki, a ze szczególnem ulubieniem, zabytki nowo odkrytych skarbów okolicy Rzymu. Pomniki te i groby natchnęły go myślą wieszcza i stworzył utwór jeszcze nie ogłoszony, który żonie ofiarował.

Wróciwszy do Warszawy zapadł bardzo niebezpiecznie na słabość oczu, ociemnieniem już grożącą. By postawić go w możności używania świeżego powietrza, musiano szpalery ogrodowe zasłonić płótnem od promieni światła, których wzrok jego nie mógł znosić.

Warszawa bawiła się naówczas tańcującemi stołami i Deotymą. Zygmunt pogardził odrazu doświadczaniem pierwszego, a z uciechą i zajęciem przyjął drugie. Chętnie czytał lub słuchał utworów Deotymy, i przeczuwał pewno przyszłość talentu, co zabłysnął przypadkowo w salonach stolicy. Szkoda że nie znane zdanie jego o Deotymie i nie wiadomo jaka była treść wyroczni, jaką o niej dać musiał.

Kiedy powietrze Warszawy, w której i lato przebył, nie służyło mu wcale, a choroba przybrała groźne rozmiary, zmuszony był opuścić siedzibę. Wyjechał de Boppart nad Ren, gdzie nieszczęśliwym trafem kuracja wodna jeszcze bardziej stan zdrowia pogorszyła.

W tym czasie urodziła mu się córka Elzbieta. Wyszedłszy z słabości żona jego i zostawiwszy dzieci w domu, pośpieszyła za nim do Heidelbergu; bowiem ukaz najwyższy tylko w tem miejscu dozwolił mu za granicą przebywać. Było to nie miłe stanowisko przymusowe chociaż w najpiękniejszem położeniu, tym bardziej dla osoby znękanej tyloletniemi cierpieniami dwoistej troski! —

Wypadki wschodniej wojny, zaskoczyły go znowu nie miłym a groźnym zdrowiu rozkazem wracania do kraju. Nieszczęśliwy ten genjusz był wtenczas chorobą do tyla osłabiony iż ani chodzić ani pisać nie mógł, a tu zmuszano go do odbywania podróży! Staraniem kochającej go małżonki, co z narażeniem własnego zdrowia pojechała do kraju, udało się po największych zabiegach i trudach, przedłużyć pozwolenie pobytu jego zagranicą o kilka miesięcy. A potrzebny mu był ten spokój bardzo, bo w Styczniu zmarł stary i wierny sługa jego Jan, do którego przywiązał się wielce, iż

po stracie jego bolał niby po stracie najlepszego przyjaciela.

W takiem smutnem usposobieniu ducha doleciała go wieść roku 1855 o zgonie mocarza północy Mikołaja. Była to nowina, jaka wstrzęsła umysłem ogółu a zburzyła wszelaką politykę Europy. Na Zygmunta wywarła śmierć Mikołaja uroczyste wrażenie. Przewidział tu duch jego odmiany polityki rządów, wierząc od razu w pokój, gdy ludy oczekiwały jeszcze długiej walki Zachodu z Północą. Na szczęście dla zdrowia, nie potrzebował już wracać do kraju i osiadł na zimę w Badenie. Życie jego tam było prawie samotne; przyjmował on tylko najbliższych przyjaciół familji, po szczególności wiążąc się z sympatyzującym w uczuciach jego — Włodzimierzem Czackim.

Przy końcu roku tego, wyniesienie ojca Zygmunta na tymczasowe namiestnictwo rządów Królestwa Polskiego, ożywiło nadzieje narodu. Cieszył się i Zygmunt krótkimi, ale mądrymi rządami ojca, dziękując Bogu że choć ta chwila życia jego, zatrze w sercu po części bolesne uczucie zawodów niezasłużonych w młodości. Po ustąpieniu władzy namiestniczej nowemu powiernikowi z cesarskiego ramienia, zjechał Jenerał do Kissingen dla poratowania słabego zdrowia i zobaczenia się z synem. Pośpieszył Zygmunt na łono rodziciela by z upragnieniem dziecinnej miłości oglądać osobę najdroższą mu na ziemi, użyć chwili radosnej, i zapaść w niemoc silną niebezpieczeństwem, co go pozbawiła władzy w nodze, iż tylko o kuli mógł stąpać. Ten stan zdrowia niezbędnie wymagał łagodnego powietrza Włoch. Radzili mu lekarze, by co prędzej tam jechał, jeżeli choć trochę miłuje to życie, inaczej

nie odpowiadają za skutki. Dla powodów jemu tylko znanych, uparł się on przecie i został w Paryżu. Tu go do reszty osłabiła na zdrowiu ciała i duszy nieprzewidziana strata majątku. Zbankrutował dom, któremu kapitały własne i żony powierzył, a sam bankier umknął w świat zamorski. Dla utracenia głównie majątku żony, bolał Zygmunt i postanowił bądź co bądź, choć część onego wyratować z zaguby. Chwycił energicznie środki procesu, z wiadomością i sztuką poprowadził sam tor jego, na podziw najpierwszych prawników Paryża.

Przeczuwający ojciec przeznaczenia przyszłości, wołał go i błagał by zjechał do domu. W nadziei posiadania ukochanej familji, przygotował dom na jej mieszkanie, oczekując co chwila jej przybycia. Jakoż w rzeczywistości zjechała najprzód żona Zygmunta z dziećmi, a sam Zygmunt pośpieszył, urządziwszy sprawę o majątek żony, w tygodni parę. Nie długo wszakże dozwolił mu tam los zawistny używać szczęścia na łonie familji. Po krótkim czasie pokoju, na dniu 17. Września umarła mu córka Eliza, przebywszy krótką lecz dolegliwą chorobę. Wrodzoną delikatnością uczucia wiedziony, krył Zygmunt boleść srogą w głębi duszy, nie chcąc oną przyczyniać smutku i cierpień familji. Przecież cios ten za ostro uderzył w serce jego i nadwerężyło się mdłe zdrowie a porwały ostatnie życia nitki! Zapadł w niemoc tak niebezpiecznie, iż coprędzej wyjeżdżać musiał na kurację. Od lekarza w Heidelbergu udał się do Badenu, ztamtąd nie długo, mimo niebezpieczeństwa zdrowia, do Paryża by kończyć zaczętą sprawę. Była to zima pełna cierpień. Jeżeli krótkie chwile ulgi wytchnąć mu dawały, obracał je na prace około sprawy, na przechadzki, a najmilej —

na słuchanie prelekcji Juljana Klaczki, które mu do gustu przypadały, pociągając ognistą wymową. We wiosnę odumarł go zacny i sławny w świecie zasługą, malarz Ary Scheffer, co go potrafił uczuciem artysty zrozumieć. A że wielka przyjaźń wiązała ich, dowodem powtórzenie Scheffera Franceski z Rimini, tylko dla przyjaźni — w podarku Zygmuntowi. Nie liczę tu mnóstwa portretów Zygmunta, ręką tego mistrza wykonanych.

Cierpienia te duszy wpłynęły na stan zdrowia Zygmunta. Boleść w nodze cofnęła się do wnętrza i poczęła targać jego siły żywotne. Lekarz Drezdeński Walter coprędzej zalecił mu jechać do wód, by śmierć nie zaskoczyła nagle. W wodach Plombières nie doznał ulgi obiecanej; owszem, pogorszyło się zdrowie jego iż nie mógł pospieszyć do ojca, który go za granicą oczekiwał. Małżonka zastąpiła ten miły obowiązek synowski, a Zygmunt, przy pierwszej chwili zdobycia odrobiny sił ficzycznych, wyjechał do Ems. Wody te osłabiły go jeszcze bardziej. Zawezwany powtórnie do porady Walter, przeraził się ogromnym rozmiarem choroby i zalecił konieczny a prędki wyjazd do Włoch lub Algerji. Podróż takowa nie odpowiadała chęciom Zygmunta. Dla powodu bowiem podobnego wyrzekł się raz już ratowania zdrowia, a powodem było wychowanie drogich mu dziatek. Nie mógł on przenieść opuszczenia ich w obczyznie; obowiąski rodzicielskie zabraniały mu znowu przerywać nauki, dla przyjemności posiadania ich zawsze przy boku. Pojechał więc do Paryża, gdzie doktór Louis odgadując tajne chęci Zygmunta, uspokoił obawy, w zamiarze uprzyjemnienia ostatnich godzin życia jego.

Przeznaczeniem Zygmunta było cierpieć i umrzeć w cierpieniu.

Zaledwie rozpoczął przepisane lekarstwo, gdy telegraf doniósł mu o śmiertelnej chorobie ojca. Powalony tym gromem, nie mogąc sam pogonić do jego łoża boleści, wysłał żonę swoją — i ta na skrzydłach miłości biegła do Warszawy. Ale, choć uczyniła to ona z narażeniem własnego zdrowia, nie na wiele przydały się starania i zabiegi! — W parę godzin po jej przybyciu, na dniu 24. Listopada, Jenerał Krasiński przeniósł się do wieczności!

Wiadomość ta zerwała ostatecznie pasmo życia Zygmunta. Płynęły tam łzy boleści, wzbijały się do nieba modły gorące, a duch od chwili tej rozprzęgał materje władzy.

Żył Zygmunt po zgonie ojca zaledwie kilka miesięcy.

Zatrudnieniem jego najmilszem było spisywanie żywotu Jenerała w kółku najwybrańszych tylko przyjaciół — ale i tej pracy nie mógł doprowadzić jak tylko do 1827 roku.

W listach do żony ustawicznie wstrzymywał jej powrót, rozkazywał to prawie. Mimo przeczucia blizkiego końca, opisywał że się ma lepiej, że przychodzi do zdrowia, a więc obecności jej nie potrzebuje. — Tymczasem duch jego dogorywał, migocąc płomieniem gasnącej lampki, co lada chwila zagaśnie na wieki, zostawi ciemności w obszarze światła, bo brak tam życia, brak ognia.

Mimo tego ulatniania się żywotnej siły, polityka zajmowała głównie skołatany umysł. Kombinował i badał najdrobniejsze wypadki w świecie tym, starając się zbadać przyszłość narodu. Może być iż pragnął

on wtenczas jeszcze raz przemówić głosem proroczym; niby ostatnie rady opuszczającego dziatwę ojca, wyryć rylcem uczuć na tablicy serca narodu. Ale brakło mu sił; a może i chęć tę zniszczyło dane już dawniej przyrzeczenie — do narodu nie odzywać się więcej.

W końcu Stycznia zapadł widocznie i bez ratunku. Choroba olbrzymie czyniła postępy; twarz nędzniała i schła z dniem każdym, przekonanie o śmierci wieszcza stało się pewnością. Czując te ostateczne siły, coprędzej napisał do żony, by zajęła się spadkiem po ojcu w Polsce, póki ten interes nie ukończy się zupełnie. Obawiał on tu się jej przyjazdu. Uczucie delikatne Zygmunta nie chciało przyczyniać boleści ukochanej małżonce obrazem śmierci, obawiając się, by taż i jej nie zabiła, zostawiając biedne sieroty bez opiekuna. Z miłości wygórowanej, pozbawił on się tu dojrzenia życzeń serca jego, co pragnęło raz jeszcze spojrzeć w oko małżonki ze łzą pożegnania!

Na dniu 13. Lutego położył się na łoże boleści i nie wstał już więcej!

Dziesięć dni cierpiał on jeszcze i konał, aż dnia 23. wyzionął czystego ducha na łono Stwórcy, który żywotem wiekuistym nagrodził prace ziemskie wieszcza, koronując go za dźwiganą przez całe życie koronę cierpień — koroną chwały niebieskiej!

Wielka żałoba ogarnęła nie tylko rodzinę ale i kraj cały!

Bo znał on kraj drogie imię Zygmunta wieszcza, mimo że tenże, nie szukając chwały ziemskiej, cudowne utwory swoje pod tajemnicą anonimu światu ogłaszał.

Dnia 2. Czerwca, drogie szczątki męczennika-wieszcza przybyły do Warszawy. Złożono je u OO. Kapucynów. Cicho i bez wystawy godnej przeszłości

zmarłego, odbyło się nabożeństwo za jego duszę... Znajdowali się na niem tylko ci, którzy przybyli oddać tę ostatnią przysługę ze szczerego serca, ze szczerej chęci modlitwy, ze szczerą prośbą przyszłości zbawiennej — z żalem prawdziwym nad poniesioną stratą!

Nie jedno serce rozkrwawiło się tam, nie jedna łza spłynęła na mary.... Była to najmilsza nagroda wieszczowi zasług jego!

W cichości, na dniu 4. przeniesiono zwłoki jego do familijnej włości. I minęło to życie nie pojęte, nie zwykłe a męczeńskie, bez wrzawy, bez chałasu, bez znajomości nawet światu. Imię zmarłego jednak, okryte anonimu tajnią, świeciło wieszczemi pracami ponad sferą ojczystą, niby gwiazda przewodnicząca mędrcom Wschodu, by znaleźć prawdę przedwieczną — Chrystusa!

W Opinogórze majątku dziedzicznym, wybudował śp. Generał Krasiński kościół porafialny. Do tego przybytku świętości przeniesiono zwłoki wieszcza, ojca jego i matki, na pamiątkę, na sławę rodowi....

Tu się kończy Żywot Krasińskiego Zygmunta, i tu ja także opuszczam drogę po której stąpałem. Znajdą się pisarze co żywot ów sławny dla narodu opiszą dokładnie, piórem znawczem twórczości wieszcza samego, słowem pojętem z jego utworów. Ja, jak na wstępie wyznałem, przytaczam tu tylko wyjątki już ogłoszone. Bo znając duszę w powłoce żywotnej ciała, a z tem — znając samą drogę jaką ono kroczyło, zrozumieć łatwiej śpiewy i jęki tej duszy. Wieszcz prawdy przyszłości, odbija w dziele prawdy li tylko wizerunek czynów i uczuć doznanych. I przekazując potomności utwory swe już tem samem przekazuje

samego siebie, jako wzór. Że zaś nie każda istota ziemi z uczuciem poziomości doczesnej, potrafi zrozumieć myśl wieszcza i zgłębić rysy portretu — tenże portret opisem twórcy żywota na oko stawiony, samego tworu poznanie ułatwi. — Bo nie wszyscy godnymi jesteśmy pojmować jednym duchem i jedną siłą; nie wszyscy godnymi jesteśmy na jeden rzut oka zrozumieć to, co Bóg nam zakrył tajemnicą: chyba gdy ją objawia przez usta wybrańców swoich! Chwała, chwała Bogu za Polskę, że tak szczodrobliwie przemawia do synów jej, przez usta swoich posłanników!

* * *

Spij czlowieku wieszczy.

Spoczywaj po bolesnej pracy Twego wielkiego przeznaczenia ziemi; spoczywaj na tronie szczęścia wiekuistego, na łonie sławy, na laurach pracy Twojej....

Rozsiałeś po ziemi narodu Twego cudowne kwiaty zbawienia. Woń ich zachwyca, barwa nęci, a całość niby lekarz czarodziejski, uczy poznawać chorobę i leczyć ją.

Żyj duchu wieszczy.

Niechaj skrzydła biegu twego, wieją na Ciebie zasyłane z ziemi podzięki i modły! Cudowna melodja lutni Twej niechaj Ci wiekuiście przygrywa akordami życia, któreś Ty stworzył.

Niechaj świeci na padoł ziemski ostatnia myśl Twoja!

A jeżeli, Duchu wieszczy, w błękicie eteru spuścisz istność Twoją na ten padoł płaczu — niechaj ołtarze podzięki i sławy, co w sercach braci Twych pobudowane, niech Cię niebiańską owioną radością — w nagrodę męk ziemskich.

Żyj duchu wieszczy!

Szczątków twych w grobie nie tyka robak zepsucia. Po nad mogiłą Twą ziemską unosi zefir łzy i żale narodu, za stratą bezpowrotną. To nagroda Twego życia....

Śpij powłoko wieszcza!

Przeminie doczesność, przeminie świat, a ocucona trąbą Archanioła, powstaniesz w jaśności i cudzie utworu Chrystusa .... i Chrystus wiarę Twoją wynagrodzi zbawieniem wiecznem, a Święta Teresa, którejś chwałę tak cudnie wyśpiewał, poprowadzi nowe życie wiekuiste po drogach nagrody — ku tronowi zasług....

I zasiędziesz na zasług tronie, by opiekować się do twego celu dążącymi!

Boleść nie wypowiedziana utracić wieszcza który przyświecał narodowi, który sławą imienia swego sławił naród.

Ale któż kolej życia ludzkiego odmienić może?

Przeznaczenie tego życia jest: postępować od Stwórcy wskazanemi drogi.

Jeżeli bowiem On ustanowił pewien system natury utworu, w systemie tym położył cel życia, aby stało się wedle woli Jego.

Nie może więc życie przeminąć, nie wypełniwszy przeznaczenia już od kolebki nakreślonego.

Nie rozumiejmy przez to, by ono krępowało siły i wolę naszą. Do celu przeznaczonego miljony dróg prowadzą i ludzka wola jest obierać z nich jedną — złą lub dobrą, grzeszną lub prawą....

Maszyna cudowna żywotności bezustannie obraca kołami swemi, aby ruchem ich tworzyć coraz nowe dla odmłodnienia — całości; zastarzałby się bowiem ten ruch i mechanizm by ustał.

Nie narzekać nam zatem, nie upadać na duchu, jeżeli on cokolwiek osłabiony losem. Ożywiać tym uszczerbkiem winna się czynność bytu i tworzyć nowe siły, albowiem z opuszczeniem rąk, ustaćby musiała działalność natury całej, a z tą nastąpić — śmierć świata.

Inaczej tu końca światowego życia rozumieć nie możemy, jeżeli, porzuciwszy wiarę ślepą, zagłębimy umysł w tem tajnem dziele życia i myśli, iż: «w skończoności nieskończoność istnieć nie może.»

Dopóki więc przypuszczamy skończoność życia natury, dopóty istnieje dla nas i natura sama.... Ta nauka prosta a mądra — nam, bracia Polacy, przewodniczyć powinna we wszystkich stratach pojedyńczych i — ogółu! —

Za dalekobym się zapędził, za głęboko zabrnął, chcąc dalej rozjaśniać tę materję. Proszę mi darować zatem ustęp nienależący pozornie do przedmiotu. Pokaże się niżej, iż on ściśle z całością treści przedsłowia powiązany.

Zygmunt Krasiński nie użył ani mile, ani długo tego daru życia na ziemi. Zgasł on wcześnie z boleścią ogółu; opuścił to życie szybko, rzucając zawodu szranki — śpiesząc do duchów jemu rodzimych. Wszakoż ten wieszcz, w krótkiej chwili pracy ziemskiej, wypełnił całkowicie ziemskie przeznaczenie swoje. I czuł to sam, porzuciwszy pióro twórcze, z postanowieniem nie przemawiania więcej do narodu.

Weźmy na uwagę utwory Zygmunta.

Czyż tam nie znajdujemy wszystkiego, czego nam potrzeba do szczęścia w całości? Czyż te obrazy przeszłości, te przepowiednie tajników przyszłości, te życzenia, te rady, te drogoskazy, nie są dostateczną materją, zdolną zapełnić życie nasze całkowicie i wypracować nam szczęście na zawsze? Cóż on więcej utworzyćby mógł, jeżeli nie powtórzenie tego, co już utworzył Czyż prace jego posiadałyby inny zdrój nektaru szczęścia, jaki dla nas miał tworzyć przeznaczeniem Boga, gdyby go w tem górnem powołaniu i celu światu jeszcze zostawił?

Nie. Żaden w przyszłości wieszcz więcej nam powiedzieć nie może; ale może tylko powtarzać innemi formami.

Ożyją nowe talenta i czucia, nowe genjusze kraju lub świata, ale choć dla uszu naszych nowemi głosy zabrzękną na lutni parnasu, nie powiedzą nam w materji tej nic nowego. Nieznajomo wszakże będzie to brzmiało uszom naszym; albowiem słabość pamięci naszej tak wielka, iż, mimo zatrzymania uczucia piękna, traci się myśl i cel sam wielki, nie pojmując onych często. Miljony tworów ożywiają i łaskocą smak nasz, przecie z tych miljonów najczęściej ani jednego nie zrozumimy tak wysoko, jak je pojął twórca. Tem jeszcze mniej potrafimy je obrócić na korzyść naszą.

Wieszczowie przemawiają do nas głosem proroka. Bóg zsyła tych kochanków nieba na padoł ziemski, by przywrócić na prawą drogę naród, obudzić w nim cel niepamięcią zdeptany. A że ta mowa ich jest mową nieba, dowodem zachwyt jej dźwięków, co czarują ducha naszego melodją nieznaną, pieszczą zmysł cudownie, oderwać się od uroku nie dając. Łaska w tem Przedwiecznego do tyla jest nieograniczoną, że

dozwala obudzić wieszczowi nadziemską siłę, by niejako zmusić niewdzięczną istotę ku dobremu. A my, czując piękno dobra, wyrywamy się gwałtownie z uścisków jego, i wysławiając cud, zapominamy prawdę.... Nie dziw, że nowy twórca, przemawiać do nas musi na nowo, by osięgnąć, przepisany mu z góry, cel nawrócenia!

Wracając do powołania ziemskiego, zauważyć muszę powtórnie «iż nie ma życia bez całości.»

Przeszedłszy dzieje świata i rozebrawszy te życia bez liczby, zobaczymy jak pojedyńczość każda, zachodzi obraną drogą do przeznaczonego z góry kresu.

Hrabia Zygmunt Krasiński, tak jak inni, wykonał powinność życia. Wypowiedział on wszystko co w sercu jego istniało, choć nie wielu słowami; bo nie w mnogości szukać jego całości zawodu. Przeznaczeniem Zygmunta było tyle a nie więcej objawić. Duch jego wypełniwszy to, stawił ciału zaporę, rozprzągł je powoli i uleciał zkąd przyszedł.

Nie wiem jakie pozostałości oczekują objawu drukiem, ale przeglądając prace Zygmunta, widzę tam całość.

Młody Zygmunt, uczuwszy chęć żywą pracy na polu piśmiennictwa, wyprobował pióro swe, pisząc artykuły różnego rodzaju do czasopisem ówczesnych, które przyjęte były z mniejszem lub większem powodzeniem, stosownie do szczęśliwego pomysłu treścią, gładkością stylu, jasności wykonaniem. Nie wiadomo, niestety jakie i wiele tych prac młodocianych, chociaż wspominki o nich w ówczesnych poglądach często napotykać się dają. Musiało ich przecie dość wiele dojrzeć i otrzymać między publikacjami miejsce, kiedy jako pierwsze utwory występują już na jaw całkowite i obszerne powieści

w rodzaju prac mody ówczesnej, szczególniej wedle wzoru Waltera Skotta.

Jedną z najpierwszych prac podobnych napotykamy w opisie: Grób familji Raichstalów. Był to utwór dosyć szczęśliwy, samoistnego zakroju i wyrównanej postaci, zajmujący już wówczas doborem wyrażeń, chociaż bez tego życia na tle uczuć ludzkości, jakie tylko praktyką poznać, zrozumieć, a tem bardziej piórem wiernie sportretować nam można. Do też przeminęła powieść ta bez rozgłosu, chociaż w kółku bliższem autora lubowników nie mało znalazła i należy dzisiaj do prawdziwych bibliograficznych rzadkości.

Pierwsza praca piśmienna została się w manuskrypcie — zapewne, młody autor nie uznał ją sam być godną publikacji, albo li też nie dopuścił takowej z powodu, iż ją napisał na cześć dnia imienin, na wiązanie ukochanemu ojcu.

Następnie spotykamy się z nowym utworem, całkowicie na sposób Waltera Skotta obrobionym, z Władysławem Hermanem. Tu pokazał już autor siłę pojęcia młodocianego, naśladownictwem jak najwierniejszem sławnego i modnego wówczas autora Szkocji, którego oprócz naszego Zygmunta dwóch tylko późniejszych pisarzy zrozumieć i naśladować z korzyścią potrafiło — byli to: Bernatowicz w Pojacie i Bronikowski we wszystkich pracach samoistnych, do dziś dnia znanych i czytanych. Pokazuje się iż Władysław Herman był utworem zupełnie dojrzałym i w zakresie obranego przedmiotu całkowicie wykończonym. Publiczność onego czasu oceniła też należycie tę udatną pracę i znajdziemy w wielu ówczesnych krytycznych poglądach bezstronne ocenki, pełne pochwał dla nieznanego autora. Była to pierwsza powieść na tle historycznym, jaką śmiało do sławnych

prac Waltera Skotta porównano i zaszczytne miejsce między arcydziełami tego rodzaju literatury przyznano. Władysław i dziś jeszcze nic stracił swej wartości, pomimo iż smak naszego czasu zupełnie inną pobiegł drogą. I dziś może być on wzorem gładkości poglądu, równości stylu, oraz przez treść swą przedmiotem historycznej rozwagi, szczególniej dla dojrzałej młodzieży. Brak w nim bowiem namiętności serca, jaka życie młodociane najbardziej naraża — chociaż niby przeczuciowo starał się autor i jej obraz nakreślić — ale tylko obraz bez namiętnościowego życia.

Poznał prędko Zygmunt iż nie tę drogą kroczyć on musi, jaką sobie obrał początkowo, że nie naśladownictwo, nie proza w jego sercu osiąść pragnie. Zasługi na tem polu, chociaż dla talentu jego łatwe były do uzyskania, do rozgłoszenia imienia jego po narodowym świecie i nadania mu prawa duchowej przyszłości w pamięci po twórczem istnieniu powieścio-pisarza literata! Krew młoda zawrzała w sercu jego, wzburzone uczucia domagały się praw swoich, które krępowała nieśmiałość niewinności, broniąc od wylewu tychże drogą namiętną, któryby mógł zalać i zniszczyć nagromadzone tam skarby. Porwany żądzą młodzian, nie mogąc zwyciężyć i w zarodku zniszczyć jej, a z drugiej strony cugle namiętności dzierżąc silnie z pomocą od dzieciństwa wpojonych zasad moralnych i religji — musiał, dla utworzenia upustu zbytecznego życia, znaleźć drogę pośrednią — i okazała mu się ona prędko na polu piśmiennictwa w postaci wykonanego na tle namiętności Agaj-Hana.

Agaj-Han uchwycił namiętności Zygmunta, i zatrzymał szczęśliwie.

Kwiecisty styl, obfitość wyrażeń, jakie we Władysławie Hermanie przy każdej sposobności przebijały

się na widok czytelnikowi, stanowią w Agaj-Hanie podstawę całej pracy — raczej nie pracy, ale całego utworu rozburzonej wyobraźni, jaki przelał na papier bezwzględnie, mięszając prozę z wygórowaną poezją pod postacią prozaicznego opowiadania.

Agaj-Han jest poezją miłości.

Agaj-Han jest szczęśliwem przejściem z drogi klasycznej na romantyzm, burzący wówczas rodzaj ludzki w Europie; jaki romantyzm dziwnem zrządzeniem losu, budząc w innych namiętność i namiętnością nęcąc ku sobie, w naszym narodzie wylewał takową w zarodku, najczęściej całkowicie, przetwarzając się w poezję moralności i wygórowanego piękna duchowego, na tle miłości ojczyzny!

Wszelako nie znajdziemy w Agaj-Hanie obrazów zepsucia, których młodociane serce poety posiadać nie mogło. Na tle namiętnem dumy z jednej strony, a nie pohamowanej żądzy miłości z drugiej — obydwóch uczuć jakie wytrysły chwilowo i przeistoczyły się w zarodku samym na wspaniałe obrazy moralnego pojęcia — błyszczą światłem piękna, w romantycznych rozmiarach główne bohatery utworu, pomagając sobie wzajemnie do olśnięcia urokiem piękna, azjatycką wspaniałością poglądu. Rozpasane uczuci miłości z jednej strony, szlachetność i nieugięta duma z drugiej — wspaniałość i szczęście namiętne pośrodku — a wszystko to w końcu namaszczone boskością duszy, zawracającej z drogi nieprawej ku dobremu końcowi — oto poryw pomysłu. Gdzie prawdziwa namiętność otwarte miała wrota do czynu i mogła, przy bogatych zasobach autora, oczarować, rozburzyć przykładem, zarazić zadowolenia obrazami, tam wstydliwość zapuściła zasłonę i przejściem nagłem w sfery więcej umiarkowane, ostudziła wzbu-

rzenie; lub też niewzruszona duma potrafiła zniszczyć zło w zarodku, przygłuszając chwilowo nie stateczne zapędy.

Kto uważnie rozpatrzy się w powieści «Agaj-Han» po zastanowieniu nad życiem jej autora, znajdzie w nim najwierniejszy portret najskrytszych uczuć jego, jakie się mimowolnie na papier wylały. Bo mniej lub więcej, ale niezawodnie w pracach poznać można samego ich wykonawcę — tem bardziej w poemacie samego poetę — wieszcza.

Proza poetyczna, jaka w całym blasku piękna i zachwytu wyrobiła się tak wspaniale w Agaj-Hanie, stała się jego własnością na czas długi i posłużyła mu do wylania całego zasobu bogactw moralnych jego, pod najpiękniejszemi formami.

Pod względem wartości realnej jest Agaj-Han jako utwór poetyczny, wzorem poetycznej prozy dla wszystkich pracowników pióra narodowego. Niech mi kto pokaże więcej ognia, siły, zapału uczuć ziemskich, czarującej piękności wyrażeń. W Agaj-Hanie przedstawia się najszczytniej pojęciom badacza ten skarb nieprzebrany bogactw naszego języka. Nadaremnie cudzoziemiec przetłomaczyć się taką pracę stara: zabraknie mu wyrazów, a ogień i urok zniknie, jeżeli nie zupełnie, to skryje się tak głęboko, iż go tylko wzrok wieszcza odgrzebać może. A i tu nie odgrzebie dla oka, tylko dla czucia.

Przez utwór ten pozbył sięi Zygmunt, jak wszyscy wieszcze nasi, ziemskości i uczuł że bieg jego nadziemski po krainie marzeń o wiele bystrzejszy, lekszy — to też zostawiwszy ziemskość na ziemi, wzleciał w wyższe sfery.

Z oczyszczonego serca po burzy gwałtownych onego

żywiołów wzniosła się w sfery niebieskie gędźba wieszcza i zaczerpnąwszy w uczuciach ojczystych nektaru miłości kraju, wybrzmiała pieśń ojczystą, wieszczą dla kraju, we wspaniałych formach nie rymowej poezji. Boskiego zachwytu jest wieszczba ta, choć nie boskiego kształtu przedmiot, ale piekielnej chuci rozpasanego narodu! To co w niej odmalowa łpoeta-wieszcz, było nie tylko horoskopem narodu, ale i horoskopem całego świata. Straszną konieczność burzy i uraganu, stworzoną w przyrodzie jako środek czyszczący zagęszczone i pełne wyziewu strefy, nakazał Bóg nietylko dla żywiołów ale i dla stworzeń swych, jako środek gwałtowny ale nie omylny, za pomocą którego rodowe wady wyrzucone być mogą. Bez tego bowiem środku zniszczył by się ród ludzki i w upadku zaginął. Środkiem gwałtownej puryfikacji wstrzęśnięte życie w najgłębszych swych fundamentach, nabywa sił nowych, pozbywszy się słabych i gniłych latorośli, ze rdzenia gotowe wytworzyć nowy prąd i uszlachetnić się gatunkiem.

Zna filozofja i logika tę straszną a przecież jedyną konieczność natury — pojmie badacz, iż bez wzburzającej pracy nie potrafi się zmiana wyrobić, bo każdy żywioł dla zachowania istnienia, broni się ostatkiem sił i dopiero po wyszafowaniu owych z pola zapasów ustępuje — ale człowiek zwyczajny nie rozumuje na tem polu i jeżeli kiedy przyprowadzony okolicznościami na myśl podobną, to organizacja jego przeczuwa machinalnie zbliżenie chwili podobnej — niby zbliżającą się burzę w żywiołach przedwstępnym záduchem i groźną ciszą.

Myśl wieszcza sięga głęboko czuciem w tajnie przyrody i jak filozof na podstawie żelaznej logiki wybada konieczność przyszłych działań, tak wieszcz każdy na

podstawie przeczucia sercem sięga głęboko w przyszłość życia, nurtując wady i cnoty ludzkości.

Zygmunt w Nie-boskiej odmalował jaskrawymi farbami zgrozę burzy, mającej nastąpić dla oczyszczenia serc ludzkich, zapchanych namiętnościami. Rozpasane chucie z dołu, niby wyziewy zaraźliwe ziemi, wyparowały w sfery wyższe i zagniłe powietrze onych, niszcząc ogniem namiętności i mieczem zemsty; w przepaściach rozpusty pogrzebały siebie i swe ofiary — zostawiając nasienie życia ojczystego pokoleniom, aby zeń nowa cnota wzrosła. Miecz i ogień, głód i zaraza oto motory wszechmocy Boga — nie gniewu ale sprawiedliwości Jego!

Dla tego też giną i syny Boże w podnoszącym się ku niemu uczuciu, giną, mimo ufności w ziemską siłę w imię Stwórcy — aby otrzymać nagrodę prac wyższem życiem — zapadają się w przepaście piekielne i przestępcy i sędzie zbrodnicze — a nad okropnym pobojowiskiem zalanem krwią, zostaje nasienie narodu i krzyż Pański, godło zbawienia, jaśnieje na obłokach, niby znak przebaczenia! Ostatni duch w wezbranej walce, zwycięzca przez ludy, pada, rażony tym znakiem Bożej łaski, rażony myślą iż ten, którego on deptał bezkarnie, tak niezmierzenie wysoko nad nim panuje! «Galilee vicisci!» ostatnie słowa jego. Biada występkom — cnota dziś panowanie swe rozpocznie!

Wieszcz nasz w pierwszej linji napisał Nie-boską dla rodaków i na ziemi ojczystej odegrała ludzkość rzeczywiście jednę z tych strasznych tragedji — ale każdy naród znajdzie w gruncie tej prawdy wspaniałej, zwierciadło własnej przyszłości, tak samo jak każdy człowiek pojedyńczo, w razie gdy opisanemi w utworze tym pójdzie drogami.

«Nie-boska» jest arcydziełem pod względem trieśc i pod względem form czarujących — to też naród uznał ją za takowe, a wieszcza onej w rząd pierwszych swych kapłanów policzył.

Przegrywką nastrojną na tęż nutę a malującą jeden obraz okropny całości błędów ojczystych w sferze wyższej rodowego życia, jest niezawodnie «Noc letnia.» — Czarodziejska poezja rozmarza tu tkliwe uczucie, gdy romantyzm nowoczesny, kreśląc dawne obrazy, w nowe formy figury ich stroi — jak nieszczęściem w rzeczywistości się działo w czasie utraty naddziadów ducha i zaczerpnięcia z błędów obczyzny. W nocy letniej namiętność zabija dumę i siebie gubi. Niewyczyszczone uczucie miłości dobra i zasád moralnych, wchodzi tu w zapasy z duchem obczyzny przez dumę przygarnionym i niby dwa gady, pożerają się występkiem zobopólnie, dozwalając górować cnocie, nie czynnie ale moralnie i duchowo. «Pokusa» łączona zwykle i uważana by dodatek do «Nocy letniej» wystawia starą cnotę na straży słabej młodości, gdy takowa nie może znieść walki z występkiem — i ginie w rozpaczy przez starą cnotę wzbudzonej. I tu cnota zwycięża duchowo, nie prowadząc do zwycięztwa słabości ciała nad pokusami świata obczyzny. Materjalizm rozpoczyna tu panowanie nad duchowością, która z rozpaczą cnoty starej schodzi do grobu.

Po «Nie-Boskiej» występuje wspaniale z genjusza Zygmunta obraz «Irydiona!» Namiętność duchowa, zwyciężywszy cielesność, rozpiera się w świecie doczesnym i burzyć chce dzieło Boskie. Niepojęta sprawiedliwość w ślepem ręku, burzy wbrew rozkazom Boga. Walka tych chuci reorganizacyjnych z dezorganizującymi pochłania wszystko, wznosząc na szczątkach tych prac

znamię Chrystusa, który zwycięża z różczką oliwną pokoju, cierpieniem i życiem ziemi okupiwszy ród ziemi z paszczy namiętności pojęcia. Wspaniały obraz syna Amfilocha olbrzymiemy rysy nakreślił nam Zygmunt i ukończywszy wiekopomną pracę, rozdarł płutno na dwoje, pokazując nicość nie chrześciańskiej wielkości. Szatan poganizmu zapanował poraz ostatni, by w walce braterskiej zetrzeć ostatki swej władzy.

Nie chciało mu się całkowicie porzucić ofiary — więc obiecał obraz zniszczenia pokazać w rzeczywistości, po wiekach walki złego zdobrem na świecie, zamawiając sobie tem przyrzeczeniem panowanie nad duchem — ale zapomniał Siły najwyższej, która jednym podmuchem tuman i urok władzy jego zdmuchnęła. Upadłą Romę oglądał duch i przejrzał łaską, uznając iż właśnie zły duch był sprawcą onego.

Autor sprowadził w końcu ogromne rozmiary poematu do narodowego ogniska. Wskazując na kraj napełniony cierpieniem a podobny Grecji, ojczyznie Amfilocha, w nim duchowi bohatera dalszą czynność jego naznaczył, wdzięczniejszą glebę tej świętej pracy odrodzenia obiecując. Ale nie namiętnością, nie burzeniem, jeno cierpliwością i odbudowaniem każe się autor dobijać lepszej przyszłości.

Ze stanowiska narodowego więc, utwór ten do mistrzowskich ojczystych policzyć możemy i szukamy w nim właściwego znaczenia w historji polskiego żywota. Pod względem formy należy on do owych, co się w polocie genjuszu nie dadzą ująć w systematyczne ramy nauki lub sztuki, ale idą właściwą samoistną drogą, nie troszcząc się o formę — wszelako jest ona i do tego tak wdzięczna, iż nie ścisnięta.

W Irydionie coraz mniej namiętności cielesnej — a coraz więcej duchowej — zaś przezwycięża nie idea

równości sprawiedliwej społeczeństwa, ale idea sprawiedliwości chrześciańskiej, która nie może być śmiercią pokonana i tylko pokonywuje śmierć w imię cnót Chrystusa i odnawia do nowego życia tak tu na ziemi, jak i duchem w coraz świetniejszej przyszłości! Nieśmiertelność cnoty jest więc kamieniem, na którym zbudował Zygmunt wspaniały pomnik przeszłości i swemu genjuszowi.

Irydion wskazuje prawdziwą drogę uciśnionym narodom — cierpieć a pracować na drodze odbudowy moralnej przez uszlachetnienie; opór sile brutalnej tą samą siłą odepchnąć się nie da, jeżeli chodzi o panowanie ducha. Niech uciśnieni naśladują mistrza cierpień Chrystusa i prace węgielne zwolenników jego w rzymskich katakombach.

Następnym utworem, należącym do djademu korony wieszczej Zygmunta są «Psalmy przyszłości.»

Jakże cudowna melodja, srebrzystemi dźwięki śpiewa pieśń życia i jutra! Czyż głosowi jej może się oprzeć, choćby najzimniejsze stworzenie ziemi? Tam czuć woń eteryczną samego twórcy, tam czuć miłe ciepło nadziei; tam rozlewa nadzieja swe dobroczynne promienie po żyłach wątpliwości! Ale tamże — ostre żądło prawdy, osłonione miłością nie wyczerpaną, kole ducha; siłą ciągnie do rzeczywistości. Woła tam wieszcz niby z Chrystusem, by za nim poszedł ród ukochany. Wskazuje fałszywe drogi, zgubne myśli, nieszczęśliwe prace, bo nieprzejęte w wierze prawej, miłości prawdy przedwiecznej!

Psalmy przyszłości są pożegnaniem, zasłanem krajowi. Niby ojciec stroskany o swą dziatwę, puszczając ją w świat obcy, jeszcze ostatniemi żegna je rady; spodziewając się szczęścia ich, a obawiając zarazem błędu. Pożegnał on temi rady w ostatniej drodze

przyszłości, by złożyć pióro i obcowanie z krajem zawiesić, w myśli iż dokonał zadanej pracy.

Weźmy dalej «Przedświt» zarównej tendencji i równie cudnej formy, który należy do prac rymowych Zygmunta — a zobaczymy w nim również z jaką łatwością potrafił wieszcz nasz władać bogatym językiem Ojców swego narodu, iż tyle uroku pod tak śliczną dla oka postacią, tak melodyjną dla ucha gędźbą nazbierał i w nichże tak zbawienne rady umiał zamykać. Testamentem rad swoich zostawił on ducha swego między nami, aby i po jego przejściu w sfery wyższe, nie brakło nam przewodnika, na jedynie prawej i świętej drodze budowy społecznej, by nie wpaść w manowce występku i zaślepienia.

Pomniejsze utwory Zygmunta szły podobnymże torem jak Psalmy i Przedświt, wybijając się coraz wyżej z ziemskości pojęć w sfery duchownictwa niebiańskiego — przy czem światło religji coraz jaskrawszego weń nabierało blasku. Nie wspominam tu o nich szczegółowo, ponieważ brak mi na to miejsca i nie było zamiarem moim pisać krytyki; pozostawiam większym zdolnościom pracę, przy której wykonaniu nie jedna pojedyńczość rozprysnąć się może.

Wspomnę tu tylko przy końcu że w mapie wieszcza znaczna ilość prac jego pozostała, jakie niezawodnie w krótkim czasie ujrzą świat Boży, wprowadzone weń staraniem ukochanego przyjaciela zmarłego — Konstantego Gaszyńskiego. Przejrzawszy się w tych ostatnich utworach jak w zwierciedle, będziemy dopiero w stanie ocenić ostatek żywota ziemskiego tej wspaniałej istoty.

Dzisiaj więc, powtarzam, a tem bardziej z mego słabego pióra, nie potrzebuje wieszcz nasz krytyki — tylko wspomnienia i poglądu, któryby czytelnika mógł

na tor badań i pojęć wprowadzić, ożywiając w sercu jego dalszy rozwitek myśli po przeczytaniu samych utworów. Kto zaś uwierzy ten zbawion będzie.

Nie żąda wiek dziewiętnasty by wierzyć ślepo; owszem, niech uwierzy każdy z przekonania, po badaniu ścisłem, tylko nie suchem, nie uprzedzonem, nie przesiąkłem obczyzną. Bo i jakiż to wielki przykład miłości kolebki życia naszego dał nam Zygmunt! Tułał się po świecie, szukając choć odrobinki spokoju ciała, by ożywić ducha, a przecie miłość jego została ta sama i duch swojski. Raz ofiarowawszy się pewnemu celowi, zwyciężał ułomności swego ciała jako człowiek, aby jako duch, bujać po nad sferą ojczystą — być wieszczem kraju!

Wieluż tak czyni?

Puszczając w świat słowa te przedwstępne tak wysokim tworom, czuję słabość wyrażenia ziemskiego — czuję iż nadto podrzędną gram tu rolę!

Niechaj przecie wielkie światło arcydzieł Zygmunta zaćmi słabość tę.... Wywiązuję tu się tylko z obowiąsku przedsłowia do puszczonych w świat pamiątek. Nie może mię zastąpić ani zdatniejsze pióro, ani złote wyrazy wieszcza samego! Duch jego tylko pogląda na słabe chęci, i w tem jedyne szczęście dla ziemskości.

Po nieudolnym wstępie z tym większym zachwytem szuka ucho melodji w pięknem; i tę zasługę ja mam w pracy, że sprawię czytelnikowi przyjemność rozróżnienia wielkiego — od niedostatku. Czytajcież więc, bracia mili, wstęp ten i dla tego powodu, a poznawszy to życie w boleściach, nauczcie się zeń osądzać same twory wieszcza, porównywając one z uczuciem Zygmunta, jakie musiało ranić i palić, kiedy je na papier przelewał. To podwójne światło oświeci

zachwycającą tajemniczość, i doprowadzi może do celu górnego posłannictwa.

I uraduje się duch wieszcza, krążący z pieczołowitością ojca, ponad gniazdem rodu swego.

Bo ogarnia on ród ów płaszczem swej opieki — a zasłania i broni skrzydłem polotu! —

Czuję tę obecność posłanników przeszłości, unoszących się po zakrytych nad ziemią sferach; jak z troskliwością badają jaskinie i przepaści występku, jak szemrzą sumieniowi zdradę, jak stróżują czule, by ślepa dziatwa, nie zapragnąwszy znać dobra, nie wpadła w zło....

Niby aniołowie pokoju z różczką oliwną szczęścia, pokazują życiu drogę prawdy i cnoty, która nie wabna, że wiedzie po cierni boleści, po lasach obłąkania, przez morza cierpliwości i wytrwania — do upragnionego celu — do życia w szczęściu ogółu!

Czytajcież uważnie, ziomkowie mili, wskazane wam prace, reformy.... Duch Zygmunta unosi się po nad wami! — Niech melodja anielska zachwyca ucho wasze i nęci, a złotolite i ogniste litery, rażą uczuciem serca wasze; aby raz wryta prawda w głębi onych już nigdy nie ostygła, nie zaciemniała, nie zagasła;

Zrozumiecie i pojmiecie, a wiara i naśladownictwo przepisanych czynów, będą najkosztowniejszą nagrodą pracownikowi — bo rzeczywistość, niestety, i charakter generacji XIX o wieku, aż nadto dały dowodów przykładami codziennymi, iż mało wysłanników Nieba wysłuchanymi było. Niechajże naród polski, owa spuścizna Amfilocha, nie stanie się jako zbutwiała Roma, na której gruzach, i dziś jeszcze gnieździ się robactwo złego! Nie szczędźcie, naśladownictwem dobrego nagrody Zygmuntowi....

I rozraduje się duch wieszcza czuwający nad wami

— i zabłyśnie szczęściem, jakiego tu na ziemi, niestety, użyć nie mógł, poświęcając się w cierpieniach szczęściu ludzkiemu!

Temuż poświęcam i ja te słowa....

Lipsk, w Listopadzie 1859 roku.

E. Ł. Kasprowicz.

* * *

Przedmowa powyższa pisaną była przed laty trzynaście, w czasie, w którym jeszcze materjałów do życiorysu Zygmunta Krasińskiego nie posiadano i dla tego, nie znajdzie w niej czytelnik szczegółów znanych nam dzisiaj. Z powodu ówczesnej nieobecności wydawcy «Biblioteki pisarzy polskich» w Lipsku, zapomniano wtedy z rękopisu tego użytkować i dopiero przy rewizji papierów w zamiarze nowego wydania wydobyto z kurzu i tę pracę, którą autor oddawna za zgubioną uważał. — Szanując chwilowe nastrojenie myśli, pozostawia się artykulik cały w jego ówczesnej formie, tem bardziej że takowy, jak w nim wyczytać można, ma być tylko drogoskazem do samoistnej krytyki czytającego.

SPIS RZECZY.

AGAJ-HAN.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

POŚWIĘCONE

M A R J I.

Bawił Samozwaniec w Kałudze z małą liczbą Bojarów, lecz znaczniejszą Tatarów i Duńskich Kozaków, przemyśliwając, jakby jeszcze utrzymać się przy tronie. Trafunek zdarzył, iż Tatarzy jego wpadli niespodzianie na rotę Polaków pod Rotmistrzem Czaplicem i kilku wzięli w niewolę. — Zwątpiewającemu już o sobie człowiekowi najmniejsze powodzenie zwycięztwem się zdaje. Uradowany niem nad miarę fałszywy Dymitr, wspaniałą wydaje ucztę; po tej obwieszcza łowy, winem i miodem potężnie sanie ładować każe, i wyjechawszy w pole na zamierzonej między sosnami równinie znów rozpoczyna gody. — W gronie otaczających go Tatarów znajdował się niejaki Urassów, niezbyt dawno z bissurmańskiej na grecką wiarę przechrzczony. — Ten długo w łasce u Samozwańca będąc, kijem od niego obity i do więzienia wtrącony (przywrócił go wprawdzie Samozwaniec do łaski, lecz nie wymazał tem pamięci poniesionej krzywdy) ożywił żądzę pomszczenia się. Najsposobniejszą do nasycenia jej zdała mu się chwila obecna — zniósł się więc z Tatarami obrażonemi również za zabicie ich Caryka Kazimowskiego — a gdy Samozwaniec dużemi roztruchanami spełnia miody i wino, gdy rozchmielony traci wszelką przytomność, z pistoletem z tyłu przypada Urassów, strzela, rani, ucina mu głowę. — Inni Tatarzy ciało na ćwierci sieką, głowę kładą do sakwy i do Moskwy uwożą — Bojarowie widząc mord uciekają. — Trzech tylko pacholąt polskich słabemi siłami do ostatka broniąc nieszczęśliwego, dowiedli, że Polak odstępować nie umie. — Tak zginął oszust nikczemny i podły w obyczajach, rozpasany na wszystko co niecne. Znaleziono w jego komnacie Talmud, gazy rzemienne do modlitw i biblję.

Tymczasem Maryna dowiedziawszy się o mordzie, z razu nieszczęściu wierzyć nie chcąca, sama udaje się na miejsce,

znalalazłszy rozsiekane tylko szaty i członki bez głowy, pełna żalu i rozpaczy, już nocą do Kaługi wraca. — Wśród zgiełku i tumultu, z pochodnią w ręku, z rozczochranemi włosami, z obnażonem łonem przebiega hufce żołnierzy, a miecz przykładając do piersi, z przeraźliwym krzykiem woła o pomstę. Lubo Zarucki z 1500 kozaków opowiedział się przy niej, atoli Moskale w Kałudze odarli ją ze wszystkiego i do więzieuia wtrącili. Z więzienia taki list napisała do Sapiehy Starosty Uświackiego «Wyzwólcie dla Boga! wyzwólcie — dwie niedzieli mam tylko zostawionych do życia, pełniście sławy, nabądźcie więcej wybawiając nieszczęsną. — Bóg będzie wiekuistą zapłatą.» —

Maryna 1811. r.

Posyłają Bojary po Michała Romanowicza syna Metropolity Filareta i obierają carem.

W tymże czasie zuchwały, wyniosły, niezmordowany wódz kozaków Zarucki, nieopuszczający widoków swoich, póki zostawał blask najmniejszej nadziei, Zarucki mówię po odstąpieniu Pożarskiego dopadł z kozakami swemi do Kołomny, tam zabrawszy Marynę (z którą niektórzy mniemają że się już ożenił) i małego syna jej, mieczem i ogniem Razan i Peryasław pustoszył. Wszystko obracając w popiół, wszędzie krew rozlewając, zbliża się do Astrachanu, zdobywa go i wojewodę śmiercią karze. Wkrótce pomnażają jego potęgę kozacy z Terku. — Zuchwałość i szczęście człowieka wszędzie postrach rzuciło. — Oddalenie się Polaków dozwala Moskalom ogromne wojsko przeciw zuchwalcy wyprawić. — Zarucki zbyt słaby, by się tak przeważnym siłom oparł, uchodzi aż nad rzekę Jajk, długo ścigany, schwytany nareszcie w tych bezdrożnych pustyniach z Maryną i jej synem — sam na polu życie kończy. — Maryna utopiona pod lodem — syna jej mającego tylko dwa lata, nielitościwie uduszono.

(Niemcewicz Dzieje Panowanîa Zygmunta III.)

I.

Amor ch'a aul amato amar perdona.

DANTE.

Wieże Kaługi z daleka pod chmur zimowych nawałą coraz szarzeją, bo wieczór się zbliża. — Ale dosyć dnia jeszcze, by oświecić te wzgórki śniegiem obciążone, które kołem okrążają równinę, z której śnieg zmieciony; a nie wietrzysko go zmiotło, ale ręka ludzi, by na gładkiej ziemi panu lepiej przy uczcie i winie się działo. Na około gasnące ogniska.

Teraz już po biesiadzie, na stoły zastawione, na porzucone ostatki, sączy się topiejący szron ze świerków i sosien.

Przeszła godzina godów dziwne po sobie zostawując ślady. Płótna namiotów leżą na ziemi, czasem dysząc fałdami, kiedy wiatr pod nie się wkradnie — zagmatwane w ich sznurach i powrózkach siodła, rzędy, kufle, kosze, dzbany, a tu i owdzie na białem tle plama krwi, już sucha — znać że od kilku godzin pije z niej powietrze — ale jeszcze nie czarna, dotąd czerwona, połyskująca — znać że dzisiaj wylana.

Stoły jedne za drugiemi jak potężny wał się ciągną na owej zmiecionej dolinie. — Drugie rozrzucone jak wyspy rozpusty pomiędzy saniami, które idąc od wzgórzów, nie gęstemi szeregi stąpają, otrząsając śnieg z ramion aż do tego rzędu stołów. Przed niemi co zostało czystego miejsca od boru zachodzącego na przeciw, to zawalone taborem wywróconych sani; a z tych sani sypią się na dół ćwierci mięsa, beczki miodu, beczki wina potrzaskane, zkąd miód i wino już nie płynie strumieniem, ale czołga się skrzepłemi kroplami nad zamarzłemi bryły, z których barwy przebija dotąd barwa małmazji.

A na okół, w prawo i w lewo, jakby na pobojowisku, porzucone kożuchy, kołpaki, oręże, strzały wbite w grudę, tkwią ostrzem, pierzem drgają za podmuchem wiatru. Sajdaki próżne, kubki z drzewa, czary miedziane, rzemienia od chartów i ogarów, sieci i pale, trąbki i torby — a nad tem wszystkiem znowu plamy krwi gdzieniegdzie — i popiół czarny i węgle, co konając sypną czasem iskrami.

Wśród tego zgiełku leżą ciała trzech pacholąt — każdy padł inaczej, inaczej też leży — pierwszy z rozpłataną głową, z rozciągniętemi nogi, drugi z przeszytą piersią klęczy, jedną ręką przymarzł do ziemi, a plecy przymarzły mu do sani z tyłu; trzeci opiera się całym bokiem na grudzie, łokieć wparł w grudę, a czoło zwiesił na piersi. Na ich twarzach świeżość i młodość zestarzała się od bolu i od mrozu. Sine pręgi po szyi i licach, krew ścięta od zimna połyskuje, gdyby jakie hafty na sukni — a szaty ich polskie, a uzbrojenie ich lekkie świadczy, że jeszcze nie dorośli wieku do bechtera i do szabli. — Roztłuczone klingi jak szczątki źwierciadła migają na około nich; złote rękojeście zostały w dłoniach i spoiły się z niemi mocno na zawsze. Ich palce szronem okryte kręcą się w około onych rękojeści, gdyby oprawy ze srebra — a musieli jednak potykać się dzielnie, bo ziemia poryta, i trzeba było dzielnego parcia stopy, by ziemię poryć tak twardą. Nie za pierwszą raną polegli, bo każdy z nich kilka ich liczy — ale żadnego wroga nie zabili, bo nie ma trupa co by leżał naprzeciw.

Szata jakowaś mignęła wśród gęstwiny boru: słychać jak podkowy nurzą się w śnieg, to o lód dzwonią. Przyjechały — skoczyły na ziemię dwie postacie pośród zmierzchu wiecznego w borze; jedna została przy koniach, druga wyszła z drzew i stąpa dziarskim krokiem, aż dojdzie trzech pacholąt, stanie przy nich, czarne okręci oczy i namyśla się.

Szeroka szuba od szyi do stóp zakrywa całą, ale z pod sobolowego kołpaka pierścienie włosów, pod szubą nadymające się dwie fale, na licach gładkość, na ustach wdzięk i ponęta róży, wydają że niewiasta. — Z czoła sądząc i z pychy na niem, to mąż i mąż dużego ramienia.

Przeskoczyła trupy, które w grudę się zamieniły i szła dalej — aż tu nowa zapora ją zatrzyma w szacie książęcej: kadłub bez

głowy — głowy ni dalej, ni w prawo ni w lewo nie widać — ale na ręce odwalonej cięciem pałasza, świeci pierścień, a on dobrze znany jej, bo krzyknęła.

Był to krzyk nagły, głośny, znać po nim, że mowa z tych ust zwykle padać musi jak tony muzyki; ale zarazem w nim odhyla się cała dusza — pełno zniszczonych nadziei, żądza niewstrzymana osiągnienia ich raz jeszcze. Był to krzyk królowej, na ruinach swojego pałacu, wojownika na polu przegranej — ale nie żony nad ciałem męża.

Jak tylko ten głos doszedł boru, wnet rzucił się w pogoń, dotąd stojący przy koniach. — Leciał jak strzała, gdyby strzała mogła podnieść się, raz dotknąwszy ziemi i lecieć znowu — przybiegł i spozierając klasnął rękoma jak dziecię zazdrosne, kiedy widzi drugiego stłuczoną zabawkę — ale razem jak mściwy człowiek, kiedy zemście jego stanie się zadość.

Bo też w młodzianie owym było coś dziecinnego i strasznego zarazem — ani wdzięk dziecinny szkodził w jego rysach wyrazowi odwagi, ani też wyraz odwagi, choć srogi, nie psuł wdzięku młodości — oba mięszały się ciągle lub rozdwajały się, jeden nad drugim brał górę; chwilą później stłumiony wracał i odpędzał tamtego — a oczy jego były żywą tęczą uczuć, zmienną jak opalowe połyski.

— Witajże mi, zawołał, panie tylu carstw i grodów i gródków — to mówiąc wstrząsnął głową, na której leżała misiurka złotem okwieciana — potężny i wielmożny Kniaziu Moskiewski — i igrał z siatką żelazną spuszczoną od misiurki na kark, ramiona i czoło. — Najjaśniejszy i niezwyciężony Jedynowładco Hospodarstw Tatarskich — i przebierał palcami po szarfie zielonej złotem ziarkowanej — Panie i Dziedzicu wszystkiej Rusi, Dymitrze, Samozwańcze, Żydzie — i tupał żółtemi bucikami z srebrnemi ostrogi — przepadłeś jako należało się tobie, brzydki oszuście, z koroną na czole pryszczami zasianem, na głowie potwornej z podłemi rysami, obmierzła duszo, rozpustniku, szalbierzu opiły winem i miodem, pełny mięsiwa i jadła.—

To mówiąc drżał cały od złości, aż łuk przewieszony na plecach zabrzmiał o miedź sajdaku, aż szabla starła się z ogniwami łańcuszka, na którym wisiała — a podczas tych słów głos jego przybierał rozmaite tony, przebiegał od słodkiej nóty dziecin-

nego śpiewu, aż do grzmiących dźwięków surowego męża. To ostrym się stawał i zbliżał do świtu, aże znowu słabiał i znowu potem rósł w siłę, a przy końcu tak był okropny, pełny zawziętości i urągania się, że coś w nim podobnego do skowyczeń psa wśród nocy zimowej.

Dzierżyła oczy ku niemu niewiasta, niby z politowaniem, jakie się ma dla dziecka lub szalonego; ale na jej czole wiele się działo tymczasem — to śnieżna skóra wygładzała się, to marszczyła się w krzyże i kółka podług myśli przelatujących w mózgu: znać zatem że nieład i burza w jej duszy.

—Agaj-Hanie, podnieś tę rękę nieszczęśliwą i zdjąwszy książęcy pierścień, oczyść go i oddaj. — Gibko schylił się młodzian i porwał za rękę zbroczoną, ale żeby pierścień wyjąć, musiał dobyć kindżału i pracować w około palców, szron odskrobać, krew skrzepłą rozetrzeć, skóry szmaty oderwać, a kiedy z palca sama kość została, wtedy pierścień wysunął, rękę odrzucił daleko ze wstrętem, złoto i kamień tarł i gładził, dopóki nie zalśniły po dawnemu, i zbliżywszy się do pani, ujął za dłoń i sam chciał wkładać, ale dłoń go odepchnęła, bardziej jeszcze spojrzenie.

— Dobrze Waszmości grać na cymbałach i kotłach gwoli naszej zabawie — ale Waszmość pamiętaj, kto jesteś, a kto ja.

— Kto jesteś? — zawołał Agaj-Han — myślisz, żeś wdową po dwóch Dymitrach, carową moskiewską, hospodarką ziem i księstw i miast? Nie. — Jesteś dla mnie Maryną, piękną nad pięknemi, lwicą, panią pustyń, mej duszy, gładszą od hurysów w raju nam obiecanych, urodziwszą nad wszystkie święte greckie i łacińskie, panią moją, wyniosłą i hardą. Takiej mi trzeba. —

Ta mowa nie obruszyła wcale Maryny. — Spogląda w oczy mówcy, ni zmieniła się na licu jedno wita każde jego słowo uśmiechem, jak pani, co dozwala paziowi żartować, czując się na władzy jego ukarania.

Twarz Tatara skrzywiła się, i z miękkiej, świeżej, na chropowatą, nadętą się zmienia. — On poznał bowiem myśl carowej. — Mignęła zawiedziona namiętność w jego oczach, jak błyskawica, kiedy potrójnie się łamie; a ręką szarpiąc futro na kaftanie, wydał krzyk, na który zdawało się, że wprzód pęknąć jego piersiom trzeba.

— Wasza uprzejmość i miłość! Hej lotny mój koń i brzęk moich ostróg i klingi ostrze i strzemion blask i buńczuka powiew i chmura kurzu, w której przelatuję stepy, jako duch i książę ich, lepsze dzisiaj niż ten kadłub mroźny, ten pierścień marny, to imię carskie próżne, to wielkie państwo, co się rozleci jak skóra na ciele po ukąszeniu padalca.

A co mówisz o moich kotłach i cymbale, to żeś nie świadoma tajemnic Samarkandy i Diarbeku? To że ci djament Salomona nigdy nie bił w źrenicę, choć twoja źrenica jego blasku pełna; to żeś nie słyszała rozmów pomiędzy świątobliwemi i mądremi. Ale o tem później: teraz znaj mnie jakim jestem, jakim byłem raczej, kiedyś, nimem do Wołgi się dostał; nimem w Rusi greckiej i zimnej służby zapotrzebował. Allah! Allah! tak wołam zawsze, kiedy zaczynam mą powieść; bo wszechmocny strzeże królów i królewskich synów. —

Oparła się o sosnę owdowiała pani, przy ognisku palącem się dotąd, pod pokryciami z skór, ostatkami namiotu wiszącemi na gałęziach — na pół słyszy, na pół myśl gdzieindziej lata, gdzieś tam ku Kremlinowi, gdzieś tam na tron carów się wspina po głowach bojarów.

A on zapalony, niewstrzymany, z czołem, na którem pobłyskuje tysiąc wspomnień i nadziei, nie już sługa Tatar na dworze Dymitra i Maryny, ale młodzian z krain południowych Azji, marzeń ognistych rozuzdany goniec, pustyń dziecko promieniami słońca karmione, łowczy za tygrysem i lampartem, Parys z szczęśliwej Arabji, kochanek dziewic o czarnem oku i włosie, bohatyr w walkach na wielbłądzie i dżamecie, ciągnął dalej z żywemi poruszeniami, podnosząc głos jakby do śpiewu, ale śpiewowi nie całkiem folgując, by wyraźniejszemi były słowa.

— Na różańcu mego ojca tyle rubinów, ile tysięców go słuchało, tyle djamentów, ile miast pod nim; w haremie tyle dziewic, ile gwiazd na niebie, a jedna tylko królowa, blada jak miesiąc, z oczyma jak szafiry, z rzędem pereł w kielichu ust różanych, matka moja.

Namioty ojca jak fale wielkiego morza, bieleją na stepach, kiedy Azrela wezwie do boku. Stada koni hordami rycerzy obsiadłe, latają gdyby Simumu wiry. Złote ostrza spis tleją przy jego namiocie w nocy, jak zbiór gwiazd na straży, przy świętej

jego głowie — a mnie dziecku zmiatają kurz z drogi czoła Hanów i Paszów, powietrze chłodzą wachlarze dziewic i brzmią u wchodu do życia poetów lutnie, wieszczby proroków, wśród chmur kadzideł w ogrodach z róż, gdzie fontanny biją tęczami, gdzie motyle drogiemi kamieniami, a kwiaty motylów kochanki, piasek złotem połyska i każde ździbło trawy nad szmaragd jaśniejsze.

A kiedym wyrósł niemowlęciu nad głowę, klacz mi osiodłali Emiry i strzemię srebrne trzymali, kark podstawiając pod stopę siadającemu — i łuk jednorożcowy mi dali, sajdak z kości słoniowej i strzały z drzewa róży z ognistym u ostrzów kamieniem. — Każda z nich lecąc w górę była wschodzącą, spadając na dół zachodzącą gwiazdą; i wypuszczałem roje gwiazd takowych z nad siodła z jedwabiu, jakby duch jaki, pan błękitnego przestworu.

A kiedym wybujać zaczął wyżej chłopca, sięgając już szyi ojca mego, wtedy mi lotnego dali bieguna, kolczugę księżycami zasianą i oręż Farysowy; a miałem serce po temu, skaczące mi w piersi do bojów, jak mleko w łonie matki do ust dziecięcia. Na polach ananasami okrytych zwarliśmy się nieraz — pośród kwiecia padały trupy. — Oh! ty nie wiesz, co to bitwa nasza: chmury patrząc z nieba zazdroszczą nam i lotów i blasków naszych. Słońce wasze jest upiorem naszego; ono wre w środku błękitów nad Kaszmirem nad Iranem, nad brzegami Kaspii, w okół Stambułu i jeszcze nad górami Krymu jak źrenica samego Allah, jak koło z topiących się wiecznie djamentów, których krople w promieniach leją się na nas i życia nam dają więcej, niż Giaurom północy. — Drzewa, kwiaty, strumienie, fontanny, kopuły, wieże, pierze ptaków, grzywy lwów i koni, oczy dziewic i mężów zbroje, tyle światła przejmują, iż świat mój wydaje mi się teraz chwałą nadludzką, patrząc na świat wasz, hurysso moja.

A skarby Carów, śmiej się z nich harda pani, to błoto i kurz. — Ich korony naszych krymek nie warte. Ich kamienie nie warte kwiatku polnego na niwach Tekbiru. Z ich szat jaszczurki ruin Daldeku przedrzeźniały by się. Gąsienice z nad brzegów Hindu okręć w około palca, a żywiej zajaśnieje od ich pierścieni.

O chodź ze mną! pójdziem w kraje słońca, gdzie konie skrzydlate, gdzie powietrze jest morzem światła, każda chmura łódką kosztowności, powiew każdy aniołem woni, każda noc miesięczna dniem letnim najpiękniejszym, a dzień każdy objawieniem się Boga. —

Uśmiech uszczypliwy błąkał się na uściech Maryny, niepewny czy usiądzie na nich, czy odleci, tak jak zwykle w zadumaniu. W tem odezwał się tentent — pedzą na dwóch koniach jeźdźcy — młodzian rzucił ku nim spojrzenie sokoła.

To Urassowa Tatarzy — zamordowali męża twego i wracają po ciebie — czekajno hurysso moja.

To mówiąc oderwał łuk od pleców, strzałę zarazem z kołczanu i nogę wyciągnął przed się. — Nagle, tak nagle jak cień chmury burzą pędzonej odmieniła się twarz jego. Znikło pachole marzące o kwieciach i słońcu. Dziki stanął, krwi niesyty mąż, dziedzic Gengiskańskiego rodu, w postawie naddziada, kiedy pierwszy rzucał w grunt czaszkę zbroczoną, węgielny kamień wieży z głów pobitych nieprzyjaciół. — Biegną jeźdźcy naprzeciw — z cierpliwością Fakira dopuścił ich na śmiertelną metę: mógł był ich ranić od dawna; ale nie — on zabić chciał.

Oko w piersiach przodem biegnącego utopił a chwilą później i strzałę; odwinął rękę po drugi pocisk i ten przyłożył do cięciwy — bliżej mu jeszcze było do piersi drugiego, przez chwilę bawił się pewnością iż go dosięże — palcami igrał po cięciwie jak śpiewak po stronach harfy przed zaczęciem pieśni — wreszcie naciągnął ją aż stęknęły rogi łuku, a Tatar zajęczał i runął z siodła pomiędzy sanie.

Nawykła znać niewiasta do takowych obrazów; kiedy niebezpieczeństwo przeszło, zawinęła się w płaszcz i znów oparła o sosnę, bo jej potrzeba się namyślić, nim wróci do miasta.

W Agaj-Hanie mord obudził insze wspomnienia, dalej więc mówił, oparłszy się na łuku; ale już nie śpiewnie lały się jego wyrazy, zgrzytaniem zębów każde szarpał słowo.

— Tak, mój ojciec świętą położył głowę w bitwie z Dżarmidem na Kiafelu błoniach. — Darmo przez dziewięć słońc, i dziewięć nocy osaczeni walczyliśmy, tak że aż djamenty pociły się na naszych turbanach. — Sułtan, Padyszah, pan żyznych niw, Han tysiąców ojciec mój, szablą zagiętą śmigał po karkach nieprzy-

jaciół, koń rączy podkowami srebrnemi deptał po trupach, na jego szatę przepyszną krew bryzgała, wszystkie na rękojeści kamienie w rubiny się zamieniły.

Patrzę dotąd na las z buńczuków w górze, na morze z grzyw końskich pod spodem, na spisy i dżyrydy lecące wskroś powietrza jak ogniste węże; na topazy, brylanty, szafiry, sypiące się na ziemię ze zbroi wojowników, na strzały bijące w pióra hełmów i w mózgi hełmami, w złote hafty kolczug i w serca pod niemi. Dżarmida tłumy czarne, posępne, te stada kruków, bez blasków, jakie sieją ozdobne szaty. — My wracali z łowów — on nas, dawny wróg nasz, obskoczył i na brodzie przysięgał, że ojcu z ramion świętą głowę zdejmie.

W obozie z śnieżnych namiotów, w okopach aloesami najeżonych, broniliśmy się w małej liczbie; nasze roty blaskiem swoim raziły hufce Dżarmida, bo każde ostrze spisy, każda buława i bułat każden nasz, nim piorunem spadł na wroga, wprzód błyskawicą świetności oczy mu oślepił.

Darmo — darmo, zarazę nam przyniosły nieczesane Dżarmida tysiące; pot morowy sączył się z ich bród i włosów, jak z pryszczów gadziny. Jęliśmy więc umierać w szańcach pod niebem prześlicznej pogody, dniem i nocą. — Matka moja perła wschodu, ptak najśpiewniejszy w gajach Hadyru, pierwsza głowę schyliła na piersi i ucichła. Ojciec w bojach się ścierał i ja przy nim, aż straż jego pomarła i wróciwszy raz do namiotu, trupy oparte o sznury i słupy zastaliśmy, a oręż z sinych wymykał się dłoni.

Eblisa oddech wiał po całym obozie; nie widać, nie słychać Diwa, którego on przysłał na naszą zgubę, bo ten duch złego ciche ma kroki i lekkie palce jak mała dziewica, do kogo rączkę przytuli, ten czuje z razu, niby atłasu dotknięcie lub draśnienie piór rajskiego ptaka, a potem oczy mu wyskoczą na wierzch jak dwa ciemne topazy; krwią rzyga z ust i z nozdrzy, krwią własną się obleje i pada pośród jej fal kipiących. Prorok sam go już nie ocali!

Noc ciemna, hurysso moja! — patrz — noc ciemna — sto razy ciemniejsza od tego zmierzchu: ale nie mroźna, nie pochmurna, gwiazdy w około księżyca brzęczą jak pszczoły przy ulu. Zapach trupów miesza się z wonią kwiatów; bo kwiaty na

naszych polach, choć kopyta je stratują i posoka je obczerni, jeszcze nie skąpią kadzideł.

Wrzaski Dżarmidowych grzmią w pobliżu jak skowyczenia szakalów; we mnie i ojcu wre zemsta i chęć ostatniej rozprawy; w żołnierzach, niewolnikach naszych, serce drży z bojaźni, bo już w słabej stoją liczbie nad zwłokami przyjaciół. Ojciec duma wśród trupów pomarłych sułtanek, bo matkę tylko moją uczczono pogrzebem; na insze nie mieliśmy czasu.

Płomień i dym hurysso moja! płomień i dym, a płomień czerwony jak tysiące krwią zaszłych oczów, oderwanych od czaszek skupionych razem; dym tak czarny jak azraelowe skrzydło. Rzeź i jęki. — Śnieg namiotów topi się w ogniu, perzyna lata po niebie, sama nie wie gdzie, jak stado przelękłych wróbli.

Biłem się jeszcze dżyrydem i szablą tej nocy, dopóki na spisie, przy pożarze, nie ujrzałem świętej głowy ojca. Schyliłem czoło i trzy krople krwi z niej spadły na moje włosy, ostatnie jego błogosławieństwo. Przeszli wrogi, nie postrzegli mnie, wszyscy moi zginęli i leżeli bez ducha. Zataczałem się po ich ciałach, może po ciele ojca, po ciele braci, ale nie wiem — szalał mózg pod turbanem w głowie, jakby po gęstych puharach opium. Dwóch jeszcze zabiłem uchodząc z pola, ćwiertowałem ich członki, wyrywałem brody, aż wsiadłem na koń i puściłem się w stepy.

Hordy nasze rozbite przez Dżarmida, już nie znają mnie. Tron mój runął; ale Allah strzeże królewskiego syna.

— Hurrysso moja, to szalbierz, żyd, oszust — zawołał straszliwym głosem, wskazując w stronę, kędy leżało ciało Dymitra — we mnie płynie krew przejrzysta, jestem potomkiem mocarzów Kinfelu; a ty piękną perłą, a ty konchą mojej nadziei na wzburzonych falach życia, hurysso moja. —

Wdowa po dwóch Dymitrach wtedy odelgnąwszy od drzewa, spojrzała z wysoka na mówiącego. — Idź przodem waszmość i potrzymaj konie: wracamy do Kaługi, a podczas drogi oznajmiemy ci nasze rozkazy względem pogrzebu W. Kniazia. —

Uniesienie młodziana skrzepło pod temi zimnemi słowy, a na twarzy rozciągnęła się niemoc, podobna do tej, którą każdy doznał widząc się z marzeń na jawie rzeczywistości.

Lecz przemijającem było to osłabienie, bo jego dusza wie-

czna zmienniczka, wszystkich namiętności i uczuć nierządnica, na przemiany mdleć umiała i przychodzić do siebie. Teraz znowu w jego oczach igra płomień miłości nad iskrą zemsty tlejącą pod spodem; i spojrzawszy na Marynę szedł jako rozkazała.

Dumna pani zostawia za sobą zwłoki męża; ale na jej palcu błyszczy pierścień po zabitym. Jego połysk ma być jej pochodnią ku tronowi Carów. Piękną jednak była w tej chwili, choć tyle pychy czernieje się na jej czole — piękna świeżością jagód, splotami czarnych włosów kołyszącemi się w cieniu kołpaka, piękna rumieńcem mroźnym, co się wśliznął na lica, wzrokiem, w którym wdzięk niewieści słodzi nieugiętość męża, wreszcie spadkiem ramion i ugięciem kibici, powagą całej postawy i nogą, której krok każden głęboki ślad zostawia w towarzysza duszy.

Ale darmo w niej szukać dziewczyny o powiekach skorych do zniżań, o uśmiechu cukrowym na ustach, o piersiach pełnych westchnień i nieopisanych żądz. Młoda porzuciła matkę, a od tej chwili to siedziała na tronie, to na siodle rumaka. Jej ni motyl, ni pączek róży, ni błędne wieczorne dumania, ni błędne nocne trwogi na myśli, ale państwo i berło, a czasami syn niemowlę, bo jużci jest matką.

Agaj-Han jechał z tyłu — przodem Carowa.

II.

Pośród nocy setne pochodnie biją w zamek Carowej, potrząsają niemi zbrojne ręce. Dziwnie czerwone połyski biegną po hełmach i skrzydłach husarzów; po kolczugach pancernych, po sajdakach Tatarów, czepiają się grzywy końskich i buńczuków kozakich, pieszczą się z bogatemi jelcami u szabel.

Lud ten cały na dziedzińcu krzyczy, to grozi, to woła i wita, myślą, że białogłowę wrzaskiem zastraszą; o żołd wołają, o nagrody, o rzędy na konie, o zbroje na mężów, o skarbów rozdanie. Dobra pora, męża Dymitra zabili, sama została, niech nam więc sypnie z krużganka kamieńmi z mitry Carów, niechaj samą koronę nam rzuci, my toporem posieczem twarde złoto na

sztuki. Hej Pani, Hej Carowo, Hej Dymitrowska żono, Hospodarko nasza, a prędzej przybywaj, ukaż się nam i udaruj nas.

Zgiełk na około bram, zgiełk po dziedzińcu, tłoczą się ku drzwiom, ale tam mąż sam jeden stoi, a jego z tłumu żaden nie zaczepi; bo jemu z tego tłumu żaden nie sprosta.

On czasem potrząsa szyszakiem jak lew grzywą, a szyszak ma lekki, który dzielnemu cięciu się nie oprze; lecz za to u pasa wisi szabla, co każde cięcie odbije i za cios niedoszły razem śmiertelnym odda; bycze barki marszczą się nad kształtnem ciałem, nogi nie prosto się trzymają, jak zwykle u tych, co częściej na koniu biegną i spią, niż chodzą i spią na ziemi; jednak one potrafią i naprzód skoczyć i w tył równie giętko się cofnąć; w otworzystych oczach znać, że i do surowych i do namiętnych spojrzeń zdatne, pokrwawą teraz zaszły ich białka, czy to, że krew do nich bije, czy to, że w świetle pochodnie pływają a w źrenicy pali się namiętność do boju i łupów i do wszystkiego, co rzuca człowiekiem po szlakach niebezpieczeństwa, u końca których śmierć go lub panowanie czeka. Lica osypane perzyną spadłą od promieni stepowego słońca, na czole dwie blizny, a nad ustami wąs się jeży, gęsty, czarny, ulubiony od wojownika, zapuszczony w pierwszym jego obozie, głaskany pocałunkami dziewczyn, w dniu bitwy zakręcany z chlubą, postrach wrogów; uśmiechów wesela i uśmiechów wzgardy, nieodstępny towarzysz.

Na piersiach bechter i znać, że piersi niezwyczajne takiej zbroi, bo czasem oddech ciężki z nich wyjdzie, one w kaftanie lub koszulce stalowej narażać się lubią, nie dbając o życie, spotkawszy się z niebezpieczeństwem, tak jak kochanek, kiedy zejdzie się z kochanką. U pasa wisi młotek, nim rozbija rycerz pętle na zbrojach obalonych wrogów, by nie psuć klingi swojej po drodze ku ich sercu.

Ciągle milczy i przy drzwiach gwałt całej tłuszczy na surowem spojrzeniu wstrzymuje, a kiedy przystąpią, jednym wykrzyknikiem odrzuca ich od siebie.

Pośród wrzawy głos odezwał się z góry, podobny do przeciągłego gwizdu:

— Najjaśniejsza Carowa ukaże się wam niedługo — czekajcie. —

I młodzian o szarfie zielonej stał oparty na kracie krużganku; nie rzekł i słowa więcej, ale spozierał na żołnierstwo z uśmiechem, czy litości czy goryczy, jakby urągając tłumowi: może też i dawny zwyczaj przypomniał, kiedy wolno mu było z góry patrzeć na mnóstwo i pogardzać niemi.

— W szeregi się zewrzeć, zstępuje carowa — zagrzmiał wojownik od progu, a na ten głos wnet krzyki ucichły wśród szczęku zbroi i stąpań spieszących na miejsca swoje. Hussarze, pancerni, kozacy, tatarzy, w porządku stanęli na podworcu. Już światło pochodni nie łamie się wśród rozerwanych orszaków, ale po rzędach kirysów jednym długim płynie strumieniem od jednej bramy do drugiej, i na ostrzach dzid zapala płomyki, które błyszczą szeregiem jak lampy w galerji.

Jazda porozrzucana na skrzydłach, niewzruszona i konie i jeźdzcy, milcząca piechota, jedno szmer biegnie po rotach, podobny do szumu gałęzi śniegiem odwisłych.

Młodzieniec znikł z krużganku i giermkiem przed Carową ukazał się u drzwi. Głębokim był pokłon, którym wódz uczcił schodzącą panią, ale też śmiałem spojrzenie, które na nią rzucił. W niem przebija ufność w własną siłę, obietnica obrony i nadzieja nagrody, nie w łupach i żołdzie, nie w łaskach padających z wzroka świetnie jak rosa, chłodno jak szron zimowy; ale w tych względach, któremi piękność osładza trudy walecznego, roskoszy puharem.

Maryna odpowiedziała także spojrzeniem, a więc mąż jął iść za nią, z ręką na szabli, strzegąc jej kroków jak ojciec, rozpływając się w jej widoku jak kochanek.

A Carowa wyglądała tej nocy właśnie jak trzeba na drażnienie męskiego serca; na licu płonie od namiętnego oczekiwania i na czarnych włosach złota mitra się wznosi, tak kształtnie rzucona, że i jednego pukla nie zasłania i jej blaskom żaden pukiel nie szkodzi; płaszcz odpada od ramion, za każdym krokiem zsuwa się bardziej, już ciągnie się po ziemi; ale za to ramiona błysnęły z pod niego. Szata z nad piersi gwałtownem biciem tych piersi odsunięta, rąbek jeszcze został biały, przejrzysty, słaba opona przeciw rozhuźdanym oczom. I włosy też zwolna spływają w dół na ramiona, na plecy. Oh! kto na nią patrzy, tej nocy długie zachowa wspomnienie.

Statku i urody tyle na tych licach, tyle hartu na czole, że marmurem wydaje się białym, a tyle ponęty, błagań, rozkazów na ustach, że zdają się liściami róży drżącemi w powiewie: raz je wiatr mocny rozrywa, znów cichy głaszcze i spokoi.

A jako na panią licznych ziem i grodów, przystało, obziera szeregi rycerstwa, czasem też łza spłynie z powieki, niby męża pamięć, to pamięć Kremlinu; każdego wyniosłość zadziwi, płacz wzruszy; pierścienie, rozwiązawszy się, lunęły deszczem czarnych włosów, który aż do stóp się spuścił; ona je podjawszy pięć razy dłonią okręci i znów w czarne chmurki zepnie, które wiszą nad czołem; wreszcie zawoła w uniesieniu, odrzucając natrętne sploty od twarzy, przebiegając szeregi, to uśmiechem nęcąc, to wzrokiem z ognia burząc dusze, gdzie niegdzie sypiąc złoto i srebro.

— Nieszczęśliwej pomoc dajcie Waszmoście, kiedy patrzę ja biedna i nieboga na tyle zbroi i oręża, jeszcze wzrasta we mnie serce; bo wiem, że Polak odbieżyć nie umie. Prawą jestem szlachcianką polską Waszmoście, prawą Carową waszą — i tu oglądała się na hufce Moskwy — ani wy siostry, ani wy pani swojej nie puścicie na śmiech u ludzi, na nędzę u świata. Wielki kniaź Dymitr legł pod żelazem zdrajców; aleź ja i syn mój zostali; on śpi w tych komnatach, niewinne dziecię, nie wie nic o losie ojca, uśmiechało się przed chwilą do matki, a ja mu obiecałam w duchu pomoc i tron należny; nie odstąpię przeznaczeń Boskich, które mi koronę na to czoło dały, by ją to czoło nosiło do grobu; a więc radźcie pomiędzy sobą, radźcie Waszmoście o was samych, bo ja, choćby jeden giermek tylko przy mnie się opowiedział, z tym jednym jeszcze pójdę ku bramom stolicy mojej. —

Po tych słowach nagłym zwrotem ręki wyrwała szablę z pochwy Agaj-Hana — i klingę obróciła ku piersiom; zda się przy pochodniach, że wąż ognisty wspina się do tego łona.

— Pomścijcie mnie Waszmoście. Zemsty, zemsty za panią waszą. Tam poćwiertowane ciało leży w borze, tu pani wasza, a na ostrzu tej szabli waży się jej życie; bo hańby i sromu krew moja nie znała nigdy, nie pozna i dzisiaj. — Ratunku, pomsty ja wołam po was. — I żelazo piersi dotknęło i ręką mocno ściska szablę, a nad tym obrazem śmierci na ustach w górze ula-

tuje uśmiech niewieści, uśmiech, jakim pierwsza niewiasta nęciła Adama.

Agaj-Hana twarz natężona, oczy wlepione w Carową, nie chce utracić i jednego jej słowa i jednego jej ruchu. Rozpływa się w milczącej roskoszy i wzrokiem ssie jej wdzięki, jak pszczoła nachylona nad kielichem kwiatu; może mu się zdaje, iż ten obraz marzeniem, co się stawiło na rozkaz wyobraźni, więc niewzruszony, we wschodnim letargu duma i szaleje. Drugi mąż nie dotrzymał niecierpliwości swojej — porwał za pałasz i mignął dwa razy kręgiem na około hełmu.

— Mołodcy hej do mnie! Hej do Zaruckiego! Ja przy Carowej, a moi przy mnie. —

To mówiąc zbliża się do niej, wskazuje na szyki co przebiegły, a oczy wyskoczyły mu na wierzch od namiętności; drży ramionami, już mu ramiona podnoszą się od piersi, zaokrąglają się pomimo woli, coraz bliżej jej kibici.

Uśmiech wdzięczności był mu zapłatą — on przestał na takowej teraz, a później inszej zażąda. Wraca Maryna pośród krzyków do zamku, huczy rycerstwo i wita ją swoją panią, potem rozbiegnie się po mieście. — Na dziedzińcu ciemność i milczenie, lecz tam po ulicach, lecz owdzie po rynkach wrzaski i kłótnie, smolne ognie i kagańców błyski.

Komnata Dymitra nieboszczyka lśni się bogatym sprzętem. Zasłony u łoża, firanki u okien, obicie po ścianach, błyszczą haftami, w framugach wiszą bechtery i karaceny złotem nabijane, a z hełmów zlewają się pióra, to białe, to czerwone,

Pośrodku stoi Maryna z lampą w dłoni, z błędnym wzrokiem. Z rana dziś jeszcze porwał się z tej ciepłej pościeli kniaź i zatrąbił na łowy; tu przed łowami jeszcze pił do swoich Tatarów, aż rumiany od napoju, zataczając się wyszedł temi drzwiami: już nie wrócił — już nigdy nie wróci.

Zda się jeszcze wdowie, że widzi na srebrnolitej poduszcze twarz o srogich i nadętych rysach, oczy pełne chuci bezwstydu, że słyszy, jak to ciało rozmarzone po uczcie, przewraca się i pokoju znaleźć nie może, jako drze przez sen kosztowne nakrycia i futra, lub pada na podłogę i jak nieżywe się toczy.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Żalu zapewnie żadnego nie czuje; obrzydzenie tylko, a jeśli jaki żal doń się miesza, to

że dwa silne ramiona odpadły od jej sprawy; może też przyszło jej do serca, że on był ojcem jej synaczka.

Waha się niepewna, czy pójdzie dalej. Coś zda się ciągnie ją ku owym drzwiom, na pół rozwartym obok łoża, za któremi schody blade, kręcą się i giną w ciemności. To postąpi, to się cofnie, a kiedy się nie cofa, to się zatrzymuje gdyby wryta — o oczyma wbitemi w te drzwi, w te schody, dysząca, z rzędem zimnych kropli na czole.

Ale w jej męzkiem sercu niedługo bojaźni przewaga, jakąkolwiek ta bojaźń być może. Więc lampę dzierżąc przed się, weszła na schody i poszła niemi. Dziwne to przejście. Splotami węża wiją się stopnie, czasami w dół wracają, potem w górę się wspinają. — Znać po kształcie muru, że się jest w okrągłej wieży — ale nigdzie strzelnicy — jedno grube ściany wszędzie, a czasami hak żelazny na promieniu lampy występuje z cienia, a schody wciąż środkami idą, ledwo ścian się dotkną gdzie niegdzie, zresztą wiszą nad głębią czarną, z której dołu wychodzą szumy i głuche szelesty, niby to woda pieni się w bąbelkach i te bąble pryskają — niby to wiatr zakrada się pomiędzy ciasnoty i bije się z niemi.

Długo błąkała się Carowa, ale to jej nie odstręcza, równym zawsze stąpa krokiem; trwoga z jej twarzy zniknęła, tylko została wola i ta ją dalej, wyżej, coraz wyżej, coraz wyżej popycha. Błysnął zamek żelazny, błysnął łańcuch ze stali u stalowej kłódki, w murze czarnym drzwi się bieliły — a od ich kamiennego progu most rzucony aż do schodów, wisi nad przepaścią, bez poręczy, cienki, drżący od kroków Carowej. Cóż dopiero, kiedy na nim stanie!

Pojrzała raz tylko w dół i na mostek weszła. Ani wprzódy próbawała jego mocy wysuwając nogę jedną, drugą na schodach trzymając; ani schyliła się, by ręką pociągnąć po nim, ale od razu weszła, nie oglądając się z tyłu, ku drzwiom jedynie dzierżąc oczy, deszczka ugina się pod jej stopami jak fala pod łódką, a jak pod falą jest otchłań, tak i tu dna nie masz!

Śnieżnemi palcami przebiera po łańcuchu, targa ogniwa — rdza została na palcach — nic więcej oderwać nie potrafi; a zatem dobyła z pod szaty długiego sztyletu o błękitnych żyłach o niezłomnym harcie. Kilka razy uderzyła i łańcuch się przer-

wał — zawisł jak długi na klamce — przypięła lampę do niego i obuma dłoniami bierze się do kłódki; a lampa kołysząc się zwolna, kręgiem światła jej postać oblewa, lecz każdy promień, co się zapuści dalej, czy w dół czy w górę, skonać musi wśród cieniu; ona jest wyspą bladego światła wśród dwóch otchłani ciemności.

I kłódka nie dotrzymała ciosom sztyletu, bo i ostrzem i rękojeścią tłukła w nią Carowa; drzwi otwarte. Dla czegóż nie wejdzie natychmiast? Dla czegóż przynajmniej stopą nie uchwyci się progu — wszakże niebezpieczeństwo do koła, wszak belka coraz gnie się bardziej — już jęczy, bo bliska pęknięcia! nie — ona stoi i patrzy w ciemną komnatę. Bliską celu, znów słabość napadła i nie śmie postąpić, jak ten, co doszedł krat smętarza i od nich wraca się nazad. Potrzeba jej było skoku, by się wyrwać z zadumania czy trwogi. Rozczochrana, z pomięszaniem na licu, drżąca, przymrużając oczy, wpadła do komnaty i podniosłszy lampę rzuciła wzrok na okół, spiesznie, błędnie: tym pierwszym wzrokiem nic nie zobaczyła. Dopiero po chwili zmysły odzyskała, a wtedy kiedy spojrzała, wszystko zobaczyła, i ściany ubrane w pajęczyny i strzelnic dwie i sklepienie ostro pnące się w górę, ślady dymu po niem i piec żelazny, szerokie krzesło i stół dębowy z dwoma księgami, krymką hebrajską, z guzami z rzemienia do hebrajskiej modlitwy. Pokój to skryty zabitego kniazia. Znać na kurzu podłogi stóp jego ślady, szata długa zarzucona w kącie, a na roztwartych księgach pismo niechrześciańskie, nie greckie, nie łacińskie.

Lampa wypuszczona runęła na posadzkę — nie zagasła jednak, owszem żywszy blask na wsze strony miecie — a piękna wojewodzianka Sandomierska załamała ręce w gorzkiej rozpaczy. Patrz na nią teraz, a ujrzysz nie dumną królowę, nie hardą panią, ale kobietę we łzach, marzącą o swojej młodości, o domu ojców, o szlachetnym rodzie, o polskich niwach, o pierwszej miłości, wśród niemych dowodów hańby i poniewierki.

Sprawdziły się poszepty ludzi, Agaj-Hana sprawdziły się słowa. O patrz na nią teraz, patrz jako urodziwa w swojej boleści, jako te lica stateczne rozmiękłe od płaczu, świeższemi się wydają, wprzódy były świetnym, ale suchym kwiatem, rosa

czułości go teraz oblała, płomień oczu mgłą się otoczył i z za tej mgły milej świeci, jak promień słońca z za wiosnianej chmury, tak lekkiej, że się nie godzi nazywać ją chmurą.

Powieki spuszczone, piersi dyszą smutno jak u dziewicy, która dotąd nie zaznała świata i z pierwszą boleścią spotkała się na świecie; ramiona opadły na dół z niemocy, ale nie wiszą jak nieżywe, dotąd w nich jest zaokrąglenie pełne wdzięku; na czoło pochmurność, która na łzy stopić się nie może, na czole pozostała duma, ale poniżona, cierpiąca. Tysiąc wspomnień w tej chwili tłoczy się w serce, w serce niebogie Marji, słabej niewiasty, opuszczonej, zdradzonej, przelękłej i wspomnienie pierwszego męża dziarskiego, hojnego, któremu tak pięknie pasowała korona Carów i towarzyszek dzieciństwa i sadów ojcowskich, gdzie owoców i murawy siła — i kaplicy z grobami Mniszchów, gdzie dzwony tak smętne, gdzie modlitwa tak powabna, za dusze przodków i szczęście rodziców —. Aż tu znów wali się przepych Kremlinu i ślub z błogosławieństwem króla polskiego i dary bogate i tłumy bojarów niewolników i wesele i pierwsza noc wesela z oblubieńcem młodym, walecznym, panem rozległej krainy; a potem — spiski i mordy. Ah! to nic jeszcze — więzienie i wygnanie — ah! to nic jeszcze — ale drugi ślub — drugi mąż. — Ah! to wspomnienie serce jej rozniosło na ostrzu swojem. I znów spoziera na biblję i talmud, na krymkę i szatę czarną; zadrżały kolana, usuwają się ku ziemi, rękę wyciąga, jak gdyby wzywała pomocy, mdło w piersiach nieszczęśliwej, już pada, w tem ją z tyłu ręka zatrzyma i śmiech szyderczy wróci do życia pychy i gniewu.

— Hurysso moja, a wszak moje słowa nie kłamliwe, jak rosa; w południe szukaj, a nie znajdziesz jej kropel. Ha! niewierny tu przesiadywał, modlił się pies, a ty jego żoną, ciebie w ramionach trzymał, twoje usta brudził swojemi. Hurysso moja — nie taki, nie taki mąż przystoi tobie! — Łez już nie było na jej twarzy, ni rozrzewnienia w duszy — ale choć obrażona, choć chciałaby karcić młodzieńca, nie może w tej komnacie rozkazywać. Tu służalec, tu giermek jej, przewagę wziął nad nią, bo zastał kobietę, tam gdzie trza było jej, by zastał Carowę. Więc milczy i w powagę się stroi, czuje bowiem jeszcze wilgoć

po licach i ostatek słabości w sercu. Chwili jeszcze jej trzeba, nim całkiem weźmie górę nad wzruszeniem.

Agaj-Han podniósł lampę i wprost ją trzymał naprzeciw pani; pałają mu oczy żywiej od lampy, na rysach migają uczucia, jak obrączka światła nad pianą potoku; ukląkł Azjanin i obie ręce w krzyż złożywszy na piersiach zawołał, zaśpiewał raczej.

— Sułtanko moja, tulipanie piękności, żaglo biała na lazurowem jeziorze mej duszy, o rajski ptaku mój! Niech źrenicy twej piorun nie pada na mnie, kroków twoich strzedz chciałem w tej pustej wieży, a zarazem jako goniec przybyłem. Hetman kozacki, Igar Sahajdaczny Zarucki, twoim rozkazom się stawił, czeka w sali zamkowej na ciebie, jako na wschód słońca. —

Tu uśmiech szyderczy utkwił mu na ustach i dodał z przeraźliwym krzykiem.

«Szablę ojcowską uniosłem z pożaru i rzezi, a szabla to krzywa, do cięcia i do rąbania, z ostrzem bez miłosierdzia, z klingą bez skazy, piętnaście strzał noszę w kołczanie, a każda ma żądło, którem ssać krew lubi. Dżyryd też w puściźnie mi został, lekki, płytki, z pancerza i piersi pod pancerzem szyderca, a do tego i handżar u mnie zimny jak wąż, ale bez dzwonków i jak wąż ostrzegać nie raczy. Hurysso, czy dosyć na jednego wroga? a teraz powtórzmy: Hetman kozacki, Igar Sahajdaczny Zarucki czeka na swoją panią.»

Maryna nie odpowiedziała i słowa; nie wiedzieć zkąd, ale przyszło do tego, że giermek zmusił ją do milczenia; w jego ruchach, rysach, w głosie, w odwadze pełnej uragania się, w zapale dziecinnym, w marzeniach wschodnich, było coś uroczego, może i ten urok padł na Carowę; nie żeby dopuścić go miała bliżej siebie, jedno znosi jego mowy i szały, jak gdyby upodobała sobie w jego dziwaczności; kiedy zeszła do zamkowej sali, musiał Agaj-Han ustąpić — wyszedł, Zaruckiego żegnając wzrokiem tygrysa. Tajemną została na zawsze owej nocy rozmowa. Hetman wyszedł o brzasku, a poznał giermek na jego palcu pierścień, jeden z setnych pierścieni Carowej.

III.

Dzień mroźny z słońcem, które we dwójnasób się iskrzy, z śniegiem, co trzeszczy pod zbrojnemi stopy i wewnątrz i zewnątrz zamku. Moskwa zamek oblega, nie uznaje carowej i wrzeszczy o Władysławie polskim, to o Szujskim moskalu, a huczy i burzą wali się na mury. Dwa działa przed bramą strzelają w bramę, w żelazne rygle i zawiasy, lecz mało dba o nie brama, jedno zadrży czasem, a potem znów niewzruszona nad głębokim rowem, tuli do piersi most zwodzony jak olbrzym małego pacholęcia.

Kiedy działa grzmią, strzały w milczeniu przelatują powietrze, kiedy działa umilkną, na nowo świstać zaczynają strzały, a wciąż dwie chmury ich, jedną naprzeciwko drugiej leci, ta z ulic Kaługi, tamta z murów zamku i z obu gęsta śmierć i rany się sypią.

A zamek do koła obwiedzion basztami i wałem, u czterech rogów cztery wieże, z tych najwyższa w głębi podwórca, otoczona galerjami; schody, z gotyckiemi i wschodniemi ozdoby, na pół twierdzą na pół minaretem się wydaje; bo na około ścian jak w kościele wydłutowane świętych postacie i krzyże i róże, tu i owdzie znów plamy i półksiężyce, dalej krużganki z filarami do używania chłodu w lecie, a między niemi rozrzucone baszty, zkąd długo bronić się można; a gdzieniegdzie występuje przedsionek, na którym sterczą głazy, beczki smolne przeznaczone głowom oblężeńców; sam zaś wierzchołek haftem ze strzelnic obrąbiony. Lud wieżę tę mongolską nazywa; na krużganku najwyższego piętra siedzi niewiasta, otoczona kilkoma dworzanami. Rysów jej nie znać w odległości, jedno połysek bije od kosztownej szaty.

Na murach, gdzie najsroższa walka, gdzie wre niebezpieczeństwo, tam widać męża, który uśmiechem roskoszy go wita. Stąpa, jakby w biesiadniczej sali — nie raczył pancerzem piersi zasłonić — na kołpaku blacha bardziej świeci jak ozdoba, niż służy za obronę, ale ile razy skoczy lub podbieży, sajdak mu zadzwoni na barkach, z niego czasem wyjmuje strzały i puszcza łukiem, one celu nigdy nie chybią.

Wszyscy pytają się go o rozkazy, on potrzebą zawiaduje,

jak gdyby festynem, urządza roty, owych posyła dalej, tamtych woła do siebie z twarzą pogodną, z otworzystemi oczyma.

Jak ryba pluskająca w wodzie, w swoim żywiole, w własnej, ukochanej, przeźroczystej wodzie, tak on wśród krwi pląsa, wąsów pokręcając, podnosząc czoło, witając z uniesieniem wystrzał każden, każdy podlot dymu w górę, dowodząc i słowem i przykładem; zachodząc wszędzie drogę śmierci i zmuszając ją do odwrotu, bo tam, gdzie się on ukaże, wnet rozbite nieprzyjaciół hufce, od drabin, od baszt, spadają w rów, aż woda kipi od ich spadających ciał.

Tak dnia tego wództwo sprawował Igar Sahajdaczny Zarucki; czasami spogląda też ku wieży, ku pani swojej, pierś nadyma, oczy wyszczerza, zda się na chwilę, iż zapomniał o hukach, co grzmią w około, o walce, której sam jest częścią — ale to trwa przez mgnienie oka, przez jedno bicie serca, potem znowu poruczonej pilnuje obrony — mołodcy ochoczo go słuchają, wielu już ich padło, ale reszta nie zważa na braci poległych: o pogrzebie pomyślą, kiedy walka minie.

Bitwa cały dzień trwała, a ku wieczorowi pomnożona Moskwa górę brać zaczęła; uśmiechał się jeszcze Sahajdaczany, nie już w radości, ale w goryczy męża, który dzielnie się potykał a nic nie zyskał, który długo jeszcze bronić może, ale wie, że w końcu ulegnie. Kołpaki, brody, spisy, buńczuki tańcują pod murami zamku, skaczą do nich, działa rażą ciągłym ogniem — mołodcom głodno, cały dzień nie jedli nie pili; mołodcom słabo, cały dzień walczyli, a trupów bratnich więcej leży na basztach, niż braci żyjących przechadza się po nich.

Wtem wśród bitwy ukazał się młodzian o czarnym hełmie z pół księżycem na szczycie; podobnym do pół księżyca niebios zachodzącego w smutku nad cyplem skały, o tak lekkiej zbroi, że się gięła za każdem poruszeniem, iż nie ledwo znać na niej muszkuły ramion z podspodu, o krzywej szabli, która tłucze o zbroję z dźwiękiem srebrnego dzwonu. Bieży po murach, a kiedy trupy gdzie spotka, na palcach po nich przechodzi, jakby się lękał obuwia krwią zmazać, i skacze z zręcznością wiewiórki po tokach, działach, hełmach rozsypanych tu i owdzie. Tyle wdzięku w jego podskokach, że do tańca podobne, bo raz w pędzie ślizga się po baszcie, to znów stąpa jak dziew-

czyna, a kiedy gdzie ciasne przejście, waży obie ręce i ciało w tę i ową stronę nagina i zdaje się lubo przysłuchiwać się chrzęstowi własnej kolczugi. Doszedł do Zaruckiego, który stał wśrod trupów jak król wśród poddanych, i obcierał pałasz z moskiewskiej posoki, by mu wrócić błyskawicę.

— Ej! Igarze Sahajdaczny Zarucki, zawołał, pani moja i twa, Maryna Carowa, każe, byś się do ostatniego potykał. Dobrze ona widzi z swojej mongolskiej wieży, iż wam na ludziach zbywa, ale się spodziewa, iż na męstwie nie zbędzie. — Giermku, odparł Zarucki, brwi marszcząc i rękę podnosząc do wąsa, próżny twój trud i próżne twe słowa. Bez nich jużem znał moją powinność i miałem jej dopełnić; wracaj więc dziecię, chłopie, zkądeś przybył, bo twój szyszak, kirys i szabelka na nic nam się nie zdadzą tu; tam na zabawę pani twojej zdać się na coś mogą. —

Nie odpowiedział i słowa Agaj-Han, ale świerem poszły mu oczy; porwał za łuk, naciągnął i strzałę puścił na nieprzyjaciół: warknęła strona, gdyby od palców olbrzyma, a pocisk przebił piersi jednemu z wodzów moskwy. Pojrzał wtedy młodzian na hetmana wzrokiem zwycięzcy i oddalił się, już nie skokami, ale poważnem stąpaniem. Ktoby był patrzał na Zaruckiego wtedy, uniósłby się ku niemu zapałem; rzadszym otoczony żołnierzem, coraz dzielniej bronił okopów, wszędzie był, gdzie go trzeba było — zagrzewał i łajał — zachęcał i pochlebiał. Choć zwątpił o zwycięstwie, zdawał się pewnym zwycięstwa. Z pogardą spozierał na tłumy garnące się ku zamkowi — ni pomięszania ni wątpliwości nie odkryje żaden w jego rysach. — Ciągle twarz spokojna, zdobna rumieńcem walki, oczy ognia pełne, ręka skora w prawo i w lewo uderzyć, zastawić się z przodu i z tyłu; to strzałę posyła dalekim wrogom, to szablą wita bliższych siebie, a kiedy gdzie stanie, a kiedy gdzie postawi nogę, zda się, że ta noga w kamień muru się wryła, bo stoi niewzruszenie; bo sam jeden przeciw kilku walczy i pozbywa się ich w miarę, jak nachodzą po drabinach; bo karkiem przenosząc i swoich i tamtych i na chwilę czoła nie zniży. Potu nie obciera, niechaj sobie płynie; krwi nie obciera — niechaj sama zasklepi jego rany; a rany nie ciężkie, jedna na piersiach, druga na lewem ramieniu zbroję mu farbują. Boleść z nich drażni jego męstwo, i do każdego ciosu miecza ciężar zemsty przydawa. — Naprożno.

Bramy już wybite; po trupach swoich Moskwa rowy przeskoczy i na podworzec się dostanie. Dziki wrzask, szalony gwar, szczęki i łoskot; nieprzyjaciele walą ku podwojom Carowej.

Poznał Sahajdaczny, iż zamku nie obroni. — Rozsypcie się, woła na mołodców swoich, gdzie który może niech ucieka, a jutro o białej zorzy bądźcie mi na koniach przy broni w Gorczakowym lesie. —

Wnet z około męża znikli towarzysze, w mroku czernieją ich ciała, chylone, zawieszające się u strzelnic, czołgając po murach, aż wreszcie przepadną, to za okopem, to sa stosem trupów, to za rowem, to wśród nieuważnych wrogów każde w innej stronie.

Zarucki sam jeden pozostał na murze; przez chwilę spozierał na zabitą starszyznę w około, bez żalu, bez litości, wzrokiem, jakim się na powszedni chleb patrzy; potem pobiegł przez baszty i zakręty ku wieży, bo tam wołało go coś mocniejszego od powinności żołnierza. —

Krótka, ale trudna była droga. Sam ją odbywał, bo wiedział, iż jedno tym sposobem ujdzie baczności wrogów; walczyć musi co chwila z trupami, rozrywać ich gęstwinę, by łatwiej przejść było, zrzucać je na dziedzińce, na głowy wrogom, którzy tam krzyczą i hasają z pochodniami, szukając wdowy po Samozwańcze; tu i owdzie przeskakiwać przerwy od kul wyłamane, zataczać się po odłamkach pancerzów, hełmów i szabel; lecz im więcej przeszkód, tem srożej wre mu w piersiach chęć dostania się do wieży. Ciągnie go do jej szczytu siła niepojęta, która wszystko insze z mózgu ruguje: jeden tylko tam obraz pani urodziwej zawiesza i kołysze na falach krwi do czoła bijącej.

Doszedł piętra równego z murem, w tej samej chwili, kiedy Moskwa wybijała bramę dolną pod spodem. Ramieniem uchwycił się galerji nad głową, odparł mur stopami, zawisł chwilę w powietrzu, na jednej dłoni dźwigając ciężar i zbroi i ciała, drugi raz podskoczył i stanął na schodach. — Biegł potem na górę, tak jak zwykle biegał na koniu przy stepie. Biegł, a czasami odwracał głowę, aż tu z okien zamkowych połyski pochodni tańcują na wsze strony, przez szyby znać to oręże, to kołpaki; na dziedzińcu u dołu czarna tłuszcza to pcha się ku wieży, to odstępuje jak potok odparty skałą, a wracający do szturmu

na skałę; kagańce gasną, to znów się zapalają, iskry od nich sypią się na ziemię, dym bucha w powietrze, a niebo iskrzy się gwiazdami, a księżyc jak bryła lodu wschodzi nad dalekim borem.

Dopadł ostatniego piętra, kiedy już kroki zbrojnych głucho rozlegały się po wieży, dochodząc od dołu, co chwila podnosząc się w górę. Tam w komnacie strzelnicami za dnia, a teraz jedną lampą oświeconej siedziała Carowa, z berłem w ręku, z koroną na głowie. Dworzanie ją odbiegli. Dwie służebne panny Polki i jeden tylko Agaj-Han przy niej, w tej stanowczej godzinie.

Z szablą dobytą, z obnażonem czołem, krwią oblany, Sahajdaczny rzucił się przed oblicze pani i wskazał znakiem, iż wszystko stracone, ale zarazem wzrok jego zapalił się ogniem, jak gdyby gońcem był zwycięstwa, bohatyrem wygranej.

— Toż Waszmość nie taki wypadek z bitwy zwykłeś dawniej donosić wielkiemu kniaziowi, ale wdowie wolno jako słabej, nie mściwiej białogłowie. Broń mnie Waszmość, dopóki krople krwi masz w żyłach, lub jeśli bronić mnie odpadła cię już ochota, pożycz szabli i bierz naukę, jako polska szlachcianka walczyć za swe prawa umie. — Wypił ten puhar goryczy Zarucki, z stałością męża przeświadczonego, że powinności dopełnił; nic więc nie odpowiedział, ale zastawił drzwi ciałem i rękę wyciągnął wśród ciemności nad schodami, czekając pierwszego, co się nawinie, ostrzem swojego pałasza. Śmiech szyderczy rozległ się z tyłu, a on uwiercił mu się głębiej w duszę niż słowa Maryny, bo to był śmiech dziecka, śmiech Agaj-Hana. Tymczasem turkoty i hałasy się powiększają od spodu wieży, słychać następnie, jako schody jęczą pod stopami zbrojnych, jako rygle, zawiasy, podwoje pękają pod młotami, pod toporem; coraz wyżej nad ziemią, coraz bliżej do nich. Szukali Carowej po zamku całym; nie znaleźli — więc idą ku ostatniemu jej schronieniu, a z zewnątrz szum tysiąca głosów przebija mury i przylatuje konać u stóp Maryny; potem kiedy coraz bliższy już nie kona, ale każdą wypadając strzelnicą hasa w komnacie, o sklepienie się przedłuża, odbija.

Była to chwila milczenia, w której u każdego serce drży, dreszcz biega po ciele, niepewność, co trapiła przez dzień cały,

zamienia się w konanie, które męczy piersi, oddech przerywa, coraz mocniej, coraz mocniej ściska za gardło, a słabe mózgi wszelkiej myśli pozbawia. Kto w takiej chwili zachowa przytomność i odwagę, kto jeszcze zdoła szablę trzymać jak za zwyczaj bez omdlewań bojaźni w palcach, bez dławień rozpaczy w około rękojeści, kto ni oczów nie przymruży dla uniknienia widoku, ani ich wyrzuci na wierzch jak szalony, by patrzeć bez zmysłów, ten jest mężem okrom wątpliwości. Takowym ukazał się Igar Zarucki. Z nogą naprzód podaną, z wyprostowanem ciałem, z pewnością, że pierwszego i drugiego zabije, z pewnością, że potem sam legnie, a może i z ufnością w zwykłe szczęście, z pałaszem w dłoni, jakby pałasz i dłoń jedną kością były, z lekką paiżą w lewej ręce stał w podwojach, zasłaniając komnatę całą, i zdawało się po jego wzroku wyniosłym, wyzywającym niebezpieczeństwo z cienia, że w sercu żołnierskiem ta chwila jeszcze roskoszą była. Na licach Maryny zaczyna się słabość niewieścia przebijać. Jej towarzyszki klęcząc wzywają Boga wpół otwartemi ustami, z których żaden głos nie wychodzi. Sczęśliwie, jeśli jeszcze jaka myśl dotąd żyje w ich duszy. Agaj-Han dobył szabli i handżaru, potrząsa księżycem na głowie, to spojrzy na panią, to na Igara i wahać się zdaje.

Jakieś straszne myśli krążą mu po mózgu, bo na rysach wystąpiły zewsząd zmarszczki w około ust, od skroni, na jagodach; w pełni padają jego spojrzenia na Carowę, z ukosa na Zaruckiego, z uwagą śledzi połysk sztyletu zatkniętego u łona Maryny, z uwagą pilnuje, izali Sahajdaczny nie odwróci głowy, a tu coraz bliżej, coraz bliżej huki i gwary i wrzaski; podobno jeszcze jedne drzwi do wybicia, a potem tłuszcza wrogów zwali się do komnaty.

Już biją o tych drzwi podwoje, słychać, jak piła wgryza się w belki, jak topór kowadli o rygle; w podwojach znać już dziury wytłukli, bo kagańcowe połyski już biegną po ścianach, jeszcze słabe, jeszcze błądzące, ale coraz pełniejsze.

Śnieg bojaźni zwarzył róże na licach Maryny, ostatkiem wiedziona powstać obciała; nie powstała — na krześle opadła, schyliła czoło, korona runęła na posadzkę i tocząc się pobiegła ku drzwiom, minęła Igara, na schody zbiegła i pędem z stopnia na stopień zlatując, brzmi głucho jak kamień co spada ze skały.

Cichaczem zaśmiał się Agaj-Han i raz jeszcze miłośny wzrok rzucił na Carowę piękną w swojej niedoli; potem skoczył, gdyby dzikie zwierzę, z handżarem wyżej głowy, w równi z półksiężycem na hełmie, i ztamtąd go spuścił na kark Zaruckiemu; nie wiedzieć jak poszło żelazo, czy głębią czy płazem, ale Sahajdaczny upadł na ziemię, jęk tylko jeden wydawszy; jeśli ich więcej wydał, utonęły we wrzaskach następującej Moskwy, która po ciele przeszła.

Tymczasem giermek złożył pocałunek na skroniach zemdlałej Maryny i stanąwszy przed nią zawołał: «Macie, czego szukacie — bierzcie i prowadźcie —» ale w tej chwili dziecinne miał rysy i w oczach dwie łzy dziecinne.

Jemu nic się nie stało — ni go w powrozy spętano, ni tknięto żelazem; ale Marynę bez zmysłów, jakby senną dziewicę porwali i znów potokiem zeszli na schody, niosąc ją w zdobyczy, zlali się na dziedzińce. Czuwał nad nią Agaj-Han, czuwał jako dziecko czuwać może, westchnieniem i płaczem, stąpając za nieprzyjaciołmi.

Kiedy oddaliła się ta burza, kiedy już ni szczęku broni, ni świateł pochodni nie było w pustej komnacie, o jednem tylko, przed wejściem ciele, krwią oblanem, ono ciało zaczęło, jakby z letargu się budzić, palcami słabo ruszać, rozmazując krew własną na podłodze, nogi wyciągać, to mocniej oddychać, jakby dla zrzucenia ciężaru z piersi, to się podnosić, aż znów opadłszy, przez chwilę jako martwe leżało.

Walka to była między życiem wracającem, a śmiercią nieskorą do ustąpienia, walka długa, bolesna, odbyta pośród ciszy, targająca każdą żyłę rannego — kiedy wreszcie młodość i siły przemogły, oparł się na łokciu i spojrzał na około; już krew nie płynie, znać że handżar nie dopełnił zlecenia Agaj-Hanowej ręki, a że przywykły do omdlewań z zadanych razów, nawykł i budzić się po nich, powstał natychmiast, z troskliwością ojca o dziecię szukał szabli i podjął z ziemi, potem uszy natężył i dalekim szumom pospólstwa się przysłuchiwał.

Żal jakiś przyćmił mu czoło, ale nie trwał długo, postąpił ku oknu i słabą kratę wyrwawszy spojrzał w dół, na dziedzińcu pod nim i pusto i głucho, na dalszych huczno i płoną pochodnie. Nie namyślał się długo, nie raczył rękę ściągnąć do rany,

bo czuł, że nie śmiertelna, ani się też wahał jako zwykle czynią ludzie stojąc nad przepaścią, ale wdarł się na okno, dobrze znajomy wieży zaczął spuszczać się po niej obuma ramionami trzymając się gzymsów, krat, ozdób, filarów, poręczy, nim nogami natrafił na jaką posadę, a wtedy jej chwyta się rękoma, inszej, zawieszony wśród ciemności, szuka w dole stopami. Tę gdy znajdzie, o całe ciało niżej zstępuje, bez trwogi, bez zawrotu głowy, pewny śmierci, jeśli o cal chybi, bo tak wczesnego zgonu nie dozwoli mu Bóg, gdyż stepy go jeszcze potrzebują i koń żartki rży za nim i braci mołodców tysiące czeka na niego i w ramieniu czuje jeszcze sił dosyć na zdobycie państwa, a w sercu miłość ku urodziwej pani.

IV.

Świat słyszał o ludziach, nad któremi zapadł kamień grobowy więzienia — którzy z razu płakali i jęczeli, później do jarzma przywykli, słońca żałować zapomnieli i zasnęli snem myśli na resztę dni swoich, budząc się czasem, by ugryźć kawał chleba, by wodą popić go mętną i potem znów wpaść w letarg pośród milczenia i ciemności, zaprzyjaźniwszy ucho z brzękiem własnych łańcuchów; tak, że przy nich im zasypiać tak dobrze jak przy szmerze strumieni, jak przy szumie borów, jak przy pieśniach mamki dawniej.

Ale oni już znużeni trudami życia dostali się pod czarne sklepienie: nie raz krew z ran im płynęła, nie raz duszę przygniotły frasunki. Mieli może wstąpić do klasztoru, kiedy ich wróg wtrącił do więzienia. Tam na pościel ze słomy padli, a ciężar przeszłości gniecie ich w piersi tak, że wstać już się odechciało. Nadzieje i zamiary umarły w ich duszy; a ten oddech chrapliwy, co się nad ustami unosi, jednym śladem jest życia długo trwonionego na polach bitew, w radnych kołach, w samotnych komnatach, gdzie się sami męczyli z swojemi przedsięwzięciami, które stawały wtenczas przed nimi, jako duch Cezara przed dumającym Brutusem. Ale dziś oni pragną tylko ciszy i snu, a zatem sen i ciszę mają. Lecz młodej,

bożej nad hożemi, cóż wspólnego z kratą u okien, z hakami w ścianach, z kajdanami wiszącemi u drzwi, z nudą i pustynią więzienia? Głowa obnażona z korony; ledwo szubę zostawili, by zakryć się od zimna; już na palcu pierścień carski nie błyszczy, dzięki im jeszcze, że obrączek żelaznych na dłoń nie wkręcili; w pośmiewisko obok na stole berło drewniane położyli. Ni katolickiej książki do modlitwy nie dali, ni towarzyszki żadnej nie przypuścili do boku; zamknęli w długiej, ciasnej izbie po złoczyńcach i Tatarach. Rzędem na ścianie znać kółka, do których przykuci doczekali się zgonu, w około znać ślady ich paznogci, ich palców, które w szaleństwie długie lata pracując, wydrążyły dołeczki na jedną kroplę wilgoci, na schowanie dla jednego pająka. U dołu na kamieniach bieleje kilka czaszek, z których każda siedzi sobie wśród grona kości osypanych prochami. Kątem ostrym wiąże się u góry sklepienie; przynajmniej tak się domyślać, bo w połowie ścian poczyna się ciemność, i ta zakrywa resztę lochu. Jedno tylko okno strzelnicą wykute w murze: kraty w nim tak gęste jak druty w przyłbicy rycerza, a promienie słońca, które się odważą przejść za nią, bledną i nie długo pobywszy cofają się nazad.

Wieczorem strażnik wchodzi, lampę zatleje, jadło przynosi — i naszydziwszy się do woli, odstępuje. Zaczynała teraz roziskrzać się lampa, wisząca na łańcuchu; jeszcze nie ustał w niej ruch, kołysała się, ale coraz wolniej, coraz płonąc mocniej, za słaba na oświatę lochu, w pełni jednak świecąca nad twarzą Maryny.

Nie zgasły oczy, nie zwiędło czoło, jedno w oczach i na czole znać boleść, nie tę jednak, co odbiera hart duszy, ale ową, co myśli natężenie podwaja: podobną w umyśle do tej, która w ranach ciała gorączkę odwagi zapala i ramię krwią zbryzgane zaciętszem na karki nieprzyjaciół czyni. Bo też w Marynie nie patrzeć szlochów i niewieściej słabości; większego domiaru nieszczęść trza na duszę tak hardą, by pękła pod niemi.

Łagodne, dziecinne uczucia, które nie odstępują nigdy białychgłów i w dojrzalszym wieku, mało miejsca zajmują w niej. Tkliwość matki jedno czasami się odzywa — o niemowlęciu swojem marzyła długo w samotnej wieży, ale nad obraz jego

kolebki obraz tronu Carów się wznosi; opuszczona kolebka u stóp jego się kołysze, ale on tak wysoki, że ledwo już jej dojrzeć można. Jednak nad wszystkie przeszłości i przyszłości obrazy jeden ponętniejszy, umilał jej tęskność więzienia. Młodzieniec to hoży w skromnej sukni, klęczy u stóp jej, w ogrodzie ojcowskim. Wieczór się zbliża, gaje i sady mruczą od powiewu letniego, na okół widok na niziny i zielone wzgórza, ona zapłoniona, bo jeszcze z niej młodziuchne dziewczę — rękę mu puszcza między ręce, nachyla się ku niemu, sama nie wiedząc dla czego, łzy rozczulenia kapią z jej ócz na włosy młodziana. Pacholę to nieznane nikomu, na dworze pana Sandomierskiego się chowa, mało mówi, zda się marzyć o tajemnicach, zda się często ku przyszłości ciskać ogniste spojrzenia, jakby ta przyszłość miała być inakszą jemu, niż ludziom, z któremi przestaje; z męstwa słynie na łowach, z dowcipu i uprzejmości doma. Córę wojewody ukochało i tak czarownie pierwsze słowa miłości do niej wyrzekło, że ona od matki i pań ucieka, w głąb sadów, pośród zarośli idzie przewodnikiem, i nad klęczącym nachyla się w czułości i nabożeństwie. A on kiedy uczuł bliskie jej tchnienie, zarzucił ramiona na szyję i usta wlepiając w usta, przycisnął do piersi. Zawstydzona, oburzona, chce się wyrwać i przeklinać jego, ale on jej krzyki uciszył, łzy wstydu zatrzymał jednem słowem, od nikogo wprzódy niesłyszanem: «Ja carować będę.»

Te pierwsze chwile miłości, wracając do jej pamięci, wonią niw polskich ją teraz owiały; i jagody rozmiękły od żalu za pierwszym Dymitrem. Tysiąc zamiarów, nadziei, zwątpień krąży po umyśle: liczy bitwy, których konieczność nim do Moskwy się dostanie; ani raczyła wspomnieć swoich i swojego rycerstwa. Nie na to mocarze bliżsi Boga, by pamiętali o niższych ludziach; a im dalej było jej kiedyś do tronu, tem szerzej jego przywilejów chce użyć i władzy. «Nie daleko i Rożyński książę i Sapieha Uświacki z pancernemi roty, oni zbiegną jej na pomoc, Bojarów powalą na ziemię, by padali na twarz przed prawą Carową; nie wątpić, że i Sahajdaczny już gromadzi swoich na około miasta. Ale gdzież on zniknął tej nocy, w której słabość niewiasty przemogła nad statkiem królowej. Czyżby jego słowo i jego spojrzenia zarówno kłamały?

Dostojny to mąż, urodziwej postawy, wąs dziarsko opędził mu usta, w godzinie niebezpieczeństwa widziałam go nie raz, i pamiętam rysy jego kraśne odwagą; żaden z polskich rycerzy ni z moskiewskich bojarów nie zrówna jemu w dzielności. Głębokie on nosi piersi pod zbroją, a w nich dosyć miejsca na państwo całe; ubiór jego strojny zawzdy i rycerski, połysk jego pętki lata mi teraz przed oczyma — i rękojeść wytworna u bułatu — i na bechterze rysunki ze stali, gdyby hafty panieńskie z jedwabiu.»

Tu znów myśli inszym udały się szlakiem, posępniejszym, bardziej męczącym, o rusztowaniu — o truciznie — sztylecie, zaczęły jak mary chodzić po jej duszy — aż dopóki późna godzina nie uśpiła oczów. Duszy całkiem uśpić nie mogła. Patrz na leżącą na twardem łożu, prętami żelaznemi podbitem. Licha pościel i brudne wezgłowie, obok piec żelazny, w którym dogorywają rude popioły. Twarz jej tylko i pierś oświecona, reszta kibici zanurzona w cieniu, jako i całe więzienie, oprócz kilku kroków przed lampą i kilku kroków za lampą.

Do takiejże to łożnicy przyszła córka Mniszcha z wielkich Kończyc wojewody Sandomierskiego, Lwowskiego, Samborskiego, Medenickiego Starosty — Carowa moskiewska.

Od wielu dni nietrefione włosy spływają aż na posadzkę, to w tył odrzucone snują się na poduszce w cichej swawoli, to u skroni zawisły, to zbiegły do szyi, to dalej jeszcze czarne zagony zapuściły aż na piersi, a teraz leżą niewzruszone, tak jak każden splot i pukiel ułożył się w chwili, kiedy zasnęła. Z pośród owych ciemnych ram lica jej wypukłe przebijają, bardziej jeszcze blademi się wydając; na ustach krąży ciągle niby pół westchnienia, niby oddech żałosny, ale tak słaby, tak nieznaczny, iż chyba go kochanek zrozumie. Powieki rąbkiem długich rzęsów zasunęły się nad oczyma, jedno zadrgną czasem; na licu znać, iż coś z nim walczy w głębi ducha. Tak śpi oblubienica przed zamęściem, matka przy kolebce słabego dziecięcia. Tak spała Kalpurnia dniem przed śmiercią Cezara.

Późno już w noc zdało się jej, iż wpadła w sen o dźwiękach harfy czy gitary czy strun jakichkolwiek i o śpiewie znanego głosu. Zkądże z pośród tylu ponurych marzeń przyszło jej niespodzianie marzyć o muzyce i pieśniach? A one tony nie brzmią posępnie, nie zwiastują ni pogrzebu ni bitwy, owszem

melodyjnie płyną w około, a co dziwniejszego, ona każdy z nich gdyby na jawie rozeznać potrafi.

I coraz pełniej jej uszy nabrzmiewają owemi dźwięki — oczu dotąd nie otworzyła, ale myśli jaśniej krążą już po mózgu, choć im jeszcze brakuje związku, choć to jeszcze gwiazdy błyszczące mgnieniem oka, a gasnące bez powrotu.

Leżałaby długo w tem zawieszeniu między snem a życiem, zdjęta roskoszą cichego zachwycenia, gdyby dźwięki wciąż równie słodkie, równie harmonijne były; lecz wzniósł się z pośród nich ton jeden głośniejszy, ostrzejszy, w niezgodzie z towarzyszami, podobny do krzyku, który konając na jęk się przemienia.

Wzdrygnęła się, podniosła się nagle, a teraz dopiero wydało się jej, że snem zdjęta, i na to, co zobaczyła, jak na sen patrzy.

Blaskiem złotym i błękitnawym goreje komnata, pierwszy raz jej sklepienie całkiem otrząsnęło się z cienia. Wśród tego dżdżu jasności stoi młodzian z hełmem i lampą na hełmie, z której buchający płomień starczy na całą przestrzeń więzienia, w dłoniach trzyma naczynie rażącego poloru, z strunami i kulkami, laseczką po nich przegrywa, czasem o boki naczynia uderzy, a wtedy słychać, jakby rozdzierające stęknienie; ubiór dziwaczny, składnie leży mu na ciele; kaftan to wschodni, zielony, posypany srebrnem ziarnem, pas z tyftyku i szarfa takoważ, kindżał sadzony kamieńmi, a nad tem wszystkiem suknia szeroka, przejrzysta, niby muślin, niby mgła, tak jasna jak wyziewy przy słońcu, w rozmaitych fałdach osuwająca się na dół, pełznąca w górę, kształtnie wisząca u ramion, rozsuwająca się piersiami, jedno że i greckiej togi i kastylskiego płaszcza i tureckiej Delji, wszystkie łączy powagi i wdzięki. Przysłuchuje się, przypatruje się Maryna; owóż on tak jej przyśpiewywał.

«Gdzie niewolniki moje? już nie stąpam po posadzce z ich karków. Gdzie hufce, którym kiedyś mówiłem: zaćmijcie słońce, bo ono mnie pali; a wnet z tysiąca kołczanów podnosiła się chmura i lecąc jak szarańcza, przesłaniała słońce. Walają się ich kości na Kiafelu błoniach.»

«Daleko mi do mojej krainy, matki kwiatów i kadzidlanych drzew; daleko do nadbrzeżów osutych konchami, zarosłych koralem; do piaszczystego morza, na którem żaglem moim bywał

namiot biały, tratwą grzbiet wielbłąda, a łódką siodło rumaka; do miast, gdzie minaretów wieże równe w liczbie sosnom waszych borów, błyszczą wiecznie jako wasze sosny wtenczas, kiedy je zachód oblewa; do nieba o krzyżujących meteorach nad głowami ludzi jak u was krzyżują się chmury; o burzach, którym przywodzą Geniusze na Simumu wirach, potopem błyskawic zalewając powietrze, piramidami ze żwiru najeżając pustynię.»

«Już mi nawet język rodzinny, język mój cudowny, w którym Allah upodobał sobie, omdlewa w pamięci. Gruba niewiernych mowa osaczyła me uszy do koła sieciami. Zapomniałem wzdychać serdecznie do proroka, w jednym słowie zamykać zapał duszy. Krótsze u was oddechy, ani starczą wam płuca na uczczenie Boga: nie umiecie się wyrwać ku niemu. My to, my to, zdołamy marzyć o nim i o raju, długo, świętem natchnieniem przejęci; a wtedy nie miałkie, nie krótkie słowa z ust nam wychodzą, ale przedłużone, pełne pożądliwości ku tym drzewom nieśmiertelnym i niewyczerpanym fontannom, obiecanym po zgonie. — Matka mi umarła, czasu na łzy nie było, ojciec poległ, nie płakałem, lecz przysiągłem zemstę; z Szaha spadłem na giermka — nie żaliłem się dotąd nikomu — ale teraz, kiedy zapominam mojej mowy, płaczę, płaczę hurysso moja. Czuję co dzień więcej słów zagubionych na zawsze. Ich wspomnienie trapi, jak mara kochanki dalekiej, której nie ujrzę już nigdy, której twarz mgłą mi zachodzi, a którą kocham jeszcze.»

«Wieczorem kiedy zasypiam, krążą jeszcze po moim mózgu, rankiem kiedy się budzę, już odbiegły od pamięci mojej. Walczę jak mogę, nie chcąc myśleć po cudzemu, a wasza mowa wdziera się do mojej głowy, wypycha ostatki dawnej, podchwytuje każdą myśl i ubiera w swoje barwy, śmiejąc się z moich żalów i oporu. Jedne po drugich mrą drogie pamiątki; jakaś tam przepaść jest, co czycha pod moim mózgiem; w nią wyraz po wyrazie zlatuje, strącony od waszych twardych, nieużytych, zawziętych. To męka — to rozpacz — płaczę hurysso moja!»

I tu uderzył o naczynie. — Maryna nie zdołała wstrzymać się od krzyku.

«Zniosę to jednak dla ciebie — bąć mi łaskawą, a niechaj przepadnie język moich ojców we mnie. Bąć mi łaskawą, a stanę się polskim rycerzem lub moskiewskim bojarem do woli twojej.

Kochaja Agaj-Hana, rzuć mu półksiężyc pod stopy, a on depcąc przejdzie po nim; kochaj Agaj-Hana, a on ci drzwi lochu postawi otworem. —

Po tych słowach nagle zagasła lampa szyszaku — ciemność większą część więzienia zagarnie: raz jeszcze zabrzmiały struny, ale przypadkiem, nie naumyślnie; potem nic już się nie odezwie; ni stąpań ni oddechu nie słychać, jedno kroki po schodach wieży, gdzieś daleko ślizgają, a podwoje nie skrzypnęły, ni rygle zabrzękły.

Maryna wątpi o sobie, wreszcie poznała, że na jawie — o czarach coś jej na myśl przyszło i piersi ścierpły od przemijającego dreszczu.

Tak co noc bywa, kiedy zaśnie, budzi ją pieśń Agaj-Hana, wtedy więzienie pełne światła i dźwięków; on do niej przemawia jak kochanek — ona mu jako pani odpowiada — potem gaśnie światło, mdleją dźwięki. — Strażnicy znać śpią głęboko, kiedy on między niemi tak cało przejść potrafi.

A rozmaite jego śpiewy bywają — to o zemście napomyka.

— Nie spodziewaj się, by ten, który dumny był z sajdaku na plecach, uwolnił ciebie, pierwej nim tu dostąpi, z grobu wstać mu trzeba. Tyś zapadła w sen podobny Azraelowemu, ale mój kindżał wtedy się obudził i cały w uśmiechach radości z pochwały zabłysnął; poznałem, iż cierpi pragnienie, iż krwi mu trzeba, bo tak nasze handżary jak nasze wielbłądy długo wytrzymałe, ale kiedy miara cierpliwości przebrana i wielbłąd i handżar domaga się napoju. Jeśli go nie dasz, pierwszy zdechnie w szaleństwie, drugi zardzewieje i na zawsze się przytępi! Nie chciałem ja tego, więcem go napoił w strudze czerwonej, która wytrysnęła ze zbroi wroga jak źródło niegdyś za uderzeniem — nikt już nie stanie między mną a huryssą moją! —

Marynie się wierzyć nie chce, by tak dziarski mąż zginął od ręki pacholęcia.

«A czemuś nie patrzała. Czyż moja wina, że w tej chwili perła rozumu roztopiła się w tobie, że gwiazdy twoich ócz zagasły? Ha! ciepła krew była w nim — iż mi ścierpła ożywiła dłonie.»

To czasem znów o dziwacznych baje powieściach. Patrz, jakim potężny i wielki, przedemną schylają głowę strażnicy

i nie podnoszą jej, aż ranek zabrzaśnie. Letarg jest moim niewolnikiem, i gdzie go posyłam, tam idzie, żelazne rygle usuwają się pod mojemi palcami jak pierścienie włosiannego naramiennika, więzienie anielskiemi wystroiłem ci blaski. Ja sam jak duch z piątego nieba zstąpiłem do ciebie. Tajemnice ojców dochowały się w moich piersiach. Żyjący niechaj mnie się lękają, bo i nad umarłemi rozciąga się moja władza. Z złotemi gwiazdami i z czarnemi chmurami mam przyjaźń i spółkowanie.» A kiedy spostrzega niepewność lub drżenie na twarzy Carowej, sądzi, iż chwila nadeszła w serce jej ostatni raz uderzyć.

«Hurysso moja, kiedy senną cię zastaję, lubię wbijać się wzrokiem w twoje lica. I długo stoję przy tobie, dopóki cię struny moje nie obudzą. Lecz mi żywszej trza roskoszy, to początkiem pieśni dopiero. Czyż jej końca nie doczekam się nigdy? Rzeknij ono jedno słowo: kocham, a wnet ztąd wyprowadzę cię. Zawiodę na rozległe pola Kiafelu, tam już cynamon wonieje nad mogiłami, tam już migdały zielenią się znowu i kwiaty wyrosły z popiołu, tak, że motyl siada na nich i nie domyśli się wśród gęstwiny tego, co leży pod spodem.»

Na to Carowa gdy milczy z pogardą, on gaśnie w ciemności i oddala się po cichu.

V.

Ciemno po tych kurytarzach, ciemno po tych lochach, któremi młode pacholę wiedzie niewiastę o poważnem licu; światło kagańca wrzącego w jego dłoni skacze do murów, zlatuje w dół i rozbija się; czasem też poigra z pajęczyną, lub wystąpi jak czerwona kresa między ciemnemi pasmami, a ciągle cień dwóch osób przesuwa się po ścianach, gnie się w dwoje na zakrętach, płaszczy się dalej, i zawsze postępuje czarny, olbrzymi, zawsze ten sam, bo ręce niewiasty pod płaszczem zakryte, bo ramiona pacholęcia równo się trzymają.

Jego twarz pochylona, jakby czuł, że uległ po walce, że zgnębiony na zawsze. Jej oczy płoną, duma we dwójnasób jeży się na czole: nikt by i na chwilę nie zwątpił, że ona królową.

— Agaj-Hanie! azaż oddałeś list Uświackiemu Staroście? — Oddałem — głos odpowiedział zwątlony, jak zwykle bywają głosy po silnem wzruszeniu.

— Agaj-Hanie, iżaliż pewno czekają mnie u drzwi? — Czekają. — To słowo jedno tylko, ale wymówione, jakby konającemi piersiami.

— Dobrze, wiedź nas Waszmość, dalej, a kiedy sprawisz się wiernie i dobrze, na naszej łasce polegaj. —

Odwrócił się giermek i pojrzał na Carowę wymawiając jej wzrokiem, że tak szydzi z niego. — Czyż nie dosyć, żeś podbiła mnie na służalca, żeś mnie dzieckiem swej woli uczyniła? O nie mów o łasce. —

Pół uśmiechu zawisło jej nad ustami — i znakiem ręki, by szedł dalej, oznajmiła.

Jak może najciszej ślizga po bruku, ażeby zbroja nie zachrzęstała, sztylet lub pałasz nie zadzwonił o zbroję — bo z zewnątrz dochodzą często głosy zaspanych strażników i hasło, które sobie odrzucają nawzajem; niekiedy w przelocie wstąpi po za mury i cichaczem zaszepta w uszy Marynie — wtedy lekkie znać wzruszenie na jej twarzy, a na Agaj-Hanie inny to wywiera wpływ, podnosi trochę czoła, bo czuje, że w tej chwili jest jedynym jej obrońcą, i rozumie przeto że ma wyższość nad nią.

Ale ona nie daje mu się ukrzepiać w zarozumiałości: jednem słowem, jednem skinieniem umie dumę jego na proch zetrzeć. Znać, iż tyle przewagi nabrała, iż on już nie zdoła przemawiać po dawnemu. — Drżą mu ramiona i piersi jak członki zdeptanej gadziny, w której jeszcze pozostało dość życia na czołganie się wieczne, nie dość mocy na jeden podrzut, na jedno ukąszenie. —

I wiódł ją z wiernością domowego zwierza przez rozmaite galerje i schody jemu tylko znajome. To nierozwiązaną tajemnicą, jakim sposobem zapoznał się z niemi, jakim trafem dostawał się do więzienia Maryny. Wtenczas, kiedy w mglistej szacie śpiewał o Kiafelu błoniach, coś wyższego przebijało w nim, niby godność strąconego książęcia, niby władza potężnego carownika. Na chwilę w całej okazałości swoich marzeń łudził się nadzieją zwycięstwa; ale dziś wrócił do ubioru, do

obyczaju giermka. Znać, że jego duszy zabrakło sił na zwalczenie tej, którą kochał, że z uniesieniem miłości rzucił się do przedsięwięcia, w którem spotkał się z nieużytą dumą. Ta go pokonała, a kiedy uczuł się pod wpływem wyższej siły, zamilkł w głębokim podziwie i posłuszeństwie: odtąd musiał dopełniać zlecenia pani, a dziś bez nadziei, bez pociechy, jedno wiedziony urokiem, któremu oprzeć się nie może, wyprowadza ją z niewoli; poniżony, osłabły, czasem jeszcze pozierający na nią, nie już jako rycerz lub kochanek, ale jako dziecię na pół przerażone, na pół zachwycone widokiem meteoru przelatującego o północy po nad domem ojca.

Wzbudziłby litość każdego — bo namiętność wyssała mu z twarzy barwę świeżości — bo w oczach źrenice podobne do tych iskier, co ścigają jedne za drugiemi w szarych popiołach, kiedy już węgle zczerniały pod niemi; kroki niepewne jak u pijanego, który nie tyle zaślepiony, by upadł i zasnął, ale tak słaby, że statecznie nogi postawić nie potrafi. Młodość i siła pożegnały jego ciało, został się z mdłościami starca w piersiach, z wyrazem przerażenia na licu; stracił pychę, która żar pamiątek rozdmuchowała w nim, postaw mu teraz przed oczyma zwierciadło: Synu sułtański, dziedzicu równin Kiafelu, podnieś oczy, a on czoła nie podźwignie, i weń spojrzeć się nie ośmieli.

Stąpa ciągle przed Carową, iskry kagańca sypią mu się na rękę, on ich otrząsnąć nie raczy. Zaduch wilgoci i zgnilizny w około, tu i owdzie odrywają się od ścian wyziewy i ciągną nad głowami przechodzących jak fałdy całunu. One są zwiastunkami wiosny w tych lochach.

Giermek zstąpił w dół, a za nim pani, potem szli oboje płaszczyzną, a słychać w górze, jako dyszy woda w rowach, jako czasami zakipi rozgrzana od pleśni i w tysiąc bąbelków się rozpryśnie. Teraz znów wstępują schodami. Dostali się do sieni z nieforemnych głazów. Tu już woń świeżego powietrza zalatuje, a brama dębowa okuta w rygle i trzema opatrzona zamkami.

Agaj-Han dopalającą się pochodnię utkwił w ziemię, a sam ukląkł przed Carową i załamując dłonie nic nie mówił,

lecz żebrał milczeniem o litości trochę, o jedno słowo pociechy, by mu nie tak okropnem było oddać ją w ręce młodców, dopełnić tak ogromnej z siebie ofiary, bo jeszcze teraz on z nią sam na sam. Za tą bramą ona poddanych spotka i już z wysoka nad nim panować będzie.

Ale Maryna stojąc na progu zbawienia, niczem odwlec go nie chciała.

— Gdzie klucz Waszmość podziałeś? Rozkazujemy Waszmości jak najrychlej się sprawiać, uwalniając jak na teraz od tych dowodów uszanowania. —

Znalazł się na takowe słowa głos w piersiach młodzieńca; na kolanach czołgając się ku niej, zawołał: — Miłościwa pani, hospodarko moja, nie tłocz mnie tak niewdzięcznie ku ziemi; wspomnij na moje usługi. Dla ciebie strzałą przeleciałem od Kaługi aż pod wieże Moskwy. Dla ciebie ja książę, uginałem karku przed Różyńskim i Sapiehą: oni tobie nie chcieli pomódz. Ja cię z więzienia wyprowadzam teraz.

— Nużysz mi umysł Waszmość takowemi mowy, uzyskasz nagrodę, tylko otwórz prędzej. —

Błyskawica nie ma skrzydeł dość żartkich na wyścignienie połysku, który zatlał oczy giermka i zagasł w jednejże chwili. To słowo nagroda całą duszę mu wzburzyło — ale po twarzy Maryny poznał, iż nie o tej, której żądał, napomina, więc wschodnim obyczajem, gwoli większemu uszanowaniu, ramiona założył na piersiach i schylił niżej głowę.

— Lata mi w pamięci miłościwa Sułtanko, iż raz widziałem cię u biesiady, wśród bojarów, przy początku jesieni, wtedy, kiedy słońce wasze jest prawnukiem naszego, kiedy owady zasypiają naprzód udaną, potem prawdziwą śmiercią. Tego dnia z złotego stropu spadł na śnieg obrusu motyl przed puharem twoim, o Sułtanko moja. Raczyłaś go podjąć, on miał zwinięte skrzydła i skrzepłe ciało pozbawione blasku. Tyś miłując się nad nim do ust go przytuliła, oddechem obwiała, głosem nęciła, by ożył — powstań, powstań o motylu mój. — Jemu się zdało, że piękne dni lata już z powrotem, że gdzieś dostał się do róży i do słowika; więc się obudził i trzepocząc skrzydełkami podlatywał na około, a tyś rzucała za nim djamentami spojrzeń. Zważ sama, owadowi

miłosierna, nad człowiekiem mieć nie chcesz litości: nie proszę o więcej jak o względy świadczone onej drobnej muszce. —

— Waszmości w pamięci motyl, a z pamięci wypadło, żeśmy otoczeni wrogami, i że Igar Zarucki czeka na mnie za temi bramy, jakeś mi sam o tem przyniósł wiadomość w ostatnim liście. —

Nagła zmiana nastąpiła w postawie Agaj-Hana, sama wydała się Carowa, i on uwierzył natychmiast; w szczęście trudniejsza wiara, ale w nieszczęście któż z synów ziemi zaraz nie uwierzy? — A zatem Sahajdaczny uniknął śmierci. Ha! pamiętam: raz tylko uderzyłem, za słabo, oszukali mnie, sam byłem posłem od niej do niego; chociażem jego nigdy nie widział; ale assawułów, mołodców, towarzyszów jego; nie wspomniałem nigdy o nim, i oni też nie wspomnieli i razu, ale on kierował wszystkiem! —

Złość dziecka i zemsta szalona wschodniej gorejącej duszy odbiła się na licach Agaj-Hana. — Parsknął pianą z ust i kilka kropel krwi z nozdrzy mu bryzgnęło, porwał się z ziemi, ale nie mógł się prosto trzymać, to zgarbiony, to truchlejący, to o ścianę oparty, to nogę wysunie i założy na drugą; to znów ma przyklęknąć, to znów podrzutem odskoczy od bruku.

— Miałem cię w więzieniu niewdzięczna, a szanowałem cię jakby matkę moją; nie mógłżem zbliżyć się i ręką ślizgać po twej sennej piersi, rozpiąć cichaczem zawoje szat twoich, a nasyciwszy wzrok, z zawrotem głowy rzucić się na ciebie. Budząc się poczułabyś pierścienie potężnego węża okręcone w około kibici. Wgryzłbym się gwałtem w twe usta: oddechem przepaliłbym ci gardło, pocałunkami podziurawił lica, włosów twych gęstwinę zarzucił na siebie. Ha! co chwila cisnę cię mocniej. Zwyciężam. Tyś moja. Tyś moja. Każda żyła twa bije w zgodzie z każdą żyłą moją, palce, co twarz mi kaleczyły, teraz już w obłąkaniu igrają z mojemi włosy. Ha! nie masz raju w niebie takiemu na ziemi!

A teraz gdzie wdzięczność, gdzie nagroda? — Sahajdaczny tam — perłę miałem ze skarbu Allaha i nieuważny puściłem ją w morze; przeklęty! O już nigdy, nigdy, nigdy, noc taka nie wróci! —

I w jego oczach paliła się roskosz wspomnień i chuć niewstrzymana; potem nastąpiło osłabienie — zamilkł i patrzy w około, jak ten, co pamięć, rozum, nadzieję postradał i wyszedł na zwierzę.

— Nie — ty marzysz. — Hej! do więzienia nazad. — I schylił się po kaganiec, chciał go podnieść — on już dopalający się rozlał się strumieniem smoły po jego dłoni i gęstemi obsypał ją iskry.

Krzyknął z bólu nieszczęśliwy i padł na kolana i znów wyciągnął rękę czarną, spaloną, może sądził, iż łatwiej litości dostąpi. Węgle żarzą się na ziemi, przy nich znać jeszcze Marynę stojącą wśród cienia; jak duch więzień, srogi, nieubłagany, wskazała ku bramie w pełni majestatu swego. Do tego rozkazu pół uśmiechu dodała, jakby z miłosierdzia nad Agaj-Hanem. On, poszedł zwolna ku drzwiom i klucz trzymając w lewej dłoni, prawą chowając pod kaftan, czekał na panią, od której uzyskał co żądał, bo w tej chwili nie miał sił już na żądanie więcej.

Carowa spiesznie, przy ostatnich iskrach pochodni, sama bramę otworzyła.

Księżyc za wiosennym obłokiem, lecz gotuje się do wejrzenia. Sosnowe krzaki tu i owdzie, z tyłu podnosi się opuszczona wieża i długi mur i rów głęboki z przepaskami to grubszego to cieńszego cienia. Dalej pali się Kaługa w nocy, rzadkiemi światłami, z przodu równina; a wszystko, co na równinie, to śpi w zmierzchu i tego rozeznać nie sposób; jużci tam drzewo podobno; jużci z boku to smugi śniegiem jeszcze przypruszone, owdzie zda się, że bór czernieje, owdzie marzy się przed oczyma dzwonnica klasztoru. Za pierwszem spojrzeniem taka postać okolicy; wlep oczy, a nic nie rozeznasz, zwątpisz o każdym szczególe; to nie drzewa, to nie klasztór; nie — to nie bór tam się rozciąga. Takie same wrażenie sprawia na duszy sen, którego w połowie się zapomniało, a w drugiej połowie nie jasno się pamięta.

Agaj-Han ręką zdrową dobył kindżału — i oddalił się w bok, gdzieś przepadł w rowie.

Z krzaków powstali męże, z najbliższego wyskoczył rycerz w zbroi i ledwo krok postąpił naprzód, już schylił głowę przed

Maryną, aliści nie takiem przywitaniem tylko: znać, że pragnąłby ją pozdrowić; nie wiedzieć, co go wstrzymało, może towarzysze, którzy rzędem za nim stanęli.

Rozmawiał po cichu z nią; w poruszeniach jego przebija radość namiętna; ona, nie spuściła nic z głosu ni z obyczaju pani; po chwili przywiedli mołodcy dwa konie; poddał jej ramię mąż, ona strzemię chwyta.

W tej chwili krzyk przeraźliwy, nieludzki, podobny mięszaninie z wilczych skowyczeń i nocnego ptasiego pisku, przeleciał powietrze; wnet po nim zawarczył kindżał i utkwił w pancerz męża, pełnią księżyca oblany. Znać, iż długą drogą znużony, głęboko wwiercić się nie zdołał. Sahajdaczny go bowiem strącił na ziemię ze zbroi, jakby pająka lub pszczołę, w milczeniu, z uśmiechem pogardy.

Nie odstępując zdumionej Carowej, gwizdnął na mołodców — oni się rozbiegli, ale nim doskoczą rowu, już bieży po smugach człowiek, który w cieniu murów się oddalił, i dopiero wyszedł na czyste, kiedy go już dognać niesposób, bo ich daleko ma za sobą, i co chwila susami ranionego jelenia jeszcze dalej osadza się od nich.

Więc jęli z powrotem do wodza, wódz wskoczył na siodło. Uzdę Carowej obwiązał na około ramienia i puścił się z nią stepowym lotem.

Biegną, biegną, przy księżycu, wiosenną nocą, nie na pobitej drodze ni go gładkiej ścieżce, ale między parowy, doły i chrusty; czasami kłąb śniegu rozbiją podkowy, a on z dołu w górę lunie białym tumanem; czasami o głaz uderzą, a głaz ogniem się odgraża, szybę lodu trącą, a lód pęknie z trzaskiem, gdyby szklanna szyba; teraz przelatują łąkę, w młodą murawę gręzną kopyta, a wilgoć kipi i smokcze pod spodem; dalej zgnieciona gałąź zaszeleści, kamyczki odskakując głucho zapadają w trawę. To znów szorują po roli, głębokie ślady po grzędach wydrążają, rozpłaszczone bryły spychają w bruzdy. Zaruckiemu i od biegu i od namiętności serce gwałtem bije. Marynie chłodne powietrze rumieniec po licach rozlało. Teraz obszar tych płaszczyzn jest jej więzieniem, księżyc wśród błękitów jej lampą. — Rada i pełna otuchy, słowami draźni towarzysza, mówi mu o Kremlinie, o bitwach i sławie; a jemu tylko tego

słuchać, bo on za nic waży trudy, byleby dorwał się panowania i chwały, a przed śmiercią snu krótkiego w objęciach Maryny.

Do lasu wpadli, przesadzając zasieki z powikłanych krzewów. Ciemność i uroczystość boru dreszczem przejęła Marynę, ale Sahajdaczny raduje się, że się dostał pod dęby i sosny, miło mu pomiędzy niemi jakby w domu ojca. Lecą pod sklepieniem z liści, między któremi tu i owdzie czołga się promień księżyca, a wiatr szumi głosem tysiąców gałęzi, niezrozumiale, choć co chwila zda się, iż z tego zamętu pewniejsze wydobędą się tony, na które czeka przez długie godziny młodzieniec zakochany lub pielgrzym dumający o Bogu, na które i chwili nie czekał Sahajdaczny, bo zrozumiał natychmiast tę mowę.

— To wiatr północny tak hasa miłościwa pani, on na jutro napędzi chmury, więc gońmy co żywo do spławu i czajek, by pogodną jeszcze nocą odbyć żeglugę. I jedwabnym kańczugiem konia uderzył. Ten wyskoczy co tylko sił mu staje, a Maryny koń, porwany ramieniem męża, równie pędzi szybko. Znów na pole czyste się dobyli, powietrze zdaje się kipi около ich głów, tak głowami i piersią sieką powietrze; ogony ich z tyłu płyną jak ślad pienisty od rudla, kiedy statek pruje wodę wśród burzy, podkowy podnoszą się i zniżają bez ustanku, jak iskry, co raz błysną, znów zagasną i znowu zabłysną; oni pędzą w zad, świat cały naprzeciw nich wali, a rozstępuje się, by przejście wolne im zostawić. Jeden księżyc tylko niewzruszony panuje nad niemi z wysoka, ależ i on czasami znudzi się pokojem, więc sam się zerwie i bieży ku chmurom, przerzuca się z jednej w drugą, swawoli jak znarowione dziecię, to znów poważniejszą postać przybiera, zasępia się wśród mgły i jakby w ciężkiem zadumaniu niknie coraz bardziej: wtedy posępno na świecie do koła.

A oni bieżą, czy chmury czy jasność nad głową; wkrótce się rozwidni i zmrok podziewa się nie wiedzieć gdzie, tak jak promienie podziewały się przed chwilą. Ale cóż to zabłysło w oddali? zda się, gdyby kopuła cerkwi blachą obita.

— Miłościwa pani to Pratwa, już na niej nikt nam nie zajrzy w oczy; bystrym nurtem oddzielim się od Kaługi, a jeśli w pogoń za nami do brzegu przybędą, my z czajek zaśmiejem się im w oczy, i życzyć będziemy dobrej nocy strzałami. —

Ledwo domówił tych słów, ściągnął cugle i zatrzymał konia, przechylony, z głową i pół ciałem wiszącem od siodła, zdał, się słuchać czegoś, potem zagwizdał na konia, ostrogą i kańczugiem popchnął w bieg i rzekł zimno jako na męża dostatniego przystoi, kiedy godzina niebezpieczeństwa dobija nad głową: — To mściwe pachole pobudziło straż zamku i bojary tuż za nami w lesie.

— Nie słyszałam żadnego tententu, a jużem przywyknęła uchem do wszelkich głosów, i do tych, których lękać, i do tych, z których weselić się trzeba. Waszmość się pomyliłeś.

— Nie miłościwa Carowo, nie hoża Maryno, na pierzach wiatru przyleciały do mnie szelesty, które są gońcami tententów. Lecz, ażeby je schwycić kiedy drobne, cichaczem przelatują w około uszów, trza wprzódy przez całą młodość przysłuchiwać się nieprzyjacielskim podkowom. Dostaniem li się do rzeki, nim oni ukażą się z boru? Jeślim się nie oszukał na kupnie mojem w Krymie, tośmy bezpieczni, odparł spozierając z dumą kozacką na biegnące rumaki, ale miłościwa Hospodarko ostatnia to ich gonitwa. Dolecą rzeki, bo wiedzą, iż taka ma wola, wdzięczne za owies i napój, za bogaty rząd, którym zawsze ich grzbiet stroiłem i głowy. Dalej i kroku nie postąpią, rozciągną się na murawie. Na czajkach miłościwa pani spuszczałem się Dnieprem i Wołgą i Dniestrem, Sułtan z Seraju mnie widział i klął mnie, żem mu tak wsie palił, rozwalał pałace. Na moskiewskiej wojnie wzrosłem za króla Stefana i pięć ran w upominek od niej noszę na piersi. W Niemczech z rycerzami posągami z żelaza rwałem się za pasy, więcem napatrzył się dosyć mordu; nad człowiekiem nigdy łzy nie wylałem na polu bitwy, a to konie, że zdechną, to mnie boli. Sam ich chodowałem, uczyłem napaści, odwrotu, ucieczki, w dzień i w nocy latałem na nich po stepach, one były mojemi orlemi skrzydłami.—

Tententy się odezwały, Marynie mowę przecięły, ale też już nie daleko. Jeszcze staj kilka, i zatoka wylanej Pratwy tuż przed niemi. Już rozeznać mogą jej nadbrzeża.

Rzeka na wiosnę wystąpiła z brzegów i łoże swoje rozprzestrzenia jeziorami; nie dojrzeć przeciwnych nadbrzeżów, tylko tu i owdzie z łona wód wystaje krzak, drzewo, głaz, język zwiru, który nie dał się pochłonąć, smug, co wysoką

trawą jeszcze na świat wyziera; to wszystko mgłą obwiane, cieniem lasów po tej stronie rosnących kratkowane, wydaje się błędnym archipelagiem. Pośrodku słychać szum, ale nie dojrzeć nurtów pędzącego koryta, które bieży jak zwykle, gnuśniejąc tylko po bokach, kędy się pomknęło za swoje granice.

W zatoce, u której stanął hetman z Carową, księżyc w pełni się przeglądając srebrnym ogonem udaje kometę, a że gęstwiny nie ma w tem miejscu, swobodnie rozsyła promienie, które pośród koła z wyziewów w szerz i w zdłuż oświecają wody; na nich stoją łódki, każda na wyspie własnego cienia, niewzruszona, z śpiącemi wiosłami, z łańcuchem od kotwicy spuszczonym w dół.

Było coś fantastycznego w tym widoku, przypominającym morze we śnie widziane, w flocie milczącej, bez żywego ducha, tententach grzmiących coraz bardziej, w larwach biegnących od lasu na rozhuźdanych rumakach.

Jeźdzcy i konie czarne, czasem tylko broń zamignie, jak śniady płomień, co wśród nocy krząta się po mogile; podnieś oczy w górę, a księżyc jasny, okazały, wyda ci się mało co mniej od słońca, spuść je w dół, a równina i topiele i drzewa mięszają się z sobą, nie rozpoznasz, gdzie się wody kończą, a piasku początek, gdzie krzaki przepadają; a czyste zaczyna się pole, jak gdyby gwiazda nocy była marą, na którą spojrzeć pięknie dopóki w niebiesiech, ale z której mało pociechy na ziemi. —

Zarucki gwizdnął jak strzelec na sokoła w chmurach, wnet z każdej łódki podniosły się dwie postacie, w milczeniu porwały za wiosła, a że biją niemi o wodę, to nie przerwało milczenia, bo tak cicho fale odpychają, że ni ciosu wiosła, ni jęku fali odpływającej nie słychać. Snują się statki ku brzegowi, srebrnemi kręgami się obtaczając, ruszając wiosłami jak orzeł skrzydłami, kiedy zawiśnie w powietrzu, a miesiąc, który patrzy na nich z pod toni, ciągle odsadza się od nich, jak nurek od łódki strzelca na stawie.

Pierwsza czajka wodza dotknęła się lądu, wszystkie inne długim rzędem w poprzek zatoki stanęły, na każdej powstają maszty z rozczochranemi linami — w mgnieniu oka lekkie żagle zadrgnęły, bujając w powietrzu na wyścigi z wyziewami nad-

brzeżów, a bojarzy goniący w oddali, dziwią się owej mgle wznoszącej się tak nagle ze środka jeziora.

Zarucki podał ramię Marynie, by pomódz wstępującej na statek, potem miał sam wskoczyć, bo już i była pora ktemu. Kiedy odwrócił się z nienacka i dobył czerkaskiego tasaka, konie podług przepowiedni wodza leżały na zwirze, zdyszane, opruszone pianą jakoby śniegiem, robiąc bokami, tarzając się czasem w swojej niemocy, z żalem krwiste rozszerzając oczy za łódkami i odchodzącym panem: on spojrzał na nich jak dziki spoziera na przyjaciela rannego, by ostatnią wyświadczyć przysługę — dobiciem.

— Ukrócę wam męki, niewoli oszczędzę i tobie moja Giemzo i tobie Istambule mój — rzekł głosem stłumionym od wzruszenia, i nachylił się nad Giemzą, pchnął raz tylko, nachylił się nad Istambułem, gardło poderżnął, a wyrwawszy garść włosów z grzyw obu, na kołpaku zawiesił.

— Wy mi to nie dziś, ni juro, ale odpłacicie kiedyś, zawołał do nadbiegających żołnierzy, sam jednym skokiem od ciał koni odrzucił się w czajkę i kazał mołodcom gnać śpiesznie za łódką Carowej, która odpłynąwszy na czele innych, zbliżała się już do koryta Pratwy. — Cały brzeg czernieje od jeźdców wrzeszczących za Maryną i Hetmanem. Księżyc za niemi wiszący na niebie, ciska ich długie cienie na przestrzeń zatoki, które to zwężając się, to rozszerzając, garną się za uchodzącym statkiem, w środku którego stoi Zarucki. Podjął burkę i zarzucił na piersi — w jej szorstkich kudłach mięknie żelazo strzał rzucanych z brzegu, a on szydząc z nich potrząsa ręką na znak pogardy. Kilku próbowało puścić w pław konie, ale uwięźli w mule, więc nazad pierzchają. — Jeden tylko wyprzedził wszystkich, niemiłosiernie kalecząc rumaka zmusił go do przejścia brodu, a kiedy dna nie stało, po szalonemu odważył się płynąć, wprost ku łódce Hetmana, puściwszy cugle, jedną ręką tylko ważąc włócznię — drugiej ręki z pod szaty nie wyjmując wcale.

Już minął cienie od hufców, wypłynął na czyste, gdzie księżyc twarz mu całkiem objaśnia. Usta ścięte, jakby zęby, raz zgrzytnąwszy, już rozprzęgnąć się nie mogły i zmartwiały w tem zgrzytnieniu.

Rysy boleścią stargane, hełm, twarz i piersi wystają nad wodą, reszta zanurzona, ale po ruchu piersi znać, że nogami wciąż bodzie rumaka, który głowę niesie jak może najwyżej, parska z rozpaczy wśród mroźnej topieli, tracąc na mocy i na krwi co chwila; już krew wypływa na wierzch w bąbelkach, znać jeździec szeroko rozpruł nieszczęsnemu boki.

Ale mołodcy odsunęli się daleko — nie ma nadziei ich dognania, więc Agaj-Han odkręci się nazad, i szląc wściekłym wzrokiem za łódkami, malejącemi wśród wyziewów nad korytem Pratwy, zaczyna wracać do brzegu.

Lecz koń mu już nie służy, ledwo że rusza jeszcze nogami bezsilnemi na odparcie dość wody, by posunąć się naprzód. Stoi na miejscu, nie idzie w głąb zaraz, bo pracuje jeszcze, ale ktokolwiek nań patrzy, nie wątpi, że już po nim. Kilka minut trwała ta walka, wreszcie on spuścił głowę, wciągnął ostatnim oddechem pełno wody w nozdrza i poszedł na dno. Młodzieniec splątany w strzemionach i cuglach zniknął również, a krzyk przerażenia, który bez dołożenia się ludzi w takowych chwilach z piersi im wylatuje, tak, że sami zdumiewają się, przysłuchając się jego dalekim echom, rozległ się po brzegu.

Nieco dalej od miejsca, gdzie koń i jeździec zapadli, zamąci się woda, głowa pluśnie na wierzch, jedną tylko ręką falę rozcina i sunie przed głową. Nikt z patrzących nie wierzy, by Tatarskie pacholę zdołało do brzegu się dostać. Ciekawie wyszczerzają oczy, patrzą pilnie tak jak w innych krajach lud patrzy na aktora, grającego w okropnej sztuce.

On szczęściem pozbył się szyszaku, włosy zroszone połyskują w promieniach miesiąca, twarz jego do trupiej podobna, wszystkie mdłości konania na niej się odbijają; pasuje się rozpacznie w czystej, srebrnej wodzie, która go otacza do koła, w której głębi księżyc się złoci, ozdoba grobu zgotowanego na dnie, ale on w tej chwili na nic już nie zważa. Jeszcze zostało się drżenie zazdrości w piersiach, lecz zapchnięte w głąb, bo dreszcz śmierci wziął górę, instynkt życia jedyną stał się namiętnością, pełną energji, wzywającą każden muszkuł, każdą żyłę do działania, rządzącą siłami ciała, tak jak miłość rządzi myślami mózgu; ostatnią

zbawicielką w godzinie niebezpieczeństwa, kiedy rozum nieprzytomny sobie, ustępuje z własnego tronu, z głowy człowieka. Coraz prędzej, coraz mocniej, potem coraz wolniej, coraz słabiej darł się ku brzegowi. Z początku przebiegały mu na licach konwulsyjne boleści, teraz już tylko omdlenie, a czasem jeszcze podrzut życia wyskoczy na nich. Głowa chyli się pociągnięta ciężarem namokłych włosów. Drugą rękę dobył, ale ta bezsilna błąka się po wodzie w tą i ową stronę jak sucha gałąź na nurtach potoku. Już dwa razy fala pokryła mu czoło, dwa razy podźwignął się ostatkiem sił, a dziwno wszystkim obecnym, że tyle ich w tem wysmukłem ciele.

To nurząc się, to podskakując jak raniona ryba, jeszcze upłynął kilka kroków.

Już niedaleko do lądu, powiązali rzemienia od siodeł i od kołczanów — rzucili mu na czas właśnie, bo zaledwo uchwycił się zębami i dłonią, aliści zemdlał zupełnie; ale choć bez zmysłów, trzymał się sznura, jak trup trzyma się trupa, z którym walcząc, razem upadł na wieki — i tak dociągnął się aż do brzegu między towarzyszy.

VI.

Już nie mało czasu ubiegło od tej nocy miesięcznej, w której wojewodzanka Sandomierska uszedłszy z więzienia, odpłynęła na kozackim czołnie.

Wielkie państwo moskiewskie pali się wciąż i dymi pożogami Polaków. Rozbiegli się hussarze i potrząsając skrzydły, jako drapieżne orły ulatują po nad gruzami i gęstym trupem; wycieczki straceńców nie wstrzymane u Kaukazu, w głębie azjatyckie się zapuściły, każdy rabunkami pnie się do bogactw, rycerskim czynem do chwały; miasto zburzyć, wieś spalić, jest ich chlebem powszednim. Z niewolnicami pląsają nad stosami popiołów, grzeją się pośród mrozu na zgliszczach pałaców, winem i miodem sączą się wąsy — tem lepiej im potem usta kleić z ustami Azjanek.

4*

Jak wiekiem wprzódy na drugim końcu ziemi, Hiszpanie hasali po odkrytym świecie, tak dziś Polacy wysypują się na Moskwy obszary. Patrz, Kortez Montezumę ściąga z tronu, Żółkiewski Szujskich prowadzi. Meksyk płonie kagańcami wśród czarnych jezior i wzywa pomsty za skrzywdzonych Bogów. Moskwa o tysiącu kopuł burzy się za świętych swoich i znieważone cerkwie.

Nowy to świat był Polakom: wschodni, szeroki, otwarty na stratowanie końskiemi podkowy. — Co tylko spało w Lechii hartownych dusz i dzikich serc, to przyszło obudzić się i żyć zażarcie na niwach od Moskwy do Astrachanu. Żyją więc bez spoczynku, walcząc dniem i nocą, z hełmem wbitym na czoło, z bechterem przykutym do piersi; wolni, śmiejąc się z próśb i rozkazów, nie dbając o dom, rozmiłowani w gonitwach i żeglugach, swobodni przez wszystkie dni swoje, póki śmierć nie zaskoczy. Jej jako pani czołem z siodła biją o ziemię. Towarzysze przesadzą trupa i lecą dalej.

Ciągnącym z cieplic nieraz zima zajrzy w oczy, z szalów przewieszonych na plecach, z winogron u siodła wiszących, z kamieni wschodu, szydzi sobie mścicielka północy, mróz im członki ćwiertuje i powieki spuszcza nad oczyma. — Tak wśród wozów i koni całe padają hufce, a Moskwicin, który jeszcze wczoraj o południu lękał się ich wąsów, kiedy przejeżdżali obok chaty, dziś śmiało klaszcząc w ręce, depta po nich i błogosławi niebu.

Ginęli prędko w onych czasach książęta i hetmani z roskoszy i z bojów. Ale nad świeżą ich mogiłą powstawali drudzy, równie dzielni, równie zapaleni, by z życiem wcześnie się rozstać, w kilku latach zawrzeć wiek cały chwał i rozpusty: nie szło im o to, dziś, jutro li padną, ale pragną umrzeć królami; dalekim niwom dać w znaki polskie imię, zapuścić się w kraje bajeczne, pomiędzy góry i morza, innych widzieć ludzi, za niebezpieczeństwem ścigać, tchu mu nie dając i zapchnąwszy w ostatnie schronienie, tam ostatnią ogromną zwieść walkę, jak z tygrysem w jaskini.

Przed wieki takiemi bywali bohaterowie, zwycięzcy Rzymu, którym wolność wrzała w piersiach, tak, że od niej pędzeni

naprzód, kochali się w błędach, zjawiskach i wiecznej walce ze wszystkiem, co ich otaczało, z ludźmi i żywiołami, zmagając się z burzą po oceanie, tratując po gruzach na lądzie, a kiedy i ludzi i burz nie stało, klnący w rozpaczy, że odetchnąć im trzeba.

Patrz na Aleksandra z Lissowa: nie ujrzysz go nigdy całkiem, bo zawsze ci go stos ciał lub kłąb dymu z przed oczów wyrwie w połowie. To mignie szabla wśród ogniów, to poła burki zakręci się na rozwalinach; to głowa czasem wyjrzy, broda, wąs, zroszone iskrami, czoło zwęglone, oczy pełne żaru, a reszty ciała nie widać, bo gdzieś zanurzone w gruzach i popiołach.

Tam na łożu w namiocie umiera książe Rożyński. I jemu też piękne dni świtały kiedyś, ale teraz przyszło do ostatniej chwili, w kwiecie młodości, wśród niesfornych hufców. Ich krzyki i odkazywania dochodzą uszów wodza jak muzyka pogrzebowa, w trapiącym śnie słyszana — na twarzy jego coś miększego przymięszało się od wyrazu odwagi twardości. To nie gladjator starożytny, konający z energią rzezi na licach, z groźbą i natrząsaniem się z ludu, który piętrzy mu się nad głową i oczami krew z ran jego żłopie; ale bohater żegnający życie bez żalu, z żalem żegnający złudzenia żywota, dziarski i nieugięty, póki chwała mu kochanką wierną była, a w westchnieniach rozpływający się za tą, którą tyle czcił i lubił pieścić na łonie, a która go wśród uścisków niemiłosiernie zdradziła. Rozpamiętywa on teraz marność ludzkich zamiarów — na nowych powzięcie już nie staje czasu — a wieczność mało znana jego duszy. Ziemi już prawie się nie trzyma, a do nieba ramion wyciągnąć nie umie. Łoże śmierci jest własnym jeszcze ostatnim jego światem; w tych kilku belkach lamparcią skórą zarzuconych, ściągnęły się królestwa, o których marzeniem upijał się długo. Jeszcze hełm i buława stoją niedaleko, ale już może sięgnąć ręką do nich nie potrafi! Ich połyski w promieniach słońca szydzą z umierającego. Więc smętno tej żołnierskiej duszy na progu nieznanej krainy, gdzie myśleć i modlić się trzeba; a władać ludźmi i gonić po bitwach, tam gdzie wiedzie serce, nie sposób — pierś jego coraz bardziej, coraz bardziej mdleje!

Ale postrach Azji, ale rycerz dawnych wieków, chrobrych i śmiałych dziedzic w puściznie sławy, na arabskim dżanecie, w słonecznej zbroi, jeszcze panując swoim rotom, z hyżością Tatara przelatuje pustynie, z głęboką sztuką zachodnich wodzów bitwy wygrywa, nigdy zwycięstwu nie dając się wymknąć z rękojeści szabli, gdzie go więźniem trzyma od pierwszego dnia, w którym wystąpił na boje. Nie spodziewaj się śladu słabości na licach Uświckiego Sapiehy, smutek go nie zwątli. Do ostatniej chwili będzie tłukł mieczem o bechtery wrogów; do ostatniej chwili, będzie się pasował z ludźmi i przeznaczeniem, z swojemi i cudzemi; a kiedy zgon przed nim stanie, powita go ze zgrozą na twarzy, z marszczonemi brwiami, jako przystało na męża, który nie wie co trwoga i co ukłon komu, ale wie, że go się lękają i że po bojaźniach ludzkich wedrzeć się można do tronu. Pełny myśli swoich, obojętnie poczuje, że śmierć już w nim i dumając o zamiarach, dzierżąc hardo głowę, bawiąc się rękojeścią miecza, dla nauki jak berło trzymać przystoi, dech wyzionie w postawie króla zasiadającego na tronie. Ta ogromna burza co z Lechji ciągnęła na Moskwę, za gwiazdą swoją nadobną Mniszchówną, teraz już na osobne rozsypuje się chmury, a każda chmura szamota się w kącie widnokręgu. Gdzieś między niemi gwiazda ich zniknęła.

Od dawna nie słychać już o Carowej, inne imiona pną się na stolicę Carów.

To Zygmunt wskazuje na syna, a myśli o sobie. To Władysław słyszy zewsząd przysięgi narodu i drży niecierpliwy dostać się do berła. To w Kostromskim monasterze, przy szlochach Matki, synowi Filaretowemu czołem próg zmiatają bojary, prosząc, by objął jarzmo nad ich karkami, by ocalił wiarę błahoczesną i państwo Ruryków.

Zamięszanie jakby w dzień sądu ostatniego powstaje wśród tylu wojsk i pokoleń. Nie ustają pożary i mordy, ale nie wiedzieć już, kto daje do nich hasło po nocach. Każdy szlachcic, każdy mołodziec, wodzem się mianuje. W ostatnich chwilach chce się każdy nacieszyć, choćby jedną godziną władzy, nie już jako prosty żołdak, w dzikiej prostocie pląsać we krwi i zataczać się w perzynie, ale jako pan siedząc na

dżanecie, patrząc z ubocza jako gród się pali, użyć spokojnie roskoszy pożogów.

Języki, oręże, obyczaje, powikławszy się, zgiełkują z sobą. Ciur obozowy wschodnie śpiewa powieści; na hełmie hussarza półksiężyc złoty połyska; mową polską Tatar się odzywa; Moskal nie wie, komu służy; hufce Władysława i hufce Pożarskiego pełne jego.

Na błoniu otworzystem biegnie rota zbrojnych i wrzeszczy o dwa razy zabytym Dymitrze, że on zmartwychwstanie jeszcze. Tam naprzeciwko sunie zbłąkany tłum jak gromadą leśnego zwierza i o Szujskim wspomina. Aż tu rycerz stalą okryty, nadbieży i kopiją wysuwając, w pędzie zawoła: — Niech żyje Laszka Maryna. — Z boru wystąpi pułk Straceńców i śpiewa żale o umarłym wodzu Aleksandrze z Lissowa. Ze wzgórza spuści się chmara perekopskich, na plon zajadła, sobie żołdująca nie komu. Aż tu nadjedzie hufiec sędziwych panów, zbrojny jak inni, poważniejszy od innych, z pacholętami z tyłu, z sztandarem koronnym i surowemi głosy wzywają przed stopnie Władysławowego tronu.

Na rzece co płynie w pobliżu, na czajkach błysną mołodcy lecący ku Czarnemu morzu. Nurty ich podchwycają i fale przerzucają sobie. Oni pędzą gdyby na stepie, radosni nadzieją łupieży, śmiejąc się ze skał, co czasem ku nim wyskoczą z pod wody, z dłonią przykutą do steru, z dumką w ustach, z czołem wypogodzonem na burze, przeciw którym spieszą. Na grobli wykręcającej się wzdłuż tego jaru, ciężkim pochodem zbliża się szwedzka piechota, w milczeniu idąca do boju, pilnująca swoich szeregów jak swojej płacy, z zapalonemi lonty, berdyszami najeżona. Między temi kępami i krzewy czołgają się szkockie strzelce z łukami, które jedno wyspiarskie ich dłonie naciągnąć potrafią, z strzałą co gałąź leszczyny rozczyknie w gęstwinach boru i pióro z każdego hełmu strąci w dół niemylnie.

Tymczasem po drodze środkiem równiny, odezwą się hymny; w mitrach i ornatach postępują czerńcy z krzyżem, co jaśnieje rzęsistemi połyski, z obrazami świętych, od których woń cedrów się roznosi, z gromnicami w dłoniach, a dym gromnic baldachimem wije się nad niemi; na siwe brody, nagie

czoła, na drogie kamienie i szaty, na lamowane chorągwie promienie słońca padają i mgłę jaśności z nich słońce ciągnie ku sobie, tak, iż wydają się boskiem zjawieniem, co zstąpiwszy na ziemię, przesuwa się zwolna przed oczyma ludzi, śpiewając o wielkim patronie moskiewskim i o zbawieniu Moskwy przez kapłańskiego syna.

Nagle trąby i bębny zagłuszą pieśni kościelne: tu chmura strzał wyniosła się, tam las z dzid wyrosł nad głowami, owdzie szable, jatagany, kindżały kręcą się w powietrzu. Owi taborem się opisują, tamci wolą zdać się na chyżość stóp swoich. Inni głaszczą koniom grzywy i śmieją się z pieszych. Każdy do walki się gotuje podług wrodzonego obyczaju. Polak nuci o Boga-Rodzicy, pokręca wąsa i długą szablę pieści w dłoni, by mu dobrze służyła. Przybylcy z Azjatyckich puszcz trącają łuków swoich strony i ich brzękiem dodają sobie wściekłości. Niemcy na cel biorą wrogów i mierzą w nich długo, spokojnie, wparłszy kolbę w obojczyk. Kozacy zeskakują z siodeł i za niemi gotują rusznice. Owdzie Tatarzyn kładzie w usta kryształki opium, by mu bitwa przeszła jak sen, a śmierć jeśli ją spotka, wydała się wstępem do Edenu. Aż tu huki, wrzaski dadzą się słyszeć. Dym pełznie nad głową walczących i poległych. Z hufców dotąd spokojnych, porobiły się wiry ze stali, które się kręcą po równinie. —

Wszyscy jedni po drugich, to zwyciężą, to przegrają, to się cofną, to znów pomkną się naprzód, a każden walczy za kogo innego. Sto hasłów buja w powietrzu i głuszy się nawzajem; sto imion, sto zamiarów wcielonych w głos, ulatuje po nad walczącymi, miesza się w nieładzie; żadne wygórować nad resztą nie zdoła, i wreszcie wszystkie opadną w dół na martwe głowy tych, z których ust wyszły. Głucho — samotno — chyba że słychać jeszcze pluskanie krwi z żył trupów.

Takie codzień po całej Rusi odbywają się boje. Rozsypała się już wieża Babilońska Dymitra, a jeszcze ci, którzy ją dźwigali nie mogąc dać sobie pokoju, rozbiegli się na jej gruzach, miotani szałem, to sławy, to plonu. Ten, który dziś naspętał więźniów gromadę, jutro poczuje ręce krzepnące w kajdanach nieprzyjacielskich. Ten, co dziś tratuje po ciele wroga, jutro

sam dostanie się pod czyjeś podkowy i stratowan będzie. Cieszą się całą noc marami państwa; o brzasku już odleciały, a samym głód dokucza lub miecz wisi nad głową.

Tak wyginął cały ród bohaterów!

W ich ślady mało kto już ważył się wstępować, bo w tych śladach krew czarna krzepnęła i prochy z starych buław książęcych leżały. Zdawało się, że już usypiają bałwany tej powodzi, która z polskich równin wylała się na moskiewskie błonia; bo jedne wyschły, drugie cofnęły się w zad od tłuczonej nadbrzeży, kiedy krzyk usłyszano podobny do tych, które ucichły niedawno, grożący burzą, krzyk męża wyciągającego szablę w własnej sprawie. — Z tej szabli mojej tak cienkiej musi wylecić dla mnie królestwo. — I wnet ujrzano jak mołodców hufiec pędził ku wschodowi za wodzem i niewiastą przecudnej urody, trzymającą dziecko w ręku, nad siodłem rączego rumaka.

Właśnie w tym samym dniu dzwony cerkiew Moskwy, rozrywały chmury swojemi brzękami, bo syn Filareta tron Kremlinu zasiadał, wśród Bojarów krzyżem leżących.

Ten krzyk nagły z dziarskich piersi wypuszczony wpadł im na głowy leżącym, a w uszy młodemu Carowi:

— Kto, zapyta, mięsza naszych państw spokój? —

Ej! Carze, to Igar Sahajdaczny Zarucki, to wódz dużej ręki, rozkochanego serca. On czekał długo, póki padną wszyscy rówiennicy w około niego, póki nie zostanie na stepach i w miastach Ruskich nikogo, coby śmiał zajrzeć mu w oczy; bo takich było kilku przed laty, ale dziś kiedy sam się zobaczył panem nad trumnami Rożyńskiego, Sapiehy, Strusia, Aleksandra z Lissowa, po odwrocie Chodkiewicza i Żółkiewskiego, ostatnim człowiekiem z pokolenia, co rodem z Polski żyjąc wśród pożarów i bojów przeszło prędzej od pokoleń ludzkich, ale też głębsze ślady za sobą zostawiło niż zwykły ludzkie pokolenia, puścił cugle na grzywę koniowi i popędził w zawód, na którym groby poprzedników służą mu za słupy drogowe. Nic go nie wstrzyma póki wróg stalą nie osadził mu serca; bo dumny, że sam jeden został na starym pobojowisku, świeżą krwią odmłodnieć go pragnie, wierząc głęboko, że gorączka, która nim rzuca, jest przeznaczeniem nieba; a z resztą

przestałby i na tem, że to chęcią Maryny, tej Laszki cudzoziemki, niezmożonej trudem i klęskami, która dotąd z pychą rozpamiętywa dzień, kiedy jej i Dymitrowi mężowi cała Moskwa przysięgała na wiarę. Ku stepom, ku górom, ku Azji leci więc z dobytą szablą, a pochwa gdzieś się osunęła i w biegu zgruchotały ją końskie podkowy.

VII.

Kto i razu nie oglądał miasta panującego nadbrzeżom Kaspii, ten chyba sny miał okazałe, ale przepychu nie widział na jawie; niechaj więc porwie za kij pielgrzymi i pójdzie oczy nacieszyć przed śmiercią!

Wołga jak matki ramionami obtacza Astrachanu mury i u piaszczystych piersi go trzyma. Z pomiędzy jej nurtów podnoszą się duchy, nad niemi królują wieże, minarety, półksiężyce pogan i greckie krzyże, a kiedy słońce o południu jaśnieje, owe blachy srebrne i złote żywym ogniem płoną, rzekłbyś, iż nad każdym gmachem zawisł meteor nieba!

A po ulicach, korytach, rynkach, dzieci stref rozmaitych biegną, w łódkach płyną, gwarzą, krzyżują się tłumnie; owdzie Tatar z Aidoru przesuwa się w czółnie, z roztwartym kaftanem, z wartkim wiosłem, któremu żaden z innego plemienia nie podoła. Tam Gheber z pasem narodowym na piersiach gibko przemyka pomiędzy ciżbą i wchodzi do świątyni, kędy wieczne płomienie goreją. Perskie kupcy w deliach stąpają poważnie, zamyśleni, głaszcząc sobie brodę, odwracając się groźnie kiedy Turka spotkają o białym zawoju, o kindżale przy boku, szemrzącego modlitwę do proroka; owdzie na krużganku stoi Hindus z Lahoru, słodycz zarzące oczy mu cukrują, rysy twarzy prześlicznej łagodności, zaciągnięte miedzianą barwą, w jednym ręku trzyma jaśminu gałązkę, w drugim złote medale, na kwiat i na złoto spoziera uprzejmie, aż zda się, że omdleje z roskoszy. Wszystkich hord Tatarzy spotkali się tutaj. I owi co w rozsypkę po wnuku Tamerlanowym się rozbiegli, i ci, którzy

osiedli w Krymie, by hołdować Sułtanom, i ci, którzy dotąd wolni paszą konie piołunem stepów. Greckiej wiary ludzie, wielkiego państwa moskiewskiego syny, przechadzają się dumnie jako chrześcianom i panom godzi się w obec pogan i poddanych. Ich kościół brzmi dzwonami i jaśnieje przepychem, a zatknięty krzyż na nim, wyżej od wszystkich minaretów sięga w powietrze. — Rzadziej zdarzy się spotkać człowieka przybyłego od krain zachodu. Czasem jednak przejdzie po rynku wyspiarz z owej ogromnej wyspy zamorskiej, w czapce z piórami, z wstążkami u trzewików, z szpadą u boku, krokiem sążnistym, nie spiesznym jednak, patrzący przed się, a niekiedy w około, lecz już wtedy z nieużytą dumą. Włoch też uwija się po ulicach, wymokłej twarzy, z ognistemi oczyma, z koturnem na nodze, z sztyletem zatkniętym u brudnej koszuli; a na odnogach Wołgi, które wciskają się do miasta, poznasz Wenecjanina po kształcie łódki, którą sobie przypomnieć chce adrjatyckie mielizny, po czarnym płaszczu, po złotym łańcuszku na szyi, a najbardziej po zmarszczkach, które chęć zysku i bojaźń ojczystych sądów na czole wyryła. Niekiedy na zakręcie kanału ozwie się dźwięk gitary i wschodnich grzechotek, czasem też zabranią cymbały i naczynia ze śpiżu, o które biją wonnemi różczkami Iranu dziewice. Śpiew rozlega się czasem w portykach domów, ciągnących się nieprzejrzanie, przepychem azjatyckim wystrojonych. Pomiędzy niemi tu i owdzie stoją chaty Tatarów, okute szynami żelaza, panów koczujących drewniane namioty wśród stolicy bogactw i handlu. Zewsząd powiewają spuszczone kobierce. Zda się, jakby od krużganków, od okien, leciały hurmem kwiaty i zatrzymane kołysały się w powietrzu — nad galerjami, nad płaskiemi dachy, rozciągnięte opony z jedwabiu, pomiędzy ich rysunki i hafty, promienie słońca biegają, gdyby wśród ogrodu pełnego róż i motyli, a ogrody i winnice zielonym wieńcem okrążają miasto.

Świat to z tysiąca kolorów i uczuć złożony, pełny życia, brzmiący setnemi języki; okazała tęcza wszystkich narodów Azji, jaśniejąca wiecznie nad falami Wołgi, od reszty ziemi pustyniami odcięta i morzem.

Ale czem są pustynie, kiedy lotne rumaki mołodców spra-

gnione, kurz miasto wody piją, i lecą dalej z wodzem na czele; wpław tumany piasku przepłynęli, Tatarów i Moskali rozbili, na ich trupy nie oglądali się nawet i nad Wołgą stanęli. —

Tu Sahajdaczny kazał ściągnąć wodze i odpocząć ludziom swoim; potem spoziera ku północy, zkąd Wołga płynie i czeka; nie długo czekał, bo tam gdzie nurt rzeki miesza się z oddalą, zda się, że czarna chmura przysiadła na wodzie i nie roztapiając się w niej, pędzi jak gwałtowna burza.

Im bliżej tem prędzej bieży, aż słychać jęk fal. — To czajki nasze! — krzykną kozacy. —

Wódz nic nie odpowie i skinął ręką, by zachowali milczenie. Potem zbliżył się do lektyki przesłonionej kosztownemi firanki, nad którą korona Carów z szczerego złota się wznosi i odsunął boczną zasłonę.

— Hospodarko — rzekł.

A ona obudza się ze snu i w rozmarzeniu jeszcze, blaskiem kopuł na przeciwnym brzegu olśniona, pyta się, czy to Moskwa i Kremlinu szczyty.

— To nowa twa stolica, królowo Azji — odparł Hetman i wskazał na wody okryte czółnami, w tej chwili wzrok jego pałał dumą zdobywcy i szczęściem kochanka.

— A więc każ Waszmość do szturmu, bom strudzona podróżą wśród piasków i w pałacu odpocząć mi trzeba. —

— Słońce ku stepom się spuszcza, ale mniejsza o to: Astrachan moim dziś będzie — krzyknął Zarucki i ku swoim zdąża.

Ze statkiem doświadczonego męża dawał rozkazy nie zbyt wyniosłym ale stanowczym głosem: każde jego słowo głęboko zapada w pamięć towarzyszy; nie długo też przemawiał, bo tyle bojów razem przewalczyli, że oni już teraz wprawili się do jego chęci i celów.

— Jak tylko wpadniecie a już mrokiem, podpalić dom jaki u wnijścia, pierwszy lepszy byleby gorzał jak smolna beczka na stypie; przy nim snadniej obaczyć, izali nieprzyjaciel zginął na prawdę lub dyszy jeszcze. Łupy sam wam rozdzielę, a znacie mnie, żem sprawiedliwy. Tej pierwszej nocy nie tknąć mi się ni dziewki ni wina, ale strzedz się zasadzek i rąbać dopóki sił stanie. Starcom, dzieciom i białogłowom zda się przepuścić, przecie my nie Bisurmany. —

Potem wsiadł na czółno i podobnie mówił do nowo przybyłych. Lektyka złocona kołysze się już na Wołdze, przy niej on stoi — to czasem spojrzy na Marynę, to znów spogląda na szyki swoich: konie ze spętanemi kopyty zostawili na brzegu, jutro jeśli Bóg da, po nie się przeprawią, a one skaczą i rżą za odpływającemi jeźdzcami.

Na wyspie przed niemi, w zmierzchu gmatwają się Astrachanu wieże i mury dziwacznie się łamią, to wyskakując, to cofając się w tył; słychać brzmienie wieczornych modlitw, gdzie niegdzie światło zamignie, to lampa wejdzie na szczyt minaretu, to latarnia gdzieś błyśnie na wieży, z nad okolicznych trzęsawisk mgła się podnosi i leniwo wlecze się w górę; na brzegach wicher się zakręci i wzbije tumany białawego kurzu — gwiazda zalśni wśród błękitu, poniżej meteor przeleci nad wyziewami; choć robią cicho wiosłami, czasami się pożali uderzona fala. Niekiedy pomiędzy tyluma zbrojnemi, chrzęst pancerza się ozwie, szmer takowoż słychać, złożony z przytłumionych głosów, podobny brzękowi owadów nad błotami; czółna się zetrą z sobą w pędzie i stukną, na każden z tych odgłosów rysy wodza pomimowolnie zadrgną, bo jemu dreszcz biega w piersiach jak młodzieńcowi, który się skrada pod okno lubej kochanki.

I zbliżyli się do wyspy: już mielizny podchwytują spód czajek i one więzną w mule. Wtedy z owego milczenia, zgodnie, razem, wydobyło się ogromne «hurra» które nad wodami się rozległo i pędzone wichrem uderzyło o mury Astrachanu.

Wnet cała tłuszcza wali się ku miastu, wśród kilkunastu zbrojnych statków została lektyka, a wódz pożegnał jej panią, obietnicą zwycięstwa i poszedł do walki; nie uszło chwil kilku aż tu buchnie pożar, Wołgę ozłoci, niebo łona rozkrwawi; ogień to wesela, przy którym hasają mołodcy.

Kopuły, księżyce, krzyże, jako gwiazdy mordu, czerwono zabłysły nad miastem, między niemi pędzą kłęby dymu, które je przesłonią, to odkryją na przemian. Burza to pełna dziwów między niebem a ziemią; poniżej czarne postacie pląsają wśród płomienia, co chwila znikając jak duchy, to znowu wracając na widok, podług tego jak wicher przesłoni ich kurtyną z popiołów, lub obwiedzie kręgiem z ognia. Wciąż grzmi wrzask na-

jezdników i nie daje krzykom broniących się, jękom rannych przedrzeć się aż do uszów Maryny, która stoi na przodzie statku otoczona swoim dworem, starając się utaić wzruszenie, udając męzkie oblicze, by nikt nie wątpił, że zrodzona do berła. Czasami jednak zadrżą jej kolana i słabe westchnienie wymknie się z piersi. Królowa twoja, o Astrachanie! płacze nad tobą, pierwszej nocy panowania swego.

Wtem z pośród wyziewów drzemiących nad zatokami Wołgi, od morza nagle się ukażą i suną po wodzie jak mary po darni smętarzów, na odsiecz miastu znać spieszą majtki wracające z kaspijskich połowów; a że miasto już płonie, by zemścić się wprost pędzą ku czajkom Carowej.

Wtedy ona do mołodców się odezwie, bez drżenia, z powagą i wdziękiem niewieścim pospołu; kazała podać sobie kolczugę i zarzuciła przez piersi jakby chustkę jaką — i stanęła pod koroną złotą, przy śpiącym synie; pośród błyskawic lecących od pożaru zaczęła się walka; ale wnet zupełna ciemność walczących ogarnie, to znów łuna ich oświeci.

Ale na czajkach kozackich błysnęły gromnice — straszne to gromnice, od których dalekiego połysku Stambuł drżał nieraz, matki tysiąców iskier i wężów z płomienia skaczących do oczu, pełznących po drewnie i żelazie, niezgaszonych niczem. Z rąk mołodców wyrzucone, spadły na pomosty rybaków i pożar na falach Wołgi syczy i bucha w odpowiedzi na szumy pożaru, którym Astrachan płonie.

Cała przestrzeń się rozwidniła — słupy dymu nad wodą się wzbijają. — Wicher gwiżdże pośród masztów i lin, coraz wyżej coraz szerzej pcha ogień, który wdziera się od pokładów, liże krwawymi języki białe żagle i na perzynę je rozmieca. Tymczasem mołodcy przyklękli na swoich łodziach, ale nie do modlitwy, choć milczą tak uroczyście jak przy podniesieniu Bożego ciała. Milczą i celują, razem wypalili, świsnęły kule; słychać jęki z razu; czarny kadłub tu i owdzie pluśnie w nurt i pójdzie na dno. Nastąpiła cisza głosów ludzkich na przeciwnym okręcie; nie wyginęli jednak do ostatniego; ale ci, którzy zostali przy życiu, niemieli z przerażenia. —

Ich wysoki okręt na wolę Wołgi i wiatru się kręci już ludzkie ręce nim kierować nie zdołają, bo maszty węglami się

stały, płótna w dym poszły, na około niego jak drapieżne ptaki, krążą małe czajki, usuwając się zręcznie i nagle z pod walących się belek i masztów, a jak tylko owa zawieja przeleci, wracają do szturmu. Maryna ciągle rozdawa rozkazy, tysiączne blaski łamią się w pierścieniach jej kolczugi, kołpak z ukosa leży na skroniach, pół tylko włosów zakrywa, reszta buja sobie wśród iskier i burzy. Ktokolwiek na nią spojrzy, radby rzucił się do stóp i uczcił panią, a potem skoczył ku wrogom i dał gardło w jej sprawie, by jutro nad tem pięknem czołem weszła korona.

Po łoskotach i po jękach wielu, łatwo poznać, że nieprzyjacielskiego okrętu ostatnia dobija godzina; na pół zgorzałe ciała czołgają się na pomoście; czasem dym się przerzedzi i widać oczywiście ostatnie podrzuty umierających. Wtem zerwał się wicher ogromniejszy niż przedtem i popędził palący się ogrom precz od czajek. Jako piramida z ognia wirem się kręci i odsuwa, od jego boków leją się strugi roztopionego ołowiu i z głuchym szumem padają w wodę; słychać też po niejakim czasie, jako wpędzony na brzeg rozłamie się do szczętu. Jeszcze kilka czołen od niego błąka się po Wołdze, bez wioślarzy, bez sterników, jako męczenniki dawne, zataczające się po drogach z wypalonemi oczyma.

Wtedy czajki znowu skupiły się na około Maryny i stoją w milczeniu; wszystkich oczy zwrócone ku miastu, ale dym rzucił zasłonę między miastem a nimi. Z za tej opony słychać wrzaski i szczęki; niekiedy strzelbę i łoskot walących się murów, ale nic nie widać — niewieścia niecierpliwość przemogła w Marynie — ręką znać dała, by płynąć ku miastu. — Już późna godzina, za długo u bram naszej stolicy stojemy — rzekła z uśmiechem i poprawiać zaczęła rozwiane pukle, głaszcząc je i trefiąc, jakby na gody spieszyła. Wpłynęli w dym i zniknęli wśród niego.

Owóż jest wam powinszować czego Igarze Sahajdućzny Zarucki, żeście w tak przeważnej potrzebie górę wzięli i pod swoje stopy cisnęli miasto najwspanialsze po Moskwie, wznoszące się wśród pustyń jako czarodziejskie zjawisko. Dobrze wam tu odpoczywać będzie po trudach i jedwabiem perskim i muślinem Indyi znój obcierać z czoła. Ale gdzież się podziało

to plemię, które niedawno skakało i połyskiwało wzorem lubieżnych jaszczurek po twoich ulicach Astrachanie! — Dziś wśród zgliszczów leżą pomięte winnice, a z nich dym czołga się w niebo nie już kłębami ale niciami, jak zwykle bywa nad spalonemi gmachy, w których głębi tleją węgle jeszcze, przysypane gruzem i deszczem przemiękłe; na rynku obcy żołnierze od progów Dniepru przybyli, ciągną na los szaty twoich mieszkańców i twoich domów obicia, a w sali zamkowej zdobywca rozdaje kosztowności towarzyszom; twojego wojewodę spętanego w łańcuchy kazał stawić przed sobą; biada jemu, bo nie umiał zginąć jako na walecznego przystało.

Przez okno widać rozwaliny, przeszłej nocy dzieło, i pół miasta i Wołgę w oddali; na podłodze tarcze, sajdaki, spisy, włócznie, hełmy, zawoje, siodła perskie, rzędy płonące od rubinów, leżą w nieładzie, a między orężem i zbrojami połyskują tu i owdzie szaty niewieście, welony gwiazdkami przetykane, naramienniki, wachlarze z drogich piór, futra, kobierce, makaty, roztruchany ze srebra, misy, dzbany miedziane, meszty wschodnie, zdarte z cieniuchnej nóżki oplatane kwieciem ze złota i kwieciem z jedwabiu; bursztyny, kanaki, korale. Pośród owych łupów to walających się na posadce, to ułożonych w stosy, siedzi w krześle wódz mołodców, otoczony swojemi i patrzy z pogardą na jeńca, który stoi przed nim wśród strażników z głową schyloną, ze spuszczonemi ramionami, bo je ciężar kajdan ciągnie ku ziemi.

Grek to, co się urodził żebrakiem na Archipelagu wyspie, a spanoszył się na dworze Carów i wczora jeszcze panował nad Astrachanem jak trzytulny Basza. W oczach tleje ostatek piękności naddziadów, ale na twarzy wśród pryszczów od wina i zmarszczków lubieżności, lata bojaźń śmierci. Dotąd suknia wojewody na nim połyska, wprawdzie jej hafty rozerwane, podziurawione rękawy; pas osunął się na piersiach z zgruchotaną klamrą turkusową, czarne włosy kręcą się nad czołem zkąd zeszła pycha: ona do tego czoła już nigdy nie wróci.

Zarucki namyśla się w milczeniu, rysy z początku surowe wypogodniały, znać że litość czy wzgarda, przemogły nad prawem zdobywcy, nad zwyczajem owych wieków. Już usta

się jego roztwierają, wnet wyrzeknie, by jeńca wypuścić. Wtem spojrzał przypadkiem na poduszkę przy krześle, na niej leży jego bułat, karacena i kołpak się wznosi, czarny, stalowemi obszyty pierścieniami, sobolowym rąbkiem obwiedzion, nad którym świeci topaz w złoto oprawny — i u owej klamry dziwnie wygląda zatknięty kędzior jakowyś, spiekłą krwią i brudem zmazany.

Wyrwał go syn stepów i skoczył z siedzenia, w pochmurności czoła zagasł już wschodzący nań brzask miłosierdzia; pomiędzy łupami przechadza się żywym krokiem deptając zawoje, szaty, klingi, mnie w dłoni sierść ową i ciągle milczy wśród towarzyszy, którzy zadziwieni i przelękli usuwają się przed nim.

— Widzieliście, wreszcie zawoła, widzieliście sami jako rącze były na suchym i na mokrym polu, w trzęsawiskach nie grzęzły, ale z kępy sadzały na kępę, w nurtach rzek pływać umiały, gdyby dzikie wydry. Iwanie, byłeś ze mną, kiedy Istambuł uniósł mnie z pożaru Kołomny, wszak on potu nie żałował wtedy, by ocalić pana; od dymu i iskier nie odwracał nozdrzy. Leciał na zabój przez płomienie i rżał z odwagi. — Tu się zatrzymał i zdał się szukać kogoś wśród stojących kozaków. — A ty Sobolewski, mówił dalej, wskakując na jednego z nich, służyłeś mi za giermka w owej potrzebie z Achmetem Gierajem; pamiętasz li jako biedna Giemza dokazywała podemną. Trzy razy wskroś przez rzędy Bisurmanów przebiłem się wtedy, a zawsze tak chyżo mnie niosła, że czasu nie miały ich oczy dobrze mierzyć, ich dżyryty dolatywać mnie. A mur on wysoki na uboczu łąki zielonej, dobiegła, przesadziła, spadła na wszystkie cztery kopyta, parsknęła i biegła dalej. A dziś, z nich obojga białe kości na brzegach Pratwy — przeklęta owa noc, owa pogoń, owe Tatarskie pacholę, przeklęci Moskale niewierni Marynie, zmienniki, służalce Michała popowskiego syna, oni mnie pozbawili najlepszego konia, najlepszej klaczy mojej! —

I tu przestał, po chwili się odezwał, ale już gwałtowniej.

— Ja wam powiadam, sluchajcie mołodcy, słuchaj i ty Greku choć nie rozumiesz i słowa, boś nigdy nie bieżał po stepie, jadłeś, piłeś, ssałeś winograd na sofach. Ja wam powiadam,

że już nigdy nie zobaczycie nic równego. Jako psy do mnie przywiązane były; a jaka maść, a jaki polot ogona, a jaka falista grzywa — oczy gdyby węgle, szczery ogień buchał z nozdrzy. Istambuł miał gwiazdkę białą między uszami, ale Giemza cała czarna była; kiedym świsnął przybiegały do mnie, kiedym pogłaskał z radości tarzały się w piasku, a krzyknąć, to klękały, by łatwiej wsiąść było; nie raz, ale sto razy ostrzegły mnie rżeniem, że nieprzyjaciel za borem, za wzgórzem, w borze; nie raz, ale sto razy życie im winienem. Cóż powiecie na to? —

Nikt nie śmiał się ozwać. — A ja wam powtarzam, że lepszych rumaków świat już nie zobaczy. — To mówiąc porwał za puhar z kryształu, stojący wśród łupów i rzuciwszy o ziemię, roztłukł na drobne kawałki.

Przysiągłem owej nocy, odpływając na łódce przed patronem moim Św. Igorem, że Bojara moskiewskiego gardło przypłaci śmierć Istambuła i Giemzy: wojewoda astrachański za Bojara ujść może. —

Umikł i zdawał się dumać głęboko; kiedy po czwarty raz się ozwał, znać było drżenie w głosie. — Chciałem przebaczyć. — Tu przez chwilkę mowę i oddech zatrzymał: — Żołnierze, prowadźcie go na śmierć. —

Zemdlonego wynieśli z komnaty; a wódz niepewnym kro kiem poszedł ku siedzeniu, sierść z grzyw końskich na nowo zatknął u kołpaka, ale zatłoczył głębiej, pod klamrę, by już nie wyzierała więcej.

VIII.

Przez całe lato gody w Astrachanie odprawiali mołodcy; czasem na wycieczki wylatują, lecz nie długo bawią, z plonem i moskiewskiemi głowami wracają; plon dzielą między siebie, głowy pokażą Sahajdacznemu, potem w Wołgę rzucą, zawiesiwszy kamień u szyi, miasto kijowskiej relikwji, która gdzieś, na pobojowisku została. W pałacu, na wzgórzu zielonem, nad

rzeką, przesiaduje pan i pani. Tak bowiem ich zowią od zdobycia Astrachanu.

Po salach, po galerjach, nieraz widziano jako się przechadzała Maryna oparta na ramieniu Zaruckiego, jako on do niej przemawiał już nie kłaniając się jak dawniej, jak ona odpowiadała bez zwykłej dumy. A jednak w owym żołnierzu, który więcej nocy przespał pod niebem niż pod dachem, który w obozach ssał pierś mamki, nauczył się imienia Boga i mordowania ludzi, pozostało uszanowanie dla piękności, która w nieszczęśliwej godzinie powierzyła się jemu.

On, choć dzisiaj wszechwładnym jest panem w Astrachanie i rozkazów żadnych już nie słucha z ust, które niegdyś krótkiem witały go i żegnały słowem, a później do jego własnych się zbliżyły; choć wie dobrze, iż imię Carowej jest marą bez znaczenia, choć mógłby koczujących wojowników obyczajem znudzić się jej wdziękami i wypowiedzieć jej wierność, a nikt by się za nią nie ujął; dotąd jednak słucha jej słów jako dawniej bywało, kiedy w pokorze zbliżał się do tronu Dymitrów. Dotąd namiętnem spojrzeniem roskoszuje w jej licu i gotów zapomnieć o chwale i łupieży, byleby zyskać uśmiech dziękczynienia i słowo miłości.

Przepych wschodu ich otacza. Sułtańskie sofy i wezgłowia, kobierce Seraju, najrzadsze kwiaty, kamienie, konchy, perły na około błyszczą. Światła się palą w wazonach z przejrzystego alabastru i barwę roskoszy po ścianach rozwodzą. Makaty tkane w kwiaty ze złota i srebra, kształtnie się fałdują u okien i u drzwi; z piór ptasich u sufitu rozwieszona tęcza; na stole całkie krzewy róż i jaśminu, a w ich cieniu napoje azjatyckie, owoce, śniegiem zaprawione cukry, archipelagu wina; po kątach palą się w misach pustyni balsamy; u stóp Maryny walają się porozrzucane po jedwabiu i atłasach korale, wachlarze, naramienniki i muszle.

Gdzieś w dalekich salach odzywa się muzyka, której tony wpływają do komnaty i jak ostatnie fale u brzegu, zwolna pluskając dźwiękami, umierają w jej i Zaruckiego uszach; owym nótom nic nie zrówna w słodyczy; a jednak jest w nich siła ukryta, co powoli jak krople wieczornej rosy, których się nie czuje, wsiąka w mózg i piersi, pierwszy za-

wraca, drugie mdłą roskoszą rozlewa; przy nich dziecko płakać przestanie i uśnie, a wojownik szablę upuści na ziemię; przy nich pamiątki przerabiają się w poezję, chwila teraźniejsza staje się wszystkiem, a o przyszłość się nie dba; bo gdzież już szukać milszej nadziei nad to, czem teraz napawa się serce? Aż wreszcie człowiekowi zacznie się marzyć o harfach aniołów i zachce się konać. —

Przy takowych dźwiękach wódz mołodców opowiada swoje wyprawy, zwycięstwa i klęski; jako na lipowej czajce przesuwał się między Dniepru wiry i śmejąc się przepływał nad bezdennym grobem, skałom się umykał i z fal przeskakiwał na falę, przy grzmotach gromów lejących się z wysoka. Jako na szerszej łodzi Morze Czarne nawiedzał i żagle rozdarte od burzy w odłamkach padające widział w około siebie, a jednak płynął dalej z janczarką w prawej, z lontem w lewej ręce, a przybiwszy do brzegu, wsie palił niewiernym i zdartemi z turbanów szalami pierś gołą obkręcał; jako do boju sprawiał roty swoje kiedy wodzem został i na czele ich z bułatem nad głową pędził w sam środek nieprzyjaciół. Pożary miast ludnych, odwroty o głodzie i zimnie, kiedy co krok w słupy przemarzali towarzysze, a on chuchał w palce i śpiewał dumkę stepów. Gonitwy po stepach na rączym koniu, przy świście wichru i targającej się burce u szyi, w nocy, kiedy gwiazdy jednej nie było w górze ni robaczka jednego świętojańskiego na ziemi, tylko piasku tumany, a czasami trzepotanie się wrony nad głową, w oddali skowyczenie wściekłych wilków. Pochody w bagnach, kędy murawa nad topielą zwodzi żołnierza, grunt trzęsie się za każdem stąpaniem jakby zapaść się miał, woda zielona i żółta dyszy pomiędzy kępami, na których leżą gadziny, serdecznie splecione z sobą. Rozpaczne szermierstwa z napotkanemi wrogami z potu i krwi niemałym przelewem; ran odniesionych boleści; nudy leż długich podczas niemocy, mdłości w konaniu, bo on już kilka razy konał to w lepiankach na słomie, to na polu bitwy między trupami. Trudny powrót do życia nim siły znów się zjawią i konia się dosiędzie; a wtedy na nowo gody i uroczystości przy buchających płomieniach wśród szczęków i łoskotów, krzyku i tententu za sztandarem

powijającym w powietrzu; dniem i nocą szturmy, harce, błędy, owdzie chwały, owdzie złota dla siebie, a obroku dla rumaka się nabędzie. Tu zginie przyjaciel, tam kochanka się zdarzy; a niebezpieczeństwo w każdej chwili, a roskosz idzie za niebezpieczeństwem, bo wtedy dreszcz luby gra po sercu, drażni piersi, poddaje mocy i pędzi wśród zgliszczów, w pław przez rzeki i piaski na zabój środkiem hufców, zawsze naprzód. Takiem życiem bodajby żyć wieki całe i nie umrzeć nigdy, mogąc umrzeć codzień. —

Podczas tych słów twarz jego pałała uniesieniem — a jednak nic nie było dzikiego ni w mowie, ni w tem uniesieniu; ani razu nie spojrzał wzrokiem, którym patrzał w bitwie lub wśród pożaru; ani też głos się nie wznosił do owych ryków, któremi oznajmiał wolę swoją na pobojowisku; ale patrzał i mówił jak bohater, który skromnie opisuje swe czyny, jednak ciągle wie, że mało ludzi tyle razy życie ze wzgardą na łup śmierci rzuciło.

Maryna słucha ciekawie i podoba sobie w bezdrożach lasu, po których błąkał się Zarucki; w niej samej zarazem tysiąc pamiątek się budzi. Dumanie rozwiodło łagodną barwę po jej licu i czoło krasi wdziękiem niewieściej słabości. W oczach zjawiają się spojrzenia świętością nieszczęścia zamglone i tem ponętniejsze, iż w nich ciągle błyszczy ogień żywej duszy, która tyle cierpień przebyła, nie żaląc się nigdy, nie spuszczają nigdy z swojej hardości, aż dopóki wśród kwiatów, kadzideł i harmonijnych dźwięków upamiętała się w swoim statku i rozczulić się dała.

Ku wodzowi który ją uniósł z więzienia, który dotąd jej broni i służy, wzrok i serce zwróciła; niestety! i pierwszy Dymitr podobnie kwitł przy jej boku odwagą i szczęściem; podobnie i w jego objęciach marzyła, że całe życie będzie dla niej okazałą uroczystością, a nie podróżą z gruzów na gruzy. A gdzież się podział ów potężny mocarz? gdzie się podział ów drugi, który chciał stąpać jego śladami? proch z nich obu dzisiaj, a z Igorem może to samo będzie, bo jemu ta sama przyświeca gwiazda, co wiodła tamtych, gwiazda nieszczęścia i dumy!

Na ten ostatni wyrzut sumienia zbladła wojewodzianka San-

domierska i wyciągnęła ręce ku Zaruckiemu jakby przerażona, chciała tulić się do niego; jakby udręczona chciała głowę schylić na jego piersi i wstyd swój przed Bogiem zakryć; on jej odpowie westchnieniem; dziwnem było to westchnienie, wydobywające się z jego szerokich piersi.

Ale bo też w owem twardem łonie, na którem każdy pierścień kolczugi znak swój wygniótł od dawna, bije serce, którego krew i bitwy same zaspokoić nie zdołaja. Trzeba mu chwil odpoczynku i chwil roskoszy. Któżby wierzył? w oczach wodza mołodców łza nabrzmiewa i pada na rękę ulubionej; on niby się jej wyrzec chce i marsem spoziera w około, aż tu druga równie cicha i niespodziana zaszklni źrenicę, znów spłynie po licu, zatrzymując się na zmarszczkach trudami wyrytych, zsączając się w bliznę od tureckiego bułata i miga na twarzy jak kropla rosy na zgliszczach pożaru.

Smętność wkrótce jednak inne myśli przerwą i wodza znowu pyta się Maryna, kiedy zamierza wracać w głąb Moskwy, by osadzić ją na tronie Carów.

A rankiem biją przed niemi czołem Hany pustyni i perskie bogacze. Zarucki rozsądza sprawy, tego na śmierć, tamtego na życie w łańcuchach skazuje. Rozdaje towarzyszom ziemie i domy, siodła i rumaki. Sam zaś obok lubej płynie po Wołdze, na statku obitym złotemi kobiercy i miasta wały nawiedza; to w mieście przechadza się pod baldachinem jako na wschodniego króla przystało.

Czasami także na zamku palą się tysiączne światła i brzmi muzyka; nie owa pełna słodyczy, dolatująca uszu jak dźwięki w śnie wymarzone, ale huczna, wszystkie przejścia, altany, galerje, portyki zapełniająca; a jeszcze jej nie dosyć, bo i po dziedzińcach się rozlega, mury przeskakuje, i dopiero kona z jednej strony na kopułach minaretów, z drugiej na falach Wołgi.

Wtedy niewolnice zdobytych haremów tańcują przed tronem pana i pani, każda podług obyczaju swego, każda w stroju swej ojczyzny, skąd złotem przepłacone wdzięki przyniosła nad brzegi Kaspii na łup wyznawcom proroka. Świeże jak róże Edenu, z okiem rozżarzonem wiecznie, kołują, splatają się w wieńce, to rozrywają swoje szeregi. Lica niektórych

dotąd świeżość niewinności krasi, inne już poznały co roskosz i nadal roskoszy tylko żądają; ona je przepsuje, przepali, na zgniliznę i popiół rozsypie; ale długo jeszcze będą pięknemi, a dziś żaden kwiat zachodniego świata nie zrówna im w postaci, lekkości, urodzie. Po tych błękitnych kobiercach, wśród owych makat lazurowych snują się nieprzerwanie: ich muślinowe szaty trzepocą się w około ich kibici jak skrzydła u ramion aniołów. To chmury letnie przesuwające się wśród błękitu, thane w słońca połyski! — Raz osobne płyną, niby błądzą w niepewności aż się zjednoczą i mgła różnofarbna z nich powstaje wśród sali. To burza promieni, uśmiechów, puklów, szarf, welonów, skupiona, razem pędzi na skrzydłach wiatru, lunie deszczem róż i myrtów, zagrzmi dźwiękiem strun i głosami fletów, wreszcie opadnie u stóp Maryny i rozprysnie się w tęczę jasności od jednej ściany do drugiej. A niekiedy z kosztownego puharu popija Sahajdaczny wino zaprawione wonią i słodyczami; bo mu trosk brzemię cięży na sercu i nie dosyć tańców, lamp, muzyki, by ta pierś hartowna pamięć stracić mogła na chwilę. Trza napoju by mózg przewiercić do dna, a wtedy lepiej mu patrzeć i słuchać. Wie on bowiem, że bliskie niebezpieczeństwo i jego uniknąć nie raczy, choć nie ma nadziei, by go odwrócić mógł lub pokonać, jak tyle razy zdarzało się naprzeciw niemu; wczoraj jeszcze goniec przyleciał i padł z koniem na bruk pałacowego dziedzińca, a dobywając ostatniej siły, wyrzekł. — Zbliżają się wrogi twoje Igorze — i koń i jeździec rozciągnęli się raz jeszcze konając, a potem już leżeli bez ducha. —

On byłby dawniej porwał za szablę, zawołał na swoich: — do siodła i zbroi — i poszedł wprost naprzeciw burzy dla sprobowania losu. Dziś równie śmiały — ni go lata ni wczasy nie garbią ku ziemi; ale już nie ufa szczęściu. Dziwne przeczucie każe mu powtarzać po cichu: — ostatnie to chwile panowania mego. — Bo ludzie wyżsi nad gmin natchnieniem duszy lub czynami ramienia, bliższe mają spółkowanie z światem duchów i jego poszeptom wierzą głęboko. Zdarza się często, iż takowe przeczucie we śnie się urodzi; czasami we dnie przy blasku słońca, czasami wieczorem wśród tańców i muzyki, nie wiedzieć skąd zleciało, ale to pewna, iż rozgości się w duszy i z niej już

się nie oddali, dopóki się wraz z życiem nie rozemdleje, w chwili dopełnienia. I w tem przeczuciu jakowaś roskosz przebywa, niepojęta, pełna smętnego powabu; bo nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi; a dusza przywykła do niebezpieczeństw, nie lękając się zaguby, nim nadejdzie, pewna że jej uniknąć niesposób, to używa uciech życia z podwójnym zapałem, to z uroczystością gotuje się na śmierć, a pośród tych przemian, co godzina, co chwila, siła przeznaczenia mocniej ją krępuje. Nie tylko szczególni ludzie, ale całkie ludy w takowy sposób konają czasami.

Spiesz się więc, spiesz Igorze Zarucki nasycić oko wdziękami lubej; nacieszaj się przepychem i zbytkami wschodu, nie dbaj o to, że za kilka dni może, z owych bogactw i całego królowania twego jedna ci pozostanie żelazna koszulka. Bohatery są posłańcami przeznaczenia, wieszczami, których natchnienie wywraca miasta i wytępia ludy. Od kolebki do grobu siła ich pędzi nieznana, wszechmocna, której ani wrogi się nie mogą oprzeć w chwili zwycięstwa, ani oni sami w godzinie upadku; pospolitym ludziom przystało się trapić, kiedy śmierć przewidują, ale nie temu, który z wyższego zrządzenia umiera; a żył w taki sposób, że choćby legł w pustyni lub w głębinie morza, ztamtąd imię jego zmartwychwstanie jeszcze, by ziemię oblecieć.

A Marynie dotąd śni się o berle i Moskwie; niewieścia wyobraźnia żywszemi farbami świat wystroić umie i jeszcze wśród burzy, tęczę nadziei rozwieść po chmurach. W jej objęciach Zarucki innym człowiekiem, posępność z czoła mu precz uchodzi; w ramionach któremi kibić jej oplata, zdusiłby wszystkich wrogów swoich; ale kiedy przejdzie chwila uniesienia, kiedy nastąpi omdlenie roskoszy, wtedy znów czuje, że go śmierć czeka.

Żal mu jednak zamiarów, nad któremi wiele nocy przeczuwał i doczekał się białego ranka. Wreszcie chylił głowę przed Bogiem; dalej łudzić się nie myśli; dzieckiem na to, nie mężem być trzeba. — Do upadłego się bronić i upaść — oto jego ostatnia pociecha, bo w tej ostatniej walce rozwinie wszystkie siły swoje: poznają nieprzyjaciele jako lew oszaczony kona.

Już też i jesień nadchodzi. Słońce nie tak wspaniale krąży po niebie, wichry od Kaspijskiego Morza śpiewają hymn śmierci kwiatom i drzewom; fale Wołgi pienią się od wściekłości, w około Astrachanu piramidy piasku wznoszą się i przechadzają w pustyni, niby ruchome mogiły. Po zachodzie ogromna łuna widnokrąg rozpala, rzekłbyś, iż miasto wielkie goreje w oddali, meteory latają w powietrzu i rozpadają się na iskry czerwone. — Gmin tymczasem szepce o wróżbach i znakach, o powodzeniach i upadku mocarzy i wodzów.

IX.

Kozaków z Siczy i kozaków z Terku wyginęła moc. Da ostatniego bronił się Zarucki, wrzeszcie konia dosiadł i z hufcem mołodców zniknął w stepach.

Wojska moskiewskie zalały oba brzegi Wołgi. Astrachan wrócił pod panowanie Carów. Szein Nikomko Horbroków przywodzi owym tysiącom, które się rozbiegły za Zaruckim, za Maryną. Po pustyniach pędzą Tatarzy i upatrują śladów uciekających; ale nieraz z tej pogoni już do wodza nie wrócą; mróz jeźdzców i konie do ziemi przykuje.

Szwed który dał się namówić do dalekiej wyprawy, dotrzymuje jak może kroku zimie i z ciężką rusznicą brnie po śniegach, brnie w piasku pod spodem.

Moskale śmieją się i powoli stąpają; im nie mroźno, im dobrze, im doma wśród zawiei i śniegów. Zaludniły się puszcze; obozy co chwila przesuwają się po nich; wielbłądy stąpają z białemi namioty gdyby z skrzydłami na grzbietach; świstom wichru na przekór grają trąby i kotły. Pod szaremi chmurami błyszczą hełmy, tłum bród moskiewskich podobnych zdaleka do zgrai buńczuków posuwa się naprzód. Coraz głębiej zapuszcza się wojsko w manowce pustyni. Tak bowiem Car Szejnowi kazał, a Szejn przykazuje im teraz.

Ale też trupów niemało śladami ich lęże na śniegu. Kruki

i sępy tańcują nad niemi w powietrzu i rwą ciała na sztuki, wśród burzy, popijając śniegiem.

Nigdzie nie mogą wykryć śladu męża i niewiasty, za któremi się uganiają; wiatr co pląsa w pustyni, ślady owe zaciera. Zaraza szerzy się po wojsku, głód nastanie wkrótce, a zatem wódz każe stanąć, sobie szopę wystawić, przedniejszym rozbić namioty bojarom, nory w ziemi wykopać żołnierzom i pokryć je sitowiem, co po jeziorach tu i owdzie rośnie; a że na siłach opadł, kładzie się na skóry niedźwiedzie i rozmyśla jakby sobie i Carowi dogodzić.

Dzień minął, noc minęła, żadnego powziąść nie zdołał zamiaru: — Wyginą owe tysiące bez żywności i o takim mrozie; mniejsza o to — ale ja może gdzie padnę na piasku; lub jeśli ujdę zgonu, a wrócę z niczem, w domu zastanę niesławę co mnie u progu przywita; ale mniejsza i o nią; więzienia i gniewu Jego Wieliczestwa się obawiam; żadnych mi nagród nie będzie. —

A zatem zwołuje podrzędnych wodzów i Bojarów; oni stoją w poszanowaniu na około łoża, wśród ścian trzęsących się od wichru, obitych skórami, porozwieszanych orężem.

— Radźcie, wolno każdemu zdanie powiedzieć; przysłużycie się mi, a ja, wiecie żem u Cara pierwszy na urzędzie i względzie.»

Naciągną się twarze, najeżą się brody, słychać szelest szat, bo każdy rękę podnosi ku czołu i długim rękawem o rękaw sąsiada się zetrze. Radzą i rozważają jako każdy może; ów rozpacza i zmrożoną pokazuje rękę; tamten spuszcza głowę i mruczy pod nosem; najdzielniejsi uśmiechają się, ale uśmiechem zwątpienia.

Horbroków wstrzymuje gniew, ale znać iż wkrótce wybuchnie; więc kilku głos zabierają i wystawiają trudy które ponieść trzeba: —Nie słyszano nigdy nad brzegami Kaspii o tak ciężkiej zimie; nocy długie, gwiazd jak gdyby nigdy nie było na niebie, toż samo z księżycem. Tumany śniegu jak larwy szturmują do obozu; we dnie chmury czarne, nieporuszone, chociaż wicher dmie z całej mocy. Jako słońce wygląda, zapomni się wkrótce; przynajmniej u nas kiedy mróz, to słońce okazałe a gwiazd nie policzyć, tyle się ich skrzy w górze.

Gdzież w tej obszerności szukać garstki ludzi? zostawmy ich na jadło czarnym lisom. Już oni nie wrócą nigdy by zaburzyć państwo niezwyciężonego Michała; może już dotychczas przemienili się w stos kości a tych nie znajdziemy. Dnia sądnego czekać, aby na jaw się wydobyły. —

Zgrzytnął wódz i spojrzał surowo; wtedy młodzi się odezwą z przechwałkami. — Pójdziem aż na koniec świata, lecz wprzód wrócić do Astrachanu trzeba; żywności i prochu zabrakło, potem gotowiśmy pomrzeć za Cara chrzestne całowanie. —

Nastąpiło milczenie; płowe oczy Szejna żarzą się jak u chorego tygrysa, w ich spojrzeniach dzikość wojownika, chytrość doradcy zwyczajnie przebija; teraz dzikość wzięła górę; zadrżeli przytomni, on zagrzmiał potężną piersią, nazwał ich nikczemnikami, ale boleść przerwała mowę; musiał spuścić głowę i jęknąć, wyrwał sobie siwych włosów garść i sypnął niemi w oczy otaczającym. Wtem usłyszano głosy straży kłócącej się u progu; potem skrzypnęły drzwi szopy i wszedł młodzian, bez pytania się o pozwolenie. Ta zuchwałość wszystkich spojrzenia ku niemu obróci.

Nosił się dziwnym strojem, ni szwedzkim ni moskiewskim, zarywającym trochę na ubiór wschodnich Emirów. Szyszak miał stalowy, wygładzony jak lustro niewyczerpanych połysków, koszulkę z posrebrzanych drutów, spiętą czarnemi klamrami, a na każdej wydłutowana głowa niedźwiadka z arabskim w około napisem; z pod niej przeziera szata błękitna, kindżał u lewego, bułat u prawego boku, z pochwą o mnogich ozdobach, na ramionach rękawice z futrzanem obszyciem, a nogi żelazem okryte.

Wszedł i nie zatrzymał się czekając, by mu przystąpić kazano, ale przesunął się między Bojarami i stanął o dwa kroki od Horbrokowa.

— Nuradynie Murzo, Nuradynie Murzo zkąd ta zuchwałość? — szeptali mu do uszów otaczający, a on się uśmiechał tak jak dziecko radujące się z własnej swawoli.

— Nie jednego już Tatara kazaliśmy zasmagać na śmierć w karę za krnąbrność, zawołał Szejn podnosząc się na skórach niedźwiedzich i wlepiając oczy w twarz Nuradyna, jakby go

przestraszyć chciał; wara, choć dowodzisz tysiącem ich i ubranyś gdyby odaliska Serajów. — Twarz młodzieńca nie zachmurzyła się na takową przemowę, założył ręce na piersi i czekał aż przeminie burza, potem rzekł z urąganiem:

— Przez proroka, przez Allaha, Szejnie Nikomko Horbroków chłopie i sieroto Cara Michała Hospodara naszego, tym Bojarom, tym zmarzłym wojakom, precz każ iść ztąd, bo ja z tobą rozhowor mieć chcę. —

Tu już krzyk wodza uniesionego wściekłością i groźby przytomnych wstrzęsły belkami szopy; słychać brzęk sztyletów wyskakujących z pochew.

Nuradyn Murza rośmiał się, ale już nie po dziecinnemu. Był to śmiech człowieka gardzącego podłą czeredą, znającego swój cel i dążącego ku niemu z niezłomną wiarą w przeznaczenie.

— Wodzu, kiedy oni chuchają w palce, ja moją rękę wystawiam na zęby mrozu; kiedy o odwrocie zamyślają, ja wnoszę by pędzić dalej, kiedy zwątpili o pojmaniu żony Dymitra, kochanki Zaruckiego, ja przysięgam, że mojej pogoni nie ujdzie. Teraz komu z nas ztąd wyjść przystoi? Czy drżącym od bojaźni i zimna, czy temu, który z pustyni i chmur się śmieje, prędzej lata od sępa, zjadliwiej niż sęp ciało ofiary rwać będzie na sztuki? Ha! przysięgam, że tę niewiastę wykryję i pojmę. Dziś już mi donieśli gdzie ona. —

Z krwią najzimniejszą Horbroków skinął na otaczających, by się oddalili; potem rzekł do Nuradyna: — Głowa twoja Tatarze lub głowa Maryny — i wsunąwszy się między skóry niedźwiedzie słucha ciekawie, co tamten powiada.

— W takowej pustyni, o takowej porze, zgniją wasze namioty, zmarzną żołnierze, na sitowiu ducha wyzioną Bojary i sam wódz może skona; nie z obozem gdyby miasto wojować tu trzeba, ale z garstką, w której każdy jeździec jak strzała, a rumak każden jak pierze u strzały. Maryna już za Jaikiem, na lodzie go przebyła z ostatkiem mołodców. —

Obyczajem rozjuszonego zwierza tarzał się Szein na łożu, rwał pięście, nogą pchnął szyszak stojący w pobliżu i zrzucił go z łoskotem: — Uciekła. Car mi się nie pokłoni; wszelkiemu pospolitemu motłochowi pośmiewiskiem będę. Jaki z niego

Bojarzyn, powiedzą z mnożnem natrząsaniem; łeb twój z karkiem rozbrat weźmie Tatarze za taką nowinę.

— Do moich tysiąca przydaj dwa tysiące Kumańskich, a twoją Maryna, a twoim Zarucki. —

W głosie młodzieńca nie było żadnego wahania się, żadnej wątpliwości; nie spieszył się z odpowiedzią Horbroków, znów skórę niedźwiedzią naciągnął po szyję i dumał.

— Na słońcu mojej waleczności żadnej chmurki nie masz, od kiedy wam służę wojewodo; przypomnij owe pachole co przybiegło do ciebie, kiedyś stał pod Św. Trójcą; a dziś wodzem jestem. Cemże wyniosłem się, oto błyskawicą mej szabli.

Wracaj do Astrachanu, tam odpoczniesz lepiej; tam i wino kipi w czarach, tam oczy dziewczyn wrą w powiekach, a mnie poszlij za zbiegami; po bezdrożach, po manowcach, dniem i nocą, ich nie odstąpię śladów; ścigać będę za Carycą jak kochanek za kochanką, a choćbym miał gryźć piasek i popijać sokiem piołunu, wytrwam i dogonię. — To mówiąc ruszał rękoma i całem ciałem, znać, że jego chęci tak żywe, iż nie dosyć mu słów na ich wydanie, a twarz wycieńczona przez roskosze i opium, zabłysnęła nadzieją i szczęściem; nie owem szczęściem błogiem, które jest snem namiętności, cichą pogodą bez żadnego wichru; ale owem co duszę człowieka jak piorun chmur, zarazem boskim ogniem obleje i rozerwie na sztuki. Oczy jego rozpłomieniły się nad zapadłemi rysami i buchające z nich spojrzenia budują Szeina.

— Dwa tysiące Kumańskich przydawam do twoich ludzi, ale przysięgnij, kiedy Ją i Jego związanych powrozem przyprowadzisz do stóp moich, bym ich zawiódł przed Hospodara naszego, że przed Hospodarem naszym za to o nagrodę bić czołem nie będziesz. Ja Bojar Szein Nikomko Horbroków, klnę się przez błahoczesną wiarę naszą, iż sam soroków sobolich trzysta dam tobie w zapłacie. — Uśmiech niewymownej pogardy skurczył usta młodzieńca.

— Przysięgam przez proroka.

— A zatem dziś zaraz wyruszyć możesz.

— I wyruszę. — Po tych słowach poszedł ku drzwiom szopy. Odwołał go Szein.

— Pamiętaj, młody jesteś, byś nie zabył obietnicy swojej. Ta wszetecznica, która się Carową nazywać śmiała, skarbów z Astrachanu, jak gmin gwarzy, uniosła mnożno, Soroków trzysta — —

— Śmiech mnie bierze z twojej przenikliwości, przerwał Nuradym: dowiedz się, iż twe źrenice by zgasły na zawsze, gdyby tylko połowę tych kosztowności, któremi ja gardziłem jak piaskiem, oglądać im przyszło.

— Ha! zawołał Horbroków, o twoim rodzie, Tatarzy twoi dziwacznie bają; słyszałem, słyszałem. — I zamilkł choć chciałby dalej mówić, i nie oburzał się, choć gniewem nabrzmiały mu lica.

Nuradyn znów ku drzwiom potąpił: spieszy się jak człowiek, który pragnie wyjść na świeże powietrze z sali godowej, gdzie napój mózg mu zawrócił i rozpalił serce.

— Jeszcze jedno przykazanie: człeku pogański, weź na drogę — i odwołał go do siebie wódz skinieniem ręki; młodzian tupnął nogą o ziemię.

— Po morzu naszej cierpliwości żeglujesz bezpiecznie, a gdyby to nie morze było, lecz tylko jezioro! — zawołał, klaszcząc rękoma, obyczajem znudzonego dziecka. — Owa Maryna Laszka czarownicą jest niepospolitą. — Bogomodlca Archiepiskop Legrygiej ogłosił mi zdanie swoje o tej nierządnicy: krasa jej najchrobsze serce zmiękczy, a ty młody i niewierny. —

Na te słowa dreszcz porwał wszystkie członki Tatara, kolana zgięły mu się ku ziemi, sto rozmaitych wyrazów weszło mu i znikło na licach: głos jego dotąd ciągły, dźwięczny, osłabł teraz i przerywa się co chwila.

— Nie bój się — niechaj mi się pokaże jak huryssa wśród pustyni — ona rajską rosą oblana, rajskie wonie w około niej płyną — piasek — śnieg — tumany — ona krzewem róż Edeńskich wśród głuchej puszczy, nad solnem jeziorem co dysze pod białą skorupą — przebrzydła owa okolica i rumak pieni się od strachu i jeździec nie dotrzyma siodła przed okropnością obrazu. Natura w dzikości swej dzieci swoich się wyrzeka — patrz — trupy leżą na zwirze — ot! sama podusiła swe dzieci! ale ani mój koń, ani ja nie zginę. — Jej wzrok będzie mi gwiazdą, jej głos harfą w pustyni — może i to być, że oboje

przepadniem na wieki — polegaj na mojem słowie — przywlekę ci ją za włosy — polegaj — do Astrachanu — do pałacu twego — z szczerego jedwabiu jej pukle, przysiągłem. —

Ani zadrgnął żaden rys na na twarzy Horbrokowa, ale słuchał uważnie, bo chciał podejść młodzieńca i wyrozumieć jego tajemnice.

— Nuradynie, nie przy wszelakich zmysłach zastaje cię pierwszy dzień twej wyprawy, wracaj pod namiot swój i legniej; kogo innego poszlę na brzegi Jaiku. —

Zgryzł sobie wargę Nuradyn, znać w nim żal, iż popuścił cugle językowi, a zatem przybierze barwę spokojności i zarazem uszczypliwym przekąsem usta nastroi:

— Czasami się zdarza, iż mnie żarty porwą. Zawzdy niebezpieczne wycieczki i błędy zaczynam od tego; bądź zdrów Wojewodo, o mojej wierności nie wątp i chwili, nie poznałeś się na mnie. — Lica jego w tej chwili cechę obojętności przywdziały, znikło gwałtowne wzruszenie co nim miotło; bawił się to frenzlą od szaty błękitnej, to rękojeścią kindżału.

Nie wiedzial co wyrzeć Horbroków, ale boleści co raz bardziej mu dolegają; wicher nabiera siły i tłucze o ściany, słychać w obozie jęki i odkazywania, a czasami głuchy szczęk rydla o kłęby śniegu i bryły lodu. Znać świeżym trupom świeże doły kopią.

— Tatarze, idź, rozkazy wydam, pamiętaj, głowa twoja lub głowa Maryny. —

Rękę położył na sercu młodzieniec, zadrżał cały, ale umiał wnet pokryć wzburzenie duszy i ukłonił się nisko, ukłonem niewolnika obiecującego panu wypełnienie jego woli. Tymczasem w oczach jego świetnieje, że dopiął zamiaru i że on a nie kto inny, od tej chwili jest panem.

Nazajutrz obóz moskiewski zwinięty, wojska wstecz wracają ku Wołdze, a trzy tysiące jeźdźców oddziela się od niego jak kłąb śniegu od śnieżnej zawały i w przeciwną stronę się udaje ku brzegom Jaiku. Na czele Nuradyn z przepychem Szaha jedzie na arabskim koniu; nie pyta się o wicher ni o mróz co pod kopytami trzeszczy, ale pędzi z uniesieniem wojownika, który jedzie na pewne zwycięstwo, z zapałem kochanka co za lubą goni, z szałem człowieka przepalonego od na-

miętności, który długo udawał, ale dziś już udawać nie potrzebuje, bo zbliża się do ostatniej sceny żywota, gwoli której wszystko poświęcił.

Twarz jego otoczona połyskami hełmu bijącemi z góry i połyskami pancerza bijącemi z dołu. Cała siła młodości, wszystek ogień nadziei pała w źrenicy; rzekłbyś, iż on szczęśliwy i chwały i nadgród przeczuciem; ale przypatrz się lepiej, a odwrócisz spojrzenie od tego uśmiechu piekielnej roskoszy, który do ust się przyczepił jak nienasycona pijawka.

X.

Za Jaikiem ciągną się błonia przeklęte od Boga; wicher jedynym ich jest panem, on tylu niewolników ma na swoje rozkazy, ile ziarn piasku drzemie w pustyni; przeciągłemi świsty budzi je i ożywia, potem jak mu się spodoba posyła na wsze strony świata.

Wznosi z nich budowle jednym zamachem skrzydeł i rozsypuje wnet drugim. To piramidom każe lecić na zabój i kręcić się bez ustanku, to cały przestwór zarzuci mogiłami, i z głuchym jękiem przechadza się po smętarzu. To znowu głos wyżej podniesie i wirami przestrzeń zamąci; sypią się jedne z za drugich bałwany piaszczyste jak spienione fale na morzu, a jako ze szczytów fal oderwana piana bryzga deszczem w górę, tak i z owych bałwanów wzlatuje proszek białawy i mgła niebo przesłania. Biada żeglarzom, których ta burza napotka, bo wyjdą na rozbitków wszyscy. Żwir jak ołów stopiony, zaleje im gardła, źrenice wypali, a ciała pójdą na dno, w sypkie wiekuiste otchłanie. Kiedy opadnie zawieja, cała pustynia w gładką równię się układa; rozrzucone po niej wysepki z piołunu; tu i owdzie czołgają się ciernie, a pomiędzy niemi węże okręcają się z sobą, przeciągłym gwiżdżeniem ogłaszając swą miłość.

Taki obraz okolicy, kiedy słońce wre nad nią latem w pełni swoich promieni: ale teraz śnieg obsypał piaski, rzeka stanęła,

szron wszędzie połyska; kilka dni sokołowi lecieć po nad temi stepami a wzroku mu nie stanie: zatrzepocze skrzydłami, raz jeszcze się podrzuci i padnie olśniony na biały śnieg wśród gwiazdeczek z lodu. Tam gdzie pustynia zda się przylgnęła do nieba, podnoszą się wzgórza, dalej podnoszą się skały; bez drzew, nagie, chude, jakby szkielety olbrzymów, których ród wyginął, a skamieniały kości. Tu dopiero zaczynają się manowce i bezdroża, czernieją paszcze jaskiń, z których snuje się para zjadliwa; granitowe słupy się ciągną, a między niemi kopce ze śniegu; lody jako blachy przykuły się do grzbietów i do piersi skał; wąwozy idą naprzód, obracają się w prawo i w lewo, to długim łukiem wracają wstecz i kręcą się bez ustanku. W tym zamęcie pamięć na mało się zda: raz wszedłszy, długo wyjścia szukać trzeba o pocie czoła, o krwi z nóg ciekącej; coraz inne przechody wabią ku sobie, tyle skał ile drzew w borze, wszystkie podobne do siebie jak liście do liści. Po męczących błędach wreszcie zatrzyma się pielgrzym i obejrzy się w rozpaczy, a one zdają urągać się jemu, bo te same które minął od godziny, dotąd stoją na około, jak gdyby cichaczem stąpając za nim posuwały się kiedy on idzie, stawały kiedy i on stawa; mózg w głowie mu się zakręci, wyda mu się, że one kołem tańcują, wirem go porywają i wciąż niosą pomiędzy siebie, bez odpoczynku, bez końca; ale jeśli odzyska zmysły i ochotę, jeśli szczęście mu posłuży, po zmudnej drodze wyjdzie z labiryntu i znów ujrzy pustyni obszar — za nim już zielone błonia.

Nuradyn zdąża ku owym skałom, bo mu szpiegi donieśli, że lew pustyni tu szuka schronienia; ale czyż on za sobą, by drogi nie zatracić, tak liczne porozstawiał czaty? Co kilka staj koń przyległ do ziemi i jeździec na siodle niewzruszony się trzyma; zdala miga zbroja, zdala marsowa postać wojownika; ale przystąp, ktokolwiek jesteś wróg li czy przyjaciel, on cię puści bez szkody, bo ramiona przymarzły do piersi i już od niej się nie oderwą.

Ani raczy się młodzieniec obzierać na towarzyszy, którzy z głuchym stękiem padają, potem już milczą na wieki. Mgły się rozeszły gdzie niegdzie, słońce wyjrzało. Tysiące ndanych

iskier błyszczą nad śniegami i przepadając pod kopytami, trzeszczą jako prawdziwe iskry gasnące w powietrzu. Nuradyn bez litości hufce swoje porywa za sobą, tak jak chmura w burzy, która wyskoczywszy z ogromu wyziewów zaprzęgnie się do nich i ciągnie je po niebie.

Wreszcie oparł się o skały i wrzasnął z radości. Bułat wyrywa z pochwy, śmiga nim w powietrzu i okręca w około szyszaku.

— Naprzód, woła, naprzód, oni tu, i huryssa moja, i przeklęty jej mąż, potępieniec mojego gniewu! —

Ale Tatarzy ściągnęli wędzidła, kroku dalej nie postąpią, zaklinają się na grób proroka, że im na siłach zbywa, oczy odwracają i wyciągają ręce ku stronie, od której przybyli. Tam czarne słupy wyzierają z białego śniegu: — To bracia nasi. Nuradynie Murzo odpoczynku wołamy! Nuradynie Murzo przespać się noc jedną pod namiotem daj sługom twoim. Dozwól by na pół zmarzłym ogień zajrzał w oczy, skórę oblizał ciepłym językiem.

— Ha! nikczemniki, zawoła młodzieniec, zkąd wam śmiałości takowej przybyło? żeście tu na pustyni wszyscy, to mnie jednego zastraszyć myślicie? Snem to, snem, niewolniki moje a nie prawdą, niechaj który przystąpi, a głowę zdejmę mu z karku tak jak dziewica Serajów pączek róży z gałązki odrywa; pierwszy lepszy. I ty Abadzie Sahali — ot! zginiesz jak marny owad. I ty Mechamecie! już mój koń drży niecierpliwy; lepiej mu deptać po tobie niż po śniegu i lodzie. Zbliż się Akbareju! a dusza twoja nieboga na mróz się dostanie; mrugnij okiem, kiwnij palcem, nogę wysuń z strzemienia Hadżadynie! ruchem ust tylko mi się nie spodobaj, a ztąd kindżał wświdruję ci w czaszkę. —

I to mówiąc damasceński tasak wysuwał z dłoni i chował naprzemian, jakby zabierając się do jego rzucenia.

Głowę schylili przed wodzem w milczeniu, ale nie ruszyli się z miejsca.

Nuradyn szablę wyniósł do cięcia, konia spiął ostrogami by wpaść na nich, w tem klinga w drobne kawałki się rozłamie, rękojeść tylko zostanie w prawicy, huk od strzału janczarko-

wego zagrzmiał pomiędzy skałami, kula leży na śniegu wśród szczątków pałasza.

— Przez Allaha za mną — krzyknął i nie obzierając się nawet czy go usłuchali, za mną, to Zarucki. Ale kiedy dopadł skał, rumak na nic mu się zdać nie mógł, skoczył na ziemię i z tasakiem w dłoni szedł dalej, kilkudziesiąt ochotnika pospieszyło śladami jego. Reszta została w około wielbłądów i namioty ściąga z ich grzbietów.

Od tego dnia, szczękiem szabel, strzelbą janczarek, rozlegają się wąwozy, pośród skał i filarów z lodu ścierają się męże; hurmem Tatarzy walą w bezdroża, ale źle im na nogach, do siodeł wzdychają; o siodłach ani myśleć, bo gdzie tylko spojrzeć, przepaść lub cypel, pieczara lub pochyłość. Dzielnie broni się Zarucki w ostatnim przytułku. Znać jego wszędy na czele mołodców wychudłych od znoju i niedostatku, ale serca w ich piersiach nie zdrobniały. Garstka pozostała przy wodzu, reszta wojsk co niegdyś Moskwę zbiegły pod jego rozkazem, Pereasław w perzynę rozdmuchnęły, Astrachan zdobyły, uciera się jak może; każdy z nich śmierci niechybnej dniem wcześniej, dniem później się spodziewa; ale nie żal ginąć w obec tak dziarskiego hetmana; on trupa uczci spojrzeniem żalu i słowem pochwały.

Prochu jeszcze wystarczy im na dni kilka, żywność ściągają z pod chmur, strzelając w dzikich gęsi stada; mech przyczajony pod szronem z głazów zdzierają, kłębkami śniegu odwilżają usta, opatrują rany, a czasami jeszcze wśród bitwy dumkę stepow zaśpiewają; śpiewaka nie raz pocisk wskroś przeszyje, on pada ze skały w przepaść, a pierwszy bliższy zaczętą zwrótkę donuci.

Tak różnym losem wiodą wstępne boje — to nagle wpadają na Tatarów i chmura nieprzyjaciół w krew się roztapia, to przyciśnieni rozsypują się; owdzie stali hufcem przed chwilą, a teraz już żadnego nie masz. Tam gdzieś, z tamtej strony opoki odzywają się szelesty, jakby sto wężów razem pełznąc szurowało piersią po ziemi.

Nuradyn pieni się od wściekłości, wyrzuca swoim, że bić się nie umieją, i hojnie ich życiem szafuje to w ciężkich po-

chodach, to w codziennych harcach. Z obojętnością spogląda na rannych i na poległych. Tak jak wielki człowiek co nie dba o gminu zagubę, bo czuje, że przez zgon tysiąców dopnie myśli swojej ogromnej! — Ale w nim owa myśl nie w głowie, jeno przesiaduje w sercu, nie wywrze ona skutków na cały naród — może zaginie razem z nim w pustyni; ale dusza jego się spieszy, by się jej pozbyć i walkom swoim koniec położyć, nie dbając o to czy piekłem czy rajem, byleby ustały, byleby pokój, roskosz lub kara nastąpiła; przynajmniej już dzisiejszych uczuć w niej wtedy nie będzie.

A zatem śmierć bliźnich na sumieniu jego nie ciąży. On by kraj cały rozniósł końskiemi kopyty, wszystkich ogniem i żelazem wygubił bez zgryzoty, bez bojaźni, nie opowiadając się ni szatanom ni aniołom, byleby mógł usiąść na rozwalinie i raz tylko do piersi przygnieść tę, która go pozbawiła litości, rozumu, sumienia.

A potem niechaj przed sądem Boga niemowlęta drobniuchne rączki wyciągając, dziewice zalewając się łzami, skarżą na niego: on gotów; on nie wie co to jest sąd Boga, ale wie i czuje co płomień, który piersi mu pożera.

XI.

Na łożu z mchu do piersi ciśnie dziecię niewiasta. Sklepienie jaskini zakrąża się nad nią, tu i owdzie drasnięte blaskami płomienia dogorywającego na szerokiem ognisku, zasypanem popiołami, zasianem węglami.

Niekiedy połysk i na nią padnie, a wtenczas z cienia wychodzą na chwilę rysy wyniszczone chorobą ciała i duszy. Jednak uroda ociąga się, nie chce opuścić twarzy, którą tak długo krasiła, woli chronić się do oczu, których jasność chyba wraz z życiem zemdleje.

Ale czemuż synek uściskom matki nie odpowie uśmiechem, nie wyciągnie rączek do niej, lub jeśli mu zimno i słabo, nie pożali się westchnieniami i płaczem; może to sen głęboki?

Nie — on by się obudził na pocałunki tej, która go trzyma! Ot! błyskawica konającego ognia oblała twarz maluczką; rysy skrzepłe, drobne ciało sztywne gdyby drzewa kawał, opuściła go matka, ono spadło na ziemię, potoczyło się trochę i leży jak szary posążek. Nieszczęśliwa skłoniła głowę na piersi i kilka chwil przebyła w zupełnem otrętwieniu, potem wstała i poszła ku ogniowi. Rozciągnęła ręce nad węglami by się rozgrzać. Szaty jej zawianie płomień wzbudziło i ten wyskoczył ze środka popiołów, złotym słupem podniósł się ku jej twarzy.

Znać w rysach walkę ducha z cierpieniem; stopniami jednak wyraz rozpaczy ustępuje miejsca wyrazowi tkliwszego żalu, uroczystszej powagi; pamięć o Bogu zda się rozciągać barwę pociechy na czole, powoli kolana naginają się ku ziemi, uklękła, a w czarnych oczach spuszczonych w dół cichą modlitwę odmawiają spojrzenia, ostatnie głosy duszy, której boleść przymknęła usta. Potem wzięła ciało w ręce i znikła w ciemnościach jaskini; niedługo wraca z zawiniątkiem i znów siada przy tlejących żarach; na kolanach złożyła dziecię, zawiniątko rozwiązała, połysk drogich kamieni wyjrzał ze środka, słychać pod jej palcami szelest szmat jedwabnych; taśmy złote i srebrne wyśliznęły się i pełzną na około.

W jej ręku cienki sztylet błyszczy, raz jej za igłę, drugi raz za nożyce posłuży, różne kosztowności spaja; wiąże z sobą razem, to rozdziera, pruje, dziurkami przeszywa; czasami też bierze miarę ciała, ramion, nóżek; wstążką piersi, główkę, szyję obwiązuje i odejmując, zważa pilnie na długość i szerokość. Z ostatków dawnej carskiej pychy, giezłeczko lamowane srebrem na trupa uszyła Maryna.

Nie łatwo odziać niem skościałe członeczki, nachyla się matka, całuje zimne powieki: — Pozwól, niechaj matka Carowa ciebie dziedzicu Dymitra ubierze jako na cię przystało. W jednym grobie i ty i nasze państwo legniecie razem, na wieki synu mój, syneczku mój drogi. — I chwyta za rączkę, rączka gdyby z marmuru, i tchnieniem stara się ją rozmiękczyć, i twarz pociera i trze piersi, a kiedy się zmęczy, znów całuje, przyciska i prosi.

Wreszcia suknią błyszczącą przyoblekła syna, i zaraz do nowej bierze się roboty, z czarnej szkatuły wyjmuje koronę,

nad płomieniem trzyma — a kiedy złota oprawa topić się zaczyna, odrywa z niej szafiry, djamenty, rzuca w popioły gdyby iskry nowe, potem coraz to okrąg ścieśnia i niekiedy przykłada do skroni dziecięcia; ale jeszcze za duża, więc znów nad ogniem ją topi i sztyletem wygina; teraz już pasuje mu do skroni. Następnie rząd pereł nawlecze, i zawiesi u szyi wraz z krzyżykiem rażącego blasku.

Uśmiech smętnej roskoszy na chwilę usta poruszył, kiedy go ujrzała otoczonym mnogiemi połyski: chwała Kremlinu jak wspomnienie dzieciństwa we śnie dorosłego męża myśl jej drasnęła; złożyła ciało na pościeli z mchu i marząc że śpi jej Carewicz, naciesza się okazałością jego.

Ale śmierć na twarzycze szydząc z kamieni i pereł, ze złota i srebra, na przekor ich barwom, sine plamy coraz głębiej wyciska. Kroki wchodzącego męża ocknęły ją z dumania. — Dopełniają się losy Igora — twoje pójdą za niemi, rzekł głosem pełnym stałości. Dziś ostatni moi towarzysze polegli, kilku ranami okrytych zostawiłem w jaskiniach po drodze. Ah! ty płaczesz moja luba? —

I spostrzegł leżące dziecię.

— Błogosław niebu, że na anioła go dzisiaj wezwało do siebie. Jutro byłby cara niewolnikiem.

— Boże bąć pochwalon, krzyknęła Maryna, podnosząc się nagle; masz prawdę Jgorze, on umarł spokojnie, z cicha, bez cierpień; osłabione ciałko nie pasowało się z odlatującą duszą; a ona teraz suto prromieńmi uwieńczona przyśpiewuje w chórach anielskich i spogląda ciekawie na gwiazdzistą koronę przenajświętszej Dziewicy. Śpij, śpij synu mój. Ty wrzkomo znaku życia nie dajesz i co chwila na twarzy czarniejszym się robisz, ale ty żyjesz po nad temi skałami! Śpij, śpij synu mój; hańby nie poniesiesz, pogardy nie doznasz. Sługi twoje dawne nie przyjdą pętać cię w łańcuchy ni urągać się tobie, królewicu mój; żyłeś w kolebce jako dziedzic potężnego pana i umarłeś, nim dzień poniżenia zaświtał. Igorze zapal pochodnię, grób mu wykopiemy w głębi jaskini, tam gdzie leżą twe zbroje. — Dziś ja synowi twemu, a mnie jutro kto — rzekł wódz posępnie i łuczywo porwawszy z ognia szedł naprzód, ona z tyłu niosąc dziecię w ramionach.

I szli milcząc przez długie przejście, kędy sklepienie wyrobione trzęsieniem ziemi i pracą czasu w dziwne to zwęża się to rozgina otwory, to zdaje się lecieć ku ziemi i w słupie wiszącym zatrzymuje się nad nią; to znów wzbija się w górę i ginie w ciemności, to prosto gdyby wykute się ciągnie, to co kroków kilka łamie się kątem, zakręca się kołem.

Wreszcie doszli miejsca podobnego okrągłością swoją do kaplicy, ztąd wstecz się tylko wrócić można, dalej iść nie sposób, bo wszędzie zakrąża się opoka. U sklepienia przyczepione stalaktyty naśladują gotyckie ozdoby, krzyże, filary, arkady; a pomiędzy niemi przerwy dziwacznego kształtu, to połamane jak gdyby kamień się rozprysnął, to znów haftowane; znać że długo kropla po kropli tu spadała z wysoka, ale dziś nie słychać kapania i wyschło już źródło.

Niżej w wydrążeniach ścian, Zaruckiego rynsztunek wojenny starownie ułożony, kordów kilka, sajdak i łuk, skóra niedźwiedzia i druga lamparcia wiszą u żelezców strzał; dwie janczarki leżą na kamieniu, przy nich bechter stoi, a dalej hełm na siodle, obok siodła karacena nabijana srebrem z rzędami drogich kamieni.

Sahajdaczny wyciągnął z głuchym brzękiem pałasz, szeroki, obosieczny, prosty i nim zaczyna w środku jaskini dół kopać. Matka nad ciałem tymczasem odmawia modlitwy. Jej drżącemu głosowi wtorują bryły ziemi rozsypujące się pod żelazem. Niedługa praca, domek ostatni małemu mieszkańcowi rychło stanął w pogotowiu; rączki na krzyż złożyła Maryna, rączki przylgnęły do piersi; w całun go potem obwinie a nim twarz zaciągnęła, jeszcze raz kończąc Zdrowaś Marja, pocałunek złoży i wyrzeknie: Amen.

Teraz go troskliwie obwiązuje i drogą suknią okrywa, lęka się, by piasek nie zaleciał między fałdy, by żwir gdzie nie gniótł dziecięcia i własną ręką wygładza dół grobu. A potem głowę odwróci, zatknie uszy i gorąco Bogu się modli.

Kiedy znów spojrzy, już wyrosła mogiła i wódz mołodców oparty na szabli, duma nad nią. Mogiła czarna, nie wysoka, obnażona; serce matki, że jej nie dostaje czegoś, natychmiast poczuło.

— Igorze miej litość nad nim, znak zbawienia zatknij

nad jego grobem, wtedy uwierzę, iż szczęśliwy, lecz teraz mu jeszcze skrzydeł u ramion nie widzę. —

To mówiąc oczy trzymała wlepione w górę, jakby pomimo wiązania z głazu ścigała za duszą syna w przelocie od ziemi ku niebu.

Zarucki obziera się na około i myśli, jakby można zadosyć uczynić jej żądaniu — przez chwilę jeszcze stał niewzruszony, potem idzie ku ścianie i łuk zdejmuje z niej.

— Hospodarsko moja! to mój stary towarzysz; miałem ich dwa, jeden dziś pękł mi w dłoni i rzuciłem go w przepaść — drugi również prysnąć musi. —

I zdjąwszy cięciwę, nogą tłoczył drewno dopóki nie rozłupał na dwoje.

— On mi służył po licznych ziemiach. Tatarskie, moskiewskie, szwedzkie, z niego przebijałem gardła. Brzęk tej cięciwy był muzyką dni mojej młodości, najdumniejszy wąż pustyni nie umie tak gwizdać jak strzały, które z niej puszczałem, ale dajmy pokój temu, co minęło, a nigdy nie wróci. —

To mówiąc handżarem strugał i ciosał drzazgi łuku, wióry padały na ziemię jako puchy ptasie. — Słyszałem od wiarogodnych ludzi, że kiedy śmierć bliska, łatwiej człowiekowi przyszłość przewidzieć i duchy ujrzeć w postaci widomej. Czy wierzysz temu, o moja Dziewojo? —

Podniosła głowę schyloną nad grobem dziecka. — Wierzę. —

Zadrżał wojownik i rękojeścią sztyletu zadzwonił o własną zbroję — dźwięk, który się rozległ, miłym był jemu.

— Tyle razy tratowałem po ciałach, spałem po zburzonych cerkwiach, po smętarzach, kędy z rozwalonych kurhanów blade wyzierały koście; pod Smoleńskiem siedząc na zmarzłych trupach w około ognisk z polskiem rycerstwem, piliśmy roztruchany miodu noc całą. —

Nieraz w puszczach z gwiazdami nad głową sam jeden błądziłem; dziwne wprawdzie słychać było szumy, to w zaroślach, to po bagnie, to wyżej między gałęźmi drzew; nie był to wiatr, nie było to skowyczenie wilków, ni jęki puhaczów; z temi głosy znało się ucho moje. Było to coś lekkiego, urywającego się, ledwo się odezwało, a jednak dreszcz gdyby tysiąc mrówek biegał mi po karkach i plecach; wytężałem oczy, nadstawiałem

ucha, bo ciekawy byłem stworzeń Boga, wyższych nad ludzi, błąkających się po świecie, którym noc jest dniem, mogiły mieszkaniem, wichry są skrzydłami, na których przelatują; całe w bieli, z oczyma błyszczącemi jak pruchno, milczące lub w krótkim słowie oznajmujące wyroki nieba, karę, potępienie; czasem też jak pospólstwo gwarzy stoją u łoża, na którem grzesznik umiera i straszne przeczucia w duszę mu kładą.

Nie mało też i po zamkach bywałem, w ciemnych komnatach, pośród starodawnych malowideł w burkę się obwinąwszy zasypiało się wtedy. Dziwne sny mnie trapiły, lecz na jawie nigdym nic pewnego nie spostrzegł.

Lubiłem jednak zawsze słuchać o marach i widmach. Łzy do powiek się cisnęły, choć to nie było ni miłością ni żalem, ani też bojaźnią; nie potrzebuję chlubić się z odwagi, insi wiedzą o mnie.

Nieraz jeńcom kazałem zdjąć okowy, wyrok śmierci odwołałem, bo godziną wprzódy starzec lub białogłowa jaka opowiadała mi o duchach wstających z mogił, kiedy wszyscy zasną a na cerkwi północ uderzy. —

Krzyż już dokończony: cały z drewna, a u końców jego ten sam róg, w któren wgryzała się cięciwa — wódz złożył go w ręce lubej, ona klęcząc posadziła go na grobie — i wstawszy przypatruje się w milczeniu, a małe ramiona krzyża cień rzucają, który spływa gdyby wstęga czarna po bokach mogiły.

Igor odpiął przebity pancerz i pyszną go zastąpił kolczugą, szablę wyszczerbioną odpasał i zawiesił pałasz o klindze bez skazy, nabijanej hartownemi żyłkami. Hełm wziął z kamienia i wsadził na głowę.

— Gdziesz się wybierasz Igorze?

— Gotuję się na jutrzejszą walkę: ostatnią; dawniej na gody wdziewałem tę zbroję. —

Wtedy zmiana zaszła nagle na licach Maryny, kibić zgarbiona prostuje się jako dawniej bywało; i jako dawniej bywało, w oczach, na około ust, na skroniach wydatnem się staje, iże ona jest panią, której świat hołdował jako zamożnej w potęgę i urodę.

Wyciągnęła rękę ku mogile i pożegnała, jako się żegna

z brzegu odpływającą łódkę w dalekie strony; potem wychodzi i stąpa przodem. Za nią Sahajdaczny, a kiedy wrócili do pierwszej jaskini, ona głosem niewzruszonym się zapyta:

— Czyż wąwozami przemknąć się nie możem. Znasz mnie jako biegnę po górach i pragnienie umiem wytrzymać w pustyni. —

Zarucki nic nie odpowiedział, przez chwilę trzymał głowę schyloną, nie rozpoznać czy on goni myślą za środkiem jakim, czy też poddał się zupełnie zwątpieniu.

Wreszcie podniósł czoło, wyraz jego twarzy był świetny w tej chwili, choć nie mówił o chwale ani też o szczęściu; pałała w nim żądza ostatniej rozprawy, zmiękczona przeczuciem, że już po niej cisza nastąpi, przeznaczona za grobem w nagrodę skołatanemu życiu: cisza ducha panującego ziemi z wysoka i przysłuchującego się głosom ludzkim szemrzącym o jego sławie, w oddali.

Porwał Marynę za rękę i wywiódł z jaskini. Zewsząd wieńcem, ciasnemi przejściami rozerwanym, okrążają ich skały. Ramieniem wskazał w górę, po wszystkich szczytach buńczuki Tatarskie zatknięte pływają przy powiewach wiatru jak grzywy biegnących rumaków, a nad niemi żarzą się półksiężyce oblane światłem czerwonem; bo tam gdzieś za górami zachodzi słońce.

Wzrok obraca do koła, co wierzchołek to znak nieprzyjacielski; słychać czasem wrzaski w odległości, zrozumiała, ale przeto nie cofnęła się przerażona, ni płaczem niewieściej dowiodła słabości. — Taki więc miał być koniec Maryny Mniszchownej — rzekła wolnym głosem, bez goryczy, bez żalu, z powagą, która wodza mołodców do jej stóp rzuciła. — Maryno! — krzyknął z uniesieniem, a twarz mu jaśnieje od męstwa, w prawicy miecz ściska — i ja kiedyś byłem wielkim, i mnie dni pychy się zdarzały, ale nigdym czy w złych czy w dobrych losach twej nie zrównał duszy. —

I rękę jej do ust przycisnął. Nie było to gorącem pocałowaniem kochanka, ale hołdem uwielbienia. Oboje wrócili do jaskini. Igor tlejące węgle mchem rozrzarzył. Dwa sajdaki rzucił i pęk strzał w ognisko.

— Niekiedyś byłbym to czyniąc kilkudziesięciu wrogów udarował życiem; palcie się, palcie strzały moje, płomieniem przysłużcie się panu, kiedy już wasze żelezca i pióra na nic się nie zdały; w dym i perzynę lećcie strzały moje, mróz z członków mi zdejmcie; jutro jeszcze ich kilku trupem obalę. —

Przy ognisku zasiadł, a na jego ramieniu głowę oparła Maryna; za każdem słowem tchnienie jego po włosach jej buja, ręką opasał jej kibić, niekiedy po cichu na uściech pocałunek złoży. Ale już minęły owe czasy miłości pianej roskoszą chwilową i nadziejami bez końca: wtedy żywe bywały rozmowy, iskry w oczach nie gasły, rumieniec gorączki nie schodził z lica. Do uścisków mięszały się westchnienia, pośród nich mózg się zakręcał, drżały kolana, serce to było, jak gdyby od piersi oderwać się chciało; to znowu ciszej się kołysząc omdlewało jak gdyby na wieki. Dziś on ją kocha równie mocno, i jej miłość wyżej ceni niż kiedykolwiek wprzódy; ale o kilka kroków przed grobem zadumał się o grobie. Uroczystość zwykła tym, którzy nie lękają się zgonu, z wiedzą pewną, że gardło dać trzeba, zastąpiła dawny jego zapał. Śmierć jest świętością nad świętościami. Jej zasłona migająca w cieniu, nim człowieka obmroczy do koła, już mu dostojność nadaje; bohater w ostatnich chwilach żywota jest kochankiem wieszczów, a kiedy opona zapadnie, pod jej całunem na wieki wieków giną drobne plamy; wróg sam nie śmie ich wspominać siedząc na zabitego mogile, a promienie chwały zostają w górze i unoszą się nad światem.

— Dla czegóż widma nie snują się na około, ozwał się Zarucki — przecię już nie daleko do wschodu słońca, które ostatni raz moją szablę obaczy w powietrzu. Dzisiaj jeszcze pora wam duchy, dajcie przestrogę pielgrzymowi, który się wybiera w nieznane manowce; nie byłem ja owadem podłym na tej ziemi, nie czołgałem się pomiędzy ludźmi, ale wyżej od ich głów rozpuszczałem moje loty. Znacie mnie więc, jako znacie błyskawicę wśród burzy! —

Umilkł, bo uczuł głowę Maryny cisnącą się do jego łona, jak gdyby nie mogąc się oprzeć trwodze, przytułku szukała.

— Nie drżyj Hospodarko moją miła, zbliżamy się oboje ku nieznanym krainom; jakom cię strzegł i bronił po ziemi, także i w nich nie opuszczę ciebie, jeśli Pan Bóg dozwoli. —

Tu zamilkł powtóre i długo milczał; palą się pociski, już ostrza się rozczerwieniły, dym w żałobnych chmurkach wznosi się w górę i gdzieś między szczeliny w opokę się wkrada.

Milczenie zaległo całą okolicę. Ani Tatar ani szakal się nie odezwie, ognisko tylko brzmi różnemi głosami: to rozłupie się drzazga i sypnie iskrami, to stopione żelazo zaszumi padając na węgle, to płomień syczy okręcając się na około drewna, to popiół zsuwa się niżej z tłumionym szelestem.

— I jeszcze was nie ma, zawoła Hetman niespokojny, w godzinie upadku i klęski nie raczycie spojrzeć na mnie. Czyż i wam jako ludziom trza przepychu i fortunnych losów? Towarzysze moi, synowie stepów jako ja, wy, którzyście odpadli od mojego boku w setnych bitwach, na wzór liści od pnia dębowego, pokażcie mi się!

Bohatery, mistrze mojej młodości, których widziałem krótkimi gośćmi po rozlicznych tronach i ziemiach! Dymitrze, Rożyński, Sapieho! pokażcie mi się! Pamiętam owe dnie, kiedy głowy z karków nieprzyjaciół, chorągwie z wież miejskich zlatywały ku waszym stopom, ale i wam też powodziło się do czasu tylko. Jako ja po was marnie, takoście wszyscy przedemną zginęli!

Wrogi, które własną ręką pomordowałem w boju! żadnegom z was nie zgładził ni trucizną ni hańdżarem w plecy, ale strzałą z daleka lub pałaszem z bliska. Teraz już międy nami winna nastać zgoda. Zstąpcie ku waszemu zwycięzcy, który w tę samą wybiera się drogę w jaką sam popchnął was przed laty!

Jęk z zewnątrz wleciał do jaskini i rozległ się żałobnie pomiędzy jej ściany. Maryna oczy wlepia w otwór naprzeciwko, słupem stanęły jej oczy; wyciągnęła ramiona jakby coś odepchnąć chciała, lecz nie rzekła i słowa — nie wydała żadnego krzyku. Na progu jaskini wśród słabych połysków ognia i pasm cienia, miga zbroja i widmo jakoweś czernieje — chwilkę postoi — potem wlecze się ku Zaruckiemu, krok za krokiem, potykając się i jęcząc, a im bardziej się zbliża, im w jaśniejsze okręgi wstępuje, tem okropniejsze się wydaje.

Stąpa jakby co chwila w dół zapaść się miało; twarz blada i krwią zbryzgana, włosy przypłaszczone do skroni, chrzęst zbroi na piersiach się odzywa, ręką jedną bok trzyma, drugą

wstrząsa gwałtownie, jak gdyby grozić chciał lub wzywać ratunku.

Igor wzdrygnął się cały.

A ten, który szedł ku niemu, już stoi z tamtej strony ogniska, czerwoną jasnością oblany, szmaty blachy kołyszą się u ramion, u szyi, u piersi i odrywając się padają na ziemię. Źrenice jak szron przystygły do oczu, usta się ruszają, ale ich głosu nie słychać. Nachyli się dwa razy i dwa razy się wyprostuje z przeraźliwym stękaniem. Ziewnął i głowę podał w tył, ramię wyciągnął jakby dla odzyskania równowagi i głowę podniósł, ale nie zdoła jej utrzymać i spuścił na piersi.

— Atamanie, jutro o świcie pogany tu: nasi w jassyrze u nich, wziąłem szablą w łeb; włócznią w biodra, kulą w bok, cały nie mogę. —

I podrzucił w górę oba ramiona na wzór tonących.

— Hrehory umiera, niechaj żyje Igor Sahajdaczny! —

I upadł na plecy, ostatni krzyk jego był pożegnaniem wodza i odgróżką wrogom, on rozbił się o głazy jak łoskot pancerza, co pęka od tęgiego razu.

Porwał się Zarucki i obszedł ognisko, na ziemi leży Kozak rozciągniony jak długi, krew jeszcze pluska z czoła i z piersi, ale z resztą żadnego ruchu nie dostrzedz w ciele. Wódz pojrzał nań wzrokiem przyzwyczajonym do takowych obrazów. Barwa oczekiwania z twarzy mu zeszła; on myślał, że to duch, który rozwalił mogiłę, by gońcem innego świata stawić się jego wezwaniu, a to człowiek co się przywlókł, by donieść o ziemskiej wieści i umarł.

Ale ten człowiek wśród bólów konania o Hetmanie swoim pamiętał jak syn o ojcu, po śniegu się zataczał cały w ranach, by raz jeszcze wykrzyknąć jego imię przed nim samym. Za tę wierność i kochanie, Zarucki ścisnął rękę martwemu i rzekł jako zwykł był mawiać nad trupami swoich. — Wieczny odpoczynek tobie Hrehory: byłeś dzielnym w boju. —

Potem znów się położył na ziemi przy struchlałej Marynie.

— Anioły i duchy przymknęli uszy na moje wołania. Znać grzechy moje stanęły wałem między niemi a mną. Życie jest marną bitwą, w której człek nigdy z konia nie zsiada i walcząc bez ustanku wreszcie przegrać musi. Nie żałuję życia; ale ty

dostojna i hoża, zrodzona byś ludziom panowała, krwawisz mi serce widokiem tylu wdzięków, które zaginą przed czasem, bo na jutro pewna zaguba.

— Ci, którzy państwami rządzą nie wschodzą i nie zapadają gwiazd codziennych trybem — odrzekła wstrząsając pierścieniami włosów z płomiennem spojrzeniem — nasze urodzenie i śmierć zarówno jest podziwem dla ludzi; w tem niechaj będzie nasza pociecha — ale tu głos się zmienił nagle i reszta dumy odpadła od czoła. — Na mróz i głód nie brakło mi wytrwałości, na zgryzoty i utęsknienia szerokie nosiłam serce, a teraz kiedy rozleciało się ono państwo obszerne i prześliczne, obfite w zboża i męże i złoto; kiedy komory pałaców moich na jaskinię się przemieniły, nie płaczę, nie szlocham, ale poczekam odrobinę jeszcze, póki przyjdzie zwycięzca i mnie urągać się będzie, a wtedy uniżony pokłon oddam panu w niebiesiech i z tego świata usunę się na wieki. —

Kiedy świtać zaczynało, wódz mołodców porwał za szablę i rusznicę, objął ramieniem kibić Maryny i w głąb jaskini się zanurzył, ani brał się już drogą wiodącą ku mogile dziecięcia, ale inną zupełnie, w bok tej pierwszej. Słabe światło zaciera przez otwory i szczeliny, gruzów pod nogami niemiara, zgiełk wiszących urwisk nad głową, słupy szronem okryte jak larwy bieleją. Czyż on żywcem do grobu zstępuje z kochanką?

W tem jaśniej się zrobi, płachta światła jakby oderwała się od niebios i skałę przebiła, leży na dolnych głazach, zewsząd otoczona cieniem; nad nią rozerwane sklepienie i widać przelatującą chmurę. —

Tu Zarucki ścisnął rękę Carowej i wstępując schodami, które czas wydłutował w ścianie lochu, wiódł ją za sobą, przebył otwór w górze i wdarł się na wierzchnie sklepienie.

Niebo całe szare od obłoków, u wschodu tylko zorza ognisko rozpaliła swoje i czeka słońca; gdzie niegdzie błękit przebija, chmury już się nie trzymają razem, ale jedne za drugiemi pędzą; przeczucie wiosny w powietrzu rozlane. Wszędzie na około podnoszą się skały śniegiem ubielone. Hetman wie dobrze, dokąd zmierza, ani spieszył się jak zbieg, ani zastanawiał się jak zbłąkany wędrowiec — ale równym stąpa krokiem, pilnuje towarzyszki, a zarazem okolicę przebiega oczyma. Jeszcze

buńczuki powiewają na tych samych cyplach, dotąd nie słychać ni głosów, ni szczęków. — A więc dalej, a więc dalej, ku tej skale co się stromemi piętrami wzbija nad jaskinią jak wieża nad zamkiem, u jej szczytu raz ostatni walczyć i zginąć chcę. —

I jak gdyby fale ogromnej powodzi lecącej z góry, nagle skamieniały, w takowy sposób piętrzy się skała, to wydymając pierś swoją to wziewając ją nazad. Po tych szczeblach z głazu wdzierali się oboje; doszedłszy krawędzi najwyższej zasiedli i patrzą na świat, co się pod niemi i nad niemi rozciąga, wzrokiem pożegnania. Ztąd objąć mogą tę całą warownię natury, która wznosi się z łona pustyni, cisną się tłumem opoki, rozdzielone tu i owdzie przepaścią. Ich ostrza to skupione, to rozerwane, to ząbkowane jak baszty, to śpiczaste jak minarety, to wzorem kopuł spłaszczone. Największa ich część nie naśladuje żadnych kształtów, ale pną się w górę, obwisłe śniegiem, najeżone lodami, łamiąc się w kąty, zaginając się w łuki, z dziką wspaniałością. Wschodzi słońce nad krańcem pustyni, piaski zapłoniły się, zatliły się szczyty; a ono ogromne, krwawe pośród pożaru chmur się wznosi.

Wtedy jedną razą ozwały się krzyki, nawoływania i hasła, głosy te grzmotem rozlegają się pomiędzy skałami i jak burza owiały Hetmana do koła. — To dzwony pogrzebu naszego — rzeknie z cicha i rusznicę opatrzy, lufę obciera z rosy, by składniej celować mógł.

Z okolicznych gór sypią się hufce, z okolicznych wąwozów występują roty: to idą naprzód, to się cofną, to gromadzą się do kupy, to rozchodzą: to ciągną jednym szeregiem, to małemi oddziały, znać że wodza szukają. Jemu spoglądającemu z wysoka zda się, jak gdyby ludzie owi nagle tknięci ślepotą zataczali się, drogi znaleźć nie mogąc.

— To orszak naszego pogrzebu — rzeknie z cicha i zaśmieje się gorzko, szablę wyciągnie z pochwy i położy przy sobie; kindżał przymocuje, by nie zleciał w chwili zapasów — i oczy utopi w Marynie, by przed zgonem nacieszyć się jeszcze ową gładką twarzą, na której niebezpieczeństwo i jednego zmarszczka wycisnąć ni zdoła.

Wrzask nagły podniósł się od dołu, wnet strzał chmura i garść kul rozbiła się o skałę pod stopami Zaruckiego.

— Zobaczyli nas — rzekł spokojnie. Wzdrygnęła się pomimo-wolnie Maryna i krzyknęła w obłąkaniu: — O Polsko, Polsko gdzież jesteś o Ojczyzno moja! — Ale ta słabość chwilkę trwała tylko, podniosła się i promieniami słońca oblana, spogląda na zbliżających się wrogów, oni wdzierają się którędy mogą i znów milczą tak jak chmury przed burzą.

Wdzierają się i po ślizkich tarzają się głazach, niejeden runie w dół by nie powstać więcej, odwalają gruzy, czepiają się wystających słupów, rozbijają ostrza lodu, pasują się z urwiskami dobywając sił wszystkich, jak gdyby na polu bitwy z wrogiem: napróżno; co ujdą kroków kilka zsuwają się nazad na kłębach śniegu — wyginają ciała, rozciągają ramiona by się utrzymać, klną proroka od złości i bólu. Napróżno, napróżno, skała odpiera ich ciągle; obchodzą ją i szukają z innej strony przystępu, nie znając drogi, którą przeszedł Zarucki. A on siedząc na wysokości, spogląda na nich jako człek zwyczajny pracom ludzkim w pocie i krwi odbytym, a które długo na nic się nie zdadzą. Zresztą nie znać w jego oczach by zię unosił weselem, dla tego iż oni męczą się i konają; on wie, że wcześniej czy później po wielu trudach i zgonach, dojdą cyplu na którym ich czeka, a nie tyle kocha się w życiu by cieszył się przedłużonem o godzinę.

Wrócili się i u stóp skały stanęli niewzruszeni; słychać głos jakiś co do nich przemawia; a w ostatku jego dźwięków, które wiatr przynosi do Zaruckiego znać jeszcze wyraz gniewu i pogardy, potem przerywane wołanie, niby rozkazy, niby odezwa do każdego po imieniu. Teraz już wszystko ucichło; ale z pomiędzy czarnej ich massy występują męże i w mały hufiec się gromadzą, jak odrywająca się chmura od gęstwiny zbitych obłoków, kiedy się jej zachce własnych lotów spróbować po niebie.

I w mgnieniu oka, rozsypawszy się na szereg długi, zaczną się wdzierać — wszyscy czarni po białym śniegu — co chwil kilka przerzedzają się: ów zniknął i śladu po nim nie masz, tamtemu głowę jeszcze widać nad śniegiem, ten potknął się i leży bez ducha; ale kto zręczniejszy, ten wspina się w górę, już zbroję na każdym rozeznać można — rysów jeszcze nie.

A ten który drze się na czele, dziwnie szybko uwija się pośród przeszkód niebezpiecznej drogi. Skacze na zabój i nie padnie nigdy, ślizga po lodzie i bieży po śniegu, jak gdyby anioł stróż trzymał go za włosy; rzadko spojrzy pod się, ciągle oczy w cypel skały wlepia, a gdzie otchłań z boku, on nachyla się ku niej, a gdzie doły, tam nie odwraca się od nich, ale pędzi prosto i przesadza je w pędzie. — W ręku trzyma szablę; towarzysze podpierają się na włóczniach i bułatach, on jeden swojej klingi śniegiem zmazać nie chce, ale wstrząsa ją nad czołem i poi w słońca promieniach. Zawój lśni mu się futrem i połyska djamenty, kolczuga to samo; a co chwila woła na swoich ostrym, przeraźliwym głosem, każe spieszyć za sobą, szydzi z ich ostrożności, a kiedy się kto obali i zlatuje w dół, on jeszcze głośniej się urąga.

— Bądź mi zdrowa na wieki — rzekł Zarucki, podnosząc się z siedzenia i przykładając rusznicę do oka; ale wnet ją spuścił w dół.

— Czas jeszcze przypomnieć się Bogu. —

Przykląkł, strzelbę odsunął, pałasz złożył na ziemi, kindżał odpasał i rzucił o dwa kroki od siebie. — Słyszałem że Zbawiciel, który dał się ukrzyżować za nasze winy, nie lubi tych, co go orężnie wzywają. — Przy nim w milczeniu uniżyła się także przed Stwórcą Maryna.

Modlitwa Hetmana krótką była: w pokorze schylił czoło, dłonie ścisnął, gorąco prosił o przebaczenie w duchu, ale mało słów wyrzekł, jako przystało na żołnierza, co przewalczył życie i pacierzy zapomniał wśród bojów.

A kiedy powstał, z lepszą otuchą pojrzał ku następującym wrogom i wziął się do broni. Dwa razy wystrzelił — dwa jęki usłyszał, i dwa trupy ześliznęły się na dół, jak pnie ścięte, spuszczone z góry; nie ma już czasu nabić rusznicy, a zatem rzucił ją w przepaść, ona to głucho szaruje po śniegu, to z brzękiem rozbija się o głazy.

Szablę wyciągnął przed się, Marynę własnem ciałem zakrywa; w tej chwili bił mu z oczu blask płomienia, jaki boje w sercach wojowników zapalają; nie była to wściekłość, ani też krwi pragnienie; nie był to zawrót mózgu w niebezpiecznym razie, ale wyższość umierającego bohatera nad zwy-

cięzcami: ale przeświadczenie duszy u progu wieczności, iż nie napróżno błąkała się po ziemskiem wygnaniu. By stanąć przed Tym, który ją zesłał jednego trzeba podrzutu jeszcze. Patrzcie jak z nieustraszonem sercem zabiera się do niego! Piersi wystawił na groty, nogę wrył w ziemię i posągiem stoi; lewą ręką z tyłu dłoń ukochanej trzyma, chwila jeszcze a osaczą go wrogi.

Wódz ich dochodzi już cypla, ale żadnemu strzały ni kuli wypuścić nie daje. Znikł pod wysuwającą się opoką, uchwycił się wiszaru i wnet ukazał się na niej.

— Poddaj się Igorze Sahajdaczny Zarucki. —

I to mówiąc, szablę spuścił w dół, swoim przykazał to samo, ale nie miłosierdzie ni uwielbienie ku zwyciężonemu przebija z jego licow; zasępione ma czoło, a namiętność jakowaś goreje w źrenicy.

Hetman zbył go milczeniem i wynosi ramię do cięcia; w tem uczuje drętwiejące palce Maryny i pomimowolnie się odwróci, a ona blada oczy przesłoniła ręką i powoli nachyla się mdlejąc. Rozśmiał się Nuradyn Murza i klasnął w dłonie. Ha! poznała, bierzcie go, bierzcie ją; dla niego męki, dla niej czwarty mąż. —

On spuścił głowę na piersi i rzekł głosem rozpaczy: — Bóg wie czem karze grzechy mojego żywota, śmierci się nie lękałem, aż on zesłał na mnie hańbę niewoli. —

XII.

Jak mogli tak zmykali Tatarzy od skał, od wąwozów — już też pogodniejsze niebo, słońce przygrzewać zaczyna, śnieg topnieje i wsiąka w piasek pod spodem. — Nadzieja, że u brzegów Jaiku zastaną gońców z Astrachanu i ojuczone wielbłądy, dodała im ducha.

Przebyli rzekę po lodzie — na tamtej stronie wódz kazał położyć się obozem, wielbłądy i gońce z Astrachanu już czekali na nich — a zatem rozbijają namioty, ognisko rozpalą, biorą się do mięsa i ryżu, wina i wódki nie żałują

sobie, wrzeszczą, a kiedy godzina modlitwy nadchodzi, bluźnią Bogu, śmieją się z proroka i piją dalej.

Na piasczystym wzgórzu, z którego wiatr zmiótł śniegi, stoi namiot Nuradyna podparty słupami długi i szeroki, obity skórami, z kopułą malowaną połyskujące barwy, z półksiężycem nad nią.

Ztąd widok na cały obóz się roztacza, na pustynię aż do krańców widnokręgu i na brzegi Jaiku, snujące się w bezustannych zakrętach ku morzu, i na szare morze w oddali.

Dotąd wódz nie rozmawiał z swoimi jeńcami, przynajmniej nikt nie widział go razem z nimi; on jechał na czele swoich hufców, ich prowadzono z tyłu, męża w łańcuchach, niewiastę w taśmach z jedwabiu, jako był przykazał na cyplu skały.

A kiedy stanął na miejscu, krótkiem słowem oznajmił swą wolę, by każdy odpoczął i hulał; sam wszedł do swego namiotu i już nie ukazał się więcej; nadedniem tylko kilku śpiących u stóp wzgórza Tatarów w około ognia, wśród rozrzuconych ostatków biesiady, przebudził nagle hałas jakowyś; ciekawie na pół rozmarzeni, wytężyli uszy, brzęk kajdan słychać było i głos Nuradyna; ale słów żadnych nie można rozeznać — potem głuchy jęk nastąpił. Wzdrygnęli się słuchacze i wszyscy razem pomimowolnie zawołali: Allah! — łoskot padającego ciała na nowo przymknął im usta.

Wszystko ucichło, oni czekali jeszcze, ale niczego się nie doczekali, zatem każden wychyli czarę i znowu oprze głowę o siodło by zasnąć.

Teraz to południe, słońce na niebie z chmurami się zabawia, to do piersi je tuli i na pół świeci tylko, to rozgania je i błyszczy w całej okazałości. Środkiem obozu zbrojni strażnicy wiodą niewiastę, długim zasłonioną welonem, broniąc jej od ciekawych spojrzeń zagrodą z dzid i szabel, spiesząc się o ile tchu im stanie; przeszli obóz cały i wstępują na wzgórze, zakołaczą do namiotu, podniesie się opona i wypuszczą z pomiędzy siebie tę, którą dotąd trzymali; potem za usłyszanym rozkazem, oddalą się nazad i rozsypią na różne strony. A ona weszła z głową schyloną, jako przystało królowej bez królestwa, niewieście bez towarzyszki, chrześciance wśród pogan, Polce wśród służalców moskwy. Ale czyż to sen objął nagle jej zmysły? Czy już

świat pożegnała i zapomniawszy o śmierci, dostała się do krainy czarów? Zewsząd wiązki świateł różnofarbnych krążą, zlatują, śmigają, woń kadzideł oblewa ją, raj kwiatów otacza do koła.

Pod jej stopami kobierce naśladują zieloność murawy, djamenty rosy przejrzystość i krople; u ścian piętrzą się obicia przetykane wieńcami róż, fiołek, jasminów i gałęzi, na których malowane ptaki prześliczne roztaczają pióra, a z góry pada światło dzienne, ale nim dojdzie oczu, przekrada się pośród muślinów i jedwabiów, długo błądzić musi po haftach ze złota i srebra, ślizgać na perłach, wyssać błękit z ametystów i rubinów purpurę, a wtedy całe pijane od farb i połysków na dół się stoczy i pląsa w drżące łuki, którym końca nie masz. One biegną dołem i wspinają się nazad, wypuszczając z siebie okręgi, iskry, rozkwitania i życia pozór owym udanym haftom nadając, a promienistemi sieci cały namiot kratkują, od góry do dołu zalewają potokiem jasności, która płynie szkarłatem i błękitem; zieleni się jak szmaragd, to złoci jak pomarańcza i do oka wpływa mile, bez rażenia, bez olśnienia, gdyby tysiąc motyli igrających razem po trawniku, kiedy słońce już nie parzy a zachodzi w złocie; księżyc zaś naprzeciwko się podnosi lamowany srebrem, a między niemi dwoma ujęte chmury hożym wieńcem oplatają niebo; o takowej godzinie chciałoby się zasnąć z roskoszy na wieki.

Jakoż temu, który leży na owej sofie w głębi pod oponą z jedwabiu znać z oczów, że marzy o miłości i śmierci; bo choć lubieżny uśmiech usiadł mu na ustach, bo choć tyle wzruszony, iż bliskim rozczulenia się wydaje, dosyć raz przebiegnąć owe rysy naciągnięte, rozognione rumieńcem gorączki by wyczytać, iż śmierć niedaleka mu grozi, a to nie łagodna, na spokojnem łożu, ale taka namiętna i rozpasana w boleściach, jak rozpasanem było jego życie w chuciach i czynach.

Leży na posłaniu, ale trudno mu doleżeć jeszcze chwili na niem, choć pragnie się wstrzymać i krwi zimnej dowieść, bo wie dobrze, iż spotkał się z duszą pełną i statku i hartu; bo chce inakszym się pokazać niż był przed laty; nie już po dziecinnemu i prosić i domagać się, ale jako na męża przystało znaglać i rozkazywać.

Napróżno, napróżno; jakąż siłą potrafi zaprzeć w siebie

ten dreszcz, który po nim bieży? Krwi bijącej nie odpłoszy od serca, od skroni, żadnym sposobem; on syn pustyni ssał promienie jej słońca w kolebce i z nich spieka na zawzdy została się w łonie; a zatem zgrzytnie i rękoma uderzając o łoże odeprze się od niego; skoczył, stoi wśród namiotu na przeciwko niej. Tu jeszcze walczył z sobą samym, ale nie zdołał wystroić lico w pogodniejszą barwę. Tu jeszcze drżąc załamywał dłonie, chcąc im nadać pozór niewzruszoności, ale krew coraz zażarciej wre mu po żyłach; by zmysły odzyskać, głowę na chwilę odwrócić usiłuje. Ale nie potrafił, bo siła namiętności trzyma źrenicę jego wlepioną wprost naprzeciw. Poznał, że nie poskromi ognia, który zeń bucha — a zatem rzucił się jak wściekły, zasłonę rozdarł i oderwał z jej skroni i zatrzymał się dysząc z potem na czole, obłąkanym wzrokiem, do szczętu znękany.

A ona wciąż zachowuje milczenie i z zwykłej powagi nic nie spuszcza, wprawdzie na jagodach znać ślady łez i smutek, ale kiedy te łzy wylała, o tem nikt nie wie; a teraz suche ma powieki i oczy posępne od wzgardy. Nuradyn wpatrywał się w nią i długo i długo. Dziwna że tak nagle się uciszył, głos mu zasnął w twarzy i ramionach, jedno spojrzenia zawsze równie mocne, sypią iskrami na lica Maryny, i z czoła mu wyczytać snadno, iż w duchu głęboko się namyśla; zapewnie nie trybem ludzi, którzy ważą na szali roztropności zamiary i doszedłszy brzegu przepaści wahają się nad nim, ale tak jak godziło się jemu, który nigdy żadnego uczucia nie rugował z duszy, o przyszłość nie dbał i duszę za pole bitwy oddał namiętnościom, a Tej, co zwyciężyła dał dowód zawsze i sercem i ciałem.

Zapewne teraz w nim podobna odbywa się walka, a promienie różnobarwnego światła igrając po zielonej szarfie ziarkowanej złotem, po kaftanie i mieniącem się futrze, po białym zawoju, twarz mu najmilszemi oblewają tęczami. Wreszcie, lica jego znów wyrazu żywszego, zmiennego nabiorą, głos do ust się ciśnie i mówić zaczyna — słowa jego muzykę naśladują: ani jednej ciągle trzymają się miary, ale przechodzą od tonów pieśni słabej, ginącej w oddali do dźwięków wojennego pienia, brzmiącego po nad szczątkami broni i zwłokami poległych, w ustach zwycięzcy.

— O Agaj-Hanie nikt nie słyszał oddawna — pamięć pacholęcia zaginęła, jak gdyby to pacholę przypomnieć się nigdy nie miało; prawda, on był lękliwym, kochał panią i służył wiernie; śmierci za niej się nie bał; nawiedzał ją pod czarnym sklepieniem. O jakież z niego dziecię było wtedy! precz mi z tem wspomnieniem, niech ono będzie dla mnie jak skóra dla węża kiedy ją odrzuci, a w nowe ustroi się szaty. Hej! wąż wtedy śmiga i syczy w radości, bo mu jadu przybyło, bo w pierścienie ze srebra i złota oblekł giętkie ciało; biada ptakom co nadlecą, biada wędrowcom, którzy nadejdą: w pysze z chwały swojej, nie daruje nikomu. O Agaj-Hanie nikt nie słyszał oddawna; ale on nie przepadł jak gwiazda co zlatuje na dół w głębiny świata, jak koncha co z brzegu zsuwa się w bezdenności morza; on wybrał się sam jeden i przez pustynię życia do Medyny serca swojego pielgrzymował długo, o skwarze i pragnieniu, urągając się przeszkód i trudów, aż wreszcie doszedł, a choć spalone ma czoło, nadwątloną siłę, nie żałuje tego. Bo to dla ciebie czynił hurysso moja!

A teraz chwila szczęścia nad nim zawisła, jako zbawienie nad grzesznikiem, co długo błagał proroka, aż prorok zlitował się jego wołaniom. —

— Losem wojny, odrzekła surowo, w ręce sługi swego dostała się pani, ale nie przeto znikł rozdział między Carową a giermkiem. — Tu się zatrzymała ale zaraz potem zawoła: — Nie! za nadtośmy bliskie śmierci, ażeby się jeszcze pysznić z darów, które niegdyś Bóg zlał na naszą głowę, a w upodobaniu swojem odjął nam, za to żeśmy jego przykazań we wszystkiem się nie pilnowały. Wśród tej pustyni, w której jako przeczuwamy, grób nas czeka, zapomnijmy o Kremlinie i dniu owym, kiedy nie byłbyś śmiał oczu podnieść aż do poręczy naszego tronu; ale imię, na chrzcie nadane, ale drugie imię od przodków wzięte, tobie dobrze znane, twoją hardość ukrócić powinno. Owem pierwszem: chrześcianką jestem, owem drugiem: Polką — uchyl czoła pohańcze, pamiętny klęsk i wstydu swojej braci, ucisz się Tatarze. —

— Udajesz chytra bo znasz moje dzieje, one były muzyką twojego więzienia. Tam obsypałem cię perłami i djamenty z skarbnicy chwały moich naddziadów. —

Uśmiech goryczy wykręcił mu usta.

— Nie mów już mi o tem co przeszło, potem będzie sprawa i z nim i z niemi; ale mów że mnie kochasz, ale mów że chcesz być morzem jasności i roskoszy, w którym zatonę. Tyś mi życie przepsuła na niwecz — jako gwiazda co wróży nieszczęście, ukazałaś mi się i drasnęłaś promieniem; ale potem zniknęłaś o gwiazdo moja, porwały cię wiry z ognia i uniosły daleko odemnie, a ja zostałem w ciemności, klnąc proroka, szarpiąc włosy; językiem moim stały się przekleństwa, napojem łzy i krew sącząca się z potłuczonych skroni. Ha, nagle porwałem się do biegu, ten który cię uwiózł nie ujdzie mej zemsty. Ścigałem i pieszo i konno, podliłem się przed ludźmi, klękałem przed bojarami, a śmiałem się w duszy; oni myśleli że to dla nich, a to dla ciebie było. — Kiedy to mówił; ciemniały mu rysy i pański głos przybierał, ona milczy i zdaje się nie słuchać.

— Ha! patrzcie; syn Padyszahów, mocarz nad Emirami, synowiec słońca, darmo żebrze miłosierdzia u Laszki. Gdzie twoje dwory, posagi, potęga, gdzie Dymitr, gdzie Zarucki? Opuściło cię wszystko, liść po liściu opadł z drzewa; strumień szczęścia, fala po fali wysechł na zwirze niedoli; w kim dufasz, na czem się oprzesz, spojrzyj w około, sama jesteś wśród hufców moich.

— Wiem o tem, że sama i dla tego na śmierć się gotuję. Giermku nie przeszkadzaj myślom moim, bo długi wątek życia muszę okręcić w koło chwil tych kilka, co mi jeszcze pozostały, a potem rozkazy Cara wypełnisz! —

— O zważaj, zważaj na moje słowa, pokochałem ciebie najcudniejszą wśród urodziwych, kiedy anioł zesłany od Allaha, przelatując powietrze, zatrzymałby się w locie, roztoczył nad tobą skrzydła i przypatrywał się tobie; tak samo, jak gdyby nową spotkał gwiazdę, w chwili kiedy na rozkaz Stwórcy wznosi się z otchłani i pierwsze najświeższe promienie rozsyła po świecie.

Dziś hurysso moja, po długiem niewidzeniu, znów oglądam ciebie; ale mgła żałości obwija twe czoło, jad głodu i nędzy wgryzł się w rysy twoje, pył długich błędów i bitew przypruszył kwiecie jagód twoich, i na powiekach dźwigasz ciężar bezsennych nocy. Byłaś jak chmura ukochana od słońca, na całym niebie żadna insza jej nie zrówna, ona jedna ciągnie oczy k'sobie, bo do niej całego nieba zbiegły się jasności

szkarłaty i złota, wiatry jej się przymilają i śpiewają w chórze podczas błękitnej żeglugi. A teraz zda mi się, jakoby zaszło słońce, a owa piękna, została z tyłu. Księżyc wznijdzie i srebrem ją wieńczy, ona cała srebrna przetykana gwiazdami, i patrzę na nią dotąd i kocham dotąd. Zerwij się do lotu chmuro, przebiegnij od morza; gdzie takiego drugiego znajdziesz, coby zarówno cię ubóstwiał, czyś w pełni czyś o zmierzchu twej chwały.

Zważaj, zważaj na moje słowa. Car tu jest niczem; z potęgi jego śmieje się Agaj-Han jak z kurzawy, którą z nóg otrząsa. Ja tu panem na całą pustynię. Zapomnij o przeszłości jako o ptaku co przeleciał i nigdy nie wróci. Na rączych koniach uchodź ze mną razem. Za temi piaski murawy się zielenią, kwiecia niemiara i ocean roskoszy. Tam hurysso moja, nas dwoje będzie, a świat cały naszem łożem miłości. Precz mi z Ojczyzną, Bogiem, Prorokiem, sławą i ludźmi. Żyć będę w objęciach twoich i skonam na twojej piersi. —

I zbliżał się do niej z drżącemi ramionami, jak gdyby ciało zabierało się do gwałtownego rozporządzenia. Rozhuźdane chucie szarpią mu rysy na twarzy, skręcają usta na których pożądliwość się pieni. Zęby dzwonią, biją od krwi co do nich napływa. W tej chwili wszelki ślad Boży opadł od niego i stał się człowiekiem na podobieństwo szatana.

A ona zaswsze równie poważna i nieulękniona, wzrokiem którym go hamowała przed laty, wstrzymuje i dzisiaj. On ślepego był męstwa na polu bitwy, odwaga w nim stawała się namiętnością, nieraz rzucił się jeden pośród tłumu nieprzyjaciół, nieraz choć słabszy, okręcił się giętko na około wroga i nagiął ku ziemi; nie z rozwagą, nie z zimnym statkiem szedł naprzeciw śmierci, ale z wściekłością, z obłąkaniem; a teraz do tej, którą ścigał tak długo, przystąpić nie śmi. Wyciąga ramiona, opadają ramiona; rzuca się ku niej, radby ją porwać w objęcia i przygnieść do piersi i tarzać się z nią po ziemi jako wąż z gadziną, ale zawsze odparty owem spojrzeniem na pół dumnem, świętem na pół, w którem i wstyd niewieści i uroczystość duszy myślącej o zgonie i ślad cierpień mięsza się do okazałości pozostałej z tylu powodzeń i potęgi; nie wiedząc co czynić, to płacze jak dziecko, to zgrzyta jak potępieniec.

Ale bo też na czoło Maryny Mniszchownej dziwna zstąpiła uroda: nie owa ziemska, której hołd składają ludzie westchnieniem i pocałunkami, w której przypadek zdarza, iż róże zakwitają na licu a gwiazdy zaiskrzą się w oczach; ale owa niebieska co jako cień znikomy, czasem objawia się na twarzy, a rysów się nie trzyma, a z płcią się nie zlewa, ale jest córką duszy niepojętą i boską jak dusza.

Agaj-Han spiesznym krokiem przeszedł namiot i stanął naprzeciw łoża. Tam u makaty haftowanej w najśliczniejsze kwiecia, wisi sznurek jedwabny z błyszczącą gałką, porwał za nią i zawołał:

— Ha doszedłem tajemnicy twojej, ty sądziłaś że to perła ukryta w morzu. Igorze Sahajdaczny Zarucki sam ukaż się lubej i rozwiąż ją od przysiąg wierności! —

Rozśmiał się całym gardłem jak śmieją się owi co zmysły stracili i ściągnął sznurek; wnet podniosła się kurtyna i coraz wyżej się podnosi i zwija.

A otóż na czarnej pościeli leży człowiek w zbroczonych szatach. Twarz blada i ręce białe, na szyi skrzepła krew się czerwieni jak naszyjnik z koralu, ale świeżości życia śmierć jeszcze dotąd całkiem wyssać nie potrafiła, choć już rysy rozwątliła i sinością powlekła. Nachylił się Tatar, rękę oplótł włosami głowy i głowa poszła za ręką bez żadnego oporu; przez chwilę kołysał ją w dłoni, urągając ściętym ustom, spuszczonym powiekom, roskoszując w śmierci niecierpianego, kiedy nie mógł roskoszować w miłości kochanki, potem rzucił ją pod stopy Marynie i wtedy utopił w nią wzrok przenikający, zacięty, jakby dla wyśledzenia czego mógł się spodziewać z niej po takim widoku.

Niegdyś byłaby wszystek ogień oczów wypłakała nad ciałem kochanka, przekleństwami i zemstą ścigała mordercę; sama do oręża i konia się wziąwszy, w tropy za nim poleciała, wśród ciemnej nocy, po bezdrożach, napotkanego zmusiła do walki.

Ale dziś insze i myśli i czasy, ręce wychudłe od nędzy, osłabłe od ciężaru kajdan; nikt nie stawi się na rozkaz, nikt nie poda ni sztyletu ni szabli; a też już i pono ostatnia chwila się zbliża, o ziemskich uczuciach zapomnieć się godzi, gwoli świętszym marzeniom duszę puścić trzeba w niebieskie

szlaki, w drogę u której początku się stoi, a której końca nie domyśleć się Panie Boże.

A zatem nie ledwo, że konająca z wzruszenia i żałości uklękła nad ową śmiałą głową i spuściła ku niej oczy, a czem jednem mogła przysłużyć się jej, to za nią ofiarowała modlitwę, szczerą i niepokalaną, którą polecała duszę zmarłego opiece aniołów; a potem wstaje, drżąca od osłabienia, z równym jednak blaskiem w źrenicy, łzami niezamglonej. Łzy są dziećmi przelotnego smutku; jak z chmury wiosennej, na lica spadają i wróżą pogodę, ale kiedy zetnie ich mróz boleści, wtedy nie pytaj się o słońce, bo ono może już nigdy nie wróci.

W Agaj-Hanie wre ciągle namiętność i mózg szaleje. Znów przeszedł namiot jak długi, hetmana głowę pchnął nogą, ona potoczyła się ku ciału — i zapuścił kurtynę, potem zdjął z nad łoża tasak oprawny w szmaragdy i niosąc go w ręku, zbliża się do Maryny.

— Nie igraj ze mną niewiasto, iżby chwila miłości rączo nie uleciała, a wtedy nadciągnie godzina zemsty i kary; bo zemsta jako miłość weselem jest sercu, które przesiąkło rosą południową. Każda kropla takowej rosy, od waszych iskier gorzej pali i rozjątrza; różane w niej wonie trucizna piekielna zarazem; ogień co krąży po mnie jest wieczną ci tajemnicą, córko północy. Ale z nim tak ostrożnie jako z płomieniem Allaha, bo on równie zabić umie. —

Tu nagła zmiana zaszła w jego rysach i postawie, raz jeszcze schyla przed nią czoło jako przed panią, spojrzeniom swoim żaru ujmuje i na drżące, czułe zamienia, głos zniżył i płyną jego dźwięki jako dumka przez dziecię śpiewana.

— Zmiłuj, o zmiłuj się nademną hurysso moja! Gwoli tobie całe poświęciłem życie, potok lat młodych, który mógł huczyć i pienić się po świecie, rozwalać skały i wykorzeniać lasy, zmusiłem do płynienia za twemi śladami, a on się stał drobnym strumieniem, który wyschnie w pamięci ludzi.

Ostatni jestem z mojego szczepu, mamże się rozbić marnie na skale twojego niemiłosierdzia i zaginąć, bez sławy, bez roskoszy, jako wyspa na morzu? Patrz, występuje z łona kipiących bałwanów, dniem i nocą złote miota ognie, nikt jej nie widział i nie dziwił się jej, samotna wśród pustyni wód, wylała całą

okazałość i znów zapada w otchłanie. Tak i ze mną będzie. Śmierć ci grozi wszędzie, piołun rośnie gdzie spojrzysz tylko, a tam gdzie ci wskazuję, wonieją róże i jaśminy. Skosztuj hurysso puharu miłości mojej, służyć ci będę jako duchy w niebie służą Allahowi — w jasności oczu twoich jako motyl ulatywać będę — dopóki olśniony, upojony, spalony, nie padnę u stóp twoich, a wtedy popiół ze mnie i kurzawa, a wtedy deptaj po mnie i przeklinaj mnie, ale teraz bądź moją, roztwórz objęcia twoje i synowi Padyszahów daj spocząć na liliach twej piersi, na białej piersi. —

I rysy młodocianą przybierały barwę; jako kwiat o skwarze słońca zwiędniały, a wieczorem podnoszący liście, tak i on w tej chwili rzeźwił się w nagłej czułości; uśmiech miłosny, swawolny, usta mu krasi, założył ręce i błaga. — Nuradyna Murzy żaden z jego ludzi by nie poznał w tej chwili; myśląc o tobie zatraciłem i język i naukę móich ojców; z duchami już nie umiem rozmawiać, ludziom rozkazować nie potrafię — wymknął mu się tesak z dłoni i podnosi oczy ku Marynie jako chrześciańskie dziecię, klęcząc podnosi oczy ku obrazowi Świętej.

— Morderco, pohańcze bez wstydu i bojaźni bożej, nie kalaj moich myśli twojemi gwary: możesz mnie męczyć i zabić; Maryna Mniszchowna śmierci się nie lęka, bylebyś umilkł i chwil kilka do modlitwy zostawił. —

Głos jej posępny, wzgardliwy, przeszył wskroś Agaj-Hana. Schyla się niżej, ale nie w pokorze, jedno by podnieść sztylet upuszczony, a kiedy go podniósł, wyrwał z pochwy, pochwę cisnął pod nogi, a rękojeść okręcił palcami, aż mu żyły ręki nabrzmieją, a do oka, do rysów, ciśnie się wyraz wściekłości; całem ciałem trzęsie się gwałtownie, ścisnął zęby jak gdyby chciał się wstrzymać, ale głos w którem wcieliła się namiętność duszy, usta mu rozerwie.

— Miłość twoja była dla mnie jako ten most ślizki nad otchłanią, po którym wszyscy w godzinę sądu przechodzić mamy do nieba; ale teraz dostałem się do raju, do zemsty. —

I klingą tasaku śmigał w około jej skroni, w około piersi; ona zbladła, lecz do prośby się nie zniży, krzyku nie wyda, a na klindze rozbite promienie, wiązkami światła błądzą po

jej licach i szyi, jak błyskawica, którą lustro śmignie, kiedy w nim odbije się słońce.

On igra z nią po jej puklach, po czole rozwodzi sztyletem połyski, powoli z przerwanym oddechem, z jaskrawemi oczyma, jak gdyby w tem czuł lubieżność jaką. — Hurysso moja, jakżeś mi piękną, w godzinie śmierci, a wiesz że dokąd idziesz i gdzie dostać się masz. Bez duszy, bez życia wiecznego, maro stworzona ku uciechom mężów, w proch się rozpadniesz i nic z ciebie nie będzie. Czemuż tak się kwapisz do snu i ciemności grobowej? Mniejsza o śmierć dla nas, którzyśmy nieśmiertelni; ale ty niewiasto nie ujrzysz nigdy pałaców Allaha; jako lampa którą duch bagnisk zawiesza na swoich kępach, świecisz trochę i umierasz na wieki. Ty i róża, obie nie macie duszy, jedno wasze barwy i zapachy mózg zawracają ludziom; a kiedy zwiędniecie, nikt nie troszczy się o was na ziemi ni w niebie. —

Wzdrygnęła się na te słowa niewiernego; ona stoi nad grobem, a on jej przepowiada, iż nie odżyje więcej; mróz przejął serce nieszczęśliwej, bo choć wierzy dusza w obietnice Pańskie, ciało drży zziębłe i osłabłe, kiedy chwila zgonu nadchodzi.

Ależ anioły stróże pilnują chwil naszych ostatnich i powiewem skrzydeł swoich rzeźwią nas w konaniu; ona też wraca do wiary i ufności, na Agaj-Hana spojrzy jak na złego ducha, i milcząc każdem biciem serca modli się do Boga.

Agaj-Han lewą ręką porywa ją za szatę, prawą tasak podniósł i trzyma nad jej piersiami; ona oczy przymknęła; ale powoli jego ręka mdleje, ramię zgina się i opada na dół stopniami, wreszcie opada zupełnie, a sztylet wisi u palców i ledwo się ich trzyma.

— Giermku dla czego przedłużasz konanie Maryny Mniszchownej. Jużem myślała, że zawarłszy powieki, dopiero się obudzę gdzieindziej, nie w tym namiocie, ale na tej ziemi. Iżali czekasz jej próśb za życiem; jej ukłonów tobie? Próżna zwłoka, próżne i płonne nadzieje, daj mi pokój Tatarze i kończ coś zaczął, bo ci Polka za prawdę powiada, iż przed tobą nigdy się nie uniży. Panie Boże i święta Bogarodzico zmiłuj się nademną.—

Jęk rozpaczy wyrwał się z Agaj-Hanowej piersi, i ścisnął tasak i znów podnieść chciał, ale nie potrafił; ten drobny oręż nad miarę ciężał jego dłoni, a zatem go puścił i zdeptał

gniewnie; potem w milczeniu po namiocie się przechadza, to krok za krokiem, wlekąc się gdyby na siłach mu zbywało, to podskakując, jak gdyby nagle kula mu w piersiach utkwiła. Bladość śmiertelna po licach mu się rozlewa. Zda się, że namiętność co miotała nim i życiem jego była, z przesilenia skonała: padł na kobierzec i gdyby nie oddech głuchy, ciężki, przerwany, miałbyś go za trupa.

Po chwili podnosi się w pół i wyciągając ramiona przemówi głosem człeka co draśniętej światłem miesięcznej nocy we śnie się odzywa.

— Garnijcie się do syna waszego Sułtana, Emiry pustyni, bo on dziś piękną pojmuje żonę. Długo błądził i chleb gryzł suchy u niewiernych, i psem był chudym u ich żłobów — ale teraz weźmie za rękę tę, którą ukochał i pójdzie z nią.

Hobrokowie, nędzny bojarze! tyś myślał, że ci tę perłę rzucę pod stopy, abyś ją zgniótł i u Cara za to miłościwej łaski nabył?

Gnij w Astrachanie stary i nie pytaj się o najurodziwszą z córek Adama. —

Tu uśmiech gwałtowny usta mu opanował, tak że przez chwilę dalej mówić nie mógł. — Ojcze mój, gdzie jesteś, trzy krople krwi z głowy twej spadły mi na skronie. Hurysso moja, we śnie i na jawie, panią byłaś Agaj-Hana! Co to za imię? Ktoś go nosił przed laty; królom i szachom djament potęgi pali się na zawoju, ale to znikoma gwiazda; oni dziś panują, a jutro ich synowie skowyczą z głodu po ulicach miast.

Widziałem, zważałem, kiedym przechodził a zimno usypiało nogi, wiecznie tam lodu nie masz, otwór—pchnąć—zleci—moskalom się nie dostanie — oni by ją rozćwiertowali. Tu głowa się toczy, tam skacze ręka, drgają owdzie piersi — nie — nie, przez Allaha! przez Haruna — cała, nieskażona, jako piękna jest na ziemi, tak piękna zstąpi w dół — a w głębi miękki piasek — i rozciągnie się na nim jako na łożu roskoszy. —

Podczas tych słów źrenica jego nabierała stopniami coraz więcej obłędu. Przestała się toczyć, wryła się w białko. Już nie rozmaite uczucia jako dotąd bywało, unoszą się na różne strony w jego spojrzeniach, myśl jedyna, po której żadnej drugiej już nie nastąpi w jego duszy, przebija we wzroku. Powstał jak zwierzę pędzone instynktem i ujął za ramię Marynę i szedł

ku tylnym drzwiom namiotu; ani wychodząc przypasał bułat lub wziął kindżał swój: szedł wlepiając oczy w nią, ściskając za rękę tak że jęczała z bolu; lecz ani już grozi ani się przymila; w milczeniu prowadzi ją zdala od obozu, po piaskach, ku brzegom Jaiku.

Słońce już ma się ku zachodowi i jako zwykle w pustyni, im bardziej spuszcza się na dół, tem bardziej krwią się zalewa; powietrze wiosenne, ciepłe, śnieg tu i owdzie wyspami się jeszcze trzyma, w górze klinem suną żurawie, za niemi ciągną kuliki i ostremi głosy rozmawiają podczas podróży.

Stanęli nad Jaikiem, z piasku i żwiru ulane jego brzegi; a rzeka cała dotąd ścięta lodem połyskuje czerwienią zachodu, ale można już dojrzeć w oddali walące się ogromy, nurtem pędzone, gromadzące się u zapory z lodu, nie przerwanej jeszcze, trzymającej się obu nabrzeży, które właśnie w tem miejscu zbiegają z góry i wstępują w koryto, jakby na pomoc lodowi. Ale już słychać z daleka huki łamiącej się kry, roztrzaskających się brył, a bliżej głuche szumy, które podnoszą się z głębi wód, to niby kipią tam pod spodem fale, to znowu stękają przyparte ciężarem. Znać że się rzeka zabiera do buntu, a wiatr ulatując nad nią, poklaskuje ciepłemi skrzydłami.

O! sił już nie staje Marynie — zawróciła się głowa wśród odmętu przyrodzenia. Jeszcze raz palce podniosła ku czołu i tam znak święty składając, szepce «w imię Ojca» — i wargi nie zbiegły się, usta na pół otwarte zostały, ale głosu już się nie spodziewaj po nich.

Agaj-Han porwał ją z siłą olbrzyma i niosąc w objęciach, na zabój się rzucił pomiędzy urwiska i cyple. Zlatuje na dół bezpieczny, bo duch szaleństwa czuwa nad nim, jak nad synem; piasek urywa się pod stopami a on nie pada, o głazy się potyka, a nie nachyli się nawet, skacze i pędzi; żwir z pod jego nóg leje się strumieniem, coraz niżej, coraz niżej, wreszcie dobiegł kędy ląd się kończy a lód poczyna; wstąpił bez namysłu, bez wahania i jako biegł po ziemi tak ślizga po lodzie, bez żadnego szwanku — wśród zawałów śniegu.

Oba brzegi cienie swe na Jaik rzucają, pośrodku nich gdzie już zetknąć się mają, wstęgę krwawego światła rozciągnęły zachodzące promienie; do tej kiedy doszedł Agaj-Han, stanął

i szukał czegoś w około — ale nie złożył Maryny, choć dyszał i kroplami potu oblane miał czoło. Czego szukał znać że dojrzał, bo skoczył i znów w bieg się wprawił i leciał w stronę morza — w cieniu już nie zbaczając, ciągle się trzymając drogi, którą słońce wytknęło.

Nie długo znów stanie, coraz huki się powiększają, gdzie niegdzie lód już pęka, ale on jeszcze stoi na bespiecznem miejscu, choć u samego brzegu otworu, w którym tryska woda; znać iż tam źródło odwieczne, bo na około wszystko zmarzło, a ono czyste, wirem się kręci i parą bucha.

— Obudź się! obudź hurysso moja!

I ręką tarł jej skronia i kroplami wody twarz jej oblewał.

Otworzyła oczy i milcząc z ramion jego wysunęła się ostatkiem mocy, chciała krokiem postąpić dalej, padła na lód kolanami, ale już nie mdleje; widzi, słyszy, zrozumiała jaki los ją czeka, i w tej uroczystej chwili, jeszcze raz podniosła głowę, jak gdyby chciała umrzeć godnością królowej.

Klęczy na samym brzegu przepaści — on stoi nad nią z wrokiem szaleńca i on może nie wie już kto ona, zkąd przyszła; może zapomniał swej miłości, swoich cierpień i trudów; ale on wie że tu jej zginąć trzeba; i objął ją ramionami, bez wściekłości, bez wyrazu zemsty na twarzy; pomimowolnie prawie, jak gdyby tajemnicza siła władała nim i on jej oprzeć się nie mógł.

Poszła na dno i fale zakipiały nad nią, wróciła raz tylko, ręce podniosła nad wodą i znów fale je zaleją, ani słychać by już mocowała się z niemi: źródło wre jak pierwej, ale żaden inny głos nie przymięsza się do jego szumu — jedno na niem, wśród czerwonej jasności igra między bąbelkami czarna wstążka z haftem złotem, głowa która go nosiła za życia, kędyż leży teraz?

Agaj-Han niewzruszony patrzy na topielę i czasami ręką pociera czoło; nie łacno rozum odwołać kiedy opuści duszę, i zostawi pustkami jako świątynię z której wyszli Bogi; stoi i czeka jakby się spodziewał, że owa którą kochał, nazad podniesie się z toni świeża i młoda, a w powtórnem na świat przyjściu zapomni o przeszłych dolach i jego miłości wysłucha.

I oczy wytrzyszcza i natęża ucho jako strzelec w kniei. Tymczasem w około powstają hałasy, rozmaite dziwaczne, które

z dołu się podnosząc, zdają się ostrzegać o niebezpieczeństwie. To jęk z oddali przylatuje, to wiatr gdzieś wpadł między kłęby śniegu i wzdycha jak dziewczyna; to niby skowyczenie gromady szakalów co uciekając ku nadbrzeżom pędzi, aż tu znowu ścierają się gdzieś bryły lodu i chrobocą jak piły, nagle zahuczą jakoby wysadzone w powietrze; potem słychać szum fal wartko płynących, i wrzaski ich wściekłe w około przeszkód biją się, potem znów szumią, znać, że tamę przeparły.

A bliżej w około niego, lód się ugina i warczy, pokrywa się rysami, to dziurki się wyłupią, to cały kawał się oderwie i kołysany przez wodę tłucze o przyległe ściany; świsty wiatru się wzmagają, pomiędzy nimi gęsi dzikich z góry zlatują głosy i jastrzębiów przeraźliwe krzyki; z tyłu coraz więcej gromadzi się lodu; już nie bryłami ale wzgórzami, które oblegają zaporę co dotąd się nie ruszyła i walą w szeregach z łoskotem piorunu. Ich ostre szczyty połyskują żarem od ostatnich promieni słońca. Gdyby nie chciał nawet oddać się zagubie, już za późno; ależ on o tem nie myśli; ku miejscu, gdzie zniknęła niewiasta, wciąż dzierży oczy, ani zważa na to co się dzieje w około, bojaźni żadnej twarz jego nie pokazuje; stoi gdyby wryty i nie zadrży ni razu, stoi i czeka wciąż, a w jego mózgu szaleństwo odprawuje tajemnice swoje.

Słońce zapadło w głąb, gdzieś za krańcem pustyni, pożar ogromny po sobie zostawiło na niebie, tam palą się chmury i wzbijają się dymy, a tu roztrzaskują się lody, nurt płynący z góry je rozbija i miele; co chwila się przysuwa, a posada, na której Agaj-Han duma, trzęsie od jednego brzegu do drugiego; w wirach podniosły się śniegi i latają w powietrzu jako mgły jakie, wicher pomiędzy niemi harce odbywa swoje i żałośnie jęczy, grzmoty jedne po drugich się rozlegają, coraz bliżej, coraz bliżej. Zda się jak gdyby na nowo archanioł ciemności zwoływał swe hufce i gotował się do walki przeciw wszechmocnemu Bogu.

Wszystko rwie się i pęka, chwil kilka uszło jeszcze, na krę cały lód się podarł, a on został na szerokim cyplu i oddala się od źródła kędy zginęła Maryna. Błyskawicą pędzi pomiędzy bryłami, a ręce wyciąga i jeszcze patrzy na niego, wzrokiem bez życia, świecącym jako świeci pruchno.

I z tyłu i z przodu pędzą za nim lody; on na swojej wyspie okolony słupami, wzgórzami, ostrzami, leci wśród odmętu; co chwila topnieją, kruszą się jej brzegi, to w kliny się wytną, to wygładzą się okrągło, ale coraz ich mniej, coraz mu ciaśniej. Trzyma się na środku, ręce na piersi założył, zawój bogaty mignie jeszcze czasem w promieniach zmierzchu; nadbrzeżów Jaiku nie dojrzyć już, bo filary, zawały, kopce z łodu je przesłaniają; woda i lód oto świat jego, ale on tego nie poznaje świata, bo dziwaczne otaczają go kształty, bo płynie jak strzała, i te kształty płyną z nim — przy ciągłym szumie. To mu się wydaje że kręci się na jednem miejscu, to znowu, że olbrzymy krainy nadziemskiej podają mu dłonie i ciągną go z sobą, a zimno, a okropnie, a coraz ciemniej; lecz pośród cieniów znać ciągle jako te duchy skaczą i suną w około. Raz tylko podniósł głowę i to nie z namysłu — przypadkiem, nie wiedzieć dla czego, a nad sobą dojrzał gwiazdę, z którą biła się czarna chmura. To mu przypomniało, że kiedyś bywał w okolicy zkąd takie gwiazdy i takowe chmury widne bywały, że w tej samej okolicy urodziwa postać przechadzała się niegdyś, i chciał dalej przypomnieć sobie, ale gwiazda zniknęła, rysów tej postaci doszukać się nie mógł — i głowę spuścił na piersi.

Ku morzu, ku morzu kra Jaiku pędzi i z nią Agaj-Han. Żegnaj mi na wieki dziecię mojej wyobraźni, za chwil kilka pochłoną cię fale i przerzucać sobie twoje ciało będą. Życie ci przeszło na mękach a mściłeś się zbrodniami, na tych których nienawidziłeś, na tej którąś kochał. Teraz ty i ona jednym żeście porwani pogrzebem; a wasze dusze kędy się podziały? Nie słychać było jako z waszych wykradały się piersi, nie słychać było ich lotu w przestrzeni, ale ona konając modliła się Marji.

Królowo Polski! daj jej zasiąść u stóp twoich, bo korona carów była dla niej wieńcem cierniowym, życie jej długą pielgrzymką, daleko od Ojczyzny, wśród obcych i zawistnych. Królowo Polski zlituj się nad córą Twoją.

NIE-BOSKA

KOMEDJA.

«Do błędów nagromadzonych przez przodków dodali to, czego nie znali ich przodkowie — wahanie się i bojaźń — i stało się zatem że zniknęli z powierzchni ziemi, i wielkie milczenie jest po nich.» BEZIMIENNY.

«To be or not to be, that is the question.»
HAMLET.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Gwiazdy w około twojej głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły — co ujrzysz jest twojem — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojem — chwale twojej niby nic nie zrówna.

Ty grasz cudzym uszom niepojęte roskosze. — Splatasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek, igraszkę palców twoich — łzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem, i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością. — Biada ci — biada. — Dziecię co płacze na łonie mamki — kwiat polny co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie.

Zkądżeś powstał marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie zobaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub w ironji? — Kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać anioła chwilą, nim zagrąźniesz w błoto, nim jak płaz pójdziesz czołgać i zadusić się mułem? — Tobie i niewieście jeden jest początek. —

Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich — twoje rozpacze i westchnienia opadają na dół, i szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana.

Nie przeto wyrzekam na ciebie Poezjo, matko Piękności i Zbawienia. — Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywemi głosami twej chwały.

Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki; Pan, przed którym się uniżają stworzenia i mówią: — On jest tutaj. — Taki cię będzie nosił gdyby gwiazdę na czole swojem, a nie oddzieli się od twej miłości przepaścią słowa. — On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawcześnie, i wyda na marną roskosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłemi się bawi i grobowy wieniec splata sobie przez całe życie. — Temu i niewieście jeden jest początek.

ANIOŁ STRÓŻ.

Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń kto ma serce — on jeszcze zbawion być może. — Żona dobra i skromna, zjaw się dla niego — i dziecię niechaj się urodzi w domu waszym.

(Przelatuje.)

CHÓR ZŁYCH DUCHÓW.

W drogę, w drogę widma, lećcie ku niemu. — Ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożnicy umarłej wczoraj, odświeżony w mgle i ubrany w kwiaty, dziewico kochanko poety, naprzód.

W drogę i ty sławo, stary orle wypchany w piekle, zdjęty z pala kędy się strzelec zawiesił w jesieni — leć i roztocz skrzydła, wielkie, białe od słońca, nad głową poety.

Z naszych sklepów wynijdź spróchniały obrazie Edanu, dzieło Belzebuba — dziury zalepiem i rozwiedziemy pokostem — a potem płótno czarnodziejskie zwiń się w chmurę i leć do poety — wnet się rozwiąż na około niego, opasz go skałami i wodami, naprzemian nocą i dniem. — Matko naturo otocz poetę!

Wieś. — Kościół. — Nad kościołem ANIOŁ STRÓŻ się kołysze.

Jeśli dotrzymasz przysięgi na wieki, będziesz bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego.

(Znika.)

Wnętrze kościoła. — Świadki. — Gromnica na ołtarzu. — KSIĄDZ (ślub daje.)

Pamiętajcie na to.

Wstaje para. — MĄŻ ściska rękę żony i oddaje ją krewnemu. — Wszyscy wychodzą. — On sam zostaje w kościele.

Zstąpiłem do ziemskich ślubów, bom znalazł tę o której marzyłem — przekleństwo mojej głowie, jeśli ją kiedy kochać przestanę.

Komnata pełna osób. — Bal. — Muzyka. — Swiece. — Kwiaty. — Panna młoda walcuje i po kilku okręgach staje, przypadkiem napotyka męża w tłumie i głowę opiera na jego ramieniu.

PAN MŁODY.

Jakżeś mi piękną w osłabieniu swojem — w nieładzie kwiaty i perły na włosach twoich — płoniesz ze wstydu i znużenia — o wiecznie, wiecznie będziesz pieśnią moją.

PANNA MŁODA.

Będę wierną żoną tobie, jako matka mówiła, jako serce mówi. — Ale tyle ludzi jest tutaj — tak gorąco i huczno.

PAN MŁODY.

Idź raz jeszcze w taniec, a ja tu stać będę i patrzeć na cię, jakem nieraz w myśli patrzał na sunących aniołów.

PANNA MŁODA.

Pójdę jeśli chcesz, ale już sił prawie nie mam.

PAN MŁODY.

Proszę cię moje kochanie.

(Taniec i muzyka.)

Noc pochmurna — DUCH ZŁY (pod postacią dziewicy, lecąc.)

Nie dawnom jeszcze biegała po ziemi, w taką samą porę — teraz gnają mnie czarty i każą świętą udawać.

(Leci nad ogrodem.)

Kwiaty odrywajcie się i lećcie do moich włosów.

(Leci nad smętarzem.)

Świeżość i wdzięki umarłych dziewic rozlane w powietrzu, płynące nad mogiłami, lećcie do jagód moich.

Tu czarnowłosa się rozsypuje — cienie jej puklów zawiśnijcie mi nad czołem. Pod tym kamieniem zgasłych dwoje ócz błękitnych — do mnie, do mnie ogień co tlał w nich. — Za temi kraty sto gromnic się pali — księżnę dziś pochowano — suknio atłasowa, biała jak mleko, oderwij się od niej — przez kraty leci suknia do mnie, trzepocząc się jak ptak — a dalej, a dalej.

Pokój sypialny. — Lampa nocna stoi na stole i blado oświeca męża śpiącego obok żony.

MĄŻ (przez sen.)

Skądże przybywasz niewidziana, niesłyszana oddawna — jak woda płynie tak płyną twoje stopy, dwie fale białe — pokój świątobliwy na skroniach twoich — wszystko com marzył i kochał, zeszło się w tobie.

(Przebudza się.)

Gdzież jestem! — ha przy żonie — to moja żona. —

(Wpatruje się w żonę.)

Sądziłem że to ty jesteś marzeniem mojem, a otoż po dlugiej przerwie, wróciło ono i różnem jest od ciebie. — Ty dobra i miła, ale tamta — Boże, co widzę — na jawie!

DZIEWICA.

Zdradziłeś mnie.

(Znika.)

MĄŻ.

Przeklęta niech będzie chwila w której pojąłem kobietę, w której opuściłem kochankę lat młodych, myśl myśli moich, duszę duszy mojej. —

ŻONA (przebudza się.)

Co się stało — czy już dzień — czy powóz zaszedł? — Wszak mamy jechać dzisiaj po różne sprawunki.

MĄŻ.

Noc głucha — śpij — śpij głęboko.

ŻONA.

Możeś zasłabł nagle mój drogi, wstanę i dam ci eteru.

MĄŻ.

Zaśnij.

ŻONA.

Powiedz mi drogi co masz, bo głos twój niezwyczajny i gorączką nabiegły ci jagody.

MĄŻ (zrywając się.)

Świeżego powietrza mi trzeba — zostań się — przez Boga nie chodź za mną — nie wstawaj, powiadam ci raz jeszcze.

(Wychodzi.)

Ogród przy świetle księżyca. — Za parkanem kościół.)

MĄŻ.

Od dnia ślubu mojego spałem snem otrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta niemca przy żonie niemce — świat cały jakoś zasnął w około mnie na podobieństwo moje — jeździłem po krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecię ma się mi narodzić, myślałem o mamce.

(Bije druga na wieży kościoła.)

Do mnie państwa moje dawne, zaludnione, żyjące, garnące się pod myśl moją — słuchające natchnień moich — niegdyś odgłos nocnego dzwonu był hasłem waszem.

(Chodzi i załamuje ręce.)

Boże, czyś Ty sam uświęcił związek dwóch ciał; czyś Ty sam wyrzekł że nic ich rozerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie, pójdą każda w swoją stronę, i ciała gdyby dwa trupy zostawią przy sobie? —

Znowu jesteś przy mnie — o moja — o moja, zabierz mnie z sobą — jeśliś złudzeniem, jeślim cię wymyślił, a tyś się utworzyła ze mnie i teraz objawiasz się mnie, niechże i ja będę marą, stanę się mgłą i dymem, by zjednoczyć się z tobą.

DZIEWICA.

Pójdziesz li za mną w którykolwiek dzień przylecę po ciebie?

MĄŻ.

O każdej chwili twoim jestem.

DZIEWICA.

Pamiętaj.

MĄŻ.

Zostań się — nie rozpraszaj się jako sen. — Jeśliś pięknością nad pięknościami, pomysłem nad wszystkiemi myśli, czemuż nie trwasz dłużej od jednego życzenia, od jednej myśli?

(Okno otwiera się w przyległym domu.)

GŁOS KOBIECY.

Mój drogi, chłód nocy spadnie ci na piersi; wracaj mój najlepszy, bo mi tęskno samej w tym czarnym, dużym pokoju. —

MĄŻ.

Dobrze, zaraz.

Znikł duch, ale obiecał że powróci, a wtedy żegnaj mi ogródku, i domku, i ty stworzona dla ogródka i domku, ale nie dla mnie.

GŁOS.

Zmiłuj się — coraz chłodniej nad rankiem.

MĄŻ.

A dziecię moje — o Boże!

(Wychodzi.)

Salon. — Dwie świece na fortepianie. — Kolebka z uśpionem dzieckiem w kącie. — Mąż rozciągnięty na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach. — Żona przy fortepianie.

ŻONA.

Byłam u Ojca Benjamina, obiecał mi się na pojutrze.

MĄŻ.

Dziekuję ci.

ŻONA.

Posłałam do cukiernika żeby kilka tortów przysposobił, boś podobno dużo gości sprosił na chrzciny — wiesz — takie czokoladowe z cyfrą Jerzego Stanisława.

MĄŻ.

Dziękuję ci.

ŻONA.

Bogu dzięki że już raz się odbędzie ten obrządek — że Orcio nasz zupełnie chrześcianinem się stanie — bo choć już chrzczony z wody, zdawało mi się zawsze że mu nie dostaje czegoś.

(Idzie do kolebki.)

Śpij moje dziecię — czy już się tobie coś śni, że zrzuciłeś kołderkę — ot, tak — teraz leż tak. — Orcio mi dzisiaj niespokojny — mój maleńki — mój śliczny, śpij.

MĄŻ (na stronie.)

Parno — duszno — burza się gotuje — rychłoż tam ozwie się piorun, a tu pęknie serce moje.

ŻONA (wraca, siada do fortepianu, gra i przerywa; znowu grac zaczyna i przestaje znowu.)

Dzisiaj, wczoraj — ah! mój ty Boże, i przez cały tydzień, i już od trzech tygodni, od miesiąca, słowa nie rzekłeś do mnie — i wszyscy których widzę, mówią mi że źle wyglądam.

MĄŻ (na stronie.)

Nadeszła godzina — nic jej nie odwlecze.

(Głośno.)

Zdaje mi się owszem, że dobrze wyglądasz.

ŻONA.

Tobie wszystko jedno, bo już nie patrzysz na mnie, odwracasz się kiedy wchodzę, i zakrywasz oczy kiedy siedzę blisko. — Wczoraj byłam u spowiedzi i przypomniałam sobie wszystkie grzechy — a nie mogłam nic znaleźć takiego coby cię obrazić mogło.

MĄŻ.

Nie obraziłaś mnie.

ŻONA.

Mój Boże — mój Boże!

MĄŻ.

Czuję że powinienem cię kochać.

ŻONA.

Dobiłeś mnie tem jednem: — powinienem — Ah! lepiej wstań i powiedz — nie kocham — przynajmniej już będę wiedziała wszystko — wszystko.

(Zrywa się i bierze dziecko z kolebki.)

Jego nie opuszczaj, a ja się na gniew twój poświęcę — dziecko moje kochaj — dziecko moje Henryku.

(Przyklęka.)

MĄŻ (podnosząc.)

Nie zważaj na to com powiedział — napadają mnie często złe chwile — nudy.

ŻONA.

O jedno słowo cię proszę — o jedną obietnicę tylko — powiedz że go zawsze kochać będziesz.

MĄŻ.

I ciebie i jego — wierzaj mi.

(Całuje ją w czoło — a ona go obejmuje ramionami — w tem grzmot słychać — zaraz potem muzykę — akkord po akkordzie i coraz dziksze.)

ŻONA.

Cóż to znaczy?

(Dziecię ciśnie do piersi.)

(Muzyka się urywa.)

Wchodzi DZIEWICA.

O mój luby, przynoszę ci błogosławieństwo i roskosz — chodź za mną.

O mój luby, odrzuć ziemskie łańcuchy które cię pętają. — Ja ze świata świeżego, bez końca, bez nocy. — Jam twoja.

ŻONA.

Najświętsza Panno ratuj mnie! — to widmo blade jak umarły — oczy zgasłe, i głos jak skrzypienie woza na którym trup leży.

MĄŻ.

Twe czoło jasne, twój włos kwieciem przetykany, o luba.

ŻONA.

Całun w szmatach opada jej z ramion.

MĄŻ.

Światło leje się na około ciebie — głos twój raz jeszcze — niechaj zaginę potem.

DZIEWICA.

Ta która cię wstrzymuje jest złudzeniem. — Jej życie znikome — jej miłość jako liść co ginie wśród tysiąca zeschłych — ale ja nie przeminę.

ŻONA.

Henryku, Henryku zasłoń mnie, nie daj mnie — czuję siarkę i zaduch grobowy.

MĄŻ.

Kobieto z gliny i błota, nie zazdrość, nie potwarzaj — nie bluźń — patrz — to myśl pierwsza Boga o tobie, ale tyś poszła za radą węża i stałaś się czem jesteś.

ŻONA.

Nie puszczę cię.

MĄŻ.

O luba! rzucam dom i idę za tobą.

(Wychodzi.)

ŻONA.

Henryku — Henryku.

(Mdleje i pada z dzieckiem — drugi grzmot.)

Chrzest. — Goście. — Ojciec Benjamin. — Ojciec chrzestny. — Matka chrzestna. — Mamka z dzieckiem. — Na sofie na boku siedzi Żona. — W głębi służący.

PIERWSZY GOŚĆ (po cichu.)

Dziwna rzecz, gdzie Hrabia się podział.

DRUGI GOŚĆ.

Zabałamucił się gdzieś, lub pisze.

PIERWSZY GOŚĆ.

A Pani blada, nie wyspana, słowa do nikogo nie przemówiła.

TRZECI GOŚĆ.

Chrzest dzisiejszy przypomina mi bale, na które zaprosiwszy gospodarz, zgra się w wilją w karty, a potem gości przyjmuje z grzecznością rozpaczy.

CZWARTY GOŚĆ.

Opuściłem śliczną księżniczkę — przyszedłem — sądziłem że będzie sute śniadanie, a zamiast tego jako Pismo mówi, płacz i zgrzytanie zębów.

OJCIEC BENJAMIN.

Jerzy Stanisławie przyjmujesz olej święty?

OJCIEC I MATKA CHRZESTNA.

Przyjmuję.

JEDEN Z GOŚCI.

Patrzcie, wstała i stąpa jak gdyby we śnie.

DRUGI GOŚĆ.

Roztoczyła ręce przed się, i chwiejąc się idzie ku synowi.

TRZECI GOŚĆ.

Co mówicie — podajmy jej ramię, bo zemdleje.

OJCIEC BENJAMIN.

Jerzy Stanisławie, wyrzekasz się szatana i pychy jego?

OJCIEC I MATKA CHRZESTNA.

Wyrzekam się.

JEDEN Z GOŚCI.

Cyt — słuchajcie.

ŻONA (**kładąc dłonie na głowie dziecięcia.**)

Gdzie ojciec twój, Orcio.

OJCIEC BENJAMIN.

Proszę nie przerywać.

ŻONA.

Błogosławię cię Orciu, błogosławię dziecię moje. — Bądź poetą, aby cię ojciec kochał, nie odrzucił kiedyś.

MATKA CHRZESTNA

Ale, pozwól że moja Marysiu.

ŻONA.

Ty ojcu zasłużysz się i przypodobasz. — A wtedy on twojej matce przebaczy.

OJCIEC BENJAMIN.

Bój się Pani Hrabina Boga.

ŻONA.

Przeklinam cię jeśli nie będziesz poetą.

(**Mdleje — wynoszą ją słudzy.**)

GOŚCIE (**razem.**)

Coś nadzwyczajnego zaszło w tym domu — wychodźmy, wychodźmy!

(**Tymczasem obrząd się kończy — dziecię płaczące odnoszą do kolebki.**)

OJCIEC BENJAMIN.

Jerzy Stanisławie, dopiero coś został Chrześcianinem i wszedł do towarzystwa ludzkiego, a później zostaniesz obywatelem, a za staraniem rodziców i łaską Bożą znakomitym urzędnikiem — pamiętaj że Ojczyznę kochać trzeba, i że nawet za Ojczyznę zginąć jest pięknie. —

(Wychodzą wszyscy.)

Piękna okolica. — Wzgórza i lasy. — Góry w oddali.

MĄŻ.

Tegom żądał, o to przez długie modliłem się lata, i nareszciem już bliski mojego celu — świat ludzi zostawiłem z tyłu — niechaj sobie tam każda mrówka bieży i bawi się źdźbłem swojem, a kiedy go upuści, niech skacze ze złości lub umiera z żalu.

GŁOS DZIEWICY.

Tędy — Tędy.

(Przechodzi.)

Góry i przepaście ponad morzem. — Gęste chmury. — Burza.)

MĄŻ.

Gdzie mi się podziała? nagle rozpłynęły się wonie poranku, pogoda się zaćmiła — stoję na tym szczycie, otchłań podemną, i wiatry huczą przeraźliwie.

GŁOS DZIEWICY (w oddaleniu.)

Do mnie, mój luby.

MĄŻ.

Jakże już daleko, a ja przesadzić nie zdołam przepaści.

GŁOS (w pobliżu).

Gdzie skrzydła twoje?

MĄŻ.

Zły duchu co się natrząsasz ze mnie, gardzę tobą.

GŁOS DRUGI.

U wiszaru góry, twoja wielka dusza, nieśmiertelna, co jednym rzutem niebo przelecieć miała, ot kona! — i nieboga twoich stóp się prosi, by nie szły dalej — wielka dusza — serce wielkie!

MĄŻ.

Pokażcie mi się, weźcie postać którąbym mógł zgiąć i obalić. — Jeśli się was ulęknę, bodajbym jej nie otrzymał nigdy.

DZIEWICA (na drugiej stronie przepaści.)

Uwiąż się dłoni mojej i wzleć.

MĄŻ.

Cóż się dzieje z tobą — kwiaty odrywają się od skroni twojej i padają na ziemię, a jak tylko się jej dotkną, ślizgają jak jaszczurki, czołgają jak żmije!

DZIEWICA.

Mój luby!

MĄŻ.

Przez Boga, suknię wiatr zdarł ci z ramion i rozdarł w szmaty!

DZIEWICA.

Czemu się ociągasz?

MĄŻ.

Deszcz kapie z włosów — kości nagie wyzierają z łona.

DZIEWICA.

Obiecałeś — przysiągłeś — —

MĄŻ.

Błyskawica źrenice jej wyżarła —

CHÓR DUCHÓW ZŁYCH.

Stara, wracaj do piekła — uwiodłaś serce wielkie i dumne, podziw ludzi i siebie samego. — Serce wielkie idź za lubą twoją.

MĄŻ.

Boże! czy ty mnie za to potępisz, żem uwierzył iż twoja piękność przenosi o całe niebo, piękność tej ziemi — za to żem ścigał za nią i męczył się dla niej, ażem stał się igrzyskiem szatanów?

DUCH ZŁY.

Słuchajcie bracia — słuchajcie.

MĄŻ.

Dobija ostatnia godzina. — Burza kręci się czarnemi wiry — morze dobywa się na skały i ciągnie ku mnie — niewidoma siła pcha mnie coraz dalej — coraz bliżej — z tyłu tłum ludzi wsiadł mi na barki i prze ku otchłani.

DUCH ZŁY.

Radujcie się bracia — radujcie.

MĄŻ.

Napróżno walczyć — roskosz otchłani mnie porywa — zawrót w duszy mojej — Boże — wróg Twój zwycięża! —

ANIOŁ STRÓŻ (po nad morzem.)

Pokój wam bałwany, uciszcie się.

W tej chwili na głowę dziecięcia twego zlewa się woda święta.

Wracaj do domu i nie grzesz więcej.

Wracaj do domu i kochaj dziecię twoje.

Salon z fortepianem. — Wchodzi Mąż. — Służący ze świecą za nim.

MĄŻ.

Gdzie Pani?

SŁUGA

J. W. Pani słaba.

MĄŻ.

Byłem w jej pokoju — pusty.

SŁUGA.

Jasny Panie, bo J. W. Pani tu nie ma.

MĄŻ.

A gdzie?

SŁUGA.

Odwieźli ją wczoraj...

MĄŻ.

Gdzie?

SŁUGA.

Do domu warjatów.

(Ucieka z pokoju.)

MĄZ.

Słuchaj Marjo, może ty udajesz? skryłaś się gdzie, żeby mnie ukarać? Odezwij się proszę cię — Marjo — Marysiu. Nie — nikt nie opowiada — Janie — Katarzyno. — Ten dom cały ogłuchł — oniemiał.

Tę, której przysiągłem na wierność i szczęście, sam strąciłem do rzędu potępionych już na tym świecie. — Wszystko czegom się dotknął zniszczyłem, i siebie samego zniszczę w końcu. — Czyż na to piekło mnie wypuściło, bym trochę dłużej był jego żywym obrazem na ziemi?

Na jakiejże poduszce ona dziś głowę położy. — Jakież dźwięki otoczą ją w nocy. — Skowyczenia i śpiewy obłąkanych. Widzę ją — czoło na którem zawsze myśl spokojna, witająca — uprzejma — przezierała — pochylone trzyma — a myśl dobrą swoją posłała w nieznane obszary, może za mną, i błąka się biedna i płacze.

GŁOS SKĄDSIŚ

Dramat układasz.

MĄŻ.

Ha! — mój szatan się odzywa.

(Bieży ku drzwiom, rozpycha podwoje.)

Tatara mi osiodłać — płaszcz mój i pistolety.

Dom obłąkanych w górzystej okolicy. — Ogród w okolo

ŻONA DOKTORA (z pękiem kluczy u drzwi.)

Może Pan krewny hrabiny?

MĄŻ.

Jestem przyjacielem jej męża, on mnie tu przysłał.

ŻONA DOKTORA.

Proszę Pana — wiele sobie z niej obiecywać nie sposób — mój mąż wyjechał, byłby to lepiej wyłuszczył — przywieźli ją zawczoraj — była w konwulsjach. — Jakie gorąco.

(Obciera twarz.)

Mamy dużo chorych — żadnego jednak tak niebespiecznie jak ona. — Imainuj sobie Pan, ten instytut kosztuje nas ze

dwakroć sto tysięcy. — Patrz Pan jaki widok na góry — ale Pan widzę niecierpliwy — więc to nie prawda, że Jakóbiny jej męża porwali w nocy? — proszę Pana.

Pokój. — Kratowane okno. — Kilka krzeseł. — Łóżko. — Żona na kanapie.

MĄŻ (wchodzi.)

Chcę być z nią sam na sam.

GŁOS Z ZA DRZWI.

Mój mąż by się gniewał, gdyby...

MĄŻ.

Dajże mi W. Pani pokój.

(Drzwi za sobą zamyka i idzie ku żonie.)

GŁOS Z NAD SUFITU.

W łańcuchy spętaliście Boga. — Jeden już umarł na krzyżu. — Ja drugi Bóg, i równie wśród katów.

Na rusztowanie głowy królów i panów — ode mnie poczyna się wolność ludu.

GŁOS Z ZA PRAWEJ ŚCIANY.

Klękajcie przed królem panem waszym.

GŁOS Z ZA LEWEJ ŚCIANY.

Kometa na niebie już błyska — dzień strasznego sądu się zbliża.

MĄŻ.

Czy mnie poznajesz, Marjo?

ŻONA.

Przysięgłam ci na wierność do grobu.

MĄŻ.

Chodź, daj mi ramię, wyjdziemy.

ŻONA.

Nie mogę się podnieść — dusza opuściła ciało moje, wstąpiła do głowy.

MĄŻ.

Pozwól, wyniosę ciebie.

ŻONA.

Dozwól chwil kilka jeszcze, a stanę się godną ciebie.

MĄŻ.

Jakto?

ŻONA.

Modliłam się trzy nocy, i Bóg mnie wysłuchał.

MĄŻ.

Nie rozumię cię.

ŻONA.

Odkiedym cię straciła, zaszła odmiana we mnie. — «Panie Boże» mówiłam, i biłam się w piersi, i gromnicę przystawiłam do piersi, i pokutowałam, «spuść na mnie ducha poezji,» i trzeciego dnia z rana stałam się poetą

MĄŻ.

Marjo.

ŻONA.

Henryku, mną teraz już nie pogardzisz — jestem pełna natchnienia — wieczorami już mnie nie będziesz porzucał.

MĄŻ.

Nigdy, nigdy.

ŻONA.

Patrz na mnie. — Czy nie zrównałam się z tobą — wszystko pojmę, zrozumiem, wydam, wygram, wyśpiewam. — Morze, gwiazdy, burza, morze — ach! wymknęło mi się jeszcze coś — bitwa. — Musisz mnie zaprowadzić na bitwę — ujrzę i opiszę — trup, całun, krew, fala, rosa, trumna.

Nieskończoność mnie obleje,
I jak ptak w nieskończoności
Błękit skrzydłami rozwieję,
I lecąc się rozemdleję
W czarnej nicości.

MĄŻ.

Przekleństwo — przekleństwo.

ŻONA (obejmuje go ramionami i całuje w usta.)

Henryku mój, Henryku, jakżem szczęśliwa!

GŁOS Z POD POSADZKI.

Trzech królów własną ręką zabiłem — dziesięciu jest jeszcze — i księży stu śpiewających mszę.

GŁOS Z LEWEJ STRONY.

Słońce trzecią część blasku straciło — gwiazdy zaczynają potykać się po drogach swoich — niestety — niestety!

MĄŻ.

Dla mnie już nadszedł dzień sądu.

ŻONA.

Rozjaśnij czoło, bo smucisz mnie na nowo — czegóż ci nie dostaje? — wiesz, powiem ci coś jeszcze.

MĄŻ.

Mów, a wszystkiego dopełnię.

ŻONA.

Twój syn będzie poetą.

MĄŻ.

Co?

ŻONA.

Na chrzcie ksiądz mu dał pierwsze imię poeta — a następne znasz, Jerzy Stanisław — jam to sprawiła — błogosławiłam, dodałam przekleństwo — on będzie poetą. — Ach, jakże cię kocham Henryku.

GŁOS Z SUFITU.

Daruj im Ojcze, bo nie wiedzą co czynią.

ŻONA.

Tamten dziwne cierpi obłąkanie — nieprawdaż?

MĄŻ.

Najdziwniejsze.

ŻONA.

On nie wie co gada, ale ja ci ogłoszę coby było gdyby Bóg oszalał.

(Bierze go za rękę.)

Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy krzyczy. — «Ja Bogiem» — i co chwila jeden po drugim konają — gasną komety i słońca. — Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. Czy słyszysz jak ten krzyż, nadzieja miljonów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a co raz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał z jego odłamków. — Najświętsza Bogarodzica jedna się jeszcze modli i gwiazdy jej służebnice nie odbiegły jej dotąd — ale i Ona pójdzie kędy idzie świat cały.

MĄŻ.

Marjo, może chcesz widzieć syna?

ŻONA.

Jam mu skrzydła przypięła, posłała między światy, by się napoił wszystkiem co piękne, i straszne i wyniosłe. — On wróci kiedyś i uraduje ciebie. — Ah!

MĄŻ.

Źle tobie?

ŻONA.

W głowie mi ktoś lampę zawiesił, i lampa się kołysze — nieznośnie.

MĄŻ.

Marjo moja najdroższa, bądź że mi spokojna, jako dawniej byłaś!

ŻONA.

Kto jest poeta, ten nie żyje długo.

MĄŻ.

Hej! ratunku — pomocy.

(Wpadają kobiety i) ŻONA DOKTORA.

Pigułek — proszków — nie — nic zsiadłego — owszem płynne jakie lekarstwo. — Małgosiu, bież do apteczki. — Pan sam temu przyczyną — mój mąż mnie wyłaje.

ŻONA.

Żegnam cię, Henryku.

ŻONA DOKTORA.

To J. W. Hrabia sam w osobie swojej!

MĄŻ.

Marjo, Marjo.

(Ściska ją.)

ŻONA.

Dobrze mi, bo umieram przy tobie.

(Spuszcza głowę.)

ŻONA DOKTORA.

Jaka czerwona. — Krew rzuciła się do mózgu.

MĄŻ.

Ale jej nic nie będzie!

(Wchodzi doktór i do kanapy się zbliża.)

DOKTÓR.

Już jej nic nie ma — umarła.

CZĘSC DRUGA.

Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? — Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela, czarcie maleńki, czemuś tak podobny do aniołka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochylone choć żywe, pełne wspomnień choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Zkąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronie twoje obarczone myślami?

A kiedy się zarumienisz, płoniesz jak stulistna róża, i pukle odwijając w tył, wzroczkiem sięgasz do nieba — powiedz co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtedy? — Bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici płynące z niewidzialnego kłęba — bo w oczach twoich jaśnieje iskra, której nikt nie rozumie — a mamka twoja płacze i woła na ciebie i myśli że jej nie kochasz, a znajomi i krewni wołają na ciebie, i myślą że ich nie poznajesz — twój ojciec jeden milczy, i spogląda ponuro, aż łza mu się zakręci i znowu gdzieś przepadnie.

Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia, i ogłosił że masz nerwy. — Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. — Profesor przystąpił i macał głowę twoją, i wyrzekł że masz zdatność do nauk ścisłych. — Ubogi któremuś dał grosz, przechodząc, do czapki, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. — Wojskowy przyskoczył, porwał i podrzucił, i krzyknął «będziesz pułkownikiem.» — Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nic wyczytać nie mogła, jęcząc odeszła, dukata wziąść nie chciała. — Magnetyzer palcami ci wionął w oczy, długiemi palcami twarz ci okrążył, i przeląkł się, bo czuł że sam zasypia. — Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi i chciał uklądz przed tobą, jak przed obrazkiem. — Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wyklętemi duchami.

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: «Jakie śliczne dziecię.» — Gdyby kwiat co więdnie miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku chylącym się ku ziemi anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, dziecię moje — może takie bywały przed upadkiem Adama.

Smętarz. — Mąż. — Orcio przy grobie w gotyckie filary i wieżyczki.

MĄŻ.

Zdejm kapelusik i módl się za duszę matki.

ORCIO.

Zdrowaś Panno Marjo, łaskiś Bożej pełna, królowa niebios, Pani wszystkiego co kwitnie na ziemi, po polach, nad strumieniami...

MĄŻ.

Czego odmieniasz słowa modlitwy — módl się jak cię nauczono, za matkę, która temu dziesięć lat właśnie o tej samej godzinie skonała.

ORCIO.

Zdrowaś Panno Marjo, łaski Bożej pełna, Pan z tobą, błogosławionaś między Aniołami, i każdy z nich kiedy przechodzisz, tęczę jedną z skrzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje. — Ty na nich, jak gdyby na falach...

MĄŻ.

Orcio!

ORCIO.

Kiedy mi te słowa się nawijają i bolą w głowie tak, że proszę papy, muszę je powiedzieć.

MĄŻ.

Wstań, taka modlitwa nie idzie do Boga. — Matki nie pamiętasz — nie możesz jej kochać.

ORCIO.

Widuję bardzo często mamę.

MĄŻ.

Gdzie mój maleńki?

ORCIO.

We śnie, to jest nie zupełnie we śnie, ale tak kiedy zasypiam, naprzykład zawczoraj.

MĄZ.

Dziecko moje, co ty gadasz?

ORCIO.

Była bardzo biała i wychudła.

MĄŻ

A mówiła co do ciebie?

ORCIO.

Zdawało mi się, że się przechadza po wielkiej i szerokiej ciemności, sama bardzo biała, i mówiła·

Ja błąkam się wszędzie,
Ja wszędzie się wdzieram
Gdzie światów krawędzie,
Gdzie aniołów pienie,
I dla ciebie zbieram
Kształtów roje,
O dziecię moje!
Myśl i natchnienie.

I od duchów wyższycb
I od duchów niższych
Farby i odcienie,
Dźwięki i promienie
Zbieram dla ciebie,
Byś ty, o synku mój!
Był jako w niebie,
I ojciec twój
Kochał ciebie.

Widzi ojciec że pamiętam słowo w słowo — proszę kochanego papy ja nie kłamię.

MĄŻ (opierając się o filar grobu.)

Marjo, czyż dziecię własne chcesz zgubić, mnie dwoma zgonami obarczyć... Co ja mówię? ona gdzieś w niebie cicha i spokojna, jak za życia na ziemi — marzy się tylko temu biednemu chłopięciu.

ORCIO.

I teraz słyszę głos jej, lecz nic nie widzę.

MĄŻ.

Zkąd — w której stronie?

ORCIO.

Jak gdyby od tych dwóch modrzewi, na które pada światło zachodzącego słońca.

Ja napoję
Usta twoje
Dźwiękiem i potęgą,
Czoło przyozdobię
Jasności wstęgą,
I matki miłością.
Obudzę w tobie
Wszystko co ludzie na ziemi, anieli w niebie,
Nazwali pięknością,
By ojciec twój
O synku mój!
Kochał ciebie.

MĄŻ.

Czyż myśli ostatnie przy zgonie towarzyszą duszy, choć dostanie się do nieba — możeż być duch szczęśliwym, świętym i obłąkanym zarazem.

ORCIO.

Głos mamy słabieje, ginie już prawie za murem kostnicy, ot tam — tam jeszcze powtarza:

O synku mój!
By ojciec twój
Kochał ciebie.

MĄŻ.

Boże zmiłuj się nad dzieckiem naszem, którego zda się że w gniewie Twoim przeznaczyłeś szaleństwu i zawczesnej śmierci! — Panie, nie wydzieraj rozumu własnym stworzeniom, nie opuszczaj świątyń, któreś sam wybudował sobie — spojrzyj na męki moje, i aniołka tego nie wydawaj piekłu — Mnieś przynajmniej obdarzył siłą na wytrzymanie natłoku myśli, namiętności i uczuć, a jemu? — dałeś ciało do pajęczyny podobne, które lada myśl rozerwie — o Panie Boże — o Boże!

Od lat dziesięciu dnia spokojnego nie miałem — nasłałeś wielu ludzi na mnie, którzy mi szczęścia winszowali, zazdrościli, życzyli — spuściłeś na mnie grad boleści i znikomych obrazów, i przeczucia i marzeń — łaska Twoja na rozum spadła, nie na serce moje — dozwól mi dziecię ukochać w pokoju, i niechaj stanie mir już między Stwórcą i stworzonym. — Synu przeżegnaj się i chodź ze mną. Wieczny odpoczynek.

(Wychodzą.)

Spacer. — Damy i kawalerowie. — Filozof. — Mąż.

FILOZOF.

Powtarzam, iż to jest nieodbitą, samowolną wiarą we mnie, że czas nadchodzi wyzwolenia kobiet i murzynów.

MĄŻ.

Pan masz rację.

FILOZOF.

I wielkiej do tego odmiany w towarzystwie ludzkiem w szczególności i w ogólności — z czego wywodzę odrodzenie się rodu ludzkiego przez krew i zniszczenie form starych.

MĄŻ.

Tak się panu wydaje.

FILOZOF.

Podobnie jako glob nasz się prostuje lub pochyla na osi swojej przez nagłe rewolucje.

MĄŻ.

Czy widzisz to drzewo spróchniałe?

FILOZOF,

Z młodemi listkami na dolnych gałązkach.

MĄŻ.

Dobrze. — Jak sądzisz — wiele lat jeszcze stać może?

FILOZOF.

Czy ja wiem — rok — dwa lata.

MĄŻ.

A jednak dzisiaj wypuściło z siebie kilka listków świeżych, choć korzenie gniją coraz bardziej.

FILOZOF.

Cóż z tego?

MĄŻ.

Nic — tylko że gruchnie i pójdzie precz na węgle i popiół, bo nawet stolarzowi nie zda się na nic.

FILOZOF.

Przecie nie o tem mowa.

MĄŻ.

Jednak to obraz twój i wszystkich twoich, i wieku twego, i teorji twojej.

(Przechodzą.)

(Wąwóz pomiędzy górami.)

MĄŻ.

Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, roskoszy i myśli, i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem. — Znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądzy, żadnej wiary, miłości nie ma we mnie — jedno kilka przeczuć krąży w tej pustyni — o synu moim że oślepnie — o towarzystwie w którem wzrosłem, że rozprzęgnie się — i cierpię tak jak Bóg jest szczęśliwy, sam dla siebie.

GŁOS ANIOŁA STRÓŻA.

Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj, bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawion będziesz.

MĄŻ.

Kto się odzywa?

MEFISTO (przechodząc.)

Kłaniam uniżenie — lubię czasem zastanowić podróżnych darem, który natura osadziła we mnie.— Jestem brzuchomówca.

MĄŻ (podnosząc rękę do kapelusza.)

Na kopersztychach podobną twarz gdzieś widziałem.

MEFISTO (na stronie.)

Hrabia ma dobrą pamięć.

(Głośno.)

Niech będzie pochwalon.

MĄŻ.

Na wieki wieków — amen.

MEFISTO (wchodząc pomiędy skały.)

Ty i głupstwo twoje.

MĄŻ.

Biedne dziecię dla win ojca, dla szału matki, przeznaczone wiecznej ślepocie — niedopełnione, bez namiętności, żyjące tylko marzeniem, cień przelatującego anioła, rzucony na ziemię i błądzący w znikomości swojej. — Jakiż ogromny orzeł wzbił się nad miejscem w którem ten człowiek zniknął.

ORZEŁ.

Witam cię — witam.

MĄŻ.

Leci ku mnie cały czarny — świst jego skrzydeł jako świst tysiąca kul w boju.

ORZEŁ.

Szablą ojców twoich, bij się o ich cześć i potęgę.

MĄŻ.

Roztoczył się nademną — wzrokiem węża grzechotnika ssie mi źrenice — ha! rozumiem ciebie.

ORZEŁ.

Nie ustępuj, nie ustąp nigdy — a wrogi twe, podłe wrogi twe, pójdą w pył.

MĄŻ.

Żegnam cię wśród skał pomiędzy któremi znikasz — bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zguba, uwierzę tobie posłanniku chwały. — Przeszłości, bądź mi ku pomocy! — a jeśli duch twój wrócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem.

(Zrzuca żmiję.)

Idź podły gadzie — jako strąciłem ciebie i nie ma żalu po tobie w naturze, tak oni wszyscy stoczą się w dół, i po nich żalu nie będzie — sławy nie będzie — sławy nie zostanie. — Żadnaż się nie odwróci w żegludze, by spojrzeć za sobą na tylu synów ziemi ginących pospołu.

Oni naprzód. — Ja potem.

Błękicie niezmierzony, ty ziemię obwijasz — ziemia niemowlęciem co zgrzyta i płacze — ale ty nie drżysz, nie słuchasz jej, ty płyniesz w nieskończoność swoją.

Matko naturo, bądź mi zdrowa — idę się na człowieka przestworzyć, walczyć idę z bracią moją.

Pokój. — Mąż. — Lekarz. — Orcio.

MĄŻ.

Nic mu nie pomogli — w panu ostatnia nadzieja.

LEKARZ.

Bardzo mi zaszczytnie....

MĄŻ.

Mów panu, co czujesz.

ORCIO.

Już nie mogę ciebie ojcze, i tego pana rozpoznać — iskry

i nicie czarne latają przed mojemi oczami, czasem z nich wydobędzie się nakształt cieniutkiego węża — i nuż robi się chmura żółta — ta chmura w górę podleci, spadnie na dół, pryśnie z niej tęcza — i to nic mnie nie boli.

LEKARZ.

Stań panie Jerzy, w cieniu — wiele pan lat masz.

(Patrzy mu w oczy.)

MĄŻ.

Skończył czternaście.

LEKARZ.

Teraz odwróć się do okna.

MĄŻ.

A cóż?

LEKARZ.

Powieki prześliczne, białka przeczyste, żyły wszystkie w porządku, muskuły w sile.

(Do Orcia.)

Śmiej się pan z tego — Pan będziesz zdrów jak ja.

(Do Męża.)

Nie ma nadziei. — Sam pan Hrabia przypatrz się źrenicy: nie czuła na światło — osłabienie zupełne nerwu optycznego.

ORCIO.

Mgłą zachodzi mi wszystko — wszystko.

MĄŻ.

Prawda — rozwarta — szara — bez życia.

ORCIO.

Kiedy spuszczę powieki, więcej widzę niż z otwartemi oczami.

LEKARZ.

Myśl w nim ciało przepsuła — należy się bać katalepsji.

MĄŻ (odprowadzając lekarza na stronę.)

Wszystko co żądasz — pół mojego majątku.

LEKARZ.

Dezorganizacja nie może się zreorganizować.

(Bierze kij i kapelusz.)

Najniższy sługa pana Hrabiego, muszę jechać zdjąć jednej pani kataraktę.

MĄŻ.

Zmiłuj się, nie opuszczaj nas jeszcze.

LEKARZ.

Może Pan ciekawy nazwiska tej choroby —?

MĄŻ.

I żadnej, żadnej nie ma nadziei?

LEKARZ.

Zowie się po grecku: amavrosis.

(Wychodzi.)

MĄŻ (przyciskając syna do piersi.)

Ale ty widzisz jeszcze cokolwiek?

ORCIO.

Słyszę głos twój, Ojcze.

MĄŻ.

Spojrzyj w okno — tam słońce, pogoda.

ORCIO.

Pełno postaci mi się wije między źrenicą a powieką — widzę twarze widziane, znajome miejsca — karty książek czytanych.

MĄŻ.

To widzisz jeszcze?

ORCIO.

Tak, oczyma duszy; lecz tamte pogasły.

MĄŻ (padając na kolana po chwili milczenia.)

Przed kim ukląkłem — gdzie mam się upomnieć o krzywdę mojego dziecka.

(Wstając.)

Milczmy raczej — Bóg się z modlitw, szatan z przekleństw śmieje.

GŁOS SKĄDSIŚ.

Twój syn poetą — czegóż żądasz więcej?

Lekarz. — Ojciec chrzestny.

OJCIEC CHRZESTNY.

Zapewne to wielkie nieszczęście być ślepym.

LEKARZ.

I bardzo nadzwyczajnie w tak młodym wieku.

OJCIEC CHRZESTNY.

Był zawsze słabej kompleksji, i matka jego umarła nieco ... tak. .

LEKARZ.

Jak to?

OJCIEC CHRZESTNY.

Poniekąd tak — Wać pan rozumiesz — bez piątej klepki.

MĄŻ (wchodzi.)

MĄŻ.

Przepraszam pana, żem go prosił o tak późnej godzinie; od kilku dni mój biedny syn budzi się zawsze około dwunastej, wstaje i przez sen mówi — proszę za mną.

LEKARZ.

Chodźmy. — Jestem bardzo ciekawy owego fenomenu.

Pokój sypialny. — Służąca. — Krewni. — Ojciec chrzestny. — Lekarz. — MĄŻ.

KREWNY.

Cicho.

DRUGI.

Obudził się, a nas nie słyszy.

LEKARZ.

Proszę panów nic nie mówić.

OJCIEC CHRZESTNY.

To rzecz arcydziwna.

ORCIO (wstając.)

O Boże — Boże.

KREWNY.

Jak powoli stąpa.

DRUGI.

Jak trzyma ręce założone na piersiach.

TRZECI.

Nie mrugnie powieką — ledwo że usta roztwiera, a przecie głos ostry, przeciągły z nich się odbywa.

SŁUŻĄCY.

Jezusie Nazareński!

ORCIO.

Precz odemnie ciemności — jam się urodził synem światła i pieśni — co chcecie odemnie — czego żądacie odemnie. Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wiatrami i goni gdzieś po przestrzeniach — ale on wróci kiedyś, bogaty w promienie gwiazd, i oczy moje rozogni płomieniem.

OJCIEC CHRZESTNY.

Tak jak nieboszczka, plecie sam nie wie co — to widok bardzo zastanawiający.

LEKARZ.

Zgadzam się z Panem Dobrodziejem.

MAMKA.

Najświętsza Panno Częstochowska, weź mi oczy i daj jemu!

ORCIO.

Matko moja, proszę cię — matko moja, naślij mi teraz obrazów i myśli, bym żył wewnątrz, bym stworzył drugi świat w sobie, równym temu jaki postradałem.

KREWNY.

Co myślisz bracie, to wymaga rady familijnej.

DRUGI.

Czekaj — cicho.

ORCIO.

Nie odpowiadasz mi — o matko! nie opuszczaj mnie.

LEKARZ (do Męża.)

Obowiązkiem moim jest prawdę mówić.

OJCIEC CHRZESTNY.

Tak jest — to jest obowiązkiem — i zaletą lekarzy, Panie Konsyliarzu.

LEKARZ.

Pański syn ma pomięszanie zmysłów, połączone z nadzwyczajną drażliwością nerwów, co niekiedy sprawia, że tak powiem, stan snu i jawu zarazem, stan podobny do tego który oczywiście tu napotykamy.

MĄŻ (na stronie.)

Boże, patrz, on twoje sądy mi tłomaczy!

LEKARZ.

Chciałbym pióra i kałamarza. — Cerasis laurei: dwa grany, etc. etc.

MĄŻ.

W tamtym pokoju Pan znajdziesz. — Proszę wszystkich by wyszli.

GŁOSY POMIĘSZANE.

Dobranoc — dobranoc — do jutra.

(Wychodzą.)

ORCIO (budząc się.)

Dobrej nocy mi życzą — mówcie o długiej nocy — o wiecznej może — ale nie o dobrej, nie o szczęśliwej.

MĄŻ.

Wesprzyj się na mnie, odprowadzę cię do łóżka.

ORCIO.

Ojcze, co to się ma znaczyć?

MĄŻ.

Okryj się dobrze, i zaśnij spokojnie, bo doktór mówi, że wzrok odzyskasz.

ORCIO.

Tak mi nie dobrze — sen mi przerwały głosy czyjeś.

(Zasypia.)

MĄZ.

Niech moje błogosławieństwo spoczywa na tobie — nic ci więcej dać nie mogę, ni szczęścia, ni sławy — a dobija godzina w której będę musiał walczyć, działać z kilkoma ludźmi, przeciwko wielu ludziom. — Gdzie się ty podziejesz, sam jeden i wśród stu przepaści, ślepy, bezsilny, dziecię i poeto zarazem, biedny śpiewaku bez słuchaczy, żyjący duszą za obrębem ziemi, a ciałem przykuty do ziemi! — O ty nieszczęśliwy, najnieszczęśliwszy z aniołów, o ty mój synu!

MAMKA (u drzwi.)

Pan Konsyliarz każe J. W. Pana prosić.

MĄŻ.

Dobra moja Katarzyno, zostań się przy małym.

(Wychodzi.)

CZĘŚĆ TRZECIA.

Do pieśni — do pieśni.

Kto ją zacznie, kto jej dokończy? — Dajcie mi przeszłość zbrojną w stal, powiewną rycerskiemi pióry. — Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze — rzucę cień katedr świętych na głowy wam. — Ale to nie to — tego już nigdy nie będzie.

Ktokolwiek jesteś, powiedz mi w co wierzysz — łatwiejbyś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. Wstydźcie się, wstydźcie wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, mimo żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się, bawi się z wami, przerzuca, odrzuca. — Walcem świat się toczy, pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślisko — bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam.

Czy widzisz owe tłumy, stojące u bram miasta wśród wzgórzów i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski długie, okryte mięsiwem i napojami, podparte pniami, drągami. — Kubek lata z rąk do rąk — a gdzie ust się dotknie, tam głos się wydobędzie, groźba, przysięga, lub przekleństwo. — On lata, zawraca, krąży, tańcuje, zawsze pełny, brzęcząc, błyszcząc wśród tysiąców. — Niechaj żyje kielich pijaństwa i pociechy.

Czy widzicie jak oni czekają niecierpliwie — szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują — wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczochranemi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłoniami pomarszczonemi od trudu — ci trzymają kosy, owi przetrząsają młotami, heblami! — Patrz — ten wysoki trzyma topór spuszczony — a tamten stęplem żelaznym nad głową powija; dalej w bok pod wierzbą chłopię małe wisznię do ust kładzie, a długie szydła w prawej ręce ściska. — Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne jak oni, zwiędłe przed czasem, bez śladów piękności — na ich włosach kurzawa bitej drogi — na ich łonach poszarpane odzieże — w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku — ale wnet się ożywią — kubek lata wszędzie, obiega wszędzie. — Niech żyje kielich pijaństwa i pociechy.

Teraz szum wielki powstał w zgromadzeniu — czy to radość czy rozpacz? Kto rozpozna jakie uczucie w głosach tysiąców? — Ten który nadszedł, wstąpił na stół, wskoczył na krzesło, i panuje nad niemi, mówi do nich. — Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny — każde słowo rozeznasz, zrozumiesz — ruchy jego powolne, łatwe, wtorują słowom, jak muzyka pieśni — czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce nie masz, wszystkie wypadły strącone myślami — skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy koście i muszkuły — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje — nigdy krwi, ni zmiennej barwy na licach. — Oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy — chwili jednej zwątpienia, pomięszania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wytęży pod nad niemi, schylają głowy, zda się że wnet uklękną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca. — Precz z sercem, z przesądami, a niech żyje słowo pociechy i mordu.

To ich wściekłość, ich konanie, to władca ich dusz i zapału — on obiecuje im chleb i zarobek — krzyki się wzbiły, rozciągnęły, pękły po wszystkich stronach. — «Niech żyje Pankracy — chleba nam, chleba, chleba!» — A u stóp mówcy opiera się na stole przyjaciel, czy towarzysz, czy sługa.

Oko wschodnie, czarne, cieniowane długie rzęsy — ramiona obwisłe, nogi uginające się, ciało niedołężne w bok schylone — na ustach coś lubieżnego, coś złośliwego — na palcach złote pierścienie — i on także głosem chrapliwym woła. — «Niech żyje Pankracy.» — Mówca ku niemu na chwilę wzrok obrócił. — «Obywatelu przechrzto podaj mi chustkę.»

Tymczasem trwają poklaski i wrzaski. — «Chleba nam, chleba, chleba. — Śmierć panom, śmierć kupcom — chleba, chleba!»

Szałas. — Lamp kilka. — Księga roztwarta na stole. — Przechrzty.

PRZECHRZTA.

Bracia moi podli; bracia moi mściwi, bracia kochani! Ssajmy karty Talmudu jako pierś mleczną, pierś żywotną, z której siła i miód płynie dla nas — dla nich gorycz i trucizna.

CHÓR PRZECHRZTÓW.

Jehowa Pan nasz, a nikt inny. — On nas porozrzucał wszędzie, On nami gdyby splotami niezmiernej gadziny oplótł świat czcicielów Krzyża, panów naszych, dumnych, głupich, niepiśmiennych. — Po trzykroć plułmy na zgubę im — po trzykroć przekleństwo im.

PRZECHRZTA.

Cieszmy się bracia moi. — Krzyż wróg nasz podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą krwi, a jak raz się powali nie powstanie więcej. — Dotąd pany go bronią.

CHÓR.

Dopełnia się praca nasza wieków, praca nasza markotna, bolesna, zawzięta. — Śmierć panom — po trzykroć plułmy na zgubę im — po trzykroć przekleństwo im.

PRZECHRZTA.

Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie, osadzim potęgę Izraela — tylko tych panów kilku — tych kilku jeszcze zepchnąć w dół — trupy ich przysypać rozwalinami Krzyża.

CHÓR.

Krzyż znamię święte nasze — woda chrztu połączyła nas z ludźmi — uwierzyli pogardzający miłości pogardzonych.

Wolność ludzi prawo nasze — dobro ludu cel nasz — uwierzyli synowie chrześcian w synów Kaifasza. — Przed wiekami wroga umęczyli ojcowie nasi — my go na nowo dziś umęczym, i nie zmartwychwstanie więcej.

PRZECHRZTA.

Chwil kilka jeszcze, jadu żmii kropel kilka jeszcze — a świat nasz, nasz, a bracia moi.

CHÓR.

Jehowa Pan Izraela, a nikt inny. Po trzykroć plujmy na zgubę ludom — po trzykroć przeklenstwo im.

(Słuchać stukanie.)

PRZECHRZTA.

Do roboty waszej — a ty święta księgo precz ztąd, by wzrok przeklętego nie zbrudził kart twoich.

(Talmud chowa.)

Kto tam?

GŁOS Z ZA DRZWI.

Swój. — W imię wolności otwieraj.

PRZECHRZTA.

Bracia do młotów i powrozów.

(Otwiera.)

LEONARD (wchodząc.)

Dobrze obywatele, że czuwacie i ostrzycie puginały na jutro.

(Do jednego z nich przystępuje.)

A ty co robisz w tym kącie.

JEDEN Z PRZECHRZTÓW.

Stryczki, Obywatelu.

LEONARD.

Masz rozum bracie — kto od żelaza nie padnie w boju, ten na gałęzi skona.

PRZECHRZTA.

Miły Obywatelu Leonardzie, czy sprawa pewna na jutro?

LEONARD.

Ten, który myśli i czuje najpotężniej z nas wszystkich, wzywa cię na rozmowę przezemnie. — On ci sam na to pytanie odpowie.

PRZECHRZTA.

Idę — a wy nie ustawajcie w pracy. — Jankielu, pilnuj ich dobrze.

(Wychodzi z Leonardem.)

CHOR PRZECHRZTÓW.

Powrozy i sztylety, kije i pałasze, rąk naszych dzieło, wyj-

dziecie na zatratę im — oni panów zabiją po błoniach — rozwieszą po ogrodach i borach — a my ich potem zabijem, powiesim. — Pogardzeni wstaną w gniewie swoim, w chwałę Jechowy się ustroją; słowo jego zbawienie, miłość jego dla nas, niszczeniem dla wszystkich. Pluńmy po trzykroć na zgubę im, po trzykroć przekleństwo im.

Namiot. — Porozrzucane butelki, kielichy.

PANKRACY.

Pięćdziesięciu hulało tu przed chwilą, i za każdem słowem mojem krzyczało — Vivat — czy choć jeden zrozumiał myśli moje? pojął koniec drogi, u początku której hałasuje? — ach! fervide imitatorum pecus.

(Wchodzi Leonard i Przechrzta.)

Czy znasz Hrabiego Henryka?

PRZECHRZTA.

Wielki obywatelu, z widzenia raczej niż z rozmowy — raz tylko pamiętam, przechodząc na Boże Ciało krzyknął mi — «ustąp się» — i spojrzał na mnie wzrokiem pana — za co mu ślubowałem stryczek w duszy mojej.

PANKRACY.

Jutro jak najraniej wybierzesz się do niego i oświadczysz, że chcę się z nim widzieć osobiście, potajemnie, pojutrze w nocy.

PRZECHRZTA.

Wiele mi dasz ludzi, bo nieostrożnie byłoby się puszczać samemu.

PANKRACY.

Puścisz się sam, moje imię strażą twoją — szubienica na której powiesiliście Barona zawczoraj, plecami twemi.

PRZECHRZTA.

Aj waj!

PANKRACY.

Powiesz że przyjdę do niego o dwunastej w nocy, pojutrze.

PRZECHRZTA.

A jak mnie każe zamknąć, lub obije.

PANKRACY.

To będziesz męczennikiem za wolność ludu.

PRZECHRZTA.

Wszystko, wszystko za Womość Ludu.

(Na stronie.)

Aj waj!

PANKRACY.

Dobranoc Obywatelu.

(Przechrzta wychodzi.)

LEONARD.

Na co ta odwłoka, te półśrodki, układy, rozmowy — kiedym przysiągł uwielbiać i słuchać ciebie, to że cię miałem za bohatera ostateczności, za orła lecącego wprost do celu, za człowieka stawiającego siebie i swoich wszystkich na jedną kartę.

PANKRACY.

Milcz dziecko.

LEONARD.

Wszyscy gotowi — przechrzty broń ukuli i powrozów nasnuli — tłumy krzyczą, wołają o rozkaz. — Daj rozkaz, a on pójdzie jak iskra, jak błyskawica, i w płomień się zmieni, i przejdzie w grom.

PANKRACY.

Krew ci bije do głowy — to konieczność lat twoich, a z nią walczyć nie umiesz, i to nazywasz zapałem.

LEONARD.

Rozważ co czynisz. Arystokraty w bezsilności swojej zawarli się w św. Trójcy i czekają naszego przybycia jak noża gilotyny. — Naprzód Mistrzu, bez zwłoki naprzód i po nich.

PANKRACY.

Wszystko jedno — oni stracili siły ciała w roskoszach, siły rozumu w próżniactwie — jutro czy pojutrze legnąć muszą.

LEONARD.

Kogóż się boisz — któż cię wstrzymuje?

PANKRACY.

Nikt — jedno wola moja.

LEONARD.

I na ślepo jej mam wierzyć?

PANKRACY.

Zaprawdę ci powiadam, na ślepo.

LEONARD.

Ty nas zdradzasz.

PANKRACY.

Jak zwrotka u pieśni, tak zdrada u końca każdej mowy twojej — nie krzycz, bo gdyby nas kto podsłuchał...

LEONARD.

Tu szpiegów nie ma, a potem cóż?...

PANKRACY.

Nic — tylko pięć kul w piersiach, za to, żeś śmiał głos podnieść o ton jeden wyżej w mojej przytomności.

(Przystępuje do niego.)

Wierz mi — daj sobie pokój.

LEONARD.

Uniosłem się, przyznaję — ale nie boję się kary. — Jeśli śmierć moja za przykład służyć może, sprawie naszej hartu i powagi dodać — rozkaż.

PANKRACY.

Jesteś żywy, pełen nadziei i wierzysz głęboko — najszczęśliwszy z ludzi. Nie chcę pozbawiać cię życia.

LEONARD.

Co mówisz?

PANKRACY.

Myśl więcej, gadaj mniej, a kiedyś mnie zrozumiesz. — Czy posłałeś do magazynu po dwa tysiące ładunków?

LEONARD.

Posłałem Dejcia z oddziałem.

PANKRACY.

A składka szewców oddana do kassy naszej?

LEONARD.

Z najszczerszym zapałem się złożyli co do jednego, i przynieśli sto tysięcy.

PANKRACY.

Jutro zaproszę ich na wieczerzę. — Czy słyszałeś co nowego o hrabi Henryku?

LEONARD.

Pogardzam za nadto panami, bym wierzył temu, co o nim mówią — upadające rasy energji nie mają — mieć nie powinny, nie mogą.

PANKRACY.

On jednak zbiera swoich włościan i zaufany w ich przywiązaniu gotuje się iść na odsiecz zamkowi św. Trójcy.

LEONARD.

Kto nam zdoła się oprzeć? — Przecie w nas wcieliła się idea wieku naszego.

PANKRACY.

Ja chcę go widzieć, spojrzeć mu w oczy, przeniknąć do głębi serca — przeciągnąć na naszą stronę.

LEONARD.

Zabity Arystokrata.

PANKRACY.

Ale poeta zarazem. — Teraz zostaw mnie samym.

LEONARD.

Przebaczasz mi Obywatelu?

PANKRACY.

Zaśnij spokojnie — gdybym ci nie przebaczył, jużbyś zasnął na wieki.

LEONARD.

Jutro nic nie będzie?

PANKRACY.

Dobrej nocy i miłego marzenia.

(Leonard wychodzi.)

Hej, Leonardzie!

LEONARD (wracając.)

Obywatelu wodzu.

PANKRACY.

Pojutrze w nocy pójdziesz ze mną do hrabiego Henryka.

LEONARD.

Słyszałem.

(Wychodzi.)

PANKRACY.

Dla czegóż mnie wodzowi tysiąców, ten jeden człowiek na zawadzie stoi? — Siły jego małe w porównaniu z mojemi — kilka set chłopów ślepo wierzących jego słowu, przywiązanych miłością swojskich zwierząt... To nędza, to zero. — Czemuż tak pragnę go widzieć, omamić — czyż duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał? — Ostatnia to zapora

dla mnie na tych równinach — trza ją obalić, a potem... Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie jako drugich łudzisz — wstydź się, przecie ty znasz swoj cel, ty jesteś myślą panią ludu! W tobie zeszła się wola i potęga wszystkich — i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie — ludziom podłym, nieznanym, nadałaś imiona — ludziom bez czucia wiarę nadałaś — świat na podobieństwo swoje, świat nowy utworzyłaś na około siebie — a sama błąkasz się i nie wiesz czem jesteś. — Nie, nie, nie — ty jesteś wielką.

(Pada na krzesło i duma.)

Bór. — Porozwieszane płótna na drzwiach. — W środku łąka, na której stoi szubienica. — Szałasy. — Namioty. — Ogniska. — Beczki. — Tłumy ludzi

MĄŻ (przebrany w czarnym płaszczu, z czapką czerwoną wolności na głowie, wchodzi, trzymając Przechrztę za ramię.)

Pamiętaj.

PRZECHRZTA (po cichu.)

J. W. Panie, odprowadzę cię — nie wydam cię, na honor.

MĄŻ.

Mrugnij okiem, palec podnieś, a w łeb ci strzelę — możesz się domyślić, że nie dbam o życie twoje .... kiedym własne na to odważył.

PRZECHRZTA.

Aj waj — żelaznemi kleszczami dłoń mi ściskasz — cóż mam robić!

MĄŻ.

Mów ze mną jak ze znajomym, z przyjacielem nowo przybyłem — cóż to za taniec?

PRZECHRZTA.

Taniec wolnych ludzi.

(Tańcują mężczyzni i kobiety w około szubienicy.)

CHÓR.

Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie — Hura — Hura!

Bóg nad nami nie miał litości — Hura — Hura!

Królowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura!

Panowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura!

My dziś Bogu, królom i panom za służbę podziękujem — Hura — Hura!

MĄŻ (do dziewczyny.)

Cieszy mnie żeś tak rumiana i wesoła.

DZIEWCZYNA.

A dyć tośmy długo na taki dzień czekały — jušci ja myłam talerze, widelce szorowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas bym jadła sama — tańcowała sama — Hura!

MĄŻ.

Tańcuj Obywatelko.

PRZECHRZTA (cicho).

Zmiłuj się JW. Panie — ktoś może cię poznać — wychodźmy.

MĄŻ.

Jeśli kto mnie pozna, toś zginął — — Idźmy dalej.

PRZECHRZTA.

Pod tym dębem siedzi klub Lokajów.

MĄŻ.

Przybliżmy się.

PIERWSZY LOKAJ.

Jużem ubił mojego dawnego Pana.

DRUGI LOKAJ.

Ja szukam dotąd mojego Barona — — zdrowie twoje!

KAMERDYNER.

Obywatele, schyleni nad prawidłem w pocie i poniżeniu, glancując buty, strzyżąc włosy, poczuliśmy prawa nasze — Zdrowie klubu całego!

CHÓR LOKAI.

Zdrowie Prezesa — on nas powiedzie drogą honoru!

KAMERDYNER.

Dziękuję, Obywatele.

CHÓR LOKAI.

Z przedpokojów, więzień naszych, razem, zgodnie, jednym wypadliśmy rzutem. — Vivat! — Salonów znamy śmieszności i wszeteczności. — Vivat — Vivat!

MĄŻ.

Cóż to za głosy, twardsze i dziksze, wychodzące z tej gęstwiny na lewo.

PRZECHRZTA.

To chór rzeźników JW. Panie.

CHÓR RZEŹNIKÓW.

Obuch i nóż, to broń nasza — szlachtuz, to życie nasze. — Nam jedno czy bydło, czy panów rżnąć.

Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na drugich słabszych i bielszych — kto nas powoła ten nas ma — dla panów woły, dla ludu panów bić będziem.

Obuch i nóż broń nasza — szlachtuz życie nasze — szlachtuz — szlachtuz — szlachtuz!

MĄŻ.

Tych lubię — przynajmniej nie wspominają ani o honorze, ani o filozofii — — Dobry wieczór pani.

PRZECHRZTA (cicho).

JW. Panie, mów Obywatelko — lub wolna kobieto.

KOBIETA.

Cóż znaczy ten tytuł, skąd się wyrwał — fe — fe — cuchniesz starzyzną.

MĄŻ.

Język mi się zaplątał.

KOBIETA.

Jestem swobodną jako ty, niewiastą wolną, a towarzystwu za to że mi prawa przyznało, rozdaję miłość moją.

MĄŻ.

Towarzystwo znów za to ci dało te pierścienie i ten łańcuch ametystowy. — O! podwójnie dobroczynne towarzystwo!

KOBIETA.

Nie, te drobnostki zdarłam przed wyzwoleniem mojem — z męża — mego — wroga mego, wroga wolności, który mnie trzymał na uwięzi.

MĄŻ.

Życzę Obywatelce miłej przechadzki.

(Przechodzi.)

Któż jest ten dziwny żołnierz — oparty na szabli obosiecznej, z główką trupią na czapce, z drugą na felcechu, z trzecią na piersiach? — Czy to nie sławny Blanchetti, taki dziś kondotier ludów, jako dawniej bywali kondotiery książąt i rządów?

PRZECHRZTA.

On sam JW. Panie — dopiero od tygodnia do nas przybył.

MĄŻ,

Nad czem tak zamyślał się Generał?

BLANCHETTI.

Widzicie obywatele ową lukę między jaworami — patrzcie dobrze — dojrzycie tam na górze zamek — doskonale widzę przez moją lunetę, mury, okopy i cztery bastiony.

MĄŻ.

Trudno go opanować.

BLANCHETTI.

Tysiąc tysięcy Królów! — Można obejść jarem, podkopać się i —

PRZECHRZTA (mrugając).

Obywatelu Generale.

MĄŻ (po cichu).

Czujesz ten kurek odwiedziony pod moim płaszczem?

PRZECHRZTA (na stronie).

Aj waj!

(Głośno.)

Jakżeś więc to ułożył obywatelu Generale.

BLANCHETTI (zadumany).

Chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście mojemi braćmi w geniuszu — po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach.

(Odchodzi).

MĄŻ (do Przechrzty).

Radzę wam, zabijcie go, bo tak się poczyna każda Arystokracja.

RZEMIESLNIK.

Przekleństwo — Przekleństwo!

MĄŻ.

Cóż robisz pod tym drzewem, biedny człowiecze — czemu patrzysz tak dziko i mgławo?

RZEMIEŚLNIK.

Przekleństwo kupcom, dyrektorom fabryki — najlepsze lata w których inni ludzie kochają dziewczyny, biją się na otwartem polu, żeglują po otwartych morzach, ja prześlęczałem w ciasnej komorze, nad warsztatem jedwabiu.

MĄŻ.

Wychylże czarę którą trzymasz w dłoni.

RZEMIEŚLNIK.

Sił nie mam — podnieść do ust nie mogę — ledwo się tutaj przyczołgałem, ale dla mnie już nie zaświta dzień wolności — przekleństwo kupcom, co jedwab' sprzedają i panom co noszą jedwabie.

(Umiera.)

PRZECHRZTA.

Jaki brzydki trup.

MĄŻ.

Tchórzu wolności, obywatelu Przechrzto, patrz na tę głowę bez życia, pływającą w pokrwawie zachodzącego słońca.

Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice — równość — doskonałość i szczęście rodu ludzkiego?

PRZECHRZTA (na stronie).

Bodajbyś także zawcześnie zdechł, i ciało twoje psy rozszarpały na sztuki.

(Głośno.)

Puszczaj mnie — muszę zdać sprawę z mojego poselstwa.

MĄŻ.

Powiesz żem cię miał za szpiega i dla tego zatrzymał.

(Obziera się na około.)

Odgłosy biesiady głuchną z tyłu — przed nami już same tylko sosny i świerki, oblane promieńmi wieczoru.

PRZECHRZTA.

Nad drzewami skupiają się chmury — lepiej byś wrócił do swoich ludzi, którzy i tak już oddawna czekają na ciebie w jarze Świętego Ignacego.

MĄZ.

Dzięki ci za troskliwość Mości Żydzie — Nazad! — chcę obywateli raz jeszcze w zmierzchu obejrzyć.

GŁOS POMIĘDZY DRZEWAMI.

Syn Chamów dobranoc zasyła staremu słonku.

GŁOS Z PRAWEJ.

Zdrowie twoje dawny wrogu nasz, coś nas pędził do pracy i znoju — jutro wschodząc zastaniesz twoich niewolników przy mięsiwie i konwiach — a teraz szklanko idź do czarta!

PRZECHRZTA.

Orszak chłopów tu ciągnie.

MĄŻ.

Nie wyrwiesz się — stój za tym pniem i milcz.

CHÓR CHŁOPÓW.

Naprzód, naprzód, pod namioty, do braci naszych — naprzód, naprzód, pod cień jaworów, na sen, na miłą wieczorną gawędkę — tam dziewki nas czekają — tam woły pobite, dawne pługów zaprzągi czekają nas.

GŁOS JEDEN.

Ciągnę go i wlokę, zżyma się i opiera — idź w rekruty — idź.

GŁOS PANA.

Dzieci moje, litości, litości.

GŁOS DRUGI.

Wróć mi wszystkie dni pańszczyzny

GŁOS TRZECI.

Wskrześ mi syna panie z pod batogów kozackich.

GŁOS CZWARTY.

Chamy piją zdrowie twoje, Panie — przepraszają cię, Panie.

CHÓR CHŁOPÓW (przechodząc).

Upiór ssał krew i poty nasze — mamy upiora — nie puścim upiora — przez biesa, przez biesa, ty zginiesz wysoko, jako pan, jako wielki pan, wzniesion nad nami wszystkimi. — Panom tyranom śmierć — nam biednym, nam głodnym, nam strudzonym, jeść, spać i pić. — Jako snop na polu tak ich trupy będą — jako plewy w młocarniach tak perzyny ich zamków! — — Przez kosy nasze, siekiery i cepy, bracia naprzód!

MĄZ.

Nie mogłem twarzy dojrzeć wśród zastępów.

PRZECHRZTA.

Może jaki przyjaciel lub krewny JWgo.

MĄŻ.

Nim pogardzam, a was nienawidzę — poezja to wszystko ozłoci kiedyś — dalej żydzie, dalej.

(Zapuszcza się w krzaki.)

Inna część boru. — Wzgórze z rozpalonemi ogniami. — Zgromadzenie ludzi przy pochodniach.

MĄŻ (na dole wysuwając się z za drzew z Przechrztą.)

Gałęzie podarły na łachmany moją czapkę wolności. — A to co za piekło z rudawych płomieni wznoszące się wśród tych dwóch ścian lasu, tych dwóch nawałów ciemności?

PRZECHRZTA.

Zabłądziliśmy, szukając wąwozu Świętego Ignacego — nazad w krzaki, bo tu Leonard odprawia obrzędy nowej wiary.

MĄŻ (wstępując).

Przez Boga narzód — tegom żądał właśnie; nie lękaj się, nikt nas nie pozna.

PRZECHRZTA.

Ostrożnie — powoli.

MĄŻ.

Wszędzie rozwaliny jakiegoś ogromu, który musiał wieki przetrwać nim runął — filary, podnóża, kapitele — ćwiertowane posągi, rozrzucone poresy, któremi oplatano starodawne sklepienia. — Teraz mi pod stopą zamignęła stłuczona szyba — zda się że twarz Bogarodzicy na chwilę wyjrzała z cieniu i znów tam ciemno — tu patrz, cała arkada leży — tu krata żelazna zasypana gruzem — z góry lunął błysk pochodni — widzę pół rycerza śpiącego na połowie grobu — gdzież jestem, przewodniku?

PRZECHRZTA.

Nasi ludzie krwawo pracowali przez czterdzieści dni i nocy: raz wreszcie zburzyli ostatni kościół — na tych równinach. — Teraz właśnie smętarz mijamy.

MĄŻ.

Wasze pieśni ludzie nowi, gorzko brzmią w moich uszach — czarne postacie, z tyłu, z przodu, po bokach się cisną, a pędzone wiatrem, blaski i cienie, przechadzają się po tłumie jak żyjące duchy.

PRZECHODZĄCY.

W imieniu Wolności pozdrawiam was obu.

DRUGI.

Przez śmierć panów witam was obu.

TRZECI.

Czego się nie spieszycie, tam śpiewają kapłani Wolności.

PRZECHRZTA.

Niepodobna się oprzeć — zewsząd nas pchają.

MĄŻ.

Któż jest ten młody człowiek na gruzach przybytku stojący? — Trzy ogniska palą się pod nim, wśród dymu i łuny, twarz jego płonie, głos jego brzmi szaleństwem.

PRZECHRZTA.

To Leonard, prorok natchnięty Wolności — na około stoją nasze kapłany, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki.

MĄŻ.

Ha! wasza arystokracja — pokaż mi tego, który cię przysłał.

PRZECHRZTA.

Nie widzę go tutaj.

LEONARD.

Dajcie mi ją do ust, do piersi, w objęcia! dajcie piękną moją, niepodległą, wyzwoloną, obnażoną z zasłon i przesądów, wybraną z pośród córek Wolności, oblubienicę moją!

GŁOS DZIEWICY.

Wyrywam się do ciebie, mój kochanku.

DRUGI GŁOS.

Patrz, ramiona wyciągam do ciebie — upadłam z niemocy — tarzam się po zgliszczach, kochanku mój.

TRZECI GŁOS.

Wyprzedziłam je — przez popiół i żar, ogień i dym, stąpam ku tobie, kochanku mój.

MĄŻ.

Z rozpuszczonym włosem, z dyszącą piersią wdziera się na gruzy, namiętnemi podrzuty.

PRZECHRZTA

Tak co noc bywa.

LEONARD.

Do mnie, do mnie, o roskoszo moja — córo Wolności. — Ty drżysz w boskim szale? — Natchnienie ogarnij mą duszę! — Słuchajcie wszyscy — teraz wam prorokować będę.

MĄŻ.

Głowę pochyliła, mdleje.

LEONARD.

My oboje obrazem rodu ludzkiego, wyzwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. — Chwała nam, bośmy członki jego rozerwali, teraz proch i pył z nich — a duch jego zwyciężyli naszymi duchami — duch Jego zstąpił do nicości.

CHÓR NIEWIAST.

Szczęśliwa, szczęśliwa oblubienica Proroka — my tu na dole stoimy i zazdrościm jej chwały.

LEONARD.

Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebiosa. Panie swobody i roskoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemięzcy, twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare łzy i cierpienia rodu ludzkiego — życiem jego odtąd, szczęście — prawem jego, równość — a kto inne tworzy, temu stryczek i przekleństwo!

CHÓR MĘŻÓW.

Rozpadła się budowa ucisku i dumy — kto z niej choć kamyczek podniesie, temu śmierć i przekleństwo.

PRZECHRZTA (na stronie).

Bluźnierce Jehowy, po trzykroć pluję na zgubę wam.

MĄŻ,

Orle dotrzymaj obietnicy, a ja tu na ich karkach nowy kościół Chrystusowi postawię.

POMIĘSZANE GŁOSY.

Wolność — szczęście — hura — hejże — rykacha — hurracha — hurracha!

CHÓR KAPŁANÓW.

Gdzie pany, gdzie króle, co niedawno przechadzali się po ziemi, w berłach i koronach, w dumie i gniewie.

ZABÓJCA.

Ja zabiłem króla Aleksandra.

DRUGI.

Ja króla Henryka.

TRZECI.

Ja króla Emanuela.

LEONARD.

Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów — boście wybrani z wybranych, święci wśród najświętszych — boście męczennikami bohaterami Wolności.

CHÓR ZABÓJCÓW.

Pójdziemy nocą ciemną, sztylety ściskając w dłoniach, pójdziemy, pójdziemy!

LEONARD,

Obudź się urodziwa moja.

(Grzmot słychać.)

Nuż odpowiedźcie żyjącemu Bogu — wznieście pieśni wasze — chodźcie za mną wszyscy, wszyscy, jeszcze raz obejdziem i zdepcem świątynię umarłego Boga.

A ty podnieś głowę — powstań i obudź się.

DZIEWICA.

Pałam miłością ku tobie i Bogu twemu, światu całemu miłość moją rozdam — płonę — płonę.

MĄŻ.

Ktoś mu zabiegł — padł na kolana — mocuje się sam z sobą, coś bełkoce, coś jęczy.

PRZECHRZTA.

Widzę, widzę, to syn sławnego Filozofa.

LEONARD.

Czego żądasz, Hermanie.

HERMAN.

Arcykapłanie, daj mi święcenie zbójeckie.

LEONARD (do kapłanów).

Podajcie mi olej, sztylet i truciznę.

(Do Hermana.)

Olejem, którym dawniej namaszczano królów, na zgubę królom namaszczam cię dzisiaj! — Broń dawnych rycerzy i panów, na zatratę panów kładę w ręce twoje — na twych piersiach zawieszam medalion pełen trucizny — tam gdzie twoje żelazo nie dojdzie, niech ona żre i pali wnętrzności tyranów. — Idź i niszcz stare pokolenia po wszech stronach świata.

MĄŻ.

Ruszył z miejsca i na czele orszaku ciągnie po wzgórzu.

PRZECHZTA.

Usuńmy się z drogi.

MĄŻ.

Nie — chcę tego snu dokończyć.

PRZECHRZTA

Potrzykroć pluję na ciebie.

(Do męża.)

Leonard może mnie poznać JW. Panie — patrz jaki nóż wisi na jego piersiach.

MĄŻ.

Zakryj się płaszczem moim. — Co to za niewiasty przed nami tańcują?

PRZECHRZTA.

Hrabiny i księżniczki, które porzuciwszy mężów przeszły na wiarę naszą.

MĄŻ.

Niegdyś anioły moje. — Pospólstwo go zewsząd oblało — zginął mi w natłoku — jedno po muzyce poznaję, że się od nas oddala — chodź za mną — ztamtąd lepiej nam patrzeć będzie.

(Wdziera się na odłamek muru.)

PRZECHRZTA.

Aj waj, aj waj, każdy nas tu spostrzeże.

MĄŻ.

Widzę go znowu — drugie niewiasty cisną się za nim, blade, obłąkane, w konwulsjach. — Syn filozofa pieni się i potrząsa sztyletem. — Dochodzą teraz do ruin wieży północnej.

Stanęli — pląsają na gruzach — rozrywają nieobalone arkady — sypią iskrami na leżące ołtarze i krzyże — płomień się zajmuje, i gna słupy dymu przed sobą — biada wam — biada!

LEONARD.

Biada ludziom, którzy dotąd się kłaniają umarłemu Bogu.

MĄŻ.

Czarne bałwany nawracają się i ku nam pędzą.

PRZECHRZTA.

O Abrahamie!

MĄŻ.

Orle, wszak moja godzina nie tak bliska jeszcze?

PRZECHRZTA.

Już po nas.

LEONARD (przechodząc, zatrzymuje się).

Coś ty za jeden bracie, z taką dumną twarzą — czemu nie łączysz się z nami.

MĄŻ.

Spieszę z daleka na odgłos waszego powstania. — Jestem morderca klubu hiszpańskiego i dopiero dziś przybyłem.

LEONARD.

A ten drugi po co się w zwojach płaszcza twego kryje.

MĄŻ.

To mój brat młodszy — slubował że twarzy ludziom nie ukaże, nim zabije przynajmniej Barona.

LEONARD.

Ty sam czyją śmiercią się chlubisz.

MĄŻ.

Na dwa dni tylko przed wybraniem się w drogę, starsi braci dali mi święcenie.

LEONARD.

Kogóż masz na myśli?

MĄŻ.

Ciebie pierwszego, jeśli się nam sprzeniewierzysz.

LEONARD.

Bracie, na ten użytek weź sztylet mój.

(Wyciąga sztylet z pod pasa).

MĄŻ (dobywa swojego sztyletu).

Bracie, na ten użytek i mojego wystarczy.

GŁOSY LUDZI.

Niech żyje Leonard — niech żyje morderca hiszpański.

LEONARD.

Jutro staw się u namiotu Obywatela wodza.

CHÓR KAPŁANÓW.

Pozdrawiamy cię gościu, imieniem ducha Wolności — w ręku twojem część naszego zbawienia. — Kto walczy bez ustanku, morduje bez słabości, kto dniem i nocą wierzy zwycięztwu, ten zwycięży wreszcie.

(Przechodzą.)

CHÓR FILOZOFÓW.

My ród ludzki dźwignęli z dzieciństwa. — My prawdę z łona ciemności wyrwali na jaśnią. — Ty za nią walcz, morduj i giń.

(Przechodzą.)

SYN FILOZOFA.

Towarzyszu bracie, czaszką starego świętego piję zdrowie twoje — do widzenia.

(Rzuca czaszkę.)

DZIEWCZYNA (tańcując),

Zabij dla mnie Księcia Jana.

DRUGA.

Dla mnie Hrabiego Henryka.

DZIECI,

Prosimy cię ślicznie o głowę arystokraty.

INNI.

Szczęść się twojemu sztyletowi.

CHOR ARTYSTOW.

Na ruinach gotyckich, świątynię zbudujem tu nową — obrazów w niej, ni posągów nie ma — sklepienie w długie puginały, filary w ośm głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy z których się krew sączy — ołtarz jeden biały — znak jeden na nim — czapka Wolności — Hurracha!

INNI.

Dalej, dalej, już brzask świta.

PRZECHRZTA.

Rychło nas powieszą — gdzie szubienica.

MĄŻ.

Cicho żydzie — lecą za Leonardem, nie patrzą już na nas. — Ogarniam wzrokiem, raz ostatni podchwytuję myślą ten chaos dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich — gnane szałem, porwane rozpaczą, myśli moje w całej sile swej kołują.

Boże! daj mi potęgę, której nie odmawiałeś mi niegdyś — a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam nie pojmuje. — Lecz to słowo moje będzie poezją całej przyszłości.

GŁOS W POWIETRZU.

Dramat układasz.

MĄŻ.

Dzięki za radę. — Zemsta za zhańbione popioły ojców moich — przekleństwo nowym pokoleniom — ich wir mnie otacza — ale nie porwie za sobą. — Orle, orle dotrzymaj obietnicy. — A teraz na dół ze mną i do jaru Świętego Ignacego.

PRZECHRZTA.

Już dzień bliski — nie pójdę dalej.

MĄŻ.

Drogę mi znajdź, puszczę cię potem.

PRZECHRZTA.

Wśród mgły i zwalisk, cierni i popiołów, gdzie mnie wleczesz — daruj mi, daruj.

MĄŻ.

Naprzód, naprzód, i na dół ze mną — ostatnie pieśni ludu konają za nami — ledwie gdzie jeszcze tli się pochodnia — pośród tych wyziewów bladych, tych zroszonych drzew; czy widzisz cienie przeszłości — czy słyszysz te żałobne głosy?

PRZECHRZTA.

Mgła wszystko zalewa — coraz bardziej zlatujemy w dół.

CHÓR DUCHÓW Z LASU.

Płaczmy za Chrystusem, za Chrystusem wygnanym, umęczonym! — Gdzie Bóg nasz, gdzie kościół Jego?

MĄŻ.

Prędzej, prędzej do miecza, do boju! — Ja Go wam oddam — na tysiącach krzyżów rozkrzyżuję nieprzyjaciół Jego.

CHÓR DUCHÓW.

Strzegliśmy ołtarzy i pomników świętych — odgłos dzwonów na skrzydłach nosiliśmy wiernym — w dźwiękach organów były głosy nasze — w połyskach szyb katedry, w cieniach jej filarów, w blaskach puharu świętego, w błogosławieństwie Ciała Pańskiego było życie nasze. Teraz gdzie się podziejemy?

MĄŻ.

Rozwidnia się coraz bardziej — ich postacie mdleją w promieniach zorzy.

PRZECHRZTA.

Tędy droga twoja, tam jaru początek.

MĄŻ.

Hej! — Jezus i szabla moja!

(Zrucając czapkę i zawijając w niej peniądze.)

Weź na pamiątkę rzecz i godło zarazem.

PRZECHRZTA.

Wszak zaręczyłeś mi słowem JW. Panie, bezpieczeństwo tego, który dziś o północy — —

MĄŻ.

Stary szlachcic dwa razy nie powtarza słowa. — Jezus i szabla moja.

GŁOSY W KRZAKACH.

Marja i szabla nasza — niech pan nasz żyje!

MĄŻ.

Wiara! do mnie — bądź zdrów obywatelu.
Wiara! do mnie Jezus i Marja.

Noc. — Krzaki. — Drzewa.

PANKRACY (do swoich ludzi).

Położyć się twarzą do murawy — leżeć w milczeniu — ognia mi nie krzesać, nawet do fajki — a za pierwszym strzałem skoczyć mi na pomoc. — Jeśli strzału nie będzie, nie ruszać się do dnia białego.

LEONARD.

Obywatelu, raz cię jeszcze zaklinam.

PANKRACY.

Ty przylep się do tej sosny i dumaj.

LEONARD.

Mnie jednego przynajmniej weź z sobą — to pan, to arystokrata, to kłamca.

PANKRACY (wskazuje mu ręką by został.)

Stara szlachta słowa dotrzymuje czasem.

Komnata podłużna. — Obrazy dam i rycerzy porozwieszane po ścianach. — W głębi filar z tarczą herbowną. — Mąż siedzi przy stoliku marmurowym, na którym lampa, para pistoletów, pałasz i zegar. — Naprzeciwko drugi stolik, srebrne konwie i puhary.

MĄŻ.

Niegdyś o tej samej porze wśród grożących niebezpieczeństw i podobnych myśli, Brutusowi ukazał się Geniusz Cezara.

I ja dziś czekam na podobne widzenie. — Za chwilę stanie przedemną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża, — co wydobył się z nicości i zacznie może nową epokę, jeśli go w tył nie odrzucę nazad, nie strącę do nicości.

Ojcowie moi! natchnijcie mnie tem co was panami świata uczyniło — wszystkie lwie serca wasze dajcie mi do piersi — powaga skroni waszych niechaj się zleje na czoło moje. — Wiara w Chrystusa i Kościół Jego, ślepa, nieubłagana, wrząca; natchnienie dzieł waszych na ziemi, nadzieja chwały nieśmiertelnej w niebie, niechaj zstąpi na mnie, a wrogów będę mordował i palił, ja syn stu pokoleń, ostatni dziedzic waszych myśli i dzielności, waszych cnót i błędów.

(Bije dwunasta.)

Teraz gotów jestem.

(Wstaje.)

SŁUGA ZBROJNY (wchodząc.)

JW. Panie, człowiek który miał się stawić, przybył i czeka.

MĄŻ.

Niech wejdzie.

(Sługa wychodzi.)

PANKRACY (wchodząc).

Witam Hrabiego Henryka. — To słowo Hrabia dziwnie brzmi w gardle mojem.

(Siada, zrzuca płaszcz i czapkę Wolności, i wlepia oczy w kolumnę na której herb wisi.)

MĄŻ.

Dzięki ci żeś zaufał domowi mojemu — starym zwyczajem piję zdrowie twoje.

(Bierze puhar, pije i podaje Pankracemu.)

Gościu w ręce twoje.

PANKRACY.

Jeśli się nie mylę, te godła czerwone i błękitne, zowią się herbem w języku umarłych. — Coraz mniej takich znaczków na powierzchni ziemi.

(Pije.)

MĄŻ.

Za pomocą Bożą, wkrótce tysiące ich ujrzysz.

PANKRACY (puhar od ust odejmując).

Otoż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, uporczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, oręża, bez żołnierzy. — Odgrażająca się jak umarły w bajce, powoźnikowi u furtki smętarza — wierząca lub udająca że wierzy

w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. — Ale pokażcie mi pioruny na waszą obronę zesłane i pułki aniołów spuszczone z niebios.

(Pije.)

MĄŻ.

Śmiej się z własnych słów. — Ateizm to stara formuła — a spodziewałem się czegoś nowego po tobie.

PANKRACY.

Śmiej się z własnych słów. — Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej. — Jęk przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom tysiąców — głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości ujarzmionej przesądem i wahaniem się i bydlęcem przyzwyczajeniem — oto wiara moja — a Bóg mój na dzisiaj — to myśl moja — to potęga moja — która chleb i cześć im rozda na wieki.

(Pije i rzuca kubek.)

MĄŻ.

Ja położyłem siłę moją w Bogu, który ojcom moim panowanie nadał.

PANKRACY.

A całe życie byłeś djabła igrzyskiem.

Zresztą zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jaki pedant tego rzemiosła żyje dotąd w całej okolicy — do rzeczy — do rzeczy.

MĄŻ.

Czegóż więc żądasz odemnie, zbawco narodów, obywatelu Boże.

PANKRACY.

Przyszedłem tu, bo chciałem cię poznać — powtóre ocalić.

MĄŻ.

Wdzięcznym za pierwsze — drugie zdaj na szablę moją.

PANKRACY,

Szabla twoja, Bóg twój, mara. — Potępionyś głosem tysiąców — opasanyś ramionami tysiąców — kilka morgów ziemi wam zostało, co ledwo na wasze groby wystarcza — dwudziestu

dni bronić się nie możecie. — Gdzie wasze działa; rynsztunki, żywność, a wreszcie gdzie męstwo? —

Gdybym był tobą, wiem cobym uczynił.

MĄŻ.

Słucham — patrz jakem cierpliwy.

PANKRACY.

— Ja więc Hr. Henryk rzekłbym do Pankracego: — Zgoda — rozpuszczam mój hufiec, mój hufiec jedyny — nie idę na odsiecz Świętej Trójcy — a za to zostaję przy mojem imieniu, dobrach, których całość warujesz mi słowem. —

Wiele masz lat Hrabio?

MĄŻ.

Trzydzieści sześć obywatelu.

PANKRACY.

Jeszcze piętnaście lat najwięcej — bo tacy ludzie niedługo żyją — twój syn bliższy grobu niż młodości — jeden wyjątek ogromowi nie szkodzi. — Bądź więc sobie ostatnim Hrabią na tych równinach — panuj do śmierci w domu naddziadów — każ malować ich obrazy i rżnąć herby. — A o tych nędzarzach nie myśl więcej. — Niech się wyrok ludu spełni nad nikczemnikami.

(Nalewa sobie drugi puhar.)

Zdrowie twoje, ostatni Hrabio.

MĄŻ.

Obrażasz mnie każdem słowem, zda się probujesz czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień tryumfu swego. — Przestań, bo ja ci się odwdzięczyć nie mogę. — Opatrzność mojego słowa cię strzeże.

PANKRACY.

Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to łachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przenikam ciebie — pełnyś życia a łączysz się z umierającymi, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowo ojczyzna i tam dalej — ale w głębi duszy sam wiesz, że braci twojej należy się kara, a po karze niepamięć.

MĄŻ.

Tobie zaś i twoim cóż innego?

PANKRACY.

Zwycięztwo i życie — jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam — tem prawem świat bieży w coraz wyższe kręgi — on jest zgubą waszą i woła teraz przez moje usta:

— Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym. —

Ale — ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego.

MĄŻ.

Bodajbyś zginął marnie za tę litość twoją. — Ja także znam świat twój i ciebie — patrzałem wśród cieniów nocy na pląsy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale ich koniec ten sam co przed tysiącami lat — rozpusta, zło i krew. — A ciebie tam nie było — nie raczyłeś zstąpić pomiędzy dzieci twoje — bo w głębi ducha ty pogardzasz nimi — kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbieży, ty będziesz pogardzał sam sobą.

Nie dręcz mnie więcej.

(Siada pod herbem swoim.)

PANKRACY.

Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda — nie wyrósł na olbrzyma — łaknie dotąd chleba i wygód — ale przyjdą czasy.

(Wstaje, idzie ku Mężowi i opiera się na herbowym filarze.)

Ale przyjdą czasy w których on zrozumie siebie i powie o sobie: — Jestem — a nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: — Jestem. —

MĄŻ.

Cóż dalej.

PANKRACY.

Z pokolenia które piastuję, w sile woli mojej narodzi się plemię ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. — Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. — Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna. — Ona cała jednem miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu.

MĄŻ.

Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona, blada, udać nie umie natchnienia.

PANKRACY.

Nie przerywaj, bo są ludzie którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem.

Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie — Bóg pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porozrzucał na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy. — Bóg ludzkości objawił się im.

MĄŻ.

A nam, przed wiekami — ludzkość przezeń już zbawiona.

PANKRACY.

Niechże się cieszy takiem zbawieniem — nędzą dwóch tysięcy lat upływających od Jego śmierci na krzyżu.

MĄŻ.

Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym, starym Rzymie — u stóp Jego leżały gruzy potężniejszych sił niż twoje — sto Bogów, twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonej podnieść nie śmiało ku Niemu — a On stał na wysokościach, święte ramiona wyciągnął na wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca — znać było że jest Panem świata.

PANKRACY.

Stara powiastka — pusta jak chrzęst twego herbu.

(Uderza o tarczę.)

Ale ja dawniej czytałem twe myśli. — Jeśli więc umiesz sięgać w nieskończoność, jeśli kochasz prawdę i szukałeś jej szczerze, jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek, słuchaj, nie odrzucaj tej chwili zbawienia; krwi którą oba wylejem dzisiaj, jutro śladu nie będzie — ostatni raz ci mówię — jeżeliś tem czem wydawałeś się niegdyś, wstań, porzuć dom i chodź za mną.

MĄŻ.

Tyś młodszym bratem szatana.

(Wstaje i przechadza się wdłuż).

Daremne marzenia — kto ich dopełni? — Adam skonał na pustyni — my nie wrócim do raju.

PANKRACY (na stronie).

Zagiąłem palec po pod serce jego — trafiłem do nerwu poezji.

MĄŻ.

Postęp, szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś wierzyłem — ot! macie, weźcie głowę moją, byleby — —. Stało się. Przed stoma laty, przed dwoma wiekami, polubowna ugoda mogła jeszcze — ale teraz wiem — teraz trza mordować się nawzajem — bo teraz im tylko chodzi o zmianę plemienia.

PANKRACY.

Biada zwyciężonym — nie wahaj się, powtórz raz tylko — biada — i zwyciężaj z nami.

MĄŻ.

Czyś zbadał wszystkie manowce Przeznaczenia — czy pod kształtem widomym stanęło ono u wejścia namiotu twojego w nocy i olbrzymią dłonią błogosławiło tobie — lub w dzień czyś słyszał głos jego o południu, kiedy wszyscy spali w skwarze, a tyś jeden rozmyślał — że mi tak pewno grozisz zwycięztwem, człowiecze z gliny jako ja, niewolniku pierwszej lepszej kuli, pierwszego lepszego cięcia?

PANKRACY.

Nie łudź się marną nadzieją — bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie się żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co później nastąpi to już wam nic z tego.

(Zegar bije.)

Czas szydzi z nas obu. — Jeśliś znudzony życiem, przynajmniej ocal syna swego.

MĄŻ.

Dusza jego czysta już ocalona, w niebie, a na ziemi los ojca go czeka.

(Spuszcza głowę między dłonie i staje.)

PANKRACY.

Odrzuciłeś więc?

(Chwila milczenia.)

Milczysz — dumasz — dobrze — niechaj ten duma co stoi nad grobem.

MĄŻ.

Zdala od tajemnic, które za krańcami twoich myśli odbywają się teraz w głębi ducha mojego. — Świat cielska do ciebie należy — tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem,— ale dalej nie zachodź i precz, precz odemnie.

PANKRACY.

Sługo jednej myśli i kształtów jej, pedancie rycerzu, poeto, hańba tobie — patrz na mnie. — Myśli i kształty są woskiem palców moich.

MĄŻ.

Darmo! ty mnie nie zrozumiesz nigdy — bo każden z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem.

(Wyciąga rękę ku obrazom.)

Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl nieprzyjaciołka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. — Ale ty człowiecze powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja — wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wschodzie go zwijasz i koczujesz dalej — dotąd nie znalazłeś ogniska swego i nie znajdziesz, dopóki stu ludzi zechce powtórzyć za mną: — Chwała ojcom naszym. —

PANKRACY.

Tak, chwała dziadom twoim na ziemi i niebie — w rzeczy samej jest na co patrzyć.

Ów starosta, baby strzelał po drzewach i żydów piekł żywcem. — Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem — kanclerz — sfałszował akta, spalił archiwa, przekupił sędziów, trucizną przyspieszył spadki — ztąd wsie twoje, dochody, potęga. — Tamten czarniawy, z ognistem okiem, cudzołożył w domach przyjaciół — ów z runem złotem, w kolczudze włoskiej, znać służył u cudzoziemców — a ta pani blada

z ciemnemi puklami, kaziła się z giermkiem swoim — tamta czyta list kochanka i śmieje się, bo noc bliska — tamta z pieskiem na robronie, królów była nałożnicą. — Ztąd wasze genealogje bez przerwy, bez plamy. — Lubię tego w zielonym kaftanie — pił i polewał z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał by z psami gonili jelenie. Głupstwo i niedola kraju całego — oto rozum i moc wasza. — Ale dzień sądu bliski, i w tym dniu obiecuję wam, że nie zapomnę o żadnym z was, o żadnym z Ojców waszych, o żadnej chwale waszej.

MĄŻ.

Mylisz się mieszczański synu. — Ani ty, ani żaden z twoich by nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. — Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale — a kiedyście z trzody zwierząt wyrośli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli żeście nie do pola bitwy.

Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach — one ich popiołów nie wzruszą nawet — one zaginą jak skowyczenia psa wściekłego co bieży i pieni się, aż skona gdzie na drodze — a teraz czas już tobie wynijść z domu mego. — Gościu, wolno puszczam ciebie.

PANKRACY.

Do widzenia na okopach Świętej Trójcy.
A kiedy wam kul zabraknie i prochu — —

MĄŻ.

To się zbliżym na długość szabel naszych. — Do widzenia.

PANKRACY.

Dwa orły z nas — ale gniazdo twoje strzaskane piorunem.

(Bierze płaszcz i czapkę wolności.)

Przechodząc próg ten rzucam nań przekleństwo należne starości. — I ciebie i syna twego poświęcam zniszczeniu.

MĄŻ.

Hej Jakóbie,

(Jakób wchodzi.)

Odprowadzić tego człowieka aż do ostatnich czat moich na wzgórzu.

JAKÓB.

Tak mi Panie Boże dopomóż.

(Wychodzi.)

CZĘŚĆ CZWARTA.

Od baszt Św. Trójcy do wszystkich szczytów skał, po prawej, po lewej, z tyłu i na przodzie, leży mgła śnieżysta, blada, niewzruszona, milcząca; mara oceanu, który niegdyś miał brzegi swoje gdzie te wierzchołki czarne, ostre, szarpane, i głębokości swoje gdzie dolina której nie widać, i słońce które jeszcze się nie wydobyło.

Na wyspie granitowej, nagiej, stoją wieże zamku, wbite w skałę pracą dawnych ludzi, i zrosłe ze skałą jak pierś ludzka z grzbietem u Centaura. — Po nad niemi sztandar się wznosi, najwyższy i sam jeden wśród szarych błękitów.

Powoli, śpiące obszary budzić się zaczynają — w górze słychać szumy wiatrów — z dołu promienie się cisną — i kra z chmur pędzi po tem morzu z wyziewów.

Wtedy inne głosy, głosy ludzkie przymięszają się do tej znikomej burzy, i niesione na mglistych bałwanach roztrącą się o stopy zamku.

Widna przepaść wśród obszarów co pękły nad nią.

Czarno tam w jej głębi, od głów ludzkich czarno — dolina cała zarzucona głowami ludzkiemi, jako dno morza głazami.

Słońce ze wzgórzów na skały wstępuje, w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury, a im bardziej nikną,

tem lepiej słychać wrzaski, tem lepiej dojrzeć można tłumy płynące u dołu.

Z gór podniosły się mgły — i konają teraz po nicościach błękitu. — Dolina Świętej Trójcy obsypana światłem migającej broni — i Lud ciągnie zewsząd do niej, jak do równiny ostatniego sądu.

Katedra w zamku Świętej Trójcy. — Panowie, Senatory, Dygnitarze siedzą po obu stronach, każdy pod posągiem jakiego króla lub rycerza. — Za posągami tłumy szlachty. — Przed wielkim ołtarzem w głębi Arcybiskup, w krześle złoconem, z mieczem na kolanach. — Za ołtarzem chór kapłanów. — Mąż stoi w progu przez chwilę, potem zaczyna iść powoli ku Arcybiskupowi ze sztandarem w ręku.

CHOR KAPŁANÓW.

Ostatnie sługi Twoje, w ostatnim kościele Syna Twego błagamy Cię za czcią ojców naszych. — Od nieprzyjaciół wyratuj nas Panie!

PIERWSZY HRABIA.

Patrz, z jaką dumą spogląda na wszystkich.

DRUGI HRABIA.

Myśli że świat podbił.

TRZECI HRABIA.

A on się tylko nocą przedarł przez obóz chłopów.

PIERWSZY HRABIA.

Sto trupów położył, a dwieście swoich stracił.

DRUGI HRABIA.

Nie dajmy, by go wodzem obrali.

MĄŻ (klęka przed Arcybiskupem).

U stóp twoich składam zdobycz moją.

ARCYBISKUP.

Przypasz miecz ten, błogosławiony niegdyś ręką Świętego Florjana.

GŁOSY.

Niech żyje Hr. Henryk — niech żyje!

ARCYBISKUP.

I przyjm ze znakiem Krzyża Ś. dowództwo w tym zamku, ostatniem państwie naszem — —. Wolą wszystkich, mianuję cię Wodzem.

GŁOSY.

Niech żyje — niech żyje!

GŁOS JEDEN.

Nie pozwalam.

INNE GŁOSY.

Precz — precz — za drzwi. — Niech żyje Henryk.

MĄŻ.

Jeśli kto ma co do zarzucenia mnie, niechaj wystąpi, wśród tłumu się nie kryje.

(Chwila milczenia.)

Ojcze, szablę tę biorę, i niech mi Bóg zrządzi zgon prędki, zawczesny, jeśli nią ocalić was nie zdołam.

CHÓR KAPŁANÓW.

Daj mu siłę — daj mu Ducha Świętego, Panie! Od nieprzyjaciół wyratuj nas Panie!

MĄŻ.

Teraz przysięgnijcie wszyscy, że chcecie bronić wiary i czci przodków waszych — że głód i pragnienie umorzy was do śmierci, ale nie do hańby — nie do poddania się — nie do ustąpienia choćby jednego z praw Boga waszego, lub waszych.

GŁOSY.

Przysięgamy.

(Arcybiskup klęka i Krzyż wznosi.)

(Wszyscy klękają.)

CHÓR.

Krzywoprzysięzca gniewem Twoim niech obarczon będzie. — Bojaźliwy gniewem Twoim niech obarczon będzie. — Zdrajca gniewem Twoim niech obarczon będzie.

GŁOSY.

Przysięgamy.

MĄŻ (dobywa miecza).

Teraz obiecuję wam sławę — u Boga wyproście zwycieztwo.

(Otoczony tłumem wychodzi.)

Jeden z dziedzińców Świętej Trójcy. — Mąż. — Hrabiowie. — Barony. — Książęta. — Księża. — Szlachta.

HRABIA (na stronę odprowadza Męża).

Jakże — wszystko stracone?

MĄŻ.

Nie wszystko — chyba że wam serca zabraknie przed czasem.

HRABIA.

Przed jakim czasem?

MĄŻ.

Przed śmiercią.

BARON (odprowadza go w inszą stronę).

Hrabio, podobno widziałeś się z tym okropnym człowiekiem. — Będzież on miał litości choć trochę nad nami, kiedy się dostaniem w ręce jego.

MĄŻ.

Zaprawdę ci mówię, że o takiej litości żaden z ojców twoich nie słyszał — zowie się szubienica.

BARON.

Trza się bronić jak można.

MĄŻ.

Co Książe mówi?

KSIĄŻE.

Parę słów na boku.

(Odchodzi z nim.)

To wszystko dobre dla gminu, ale między nami, oczewistem jest, że się oprzeć nie zdołamy.

MĄŻ.

Cóż więc pozostaje.

KSIĄŻE.

Obrano cię Wodzem, a zatem do ciebie należy rozpocząć układy.

MĄŻ.

Ciszej — ciszej!

KSIĄŻE.

Dla czego?

MĄŻ.

Boś Mości Książe już na śmierć zasłużył.

(Odwraca się do tłumu.)

Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karanym będzie.

BARON, HRABIA, KSIĄŻE (razem).

Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karanym będzie.

WSZYSCY.

Śmiercią — śmiercią. — Vivat!

(Wychodzą.)

Krużganek na szczycie. — Mąż. — Jakób.

MĄŻ.

Gdzie syn mój?

JAKÓB.

W wieży północnej usiadł na progu starego więzienia: śpiewa proroctwa.

MĄŻ.

Najmocniej osadź basztę Eleonory — sam nie ruszaj się z tamtąd, i co kilka minut patrzaj lunetą na obóz buntowników.

JAKOB.

Wartoby, tak mi Panie Boże dopomóż, dla zachęty rozdać naszym po szklance wódki.

MĄŻ.

Jeśli potrzeba, każ otworzyć nawet piwnice naszych Hrabiów i Książąt.

(Jakób wychodzi.)

(Mąż wchodzi kilkoma schodami wyżej pod sam sztandar, na płaski taras.)

Całym wzrokiem oczu moich, całą nienawiścią serca obejmuję was wrogi. — Teraz już nie marnym głosem, mdłem natchnieniem, będę walczył z wami, ale żelazem i ludźmi którzy mnie się poddali.

Jakże tu dobrze być panem, być władcą — choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole skupione na około siebie, i na was przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu.

Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wszystkich nędzarzy co zapomnieli o wielkich ojcach swoich, nie będzie — ale bąć co bąć — dni kilka jeszcze pozostało — użyję ich rozkoszy mej kwoli — panować będę — walczyć będę — żyć będę. — To moja pieśń ostatnia!

Nad skałami zachodzi słońce w długiej, czarnej trumnie z wyziewów. — Krew promienista zewsząd leje się na dolinę. — Znaki wieszcze zgonu mojego, pozdrawiam was szczerszem, otwartszem sercem niż kiedykolwiek wprzódy witałem obietnice wesela, ułudy, miłości.

Bo nie podłą pracą, nie podstępem, nie przemysłem doszedłem końca życzeń moich — ale nagle, znienacka, tak jakom marzył zawżdy.

I teraz tu stoję na pograniczach snu wiecznego, wodzem tych wszystkich co mi wczoraj jeszcze równymi byli.

Komnata w zamku oświecona pochodniami. — Orcio siedzi na łożu. — Mąż wchodzi i składa broń na stole.

MĄŻ.

Sto ludzi zostawić na szańcach — reszta niech odpocznie po tak długiej bitwie.

GŁOS ZA DRZWIAMI.

Tak mi Panie Boże dopomóż.

MĄŻ.

Zapewne słyszałeś wystrzały, odgłosy naszej wycieczki — ale bąć dobrej myśli dziecię moje, nie przepadniemy jeszcze ni dzisiaj ni jutro.

ORCIO.

Słyszałem, ale to nie tknęło mi serca — huk przeleciał i nie ma go więcej — co innego w dreszcz mnie wprawia ojcze.

MĄŻ.

Lękałeś się o mnie.

ORCIO.

Nie — bo wiem że twoja godzina nie nadeszła jeszcze

MĄŻ.

Sami jesteśmy — ciężar spadł mi z duszy na dzisiaj — bo tam w dolinie leżą ciała pobitych wrogów. Opowiedz mi wszystkie myśli twoje — będę ich słuchał jak dawniej w domu naszym.

ORCIO.

Za mną, za mną, ojcze — tam straszny sąd co noc się powtarza.

(Idzie ku drzwiom skrytym w murze i otwiera je.)

MĄŻ.

Gdzie idziesz. — Kto ci pokazał to przejście — tam lochy, wiecznie ciemne, tam gniją dawnych ofiar kości.

ORCIO.

Gdzie oko twoje zwyczajne słońca nie dowidzi — tam duch mój stąpać umie. — Ciemności, idźcie do ciemności.

(Zstępuje.)

Lochy podziemne. — Kraty żelazne, kajdany, narzędzia do tortur połamane, leżące na ziemi. — Mąż z pochodnią u stóp głazu, na którym Orcio stoi.

MĄŻ.

Zejdź, błagam cię, zejdź do mnie.

ORCIO.

Czy nie słyszysz ich głosów, czy nie widzisz ich kształtów?

MĄŻ.

Milczenie grobów — a światło pochodni na kilka stóp tylko rozświeca przed nami.

ORCIO.

Coraz już bliżej — coraz już widniej — idą z pod ciasnych sklepień jeden po drugim, i tam zasiadają w głębi.

MĄŻ

W szaleństwie twojem potępienie moje — szalejesz dziecię — i siły moje niszczysz, kiedy mi ich tyle potrzeba.

ORCIO.

Widzę duchem blade ich postacie, poważne, kupiące się na sąd straszny. — Oskarżony już nadchodzi i jako mgła płynie.

CHÓR GŁOSÓW.

Siłą nam daną — za męki nasze, my niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwani, trucizną pojeni, przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy i sądźmy, i potępiajmy — a kary szatan się podejmie.

MĄŻ.

Co widzisz?

ORCIO.

Oskarżony — — oskarżony ot załamał dłonie.

MĄŻ.

Kto on jest?

ORCIO.

Ojcze — Ojcze! —

GŁOS JEDEN.

Na tobie się kończy ród przeklęty — w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje, i wszystkie namiętności swe, i całą dumę swoją, by skonać.

CHÓR GŁOSÓW.

Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki.

MĄŻ.

Nic dojrzeć nie mogę, a słyszę z pod ziemi, nad ziemią, po bokach, westchnienia i żale, wyroki i groźby.

ORCIO.

On teraz podniósł głowę, jako ty Ojcze kiedy się gniewasz — i odparł dumnem słowem, jako ty ojcze kiedy pogardasz.

CHÓR GŁOSÓW.

Daremno — daremno — ratunku nie ma dla niego, ni na ziemi ni w niebie.

GŁOS JEDEN.

Dni kilka jeszcze chwały ziemskiej, znikomej, której mnie i braci moich pozbawili naddziady twoje — a potem zaginiesz ty i bracia twoi — i pogrzeb wasz jest bez dzwonów żałoby — bez łkania przyjaciół i krewnych jako nasz był kiedyś, na tej samej skale boleści.

MĄŻ.

Znam ja was podłe duchy, marne ogniki latające wśród ogromów anielskich.

(Idzie kilka kroków naprzód.)

ORCIO.

Ojcze, nie zapuszczaj się w głąb — na Chrystusa imię święte, zaklinam cię Ojcze.

MĄŻ (wraca).

Powiedz, powiedz kogo widzisz?

ORCIO.

To postać. —

MĄŻ.

Czyja?

ORCIO.

To drugi ty jesteś — cały blady — spętany — oni teraz męczą ciebie — słyszę jęki twoje.

(Pada na kolana.)

Przebacz mi Ojcze. — Matka pośród nocy przyszła i kazała...

(Mdleje.)

MĄŻ (chwyta go w objęcia).

Tego nie dostawało. — Ha! dziecię własne przywiodło mnie do progu piekła. — Marjo! nieubłagany duchu: — Boże! i Ty druga Marjo, do której modliłem się tyle!

Tam poczyna się nieskończoność mąk i ciemności — nazad — muszę jeszcze walczyć z ludźmi — potem wieczna walka.

(Ucieka z synem.)

CHÓR GŁOSÓW (w oddali).

Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie — prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki.

Sala w zamku świętej Trójcy. Mąż. — Kobiety, dzieci, kilku starców i hrabiów klęczących u stóp jego. — Ojciec chrzestny stoi w środku sali. — Tłum w głębi. — Zbroje zawieszone, gotyckie filary, ozdoby, okna.

MĄŻ.

Nie — przez syna mego — przez żonę nieboszczkę moją, nie — jeszcze raz mówię — nie.

GŁOSY KOBIECE.

Zlituj się — głód pali wnętrzności nasze i dzieci naszych dniem i nocą strach nas pożera.

GŁOSY MĘŻCZYZN.

Jeszcze pora — słuchaj posła — nie odsyłaj posła.

OJCIEC CHRZESTNY.

Całe życie moje obywatelskiem było i nie zważam na twoje wyrzuty Henryku. — Jeślim się podjął urzędu poselskiego który w tej chwili sprawuję, to że znam wiek mój i cenić umiem całą wartość jego. Pankracy jest reprezentantem, że tak rzekę...

MĄZ.

Precz z oczu moich stary — —

(Na stronie do Jakóba.)

Przyprowadź tu oddział naszych.

(Jakób wychodzi. — Kobiety powstają i płaczą. — Mężczyzni się oddalają o kilka kroków.)

BARON.

Zgubiłeś nas Hrabio.

DRUGI.

Wypowiadamy ci posłuszeństwo.

KSIĄŻĘ.

Sami ułożymy z tym zacnym obywatelem warunki poddania zamku.

OJCIEC CHRZESTNY.

Wielki mąż który mnie przysłał, obiecuje wam życie, bylebyście przyłączyli się do niego i uznali dążenie wieku.

KILKA GŁOSÓW.

Uznajemy — uznajemy.

MĄŻ.

Kiedyście mnie wezwali, przysiągłem zginąć na tych murach — dotrzymam, i wy wszyscy zginiecie wraz ze mną.

Ha! chce się wam żyć jeszcze?

Ha! zapytajcie ojców waszych, po co gnębili i panowali.

(Do Hrabiego.)

A ty czemu uciskałeś poddanych.

(Do drugiego.)

A ty czemu przepędziłeś wiek młody na kartach i podróżach daleko od Ojczyzny.

(Do innego.)

Ty się podliłeś wyższym, gardziłeś niższymi.

(Do jednej z kobiet.)

Dla czegożeż dzieci nie wychowała sobie na obrońców — na rycerzy — teraz by ci się zdały na coś — aleś kochała żydów, adwokatów — proś ich o życie teraz.

(Staje i wyciąga ramiona.)

Czego się tak spieszycie do hańby — co was tak nęci, by upodlić wasze ostatnie chwile? — Naprzód raczej, ze mną, naprzód Mości Panowie, tam gdzie kule i bagnety! — nie tam gdzie szubienica i kat milczący, z powrozem w dłoni na szyje wasze.

KILKA GŁOSÓW.

Dobrze mówi — na bagnety.

INNE GŁOSY.

Kawałka chleba już nie ma.

KOBIECE GŁOSY.

Dzieci nasze, dzieci wasze!

WIELE GŁOSÓW.

Poddać się trzeba — układy — układy.

OJCIEC CHRZESTNY.

Obiecuję wam całość, że tak rzekę, nietykalność osób i ciał waszych.

MĄŻ (przybliża się do Ojca Chrzestnego i chwyta go za piersi).

Święta osoba posła — idź skryć siwą głowę pod namioty przechrztów i szewców, bym ją krwią twoją własną nie zmazał.

(Wchodzi oddział zbrojnych z Jakóbem.)

Na cel mi wziąść to czoło zorane zmarszczkami marnej nauki — na cel tę czapkę wolności, drżącą od tchnienia słów moich, na tej głowie bez mózgu.

(Ojciec Chrzestny się wymyka.)

WSZYSCY (razem).

Związać go — wydać Pankracemu.

MĄŻ.

Chwila jeszcze Mości Panowie

(Chodzi ad jednego żołnierza do drugiego.)

Z tobą zda mi się wdzierałem się na góry za dzikim zwierzem — pamiętasz, wyrwałem cię z przepaści.

(Do innych.)

Z wami rozbiłem się na skałach Dunaju — Hieronimie, Krzysztofie, byliście ze mną na Czarnem morzu?

(Do innych.)

Wam odbudowałem chaty zgorzałe.

(Do innych.)

Wyście uciekli do mnie od złego pana — a teraz mówcie — pójdziecie za mną, czy zostawicie mnie samego ze śmiechem na ustach, żem w pośród tylu ludzi jednego człowieka nie znalazł.

WSZYSCY.

Niech żyje hrabia Henryk — niech żyje!

MĄŻ.

Rozdać im co zostało wędliny i wódki — a potem na mury.

WSZYSCY ŻOŁNIERZE.

Wódki — mięsa — a potem na mury!

MĄŻ.

Idź z niemi, a za godzinę bądź gotów do walki.

JAKÓB

Tak mi Panie Boże dopomóż.

GŁOSY KOBIECE.

Przeklinamy cię za niewiniątka nasze.

INNE GŁOSY.

Za ojców naszych.

INNE GŁOSY.

Za żony nasze.

MĄŻ.

A ja was, za podłość waszą!

Okopy świętej Trójcy. — Trupy na około. — Działa potrzaskane. — Broń leżąca na ziemi. — Tu i owdzie biegną żołnierze. — Mąż oparty o szaniec, Jakób przy nim.

MĄŻ (szablę chowając do pochwy.)

Nie ma roskoszy jak grać w niebezpieczeństwo i wygrywać zawzdy, a kiedy nadejdzie przegrać — to raz jeden tylko.

JAKÓB.

Ostatniemi naszemi nabojami skropieni odstąpili, ale tam w dole się gromadzą i nie długo wrócą do szturmu. — Darmo, nikt losu przeznaczonego nie uszedł, od kiedy świat światem.

MĄŻ.

Nie ma już więcej kartaczy?

JAKÓB.

Ani kul, ani lotek, ani śrutu — wszystko się przebiera nareszcie.

MĄŻ.

A więc syna mi przyprowadź, bym go raz jeszcze uściskał.

(Jakób odchodzi.)

Dym bitwy zamglił oczy moje — zda mi się jakby dolina wzdymała się i opadała nazad — skały w sto kątów łamią się i krzyżują — dziwnym szykiem także ciągną myśli moje.

(Siada na murze.)

Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto. — Pierwszy z Archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu uczuł nudę w sercu swojem, i zapragnął potężniejszych sił. — Trza być Bogiem lub nicością.

(Jakób przychodzi z Orciem.)

Weź kilku naszych, obejdź sale zamkowe, i pędź do murów wszystkich co spotkasz.

JAKÓB.

Bankierów, i Hrabiów, i książąt.

(Odchodzi.)

MĄŻ.

Chodź synu — połóż tu rękę swoją na dłoni mojej — czołem ust moich się dotknij — czoło matki twojej niegdyś było takiej samej bieli i miękkości.

ORCIO.

Słyszałem głos jej dzisiaj, nim zerwali się męże twoi do broni — słowa jej płynęły tak daleko jak wonie, i mówiła: — «Dziś wieczorem zasiądziesz przy mnie.»

MĄŻ.

Czy wspomniała choćby imię moje.

ORCIO.

Mówiła: — Dziś wieczorem czekam na syna mego.

MĄŻ (na stronie.)

U końca drogi czyż opadnie mnie siła? — Nie daj tego Boże. — Za jedną chwilę odwagi masz mnie więźniem twoim przez wieczność całą.

(Głośno.)

O synu, przebacz żem ci dał życie — rozstajemy się — czy wiesz na jak długo?

ORCIO.

Weź mnie i nie puszczaj — nie puszczaj — ja cię pociągnę za sobą.

MĄŻ.

Różne drogi nasze — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty kropli rosy nie rzucisz mi z góry. — O Jerzy — Jerzy! — O synu mój!

ORCIO.

Co za krzyki — drżę cały — coraz groźniej — coraz bliżej — huk dział i strzelb się rozlega — godzina ostatnia, przepowiedziana, ciągnie ku nam.

MĄŻ.

Spieszaj, spieszaj Jakóbie.

(Orszak Hrabiów i Książąt przechodzi przez dolny dziedziniec. — Jakób z żołnierzami idzie za nim.)

GŁOS JEDEN.

Daliście odłamki broni i bić się każecie.

GŁOS DRUGI.

Henryku, ulituj się!

TRZECI.

Nie gnaj nas słabych, zgłodniałych, ku murom!

INNE GŁOSY.

Gdzie nas pędzą — gdzie?

MĄŻ (do nich).

Na śmierć.

(Do syna).

Tym uściskiem chciałbym się z tobą połączyć na wieki — ale trza mi w inszą stronę.

(Orcio pada trafiony kulą.)

GŁOS W GÓRZE.

Do mnie, do mnie duchu czysty — do mnie synu mój!

MĄŻ

Hej! do mnie ludzie moi!

(Dobywa szabli i przykłada do ust leżącego.)

Klinga szklanna jak wprzódy — oddech i życie uleciały razem.

Hej! tu — naprzód — już się wdarli na długość szabli mojej — nazad, w przepaść, synu wolności.

(Zamięszanie i bitwa.)

Insza strona okopów. — Słychać odgłosy walki. — Jakób rozciągnięty na murze. — Mąż nadbiega krwią oblany.

MĄŻ.

Cóż ci jest mój wierny, mój stary.

JAKÓB.

Niech ci czart odpłaci w piekle upór twój i męki moje. — Tak mi Panie Boże dopomóż.

(Umiera.)

MĄŻ (rzucając pałasz.)

Nie potrzebnyś mi dłużej — wyginęli moi, a tamci klęcząc wyciągają ramiona ku zwycięzcom i bełkoczą o miłosierdzie!

(Spoziera na около.)

Nie nadchodzą jeszcze w tę stronę — jeszcze czas — odpocznijmy chwilę. — Ha! już się wdarli na wieżę północną! — Ludzie nowi się wdarli na wieżę północną — i patrzą czy gdzie nie odkryją hrabiego Henryka. — Jestem tu — jestem — ale wy mnie sądzić nie będziecie. — Ja się już wybrałem w drogę — ja stąpam ku sądowi Boga.

(Staje na odłamku baszty wiszącym nad samą przepaścią.)

Widzę ją całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie; wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca — a pośrodku jej Bóg, jak słońce co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca.

(Krokiem dalej się posuwa.)

Biegną, zobaczyli mnie — Jezus, Marja! — Poezjo bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki. — Ramiona idźcie i przerzynajcie te wały!

(Skacze w przepaść.)

Dziedziniec zamkowy. — Pankracy. — Leonard. — Blanchetti na czele tłumów. — Przed niemi przechodzą Hrabiowie, Książęta z żonami i dziećmi w łańcuchach.

PANKRACY.

Twoje imię?

HRABIA.

Krzysztof na Volsagunie.

PANKRACY.

Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

KSIĄŻĘ.

Władysław, pan Czarnolasu.

PANKRACY.

Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

BARON.

Aleksander z Godalberg.

PANKRACY.

Wymazane z pośród żyjących — idź.

BLANCHETTI (do Leonarda).

Dwa miesiące nas trzymali, a nędzny rzęd armat i ladajakie parapety.

LEONARD

Czy dużo ich tam jeszcze.

PANKRACY.

Oddaję ci wszystkich — niech ich krew płynie dla przykładu świata — a kto z was mi powie gdzie Henryk, temu daruję życie.

RÓŻNE GŁOSY.

Zniknął przy samym końcu.

OJCIEC CHRZESTNY.

Staję teraz jako pośrednik między tobą a niewolnikami twojemi — temi przezacnego rodu obywatelami, którzy wielki człowiecze, klucze zamku złożyli w ręce twoje.

PANKRACY.

Pośredników nie znam tam gdzie zwyciężyłem siłą własną. — Sam dopilnujesz ich śmierci.

OJCIEC CHRZESTNY.

Całe życie moje obywatelskiem było, czego są dowody niemałe, a jeślim się połączył z wami, to nie na to bym własnych braci szlachtę...

PANKRACY.

Wziąść starego doktrynera — precz; w jedną drogę z niemi.

(Żołnierze otaczają Ojca Chrzestnego i niewolników.)

Gdzie Henryk? — czy kto z was nie widział go żywym lub umarłym. — Wór pełny złota za Henryka — choćby za trupa jego.

(Oddział zbrojny schodzi z murów.)

A wy nie widzieliście Henryka?

NACZELNIK ODDZIAŁU.

Obywatelu wodzu, udałem się za rozkazem generała Blanchetti ku stronie zachodniej szańców, zaraz na początku wejścia naszego do fortecy i na trzecim zakręcie bastjonu,

ujrzałem człowieka rannego i stojącego bez broni przy ciele drugiego — kazałem podwoić kroku by schwytać — ale nim zdążyliśmy, ów człowiek zeszedł trochę niżej, stanął na głazie chwiejącym się, i patrzył chwilę obłąkanym wzrokiem — potem wyciągnął ręce jak pływacz który ma dać nurka i pchnął się z całej siły naprzód — słyszeliśmy wszyscy odgłos ciała, spadającego po urwiskach a oto szabla znaleziona kilka kroków dalej.

PANKRACY (biorąc szablę).

Ślady krwi na rękojeści — poniżej herb jego domu.

To pałasz hrabiego Henryka — on jeden z pośród was dotrzymał słowa. — Za to chwała jemu, gilotyna wam.

Generale Blanchetti, zatrudnij się zburzeniem warowni i dopełnieniem wyroku.

Leonardzie!

(Wstępuje na basztę z Leonardem.)

LEONARD.

Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć Mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich.

PANKRACY.

Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromny, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić te puszcze — przedrążyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest.

LEONARD.

Bóg wolności sił nam podda.

PANKRACY.

Co mówisz o Bogu — ślisko tu od krwi ludzkiej. — Czyjaż to krew? — Za nami dziedzińce zamkowe — sami jesteście, a zda mi się jakoby tu był ktoś trzeci.

LEONARD.

Chyba to ciało przebite.

PANKRACY.

Ciało jego powiernika — ciało martwe — ale tu duch czyjś panuje — a ta czepka — ten sam herb na niej — dalej patrz, kamień wystający nad przepaścią — na tem miejscu serce jego pękło.

LEONARD.

Bledniesz Mistrzu.

PANKRACY.

Czy widzisz tam — wysoko — wysoko.

LEONARD.

Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą na której dogasają promienie słońca.

PANKRACY.

Znak straszny pali się na niej.

LEONARD.

Chyba cię myli wzrok.

PANKRACY.

Miljon ludu słuchało mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój?

LEONARD.

Słyszysz ich okrzyki — wołają ciebie — czekają na ciebie.

PANKRACY.

Plotły kobiety i dzieci że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień.

LEONARD.

Kto?

PANKRACY.

Jak słup śnieżnej jasności stoi po nad przepaściami — oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli Mściciel. — Ze splecionych piorunów korona cierniowa.

LEONARD.

Co się z tobą dzieje? co tobie jest?

PANKRACY.

Od błyskawicy tego wzroku, chyba mrze kto żyw.

LEONARD.

Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy ztąd — chodźmy — czy słyszysz mnie?

PANKRACY.

Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia co mnie rozkłada w proch.

LEONARD.

Czy dobrze tak?

PANKRACY.

Nędzne ręce twe — jak u ducha bez kości i mięsa — przejrzyste jak woda — przejrzyste jak szkło — przejrzyste jak powietrze. — Widzę wciąż!

LEONARD.

Oprzyj się na mnie.

PANKRACY.

Daj mi choć odrobinę ciemności.

LEONARD.

O Mistrzu mój!

PANKRACY.

Ciemności — ciemności.

LEONARD.

Hej! obywatele — hej! bracia Demokraty na pomoc. — Hej! ratunku — pomocy — ratunku!

PANKRACY.

Galilee vicisti!

(Stacza się w objęcia Leonarda i kona.)

KONIEC.

NOC LETNIA.

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

Malczewski. (Marja.)

O! patrzcie na mnie, współziemianie, obywatele jednej Ojczyzny! na mnie idącą po ostatniej drodze — na mnie, ostatni raz patrzącą na światło Heliosa. — Drugi raz nigdy go już nie zobaczę. — Śmierć, która w kolebce swojej wszystko usypia, wiedzie mnie żywą ku brzegom Acherontu — mnie żywą, mnie niepoślubioną, mnie o której uszy nie odbiło się nigdy weselne pienie zaręczyn — Acheront jeden tylko woła mnie do ślubu!

Sofokles-Antygona.

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
Za to samotne, lub w walce z innemi,
Że się natchnęło w myśli święte, wieszcze;
Za to potwarzą ścigane do koła,
Że nad sąd ludzi i praw ich zawiłość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
Nienawiść podłych — lub miłość Anioła!
Jeśli to serce co wiele kochało,
Jeśli to serce co wiele cierpiało,
Dziś na kształt głazu ścierpło i zlodniało;
Lecz wrzkomo tylko na zewnątrz, bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie;
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry spadłej z niebios, co wre w jego głębi —
Jeśli to serce w samotnej żałobie,
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda — nie mściwie, nie hardo —
Lecz z przebaczenia anielską pogardą!
Gdziekolwiek jesteś o serce mi znane!
Serce niewieście i prześladowane!
Gdziekolwiek jesteś — z bliska czy z daleka:
O serce dumne, o serce stroskane!
Weź to, co przyjąć możesz od człowieka!
Weź pieśń — po pieśni poznasz we mnie brata:
Ta pieśń z innego — tak jak i ty — świata!

Za to żeś Siostro w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w marę próżności,
Gdy świat ten zstąpił do grobu podłości —
Za to żeś z światem w ten grób nie zstąpiła,
O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
W świętem współczuciu i świętej miłości,
Tę pieśń mej duszy, ja poświęcam Tobie! —

Varenna: 1840, 15 Sierpnia.

I.

Widziałem kiedy ją wiedli — w białych szatach, z wieńcem na głowie szła w przerażeniu. — Kościół stał jako ciemny smętarz przed jej oczyma. — Wszyscy się uśmiechali z radości, starzy i młodzi. — Dzieci za Aniołków przebrane potrząsały kwiatami. — Sam Biskup i powierne kapłany wesołym patrzali wzrokiem, w sutych dalmatykach. — Lud się cisnął zazdroszcząc i chwaląc i życząc. — Ona jedna tylko milczała, ze spuszczonemi oczyma, oparta na ręku służebnic.

I w jej kibici coś znękanego, bezsilnego było. — I w jej źrenicach nie jasno przebijał promień duszy. — I z jej ust nieco rozchylonych trudno się domyśleć, wyjdzie li modlitwa czy skarga? — Idąc wzdłuż kaplic podnosiła rękę i przeżegnać się chciała, pół-krzyże tylko kreśliła w powietrzu — przed obrazem Bogarodzicy skłoniwszy głowę, znać przyklęknąć miała, lecz sił jej nie stało i szła dalej ku wielkiemu ołtarzowi, a wielki ołtarz stał w głębi, podobny do grobu.

Tam czekał ojciec na nią w kole krewnych i powinnych, z dumą w oku starem. — I słuszne miał prawo do pychy, bo cudniejszem dzieckiem nikomu Bóg nie opromienił schyłku życia. — Ona dotąd była jak najmilsza gwiazda nad jego zstępującą drogą; dziś tylko pierwszy raz w życiu zamglona, lecz on nie zważał na chwilowe zaćmienie, bo w tej

dobijającej godzinie wszystkie jego marzenia dopełnić się miały. — Rzekł więc do otaczających: — Patrzcie jak niewinna! drży w niewiadomości szczęścia swego — i sięgnął wzrokiem tak jak kościół długi, by ujrzeć ażali nie przybywa pan młody. — Siwe brwi zmarszczył niedostrzegłszy go nigdzie.

Ale wnet znów miał spokojne i pogodne czoło. — O! złudzenia starców, jak posągi ryte z głazu, pośród ich dusz stoją — chyba śmierć je rozłamie, lecz nie strąci ich żadna przestroga na ziemi! Kto młody, ten malowne sny widzi w powietrzu. — Tęcze nad nim się krzyżują i znikają, wiara na przemiany precz idzie w zwątpienie. — U bliższych grobu, twardsza nadzieja i żądze przezwane rzeczywistości imieniem. — Między prawdą a niemi stanęła opoka doświadczenia — siedzą na niewzruszonej, a strumienie życia, morza fal grających, pędzą tymczasem i mijają w dole!

Tam zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce i serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane, tłoczą się i giną w oddali! Tam gwiazd dżdże nieustanne z głuchym gasną szumem, a wszędzie modre syczą piany i w nieskończoność garnie się rozbicie! — Lecz im nic do tego — sami wrośli w skałę i domy budują nad huczącą głębią — każda fala co przelewa się w drugą, wydaje się im ołtarzem szczęścia i pokoju — potem córom i synom ludzkim każą ślubować na wierność przed nimi. — Ha! nim ci domówią przysięgi, już ołtarz pod drugim widnokręgiem płynie!

Teraz oblubieniec wpadł do kościoła, rześki i hoży, z drużyną pysznie ubranych, sam w narodowym stroju — lecz naród jego nie był starca narodem. — Tłum rozgina się na prawo i lewo, niskiem witając go czołem — ledwo raczył niektórym się odkłonić i dzwoniąc o marmury posuwistemi

kroki, stanął przy narzeczonej klęczącej już teraz. — Ona nie zdołała powstać! Ojcu jej znikomie usta na ramieniu złożył, potem rozmawiali przyciszonym głosem, starzec z królewską powagą, młodzieniec hasając rękoma. — Zwolna zbliżył się tymczasem Biskup i zwolna zapalono gromnice na ołtarzu — wielkie w tej wielkiej świątyni stało się milczenie — na wieki rąk dwoje, dusz dwoje połączyć się mają. — Dreszcz uroczysty rozbiegł się po widzach.

O szyby różnobarwnych okien, rozpłonił się promień zachodzącego słońca. — Zdało się przez chwilę że tam krwi potok płynie i pluska, aż zniżył się i skonał wśród zmierzchu — lecz ostatnim blaskiem drasnął głowę człowieka stojącego samotnie przy bocznej kaplicy — przy nim leży na pomniku posąg rycerza. — On jak drugi posąg niewzruszony, przykuł się wzrokiem do ołtarza, kiedy Biskup przemawia do oblubienicy —. Co w jego duchu się dzieje, mrok na jego twarzy zaczaił — jednak, kiedy chwilowa łuna, co zgasła już teraz, przepływała po niej, każdy co k'niemu zwrócone miał przypadkiem oczy, dostrzegł wyraz niesłychanej walki na tem czole wzniosłem — nikt jednak ni modlitwy ni westchnienia nie usłyszał, ni jęku. — Wargi ściśnione i boleść kształtem uśmiechu zakrzywiona na nich! — To jedno błysnęło i znów utonęło w cieniu.

Lecz kiedy świętym obrzędom stało się zadość, kiedy Pan młody podniósł żonę, a ona padła w ojca objęcia, i ojciec ją niósł ku bramom kościoła, i tysiąc gromnic szło za nimi, i stopniami opływała ciżba, i kroków odgłosy wolniały oddalając się — i wreszcie pustkami stanął przybytek — śpiący tylko umarli w nim zostali, i kilku żywych umarłych krzątało się po jego głębiach, zakonników kilku — wyszedł ów człowiek z kaplicy i rozkiełznany, szybki, uderzył piersią o stopnie ołtarza, zerwał się i padł na nowo, aż wreszcie siadł, lampą

pozostałą nad krzyżem srebrnym blado oświecony — nie ku obrazom świętych zwrócone jego oblicze, ale ku bramie którędy wyszli oni wszyscy. — Tam błękitu nocnego kawał, i jedna gwiazda miga. — On w nią patrzy i sztylet z pod płaszcza wyciąga — i patrząc w gwiazdę, z pochwy klingę bierze — i patrząc w gwiazdę, ostrzy ją na zgrzytającym kamieniu.

Tak w śnie magnetyzmu z odkrytą źrenicą, nic nie widząc, nic nie słysząc, chorzy stąpają śmiało w księżyca promieniach — potęga której nie czują, stała się nimi — ona im ręce zbroczy krwią nieprzyjaciół, ona ich odejmie brzegom przepaści. — Namiętność w słońca promieniach czerpa żary swoje, lecz równie pewno niesie, równie dziko pędzi!

I do owego człowieka zbliżył się mnich przyklękając przed wielkim ołtarzem, potem rzekł: — Ktokolwiek jesteś bracie, idź na spoczynek i nie mięszaj pokoju Pańskiego. — Ale on mu nic nie odpowiedział. — Za tym szedł drugi i rzekł: precz z kościoła bo świętokradcą jesteś. — Ale on mu nic nie odpowiedział — aż trzeci przed nim stanął i zawołał: — Wyklinam ciebie i to żelazo, któregoś u stóp krzyża śmiał dobyć. — A wtedy wstał winowajca i odparł: — Na te słowa czekałem by cios stał się niechybny a rana śmiertelną — i wyszedł powoli — powoli jakby liczył kroki własne, wiedząc że ostatnie na ziemi!

Tymczasem rozwiodła się po niebie noc tak przejrzysta i cicha, że każdy co ją widział, uczuł w piersiach dreszcz roskoszy, w duszy szczęścia przeczucie. — Jej cienie owinęły pola i gaje. — Jej gwiazdy weszły nad górami jak duchów w błękicie ukrytych, płonące źrenice. — Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód od-

wdzięcza się im wstydliwie, za złote spojrzenia. — Właśnie takiej nocy trzeba dla tak świetnych ślubów — od niej pocznie się długa wiosna obojgu szczęśliwym. — Czegóż im więcej można życzyć na ziemi? — On, wzięty u króla, pan wielu służebnych — ona, śliczniejsza od Aniołów, wniosła w dom męża ziemie obszerne posagiem. — Matki nie znaleźć któraby jej nie zazdrościła — młodzieńca któryby mu nie złorzeczył — a ojciec stary dopiął myśli swojej. — Odtąd mu dni płynąć będą wśród uśmiechów córki i potęgi zięcia — a drobne wnuczęta jak kwiaty wyrosną mu na ścieżce przed grobem!

Sute też na zamku wyprawił wesele — nie wielu książąt na takie mogłoby się zdobyć. — Wysoko nad całą krainą beczki smolne i kagańce świecą z murów — na podwórcach tak jasno jak we dnie, okna komnat otwarte, w komnatach sto harf gdy zabrzmi, trąby gdy zagrzmią, stóp tańcujących szum wzbija się i leci — porwane koła kręcą się, plątają, szaleją. — On sam obchodzi świetlice i zagrzewa gości. — Łza w jego oku nabrzmiewa, łza co z trudów życia wydobywszy się, pod koniec dziękuje Bogu za tyle dni co szły w krwi i pocie, kiedy w tym ostatnim można o nich wszystkich zapomnieć. — Wyszedł na przysionki i z ganku sypnął ludowi pełne misy srebra — wrócił i djamenty przyszpila napotkanym dziewojom do łona. — Giermki co za nim idą, garbiąc się pod ciężarem bogatego sprzętu, podają mu na przemian szable i złote łańcuchy, strusie kity i tureckie handżary. — On na pamiątkę tego dnia nimi gości darzy. — Czasem też stanie, weźmie z rąk pacholęcia spory kielich i usta małmazją odwilży — potem idzie dalej łaskawym ukłonem witając, łaskawym wzrokiem błogosławiąc wszystkim!

Teraz wszedł do środkowych gmachów, do wybitej przez wszystkie piętra sali, kędy gaj przyniesionych krzewów ściany oplatał w dole; w górze zaś stropami złotemi, gzymsami

z marmuru wiły się sklepienia — i na nich herby ojców jaśniały, nieskażone, święte! — Stanął u wejścia i pojrzał szukając dziecka swego — ale jej nie ujrzał wśród krążących par, ani odkrył w tłumie — patrzących. — Pan młody tylko pląsał od jednych panien ku drugim, naprzemian znikomym z tą i z ową połączony tańcem. — Po drugi raz w tym dniu, ściągnęło się czoło szczęśliwego starca drgnieniem gniewu czy smutku — skinął na zgraję — rozstąpili się wszyscy — on przeszedł wśród nich i kroczył ku pomarańczowym drzewom kędy pustkami stały w framugach siedzenia lamowemi zasłane makaty. — Tam szukał córki chwil kilka jeszcze, aż zatrzymał się od razu, jakby nagłem uderzony bolem. — Siedziała ona z oczyma spuszczonemi ku wiązce róż leżącej na kolanie i odrywała ich listki marząc o czem innem — wreszcie same ciernie w ręku się jej zostały.

Starzec cicho przystąpił i przewiódł na sobie że łagodnym rzekł głosem: — Biedna matka twoja, jakżeby dziś szczęśliwą była! — za co Bóg nie dozwolił jej tego dnia doczekać? — Drżąc podniosła głowę, drżąc ścisnęła mimowolnie ostatki róż w dłoni — potem nazad w pomięszaniu przypiąć je chciała do sukni — przyczepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadraśniętych, świeże. — Czemu płaczesz — zapytał starzec — jedynaczko moja? — Wspomnienie matki nie mogło do tyla cię wzruszyć, boś jej nie widziała nigdy — w dniu twego na świat przyjścia, ona odeszła do ojców — ah! tyś się skaleczyła córko! — I wziął jej dłonie i wyjmował z nich drobne ostrza kolców. — Ona mu odparła: — O! nie to mnie boli, ojcze — potem zaraz dodała: — owszem to, nie co innego, ojcze — i zamilkła — łzy jedne po drugich spadały z jej lica. — On oparł się na jej ramieniu: — Widzisz jaki stary jestem, drżą podemną kolana — prowadź mnie — i szedł z nią zamyślony, gotując się do mówienia, lecz słowa nie mówiąc. — Na około nich wszędzie woniały kwiaty i muzyka brzmiała!

W tej chwili odezwał się zegar przybity do górnego gzymsu — nad nim kuty ze spiżu siedział jedynowładca wielu królestw dawnych — za każdem uderzeniem wychodził ze ściany posąg jednego wojewody i szedł się kłaniać umarłemu panu, potem znikał roztwierającym się pochłonięty murem. — Przeszło ich dwunastu! — Wtedy z odległych komnat zamku wzniósł się chór niewieścich głosów, z razu jak szum błędny i nierozgarniony — ale coraz wyraźniejszy, z dalszych sklepień przesuwający się pod bliższe, wołający na oblubienicę. — Ojciec sam wzdrygnął się w tej chwili, bladnącą córkę porwał w objęcia i uchodził z przejścia w przejście, z izby do izby, z ganku na ganek, wszędzie swatek ścigany chórem, wszędzie chcąc przemówić a nie mogąc słowa wypowiedzieć — i wszędzie na około woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

Wreszcie stanął w kaplicy zamkowej kędy jego naddziały w kamiennych spoczywają trumnach. — Gromnic kilka nad nimi się pali i zewsząd czarne spływają obicia, bramowane srebrem. — Ona z rąk starca przypadkiem na grób ostatni, najmłodszy, na grób własnej matki się stoczyła i siedzi, milczy, truchleje. — On rzekł do niej: — Bóg nie raczył po mieczu przeciągnąć mi rodu, kądziel tylko pobłogosławił w domu moim — lecz ten który cię pojął, przysiągł imię nasze przybrać i dzieci twoje zwać się będą jak ojcowie moi — szanuj szczęście którem Opatrzność cię uwieńczyła. — Pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów nie ma w całej ziemi naszej — pamiętaj więc być mężowi do śmierci posłuszną i wierną — —

Te słowa mówił głosem głuchym — zdawało się że każdem z nich probuje serce milczącej — lecz kiedy nic nie odpowiadała, kiedy tylko coraz niżej spuszczała skronie i w końcu jej czoło utonęło w jej dłoniach i wieniec ślubny

ześliznął się z włosów, on z jękiem zawołał: — Czy słyszysz? nadchodzą cię oderwać od łona na którem wzrosłaś — pożegnaj mnie mówiąc żeś szczęśliwa. — Lecz ona cisnąc jeszcze mocniej ręce i kryjąc oczy, milczała. — Dziecię, ty chcesz bym się położył obok tych umarłych i nie wstał więcej? — Dotąd w spojrzeniu ócz twoich błękitnych był mój spoczynek po burzach tylu — jedyną perłę moją oddałem w cudze ręce, bom chciał by nieznanym zajaśniała blaskiem. — Co się dzieje tobie, dziecię? przemów do mnie słowo jedno — raz jeden się odezwij, choćbyś miała się skarżyć, lub wyrzec żeś nieszczęśliwa! —

I z przerwanym oddechem oburącz wsparł się na grobowym marmurze, czekając odpowiedzi. — Do połowy nóż tkwi mu już w sercu — jeden jęk, jedna łza, jedno jej wzdrygnienie może teraz to serce rozerwać. — Ona wzniosłszy oczy, zdała się śledzić wyrazu litości na ojcowskiem licu i zdała się przez chwilę wierzyć iż jeszcze nie wszelka zniknęła otucha. — Zsunąwszy się, klękła na głazach, modli się słowami i całą postawą do niego — dreszcz gwałtowny odrzucił starca od pomnika żony. — Co za imię wyrzekłaś — nie powtarzaj go — możem nie słyszał dobrze — milcz — milcz — nie, ty nie mogłaś myśleć o wygnanym niewdzięczniku, co teraz z wrogami na mnie spiski knuje, za to żem mu świetne losy gotował w przyszłości, za to że był synem brata mojego! — A jeśli go żałujesz, jeśli kiedy miałaś nędzną nadzieję, że ci pozwolę buntownika widzieć lub rękę mu twoją oddać, ah! wraz z nim i ty bądź przeklęta! —

Podniosła się dziewica — ona dotąd cierpiała w milczeniu jak smętna ofiara niesiona na mściwych Bogów ołtarze. — Teraz odparła zimno i stanowczo: — kochałam go ojcze. — Starzec nie dotrzymał tym cichym, śmiertelnym

wyrazom — zakręciło mu się w głowie i zniszczony jak wszystkie nadzieje którym ufał, padł u stóp grobowca. — Przez chwilę duch jego wraz z duchami przodków spoczął w nicości — a kiedy się przebudził, ujrzał nad sobą twarz bladą córki i uczuł jej uściski wołające go nazad do życia, i usłyszał zarazem tuż nad sobą brzmiące ślubnej pieśni zwrotki — próg kaplicy przechodziły szukające niewiasty i szły śpiewając, i zwolna śpiewając otaczały oblubienicę śnieżnem kołem — za każdem słowem zbliżają się bardziej — ona chowa się pod ramiona jego!

Wreszcie objęły ją, porwały i wloką, sypiąc kwiaty na podłogę, paląc kadzidła i nowym hymnem głosząc wschód jej nowego życia. — Starzec stąpa za chórem, z daleka, leniwo — i gdzie rozwijały się drogi, gdzie ją swatki unieść miały do ślubnej komnaty, stanął, i nad zemdloną znak błogosławieństwa ostatni raz kreśli — potem został sam jeden i ku salom godowym zmierzać zaczyna — stopniami odzyskuje przytomność, wolą duszy prawdę jakby sen zwodliwy rozgania, a rozkazując jej nie być, uwierzył może iż nie było jej nigdy. — Kiedy wchodził między biesiadujących, znów władał sobą i spokojna powaga leżała mu na twarzy.

Pan młody przemawiał do przyjaciół — Wy, z którymi dni tyle przebyłem w obozach i na łowach, słuchajcie drodzy! wam jeszcze i tę noc poświęcę: ślubuję nie spojrzeć na żonę moją aż wejdzie pierwszy promień świtu. — Jak tam na niebie? — Do okna skoczył jeden z towarzyszy i krzyknął: — Księżyc dopiero w samym środku nieba. — — A więc do was jeszcze i z wami zawołał młodzieniec i wychylił czarę i rzucił oprawną złotem, sadzoną djamentami, przez stół najbliższemu. — Ciężka dłoń starca w tej chwili

na jego spoczęła ramieniu — obejrzał się i chwytając za drugi puchar: — zdrowie, twoje ojcze — rzekł, i — wy wszyscy spełnijcie je ze mną. — Ale pan zamku nie podziękował, jedno wskazał zięciowi otwarte podwoje i dalekie zakręty, któremi szły niewieście postaci wracające w milczeniu i ginące w cieniach. — Młodzieniec odparł potrząsając płowych pukle włosów: — Patrz! na tych wesołych i mężnych co mi po dziś dzień służyli tak wiernie — przysięgą związałem się z nimi — do jutrzenki razem pić będziem i śpiewać. Tę noc najpierwszą, najmilszą poświęciłem im. — To mówiąc porwał za dłonie obok stojących i krzyknął: — Za to podłych buntowników motłoch ścigać będziecie w tych górach, póki mi rozkazów a wam ducha stanie — wszyscy odkrzyknęli chórem: — Niech żyje książe nasz! — Z razu twarz starca pokryła się gniewu rumieńcem — ale te wyciągnięte ramiona, te dobyte do połowy miecze, ten zapał ich wszystkich, myśli jego rozerwał — wspólna sprawa lepszą ich połowę zabrała. — Przyszłość i potęga, duma i nienawiść przesłoniły mu postać samotnej, płączacej, opuszczonej — i sam dodał głosem który niegdyś grzmiał pośród szczęku bitew: — Biada buntownikom! —

Dłużej jednak z gośćmi pozostać nie raczy — ponuro skinął na giermków. — Oni przed nim z pochodniami stoją. — Młodzieniec na chwilę odbiegł swoich i teścia odprowadza aż do progów sali. — Teść go pożegnał zimnym wzrokiem wstrętu. — On wraca i woła: — Przez dobry kindżał mój nie cierpię przymusu — świeżom pojął dziewoję nie żadne kajdany. — Smutny księżyc niechaj starym pannom zmarszczki srebrem krasi — mnie rumiane słońce wyda piękną żonę moją — nożem greckim rzucił w złoty gwóźdź przeciwległej ściany — trzydzieści nożów dobyli z pochew towarzysze — żaden celu nie utkwił tak blisko — zatem nalawszy pełne czary piją chwałę wodza! — On stał się piękny krasą próżności na licach — ręką rozwiewa

i głaszcze sobie włosy — żartami ściga towarzyszy, dowcipnie, ostro, brzęcząc i kłując jak osa — oni mu odpowiadają szumem poklasków. — W takowych chwilach duszą na zewnątrz podany, zwykł on wdzięcznie się ślizgać po samej życia powierzchni — krew mu się z serca przenosi do twarzy — tam ona łudzi rumieńcem — rysy grają — oko płonie; lecz w sercu pusto jak u zalotnicy!

II.

W pieśniach waszych ludzie prości, zapamiętana dolina, w której raz ostatni wódz przemawiał do braci. — Ojcowie ją wasi odtąd nazywali jarem pożegnania — i dzieci wasze ją tak zwać będą, jeśli pieśń przetrwa jeszcze jedno pokolenie — jeśli mowa wasza nie zgaśnie wraz z wami!

Wśród trzech wzgórzów łagodnej pochyłości, których stopy kąpają się w tym samym strumieniu, a czoła odeszły od siebie powiewając gęstemi krzewy, stanął w miesięcznych promieniach człowiek, co przed godziną wyniósł klątwę z domu Bożego. — W około na piętrach zieloności leżały rozciągnione, lub jeżyły się w dół nachylone postacie, czarne od stóp do gardła, blade na twarzach, migające tu i owdzie uiskrzoną bronią. — Znać czekali nań ci wszyscy, bo jak tylko się ukazał, leżący powstaną, stojący schodzą niżej ku brzegom ruczaju, a z każdego wzgórza podnosi się sztandar i pływać zaczyna w powietrzu — lecz żaden okrzyk się nie rozległ. On sam dopiero kiedy usiadł na głazie obalonym w poprzek strumienia i głowę chylił i dłoń opuścił między ciekące fale, on pierwszy przerwał milczenie — głos jego szedł za szmerem wody, jak śpiew za wtorującą struną, a każde słowo, choć ciche, padało wyraźnie na serca przytomnych.

— Na czas tylko byłem wodzem waszym. — Zapomnijcie o mnie, strzeżcie słów ostatnich które powiem do was — w nich prawda stara jak te skały, jak te gwiazdy święta! —

Od tysiąców lat ojcowie nasi posiedli tę ziemię — nie słychać by kogo z niej wygnali lub ujarzmili na niej. — Jak kłosy niw, jak sosny borów, tak oni byli jej synami — a pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy, bo czego ucho nie słyszało, oko nie dowidzi, ale dusza mężnych kocha. — Wolność była ich udziałem.

Nadciągnął król południowy z służalców tłumami. — Zrazu zdradne sypnął uszom słowa, bardziej zdradzieckie sypiąc oczom skarby. — Różny od was wiarą i mową, co Bóg rozdzielił, on to zespolić chciał, a gdy nie poszło mu po myśli, teraz nituje nas ogniem i żelazem! — Hańba miastom i panom dolin — w jaskinie gór, w jamy puszcz schronić się nie śmièli, poddali się najezdnikowi — lecz wyście do nich zeszli, jak do grobu — za to przyjdzie zmartwychwstanie na was!

I już sam wróżbę lepszej przyszłości widziałem — jeden że od dwóch lat dwór królewski spłonął? Gdzie ciężko zbrojne najemniki co nas zdeptać mieli? wszak nad ich trupami słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienia sępów, i wilki noc całą skowyczały z radości! — lecz by odzyskać ojców puściznę, długo wam trzeba jeszcze krwią ciała pracować!

Teraz właśnie, gdyście z pokątnych tułaczy na groźne męże wyrośli, łudzić was zaczną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich, złote góry. — Ich dary marne garści błota! — Wznieście oczy — dość miejsca dla dusz waszych po tych błękitach zostało — nie żałujcie więc szarej ziemi gdy przyjdzie umierać. — Lecz kto broń złoży, temu niechaj zawsze twarz Boga czarną będzie z tamtej strony grobu!

Nie rozsypujcie się po równinie by gonić za plonem. — Aniół stróż wasz, mieszka w tych górach. — Dopiero później przyjdzie pora łupów! Słuchajcie owych siedmiu, którzy mnie wodzem postawili nad waszemi młodzieńcy. — Znękane siwym trudem ich prawice, ale rozum w nich króluje nad ciała gruzami — kiedy was zwołają, zbieżcie się co do jednego — kogo wam obiorą hetmanem, za tym idźcie w nieustraszonem milczeniu — i zwyciężajcie jakoście zwyciężyli ze mną — mnie inna dola porywa. — Jutro może już nie na tej ziemi. — Bracia, ja żegnam was na wieki!

Umikł i zerwał się widząc, że księżyc już wysoko stoi. — Oni schodzą ku niemu a wiją się chyżo i zewsząd go czarnem obwiązują kołem — potem poszedłszy bliżej, staną i wołają: — Gdzie idziesz wodzu nasz? — On rękę wyciągnął ku łonie, co za wzgórzami blado płonęła. — Stój ... to ogień wesela z zamku przodków twoich odbity na niebie — my cię nie puścim do tych, którzy cię nie cierpią, do tej która cię zdradziła! — Na te słowa, on skoczył z głazu, krzyk jego przebił piersi wszystkich przytomnych: — Kłamcy! ona mnie nie zdradziła, bo dziś jeszcze spać przy mnie będzie, spać będzie na wieki! — Poświęciłem wam dom i dostatki ojców, życie i szczęście z nią. — Ale śmierć z nią sobiem zachował — nadeszła ta chwila moja — puszczajcie mnie! — I przechodził wśród nich: pióra jego czapki wiatr niósł nazad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza nazad, ale on szedł naprzód i gdzie skinął dłonią tam stawało się pusto. — Pomięszane wrzaski się wzniosły — jedni uklękli, drudzy pobiegli i znów w oddali murem przed nim stają — a wszyscy proszą by się zatrzymał, obiecując porwać oblubienicę, świadcząc się Bogiem że choć w zamku dobór rycerskiego ludu, oni go zdobędą przed świtem. — On się zatrzymał — ucichli — głos jego się rozległ, wdzięczny jak za dni dobrych, lecz stanowczy jak na polu bitwy: — Dzięki wam bracia! ale starca śpiącego w komnatach przodków moich, nie przebudzi szczęk szabel waszych — wzrosłem pod cieniem jego ręki. — On pierwszy usta moje nauczył imienia Ojczyzny. — On pierwszy serce moje zapoznał z chucią bitew. — Nim zatkniecie na jego zamku sztandary te czarne, święte, moje własne, wprzód mi umrzeć trzeba. — Taki los mój — raz jeszcze bądźcie mi zdrowi! — I odszedł kilka kroków i dodał, jakby już nie do drugich się odzywał ale sam do siebie: — Co ksiądz zwiąże, tego człowiek nie rozwiąże — chyba przeciąć musi! — I mimowolnie wzniósł sztylet w górę — klinga kąpała się w miesięcznych promieniach, jak nowo narodzony meteor, świetlana i czysta.

Oni patrzyli za nim, potem szli za nim w milczeniu, opodal z spuszczonemi głowy, bo wiedzieli że co on raz wyrzekł, to bez chyby się stanie. Oddawna krążyły przepowiednie rokujące mu zgubę. — On sam, nie raz ściskając dłonie towarzyszy, mówił że nie daleki dzień rozstania. A nie od miecza wrogów w pobliżu, ni od ich pocisku w oddali poledz miał, ani też zgasnąć z niemocy na chorobnej pościeli. — Inną mu śmierć sny własne i cudze czary zwiastowały! — Pogrzebnie więc stąpali za nim spiskowi. — On już im wydawał się duchem! — Lecz kiedy zaczął wstępować na wzgórze, kiedy pióra jego czapki z nad krzewów i skał powiewając, sunęły tu i owdzie, przepadały i znów bielejąc wznosiły się wyżej, rzucili się w pogoń. — Tak on i oni piętrami murawy przegrodzeni ku temu samemu wierzchołkowi się darli. — On pierwszy go dopadł. Ztąd widna jeszcze lepiej łuna i zamku wieżyce, a tuż pod nogami przepaść grzmiąca hukiem wód śniadych, i pień sosnowy rzucony mostem ze wzgórza na wzgórze — nim zdołał nań wstąpić znów go otoczyli — rzucił się, odepchnął najbliższych, i dwoma skokami po chwiejącem się drzewie dorwał się przeciwnego wzgórza. — Spadł leko, pochylił się gibko i z olbrzymią siłą wyrywa pień z pod głazów które go trzymają — wstrząsł go i puścił — pień jak wachadło zniża się, przebiega przestrzeń i zawisa, ciężko tłukąc w skały, u tamtego brzegu. — Zdało się im że błyskawica oczy im zaćmiła — przeszła teraz, lecz za późno — darmo krzyczą i wyciągają ręce — już on się od nich tym jarem przedzielił na zawsze — raz ostatni czoło jego oświecone miesiącem, widne w całej życia piękności! — Zdało sią, że chce pobłogosławić ludowi swojemu, bo trzymając zawieszone nad przepaścią dłonie: — W imię Boga krzyknął! wieczny bój między wami a południowym królem! — Na okół dziesięć opok ten głos powtórzyło, i głąb jaru powtórzył go także — w tej chwili sam wódz zniknął wśród krzewów. — Spiskowi przysłuchują się jeszcze, ale prócz szumu fal już nikt nie mówi do nich!

Nieszczęśliwy! teraz dopiero w oczach twoich błyska iskra szału! — Walczyłeś z nią dopókiś był pod jarzmem spojrzeń bratnich, nie chcąc im po sobie zostawić słabości wspomnienia — lecz jak tylko stało ci się wolno i samotnie, zrzuciłeś powagę — jak płaszcz na ciernie drogi! lecisz gnany zemstą — zawieszasz się na urwiskach — sadzisz przez rozłomy. — Przelękła sowa z krzaków się podnosi, plaśnie skrzydłami i dalej zapada. — Lis czatujący w świetle księżyca, milczkiem sunie w ciemniejsze gęstwiny. — Wilki stanęły z obu stron wąwozu. — Jak strzała przeleciałeś nie słysząc ich skowyczeń — one przed blaskiem ócz twoich przypadły do ziemi! — Ty już stajesz na równinie. — Ognik przyleciał z przyległych trzęsawisk — zaśmiałeś się dziko — na wyścigi ze mną, przyjacielu! — On obwinął się na około czapki twojej i strugą sinego światła oblał ci piersi — oba równej lekkości i równie znikomi w uścisku bratnim chwilę przepędziliście razem — lecz on pierwszy zgasł. Ty znów cały czarny, przez łąki gonisz i zbliżasz się do zamku naddziadów.

A zamek na wzgórzu jaśnieje setnemi ogniami. Ogrody schodzące ku równinie, leżą tak przejrzysto, tak cicho, tak sennie, że zdają się marzyć o szczęściu oblubienicy — nad niemi płynie odgłos weselnej muzyki. — Lotna stopa wodza przylgnęła do murawy — zdało mu się że usłyszał śpiewu początek — jego oddalone zwrotki były raczej snem niż jawem — ale w tej mgle dźwięków uchwycił wyraz głosów niewieścich, przypomniał sobie zwyczaj dnia ślubnego podany od przodków — i lekszy jeszcze niż przedtem, rzucił się ku ogrodom — oburącz wgryzł się paznogciami w szczeliny murów — poderwał się — zawisł — stopami na mchu się oparł — rękoma dorwał się bluszczów — i podbił się znów w górę i mur przesadził! głucho zaszeleściały przyduszone trawy. — On z potrójną siłą powstał, dotknąwszy się ziemi i na znajome puszcza się manowce.

Dęby, klony, modrzewie, wielkiego boru ostatki, suną czarnemi rzędami. — Tu i owdzie poziome gąszcze, winnice, łąki i pieśń słowika i ruczajów szmery, dalej wierzby płaczące i w dole cisza wód błękitnych podbita gwiazdami. — On wiek młodociany przeigrał pod temi drzewami, przepływał na tych wodach — lecz go nie zatrzymują teraz przeszłości wspomnienia — ani w gaju rozkwity jaśminów: u stóp góry zamkowej jęknął przelatując koło głazu starożytnego. — Tu, wśród nocy podobnych dzisiejszej, wymykając się strażom, objawiała się wygnanemu bratu dziewica — tu, w jej oczach płonęła obietnica święta i pokój dotrzymań leżał na jej czole. — On goni dalej a twarz odwraca za siwym kamieniem.

Wśród fontan i pomarańczowych drzew, kryte sklepieniem wschody prowadzą do zamku — przez granitowe koronki ostrołuków, padają na nie wzorem krat srebrnych promienie księżyca. — On równie pewny swego czy na wypukłościach światła, czy na ciemności wyłomach, pędzi, wspina się, coraz wyżej się podnosi — wreszcie stanął na równi z zamkowym krużgankiem. Tu, pióra z czapki zerwał i wychylił z pod sklepienia głowę. Pusto wszędzie — z lewej strony słychać pieśni i wrzaski — poznał że od nich brzmią ściany sali godowej — na prawo milczenie, na prawo długi rzęd okien od księżyca tylko roziskrzonych, lecz w końcu krużganka tam gdzie się zaczyna baszta zachodnia, przez drzwi szklanne, rozwarte, promień lampy się wymyka — i niby jaki jęk czasem ztamtąd się odzywa, ale tak nie ujęty gdy mimo przelatuje, że go raczej żądzą ducha uchwycić można niż słuchem. On go schwycił i wyskoczył z cieniów przejścia krytego, podobny zmartwychwstającym — i szedł prosząc się kroków własnych by milczały, szedł opierając się o filary i poręcze, wszystkiem ciałem podany naprzód. — Lecz nim doszedł rozemknionych podwoi, kiedy już widział zasłonę co z nad nich się wyrywając śnieżnie w powietrzu igrała, kiedy uczuł że za tą cienką oponą śmierć i życie, powią-

zawszy dłonie, na niego czekają, stanął i położył rękę na sercu bo mu się zdało że serce z piersi wypada — palce spotkały się z zimnem żelazem sztyletu — ścisnął je, ścisnął i przystąpił z boku i przyłożył czoło do szyb drzwi gotyckich. Dziwno że nie pękło czoło!

Zrazu ujrzał tylko plamy czarne i iskry ogniste, co mu się z głębi mózgu własnego sypnęły — potem rozwidniać się zaczęło stopniami — to obicie lazurowe wystąpi i znów mgłą zajdzie — to błyśnie lampa srebrna i zniknie. — Ogromne zwierciadło o ramach złotych staje przed jego wzrokiem — naszyjniki, łańcuchy, manele, rozrzucone mignęły — przejrzał teraz — nic już nie drży, nic się nie krzyżuje. Pod wiązaniem makat purpurowych, na łożu siedzi oblubienica, sama jedna. — Znać chór swatek odchodząc poobrzucał ją kwiatami, bo pełno ich na jej włosach, na jej piersiach, a nogi na kobiercu złożone pod liściami róż toną. — Czasem westchnie jak owi nieprzytomni sobie co już nie myślą o doznanych bólach — czują je tylko — sami stali się bólem! Wtedy kwiat jakiś osuwa się z nad jej łona i pada na ziemię — a jako fiołki, mirty i lilije, spływają po jej śnieżnej sukni, tak za każdem westchnieniem łzy płyną zwolna po jej białem licu!

Drzwi oddalone skrzypnęły — mimowolnie odskoczyły jej ramiona — wyciągnęła szyję jak łania obudzona psów dopadających graniem. — Słucha, czeka, płonie. — I znów bliżej coś się ruszyło. — Zerwała się, uciekła w głąb komnaty, czepia się zasłon obicia, koło siebie je obwija i znów z pod nich się wymyka, bieży dalej, wreszcie padła na kolana, krzycząc «Ty!» — na więcej sił jej nie stało, w tem jednem słowie ostatnią nadzieję zamknęła i niewzruszoną na tem samem miejscu, w tej samej postawie została! — Nic już nie słychać — przepadły gdzieś kroki i głosy co przed chwilą brzmiały. — Wtem nagle pękło milczenie. — Ten którego wezwała stanął przed nią i poderwał ją z ziemi, lecz nie przycisnął do serca, rzekł tylko: «Jestem!»

Ożyła i dziwnym uśmiechem zakwitła: — Wiedziałam, wiedziałam że mi się w wyrocznej godzinie ukażesz! Lecz ty może mnie przeklął w sercu — wiem — ah! słuchaj, bo oni się nie spieszą, nie nadchodzą jeszcze, słuchaj mnie! — Kiedy mnie wiedli do kościoła, szukałam cię myślą na około, bo oczy nie służyły, łzami na dół ciągnione — na zamku podczas tańców kiedy mi wszyscy winszowali, słuchałam czy twój głos ponad inne nie zagrzmi — i teraz jeszcze kiedy każda chwila niosła mi konanie a mogła zgubę przynieść, nie opuściła mnie wiara. — W odrętwieniu siedziałam, a duszy wzrok gonił za tobą po dalekich polach — czułam w sercu że przebiegasz dolne ogrody — com czuła, ziściło się — daj rękę — zbawiona jestem! — I uginając się jak wysmukła latorośl, śmiało oparła się na jego ramieniu!

Kto widział we śnie duszę wydartą piekłu, porwaną do nieba? Kto uczuł co być Bogiem na chwilę, gdy piorun szczęścia w serce uderzy? Wódz dotąd szedł, myśląc że spotka się z niewierną — teraz gdy usłyszał kochającą, zapomniał o zemście i śmierci: potężnym i nieśmiertelnym się staje! — Młodość jego dopiero dzisiaj się zaczyna — jednem jej skrzydłem miłość, drugiem będzie chwała. — Przez prochy ojców! on wróci do opuszczonych braci i za nim pójdzie ta co pewna ratunku, co zwieszona na jego ramieniu, pasmo własnej przyszłości zdaje się oddawać mu w ręce! — Snujcie się malowane chmury wyobraźni! — piękne jesteście, bo was słońce życia ozłaca zachodem! —

W gorączce, w omamieniu zawołał głosem dźwięcznym, głosem uwodzeń: — Czemuś tę obrączkę włożyła? Czyż nie lepiej było wyzwolić się ucieczką do tych gór, przed ślubem. Lecz i teraz one cię zbawią, bo ja w nich panem! —

— Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! kiedy nam tak mało teraźniejszości zostało! Czy ty nie rozumiesz mnie? Czy ty wątpisz jeszcze o mnie? Wszak ci przysięgłam, że

lud twój będzie ludem moim a Bóg twój, Bogiem moim! — Dotrzymam! Lecz wprzód trzeba mi było pożegnać się z ojcem — nie przerywaj — kiedy nie ufasz, słuchaj do końca — dobądź miecza tylko — gdyby nadeszli, rzucę się w twoje objęcia! — Ah! ojciec przyszedł i prosił i błagał! — Ty wiesz jak twardym głosem rozkazywać umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przekleństwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecię, że go strąca do grobu. — Książę, zięć przyszły, obiecywał przybrać imię nasze, prowadził służebnych pod zamek i wołał na ojca: oto będą twoi! — Ojciec ukląkł przedemną i dłoń moją położył na siwych włosach — krew rozrywała mu skronie — widny był na jego czole konający sen życia całego, mara wielkości i panowania wyciągająca ręce do mnie! Wtedy zdjęła mię nieskończona siła! Wyrzekłam słowo przystania, oddałam rękę nieznanemu, obojętnemu. — Ach! niecierpiany każdy, kto twoich oczu nie ma, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha! — Miasto córki, pan tego zamku dostał syna. — Tysiąc obcych rycerzy wsparło starą rodu naszego budowę. — Teraz odejść mogę — teraz ci powtarzam: lud twój ludem moim i Bóg twój Bogiem moim. — Lecz ten lud, Bóg ten, lecz ta wiara moja, wiesz li jak się dzisiaj zowie? — Młodzieniec zaokrąglając ramiona koło jej kibici i patrząc w stronę krużganku: — Jak, mów jak? — zawołał. Ona wtedy odparła głosem wyrzutów: «Nie wątp że śmiercią. — Dopókim na ziemi, dopótym żona innego człowieka — odzyskać mnie możesz tylko w świecie duchów — lecz ścieżka doń nie długa! Patrz —! takiej samej dłuży co żelazo twoje!»

To słowo: żona, spadło z jej ust jak kamień ne serce wodza i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodzi od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłoni od klątwy kościoła, bo co ksiądz raz związał tego człowiek nie rozwiąże. — Ah! zimno i słabo stało się w duszy wodza. — Ta jedna chwila szczęścia co już przeszła teraz, siłę mu wszystką odjęła. — Drży z bojaźni jakby teraz

dopiero ujrzał długą rękę śmierci przytkniętą do serca kochanej. — Nie — on sztyletu na nią podnieść nie zdoła — jutro — pojutrze, on legnie w pierwszym lepszym boju — a ona niech żyje — najpiękniejsza postać wśród ziemskich, niechaj zostaje na ziemi! — Jęknął i porywa się z miejsca — ściany łamią się przed jego wzrokiem i płaczą — on ucieka, lecz siostra doleci go u progu: — Co zamyślasz? gdzie gonisz niewierny! Albożeś nie przyszedł mnie wyzwolić? jedno wykraść i shańbić mnie chciałeś? —

— O! nie zdradzaj! o nie opuszczaj! Za chwilę cudzoziemiec tu przyjdzie i skazi tchnieniem nieskażoną twoją — a jeśli objęciom wroga ty mnie sam wydasz, wiesz-li jaka przyszłość? — On mnie zapędzi na dwór królewski pomiędzy obce twarze i ułudy i pychy, by chlubić się z mojej urody, by pokazać panu swemu, że zerwał kwiat starożytnego szczepu! — A pan wtedy co pocznie? a sługa jego! mąż mój co uczyni? — Pan na starych. — Oni złorzeczą temu co ubóstwiali za młodu, drogo cenią czem gardzili niegdyś — kto ich przetworzył? — Czas uczuć morderca, czas róż świeżych na dawnych gruzach, przemierzły ogrodnik może on i na moje oczy rzuci zasłonę za którą zniknie twarz twoja. — Będę sama, sama jedna. — Ty daleko, po skałach, w jaskiniach — zewsząd, wszędzie ponęta, nuda tylko w sercu mojem — i gdy ty się tułasz, rycerze królewscy może będą powtarzać imię moje przy puharach wina — może ich śmiechy kiedy dolecą twojego ucha i przeklniesz siebie, żeś mnie nie zabił! Pchnij mnie w serce, wyrwij mnie potworowi! — I w obłąkaniu wyciągnęła ręce jakby straszne widmo odepchnąć chciała: Patrz! na jego czole słowo: hańba, sadzone w djamenty — w oczach piekło błyszczy a miasto ramion dwie syczące żmije — one pełzną przez powietrze — dotknęły mnie — opasały, głowy zanurzyły mi w piersiach i z serca mego jak z czary krew moją czystą, krew moją świętą piją! — Tu padła na kobierce, stopy mu oblewając łzami i długiemi warkoczy.

Jak piórko ją podniósł: — Przez imię Bogarodzicy! nie dopełni się ziemskie przeznaczenie twoje! Czysta wśród najczystszych, ty przeminiesz jak płomień kadzideł! — Tu znać pękło mu serce, bo rysy męskiego oblicza poszły w rozsypkę i skłonił głowę i do każdej łzy jej, równie gorzką, równie niewstrzymaną przylał. — Lecz to był ostatni znak słabości czy wahania, walki czy żalu w nim. — Blada spokojność osiadła na jego twarzy — i przycisnął dziewicę do piersi: — Tym pocałunkiem skazuję cię na śmierć — kto pierwszy dotknął liców twoich a imienia nie zdołał ci wraz z tchnieniem ust przelać, z tego ręki zginiesz! — Nie w innej myśli szedłem siostro do ciebie — ale kiedym cię ujrzał, pokusa szczęścia mnie uwiodła. — Daruj! potem gdym osłabł wśród marzeń, strach słabego ogarnął — przebacz mi! Teraz pokusa i strach odeszły na zawsze — teraz módlmy się — bo razem ztąd odlecić musiemy! —,

---

«Nie!... ty zostań, by przewodzić ludowi swojemu. — Ja w czyszczu czekać będę na ciebie, cierpliwa i tęskna. — Rzucaj tylko czasem tam kędy mnie pochowają, pióra z hełmu lub pierścień z kolczugi. — Grabarz spostrzeże się zrana i powie; ktoś był tu w nocy, jeszcze ktoś pamięta o niej! — I natężonym wzrokiem jaskrawo wglądała mu w oczy. — On jej przerwał żelaznym dłoni uściskiem: Duszą własną, duszę twoją przed sąd Boga zawiodę! — I dodał żałobniej: — Czem mogłem, póki mogłem, służyłem ludowi mojemu. — Sztandar jego zatknąłem na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice. — Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li czyjebym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy! — Na czyich podwórcach zasiąść jako sędzia i niszczyciel? — O idźmy ztąd razem siostro — tam kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodzieńcy, tam nie masz zdrady i ucisku — tam i zemsty nie masz! —

Boskie uniesienie twarz jej owiało i rzuciła się w wodza obięcia — ni słowami, ni łzami już dziękować nie zdoła, ale zdziera z palca złotą obrączkę wroga, idzie ku ślubnym wezgłowiom, na jednem z nich ją składa, potem odwróci się ku wodzowi: — Teraz tyś pan i mąż mój na wieki! — i spuszczając oczy, wnet uklękła i modlić się zaczyna modłami umierających. — On ukląkł także — czasem wtórował jej słowom, czasem milczał w ponurej powadze — wtem obejrzy się ku otwartym na ganek podwojom i rzekł: «już świtać zaczyna.» W tej chwili obudzonych ptasząt głosy odezwały się z okolicznych gajów — ona zbladła. — Oprzyj się na mojem ramieniu — spojrzeć na świat chodź raz jeszcze ze mną!» — Poszła za nim i stanęli oboje na progach krużganku.

Księżyc gdzieś za wzgórzem zamkowem kona — śmiało błądzą jego ostatnie promienie po dolnych ogrodach — w powietrzu snują się wyziewy, niby płaszcze królewskie, niby dziewic zasłony, przetkane jutrzenki czerwienią. — Wszystkie obrazy i obietnice życia raz jeszcze w tej przedostatniej chwili, stanęły przed ich oczyma — w pobliżu zaraz szmer i błysk fontan, wdzięczne kształty filarów, kwieciem umajone krzewy! — Dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki i las gęsty w dole — za lasem już otwarte pola — a dalej jeszcze w odbłyskach zorzy, wolnych wierzchołki gór! Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatyra kiedyś gwiazda chwały! a teraz cały ten widnokrag będzie m tylko zapomnienia grobem! On wlepił wzrok w góry a śmiało żegna się z niemi — ona z schyloną głową ciśnie się k'niemu, wzywając czy prędszego zgonu, czy spojrzenia miłości. — Darmo świat, cucąc się coraz żywej, coraz im głośniej radził by czasu nie porzucili dla wieczności — nikt nie wie co w ich duszach się działo. — Ona coraz bardziej ciężała na ramieniu brata, a z włosami jej ranny powiew igrał!

Wtem głosy rozhuźdane wzniosły zdrowie czyjeś w oddalonej sali. — On się wzdrygnął — ona może już nie słyszy — potem sypnęły się na krużganek gęstych stóp hałasy i z ukosa błysnęły pochodnie. — «Boże! zawołał — wszak dasz braciom moim zwycięztwo!» — I uniósł zdrętwiałą z wnętrza ślubnej komnaty. — Po murach zamku odbite wzorem piłek skaczą wiwaty podchmielonej zgrai. — Znać pan młody spieszy do żony, z pierwszym dnia promieniem. — Czy widzisz — krzyknęła, wyciągając ręce ku zwierciadłu, nie poznając już siebie samej, jaki piękny aniół mój! — Ah! piękny — powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, w drugiej ręce wzniósł śmiertelne żelazo. — W tej chwili odgłos szybkich, lekkomyślnych kroków dochodził drzwi krużganku.

III.

W komnacie w której ojciec mieszkał, kędy dziad i pradziad mieszkali i umarli, siedział starzec na starożytnem ich łożu — ani raczył przysporzyć wygody sędziwemu ciału, szat nie zwlókł, sługi gniewnem odepchnął słowem, jedno łańcuch z medalem królewskim zrzucił z szyi, jedno szablę odpasał i oparł o stół dębowy. — Za łożem kaplica wydrążona w ścianie, z ołtarzem i szczerozłotą lampą. — On nie odwraca się ku niej by zmówić co dnia pacierz przed zaśnięciem. — On wie, że nie zaśnie dzisiaj! Czasem tylko oczy wzniósłszy, patrzy na przodków obrazy niewzruszonemi źrenicami patrzące na niego, a gdy obieży ich koło, znów wzrok smętnie spuszcza na dół.

Wiecie-li młodzieńcy, wy syny światła, kusiciele burzy, co się dzieje z duszą starców gdy prysną ich rachuby — ostatnie ich miłości na ziemi? — O nie, nigdy wam los tak gorzkiej nie podał trucizny. — Czas jak niewolnik niesie was na skrzydłach i przestrzeń skrzydłami rozrzyna — choć sto gwiazd zagaśnie z tyłu, sto innych przed nim zapala się dalej. — Naprzód w nieskończoność — oto hasło wasze. — Lecz oni pozbawieni jutra! — już im trumna w poprzek progów leży a jedna tylko gwiazda tleje nad źrenicą. — Oni modlą się do niej: «Tyś słodka i poczciwa! — nie uciekasz jak księżyc w jeziorach młodości, ni pękasz jak meteor ciepłych nocy letnich — po długiej drodze dopierośmy twoje dobre światło ujrzeli. — O, bądź nam wierną! o, świeć nad domem naszym, byśmy jeszcze żyć mogli na ziemi! — Wtem

prawda zstąpi w ich dziedzińce, przesunie się jak wąż ślizka, naga, wśród zamkowych murów i dojdzie progu i siądzie na trumnie wyrok zawodu śpiewając — na głos jej, ostatni promień odrywa się z niebios i noc wieczna, staje się na imię światu.

Patrzcie! z babiego lata, jednej śnieżnej pajęczyny nie zostało w ręku starca! — Czy słyszycie jak łzy córki zaczęły padać mu na duszę zarzewiem? jak śmiech księcia jej męża brzmi przeciągle w jego uchu? Zerwał się z łoża i kroczy gwałtownemi kroki. — Darmo siedmdziesiąt zim przeciągnęło mu nad głową, on dumny dotąd! on nie odgadł tajemnicy życia! — Odmęt zgrozy, zemsty, wahań, postanowień, wplótł mu serce na koło męki. — Króla i zięcia i siebie przeklina — lecz nie pęknie serce zanim wejdzie pierwszy promień słońca!

Wreszcie styrane ciało padło na krzesło o złoconych poręczach i herbach. — Zniżyły się ramiona, opuściły nogi — oko odsłonione, martwe, wlepiło się w przeciwległą ścianę. — Choć nie rusza ustami, wciąż mu się zdaje że własny głos słyszy — choć leży w odrętwieniu, wciąż mu się zdaje że zamku przebiega komnaty, aż stanie w sali godowej i znów ujrzy młodzieńca siedzącego wśród zgrai. — Precz mi ztąd, książę przybyłe z obcej ziemicy. Przodki moje! powstańcie z grobów, otoczcie go rzędem. Czarny Hetmanie wytrąć mu puhar z dłoni, ty kardynale rzymski, wymów nad nim klątwę rozwodu! — I słychać szelesty stóp umarłych ciągnące od zamkowej kaplicy. — Rozwarły się na wścież ogromne podwoje — wchodzą wywołani. — Pan młody porywa się do szabli a drugą ręką pije do umarłych. — Wtedy sam starzec szuka miecza, rzuca się ku mieczowi oddalonemu, wiszącemu na ścianie — prosi się Boga by prędzej do miecza się dostać — na klęczkach się wlecze i pada i znów się wlecze, aż spotka kardynała w purpurze zblakłej od wilgoci podziemiów. — Ten mu rękę zimną przyłoży do czoła i rzecze:

— Co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże na ziemi. — — I zniknęły cienie — i rozwiała się sala biesiad — i znów on się widzi w własnej sypialni, na tem samem krześle — głucho, pusto, straszno — w tej chwili druga uderzyła na zegarze wojewodów!

Straszno, coraz straszniej! z kaplicy za łożem zielonawy odbłysk rzuciła lampa. — Przebóg! postać biała klęczy i jęczy na stopniach ołtarza — potem się odwróci i sunie ku starcowi, ręce jej w krzyż złożone na piersiach, suknia jak szaty posągów w tysiąc fałdów się łamie, ale się nie rusza. — Twarz znana, kochana kiedyś, twarz to żony nieboszczki — usta rozemknęły się na nowo, lecz głos nie jak dawniej rzewny i potulny, owszem rozkazujący i pełen wyrzutów. — On chciał jej odpowiedzieć a nie mógł ręki wyciągnąć, jedno musiał iść po ciemnych zamku przejściach, tam dokąd go wiodła. — Koło kaplicy, koło grobu własnego nie zatrzymała się, szła przez zbrojownię wśród pancerzy i hełmów, szła coraz dalej aż do baszty zachodniej — wstąpiła na wschody, drzwi zaryglowane się przed nią jak dwoje cichych ust, rozwarły — pociągnęła starca skinieniem. — On poznał skarbiec i w ścianie strzelnicę wydrążoną nad ślubną pań zamku komnatą. — Tam mu umarła wskazuje by stanął i patrzał!

Przebóg! przed łożem ślubnem, naprzeciwko zwierciadła, ujrzał córkę w objęciach zbrojnego męża — poznał płomienne oczy i wyniosłe czoło wygnańca — dostrzegł nagi sztylet w jego ręku, usłyszał głos brzmiący jak dźwięk szklannej harmoniki: — Uderzaj śmiało, bo nie ty mnie zabijesz, ojciec już mnie wprzódy zabił! — I postać niewieścia to mówiąc, garnęła się pod żelazo rycerza. — Starzec wszystkie siły do krzyku natężył, lecz nie przerwał milczenia. — Dłoniami strzelnicę rozerwać usiłuje — zimny granit się nie ruszył — więc zdało mu się, że padł na kolana, że wołał do synowca: — Dam

ci ją za żonę, będę walczył z tobą przeciw królowi, tylko mi jedynego dziecka nie zabijaj. — To znowu że prosi się córki: — Dziecię, dziecię, zlituj się, on będzie mężem twoim, tylko nie chciej umierać! — Lecz oni go nie usłyszeli — sinem światłem oblały się ściany, lampy gasnąć zaczynają — wtem gwar słychać na krużganku. — Pan młody podchmielony i skoczny wpada do komnaty — przyrósł do kobierca — sięgnął rękę do boku — nie znalazł miecza, ogląda się, woła, lecz nikt nie poszedł za nim! — Strach nakształt żywej śmierci, starca ogarnął. — Pan młody — rzuca się na wygnańca. — Ten odepchnął daleko, gdzieś aż pod same okno, pytając: Czego mięszasz spokój umarłych? — I coś błysnęło w powietrzu raz i drugi i trzeci. — Słaby krzyk wzleciał i uleciał — gasną lampy jedne po drugich, ostatnia nad zwierciadłem jeszcze się pali — w jej promieniach postać zbrojnego męża i postać dziewicy krwią zbroczone, gmatwają się, rosną, zniżają, wreszcie upadły. — W tej samej chwili trzecia uderzyła na zegarze wojewodów i znowu ocknął się starzec w własnej sypialni, u stóp własnego krzesła.

Do koła cisną się sługi i giermki z świecznikami — łoskot słyszeli, przybiegli, zostali go leżącym na kamiennej posadce pokaleczonemi rękoma. — On się zrywa i znowu pada wołając: — Ratujcie dziewkę moją — zamordujcie syna brata mego! — Oni go w pół biorą, dźwigają. — Czy noc jeszcze, czy to dzień już? gdzie jestem? — I zatoczył się ku szabli opartej na stole dębowym, dobył ją, rękojeść przewinęła mu się w ręku, ostrze spadło na ziemię i wlecze się za nim — grube łzy z powiek mu pociekły. — Oni klękają przed nim, proszą o jaśniejsze rozkazy. — Za mną, tylko za mną! — odpowiedział przerwanym głosem i wspólniesiony przez nich, kwapi się ku drzwiom, wychodzi na kurytarze, spieszy się, pasując się z niemocą jak pływacz z falami. Sługi spoglądają jeden na drugiego, żegnają się świętym znakiem krzyża.

Tak za jęczącym, za mdlejącym ciągnęła drużyna w stronę ślubnej komnaty. — Sen, zdaje się, głęboki spoczywa na tej części zamku — przez rzęd bocznych podwoi widać z daleka w sali biesiad porzucone stoły i dogaszające światła. — Już też przez okna przejściowe wkradają się pacholęta niosący przed panem pochodnie. Z zakrętu ciemnej galerji człowiek pędzi im na przełaj — włosy jego rozczochrane, szata rozdarta; ni sztyletu w pasie, ni miecza u boku; i sine usta i śniade czoło jakby śmierć nań wionęła przechodząc, a on przed nią dotąd uciekał. — «Nie puszczajcie ojca na krok jeden dalej». I dopadł starca i uchwycił go za ręce. — «Gdzie żona twoja?» — Pan młody padł na kolana: «Poczekaj ojcze, wróć do twojej komnaty, tak rano śpiącej córki nie budź.» — «A więc mówisz: nie budź jej, a więc ona się przebudzi jeszcze? — Mów prawdę, człowiecze, bo zły duch mnie nawiedził snem strasznym — widziałem ją wołającą śmierci — a ty bezbronnym tak jak teraz byłeś — i trzeci tam stał który dziecię moje zamordował — powiedz, wszak to wszystko marnym żartem nocy naigrawającej się z biednego ojca?» — Schylił głowę pan młody pod nieznośnym ciężarem tego zapytania, drży całem ciałem a wzniesionemi rękoma opiera się starcowi. — «Milczysz? ha! Bóg mnie skarał żem się pokłonił królowi twojemu i szukał związków z obmierzłą krwią twoją, cudzoziemcze! — Teraz ja sam jeden zostałem na ziemi!» Zadrżały na ten krzyk starca wszystkie szyby okien i wszystkie serca przytomnych. — On chwycił miecz oburącz. «Milczysz? Ojcowie moi byli wrogami twoich — gdybym miał syna byłby twoim wrogiem — córkem jedenaczkę miał tylko — bierz ten spadek po niej!» I spuścił miecz, ale żelazo wyrwało mu się z dłoni i roztrąca się o przyległe filary — na ten szczęk zerwał się pan młody i jeszcze starca wstrzymać usiłuje. — Pasują się oba, z podziwu i przerażenia nie podobni sobie samym, dzikich zwierząt wzorem. — Ale rozpacz sędziwe ramiona w żelazne kleszcze na chwilę przekuła. — Pan młody choć tancersko gibki, już dźwiga na barkach dłonie przeciwnika, już gnie się we dwoje. — Starzec mdlejącego do reszty obalił i przekroczył przez rozciągnione ciało. — Teraz on już cudzej nie zażąda

pomocy. — Sam stąpa dalej, paląc się wzrokiem, olbrzymim cieniem łamiąc się na ścianach, w rozwianych szatach, z okropną śmiałością. — Słudzy garną się za nim, sklepienie odjękuje odgłosowi ich kroków. — Już ich tylko jedna świetlica dzieli od komory pani zamku — na drugim jej końcu widać na wścież rozwarte podwoje, za niemi część kobierców i ścian ślubnej sypialni i okno od krużganku rozognione promieniami wschodu. Zresztą pusto, głucho — słychać tylko szmer bliskich wodotrysków. — Starzec prosto spieszy ku drzwiom onym i ku wschodzącemu słońcu!

A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Zdało mu się, że widzi krwawe serce Boga w przestrzeniach. Olśnął na chwilę, idzie dalej omackiem, aż tu znów ujrzał krew czerwoną na ziemi. — Wszystkie mary snu strasznego otoczyły go napowrót w jawu promieniach. — Tak jak widział że upadli, tuż przed nim rozciągnione leżą ciała córki i synowca. — Wzniósł ręce w górę wzorem tonących i bił niemi marne powietrze, jakby usiłował się wydobyć z tego piekła widziadeł — potem niewzruszony pozostał na miejscu! — Tymczasem tłoczą się zewsząd do komnaty przebudzeni goście, służebni, lennicy, a każdy u wnijścia struchleje i w słup się obróci. — Wszystkich oczy skierowane na odwróconego pana i na zwłoki przebitych. — Oboje leżą u stóp ślubnej łożnicy. — Ramię wygnańca dotąd szyję siostry otula, jej głowa spoczywa na jego kolczudze, powyżej sztyletu co tkwi mu w piersiach — nikt nie przywarł im powiek — w świetle coraz bielszem słońca, szklnią się ich źrenice a krew wszędzie naokoło, i na pancerzu wodza i na piersiach oblubienicy ścina się już w czarniawe korale — nad tą krwią stygnącą, twarze ich oblane śniadym spokojem — jakby wspomnienie uśmiechu przystygło do ust dziewicy, niby cień dumy ociąga się jeszcze na czole rycerza. — Znać, męka śmierci lekką im była wśród zachwytu ducha!

Starzec jak stanął tak stoi dotąd — nie jęknął, nie drgnął, nie pochylił się — przytomni parci świeżemi przychodniami z wolna muszą posuwać się naprzód półkolem — wstrzymują oddechy, oburącz, trzymają szable by nie zabrzękły, lękają się chwili w której pan ku nim twarz obróci. — Wielki Boże! przed tą twarzą nie stanie im serca!

Jezus Marja! jakież to dziwo? — On przywitał ręką przytomnych ludzko i wspaniale, tak jak zawżdy zwykł czynić — niby zadumany, niby nieświadom rzeczywistości wpatrywał się w ich postacie i przecierał powieki a ognista gorączka płonęła mu na licach. — Wina, węgrzyna — niech wypiję zdrowie obywatelskie! — Nikt się nie ruszył — wszyscy skamienieli do koła. — Krew tę obmyć nim moja dziewoja powróci! — Nikt się nie ruszył — każdy głowę spuścił nie mogąc znieść wzroku jego. — Ha! wy nie wiecie że to wszystko śni się nam. — Sen uparty, długi, przeklęty — ale wkrótce ranek być musi i przebudzę się. — To mówiąc szedł na krużganek. — Tu, nagle zdał się inną zaprzątniony myślą, przechylił się przez marmurowe poręcze, patrzał w lewo i w prawo, potem woła: — Mości Panowie bracia, chodźmy szukać państwa młodych, dziwno że na przechadzkę wyszli sobie tak rano. —

I zaraz zstępuje sklepionemi wschody, tą samą drogą, którą wczoraj synowiec wdzierał się na zamek. — U stóp wzgórza zerwał róż kilka: — To dla mojej dobrej dziewczyny — ciszej wiara — ciszej — zejdziem ją niespodzianie w tym lasku i przywitajmy dnia dobrego życzeniem. — Z pochylonemi głowy wszedł za nim orszak pod cienie jodeł i smutnych modrzewi. — Węzły ścieżek ściskały się i rozpuszczały na przemian, wiodąc w głąb ciemną to na czyste smugi, to wbiegając na pagórki zasute agrestem. — Starzec zaczął wołać córki, po imieniu. — Echa na około naśmiewały się z niego, ludzie szlochali idąc z tyłu za nim. — Nagle uderzył się ręką w czoło: — Zmora, zmora! a ja wierzę jej jakby czemu dobremu — kiedyż wznijdzie mi prawdziwe słońce? — I rzucił się ku bliskiej sośnie, objął pień rękoma. — Obudź mnie,

obudź twarda koro. — Potem się odwróci i porwie najbliższego z orszaku za piersi i krzyczy: — Maro sługi mocuj się z Panem twoim obudź mnie — obudź! — Przerażony sługa wymknął mu się i ucieka. — Westchnął starzec, wzniósł oczy ku niebu — wyraz przystania na męczarnią twarz jego pokornie oświecił, jakby za grzechy ten sen okrutny ofiarował Bogu. — Potem szedł spokojniej, a gdy uszło czasu trochę, znów rzecze: — Panna młoda pewno tam nad jeziorem. — Za mną wiara dalej! —

Owoż i słońce podbiło się w górę, owoż i rosa wysycha już na liściach a wód powierzchnia płonie wrzącemi blaski. — U brzegu zaczepione kołyszą się łodzie o herbownych flagach. On przypiął sobie do pętlicy róże i chodzi po wybrzeżach z coraz żywszą na licu gorączką. — Nikt nie śmie przemówić, nikt radzić by wrócił do zamku. — Przywykli słuchać woli nieugiętej pana i teraz jej hołdują, choć ona już nie z tego świata. — Im samym ten dzień wygląda nakształt ciemnej nocy, im samym do mózgu wdziera się obłąkanie! — Może wsiadła na łódkę, popłynęła z mężem pomiędzy te kępy, za te wysepki. — Hej! sześciu z was, bierzcie się do wioseł — i my też popłyniemy za nią! — Usłuchali, on siadł na statek, odbili od brzegu. — Czego jęczycie tak dzisiaj — czy woda wam twardsza? — Oni nic nie odpowiadają, tylko jadą prędzej. — Za niemi reszta dworzan, jak kto mógł, skacze w inne łodzie. — Dużo ich pojechało za starym panem. — Dużo zostało na brzegu, bo zabrakło czółen.

Wysepki kryły się jedne za drugiemi — każda wieńcem sitowia opierścieniona. — Tu i owdzie na nich olbrzymie głazy, dawne okrutnych Bogów ołtarze, dziś obwisłe powojem. — Kiedy odpływała łódź, u steru której siedział starzec, zewsząd zerwały się z pluskiem i szumem dzikich ptaków stada. — Czarna z nich tęcza zawisła nad płynącemi. Na każdym skręcie wodnego manowcu starzec klaszcze w ręce—

tu, tu ją znajdziemy — a gdy nikogo nie widać, pyta się powietrza: — Gdzieś dziecię, dobre dziecię moje? — Tak opłynął całą wysp drużynę i czystem jeziorem kazał jechać ku drugiemu brzegowi. — Lecz już teraz zamilkł, ster puścił; czasem rzuci się nagle w bok, a wielka bładość rozpościera się po jego twarzy. — Zanurzył ramię w wodę po łokieć i słuchają szmeru fali głośno się rozśmiał. — Stanęli wioślarze, czekając ażali im nie każe wrócić. — On i słowa nie rzekł, jedno wstał i odwróciwszy się spoziera na zostawione z tyłu czółna, na ogrody i zamek, a ciągle ręką głowę przeciera lub drugiej dotyka się dłoni — w tem krzyknął: — Chcę się przebudzić, ja chcę się przebudzić! — Oni zadrżeli. — On skoczył z sił wszystkich, ostatnich w głębinę. — Trzech natychmiast rzuciło się za nim, tymczasem nadpływają tamci. — Wszyscy widzieli co się stało i patrzą na wodę wirującą w miejscu kędy zapadł stary pan z wiernemi sługi. — Wrócili po kilku chwilach pływacze niosąc między sobą starca. — Na pokładzie pod flagą herbowną złożyli pana. — Lecz w nim już nie patrzeć życia, życie pod błękitami jeziora zostało!

Tak, obce książe zagrabiło zamek starożytny, cnego imienia. — Zwłoki teścia i żony uczciło pogrzebem — ciało wygnańca rzuciło gdzieś w nieświęconą ziemię. — Potem wyprawiło towarzyszom stypę w onej samej sali, kędy noc pierwszą ślubu przemarnowało z kielichem w ręku, z żartami na ustach. A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla południowego. — Król z serca rad był książęciu że rozległe imiona zagarnęło ślepym losu trafem. — Król dziękował losom, że ród odwieczny i potężny wygasł. — Lecz w górach pamiętają wodza który spoczywa w nieświęconej ziemi. — Jego mogiła leży z tamtej strony zamku. — By nad nią krzyż pamięci zatknąć, wprzódy zamek szturmem zdobyć trzeba. — Od gór na zwiady wysłane latają ku wieżom orły i krogulce. — Lada dzień za niemi sypną się zbrojne męże, a inny pieśń zwycięstwa ułoży. — Ja wam podałem pieśń zgonu!

A ty młoda dziewczyno znikłaś jak myśl, co sobie konchy glinianej ulepić nie mogła na ziemi. — Skrzydła jej zawadzały — pozbyć się nie mogła skrzydeł! I poniosły cię one dokąd wichry lecą, dokąd mgły żeglują, dokąd rwą się liście jesienne i wiją się szumy harfy i piersi westchnienia! — Na grobie marmurowym, prochy twoje, noszą imię cudzoziemskie, nienawistne męża. — W okół, na zielonym świecie znikomych, nikt już nie wspomina ciebie. — A nazajutrz po zgonie, siedmiu starców cię przeklęło za to, żeś pociągnęła za sobą bohatyra duszę. — Nazwali cię oni szyderczem imieniem: — Kobieta — kiedy mówili do zgromadzonego ludu — ale lud płakał i rozchodząc się wołał: — Wieczny odpoczynek daj jej Chryste Panie! —

POKUSA.

Ach! mętne krwią i łzami pędzą życia fale
I na nurtach potoku słychać wieczne żale!
Z tyłu leżą przeszłości mgłą obwiane tonie,
Z przodu niebo dalekie krwawą łuną płonie;
A w około pływaczy, tak zimno i ciemno
Że każdy woła płynąc: — przekleństwo nademną. —

Matko po sześćkroć zabita, matko nieszczęśliwa — jednym smugiem zielonym, łanem jednym kłosów ty pamięć obwiążesz i odtąd cierpieć, błądzić, kochać cię muszą syny twoje! — Za nimi grób od morza do morza — przed nimi, gdziekolwiek idą, zachodzące słońce, a idących przeklinają mocarze i kupcy!

Wzrosłych na łonie śmierci nie zrozumieją żyjący — pobledną twarze ludzkie przed wzrokiem upiorów — na odgłos ich stąpań płomień ognisk domowych pochyli się i głazy ogniska zamiecie — matka ukryje dziecko, żona uprowadzi męża, by nie podał dłoni przechodniowi — gwiazda im tylko wieczorna, gwiazda grobów uśmiecha się w górze!

Wszak święte było milczenie borów sosnowych? — a kiedy wiatr się podniósł, wszak wołał nad waszemi głowy szmerom tajemniczym jak modły arcy-kapłana! — Boga waszego nie ma tu już nigdzie. — Tu szkielety z drewna, okute żelazem, podsycane parą, zaległy przestrzenie — wpowietrzu nie unoszą się orły, w zaroślach nie świegocą ptaki — rączego konia tu żaden z was nie osadzi na stepie i nie pojrzy z dumą, sam jeden śród świata!

Przechodząc więc i wy im odwdzięczajcie się wzgardą — kiedy was zawiodą do miast bez świątyń i zamków, pod domy białe tynkiem, którym wygoda prócz zielonych okiennic skąpiła ozdoby, powiedzcie: — umarli! —

Kiedy na brzegach morza staniecie śród Żydów, Ormianów i Greków, swarzących się o podłe zyski, a grzmot co huczy nad falą, niesłyszan przemija: — umarli! —

Kiedy na około snuć się będą niewiasty, ciała ubrane w suknie, a polot ich sukien powiewem trącanych duchowniejszy niż dusza ich: — umarli! —

Idźcie, płyńcie jak szum nietkniętych borów.— Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i zmartwychwstając, po drodze rzucacie szmaty całunów — a on na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny!

I ujrzałem jakoby w cudownem widzeniu obraz zmieniający się jak długie życie, a znikomy jako dzień jeden co się pocznie rankiem a prędko pod cienie wieczoru zaleci.

Ranek był dziwnie przejrzysty, wolen chmury wszelakiej. — Słońce wschodziło nad szeroką przestrzenią zieloności — przed domem na wzgórzu koń osiodłany rył murawę kopytem i rżał chwytając w nozdrza powiew z doliny. — Obok stał młody, ledwo że młody pan jego, z iskrą światła w oku równą dziennej jasności, z jedną nogą na strzemieniu, z drugą jeszcze na miękkiej domowej murawie — z jedną ręką na grzywie szumiącej, z drugą w dłoni człowieka, z którym się żegnał, nie wiedzieć na jak długo, jednak nie na zawsze.

I z serca ku sercu szły na przemian jednego i drugiego słowa. Starszy, ten co stał i miał odejść pieszo, wzrok wbity trzymał w dalekie skały i bory za smugami zieloności. Tamten wzniesione miał oczy, całą pił błękit źrenicą i głos jego brzmiał jak najpierwsze świeżej strony dźwięki. — Starszy przemawiał wolniej i surowiej, znać radził, przestrzegał i zaklinał — znać kochał mocno — znać wątpił nieco — a młodszy nie wątpił, przysiągł, rzucił się na szyję przyjaciela, wnet potem na siodło — i poleciał, poleciał jak potok z góry na dół, .potem jak strzała po równinie. — Chmara sług sypnęła się z domu starożytnego i goni za panem!

Wtedy pozostały ukląkł, i słyszałem to co mi wiatr przyniósł z jego modlitwy: — Ojcze niebieski! dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi. — Nie wódź jej na pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię — niechaj Tobie służy tylko.— Matce po sześćkroć zabitej niechaj służy tylko! —

Tu umilkł klęczący i zdał się głęboko rozpamiętywać, czy przeczuwać, czy też modlić się wciąż jeszcze — aż ścisnął dłonie z sił wszystkich, i znów wiatr przyniósł mi słowa jego: — Ojcze niebieski! nie proszę cię za przyjacielem, byś mu osłodził mękę życia — on cierpieć musi jako wszyscy na świecie. Jedno uskąp mu Panie rumieńca wstydu i hańby słabości! —

Po tych słowach ze wzgórza puścił się wędrowiec i szedł pieszo ku dalekim skałom, ku lasom czarniawym.

Znów razem zeszli się oba, konny i pieszy, o południu dnia tego samego, przed wielką bramą miasta. — Już skwar słońca wypalił ciemnawe ślady na młodszego czole, już rosa muraw wyschła na jego strzemionach i rdza połysk ich stali szpeciła, a koń przylatując z daleka, stanął jakby znużony, choć żarem jeszcze pryskały mu oczy! — Pieszy siedział na głazie od stóp do głów siwy kurzawą. — Młodzieniec skoczył lekko na ziemię, rzucił mu się w objęcia i konia sługom oddał i wszedł bramą wielkiego miasta, wiodąc towarzysza ku pałacowi.

Spoczęli oba w jednej z wnętrznych komnat pałacu. — Tam rozmawiali przyciszonym głosem, jakoby się lękali z za ścian ucha nieprzyjaciół. — Młodzieniec na perskim kobiercu rozciągnięty odwilżał usta w srebrnej czarze. — Starszy nie dotknął się puharu kiedy mu go podawał przyjaciel, nie ścigał wzrokiem po stołach i ścianach kiedy na ich kosztowności wskazywał przyjaciel. — Wstał nareszcie i wziąwszy młodzieńca za rękę, zawiódł go do okna. — Ztamtąd całe miasto widne i tłumy snującego się narodu. — Miasto ogromne, dziwne, jednostajne i wybielone — naród dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży. — Młodzieniec patrzał ciekawie; starszy wędrowiec westchnął i rzekł: — Kiedy was zaprowadzę do miast bez starych świątyń i zamków, powiedzcie: umarli! —

Ale młodszy patrzał jeszcze ciekawiej: przejeżdżały niewiasty, jaskrawe były barwy ich sukien; każdę dwa rumaki ciągnęły, a jeden z nich odrywał się w bok i pędził śnieżną zasłoną, gdyby żaglem rozpiętym otoczon. — Starszy wędrowiec westchnął i rzekł: — Kiedy na około snuć się będą ciała ubrane w suknie, a polot ich sukien duchowniejszy niż dusza ich, powiedzcie: umarli! —

Ale młodszy nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Tymczasem na niebie zbierały się zewsząd ciężkie, spiekłe chmury. Jakżeż ta godzina południa różną już od porannej była!

A śród narodu czarnego zaczęli snuć się ludzie, przed którymi naród głębokiemi chwiał się ukłony — kuse ich stroje, migocące złotem, przetkane barwistemi wstęgi. — Długi, chudy oręż przy ich boku — grube piór czuby na ich głowach. — Głosem twardym wołając szli w potędze swojej i uderzali dzieci pozostałe na drodze. — Jęły płakać dzieci, jął tłum się cofać i uciekać; oni jedni zostali na rynku, a coraz ich więcej przybywało — i kłaniali sobie samym, coraz grzeczniej, coraz niżej, aż jeden konno nadjechał i wszyscy upadli twarzą na ziemię. — Snać ten Jeden był panem życia i śmierci!

Wtedy rzekł pierwszy wędrowiec: — On już na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny. — Lecz młodzieniec wlepiwszy wzrok w jasne szaty jeźdzca, ich błyski pił całą źrenicą, tak jak niegdyś błękit niebios i nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Dopiero kiedy ten drugi raz je powtórzył, zakrył on oczy dłonią i wyrzekł imię matki zabitej, jakby wspomnienie dzieciństwa. — Starszy przyciskając go do piersi: — Nie patrz! nie patrz na nich — zawołał. — Nigdy! Nigdy! — odparł młodzieniec i zalany łzami rzucił się znowu na wschodnie kobierce. — I usłyszałem modlitwę odmówioną w duchu nad leżącym, przez odchodącego wędrowca. — Ojcze niebieski! o południu tej strasznej próby, błagam cię za tym, którego ukochałem. — Ojcze niebieski! teraz już o cud proszę ciebie. — Osłódź tej duszy walkę życia — uwolnij ją od pokus, któremi inne potoczyłeś w tych miejscach, by nie upadła jak owi dawni, najpiękniejsi w twoich niebiesach, strąceni za to, że zapragnęli potęgi! —

Sam teraz, sam jeden śród miasta wielkiego został młodzieniec i musiał się bratać z ludźmi napotkanymi. — Na niebie już w ołowianą blachę zlepiły się chmury. — Co chwila zmieniają się kształty ulic i komnat i osób, a on wszędzie pomiędzy niemi oko moje ciągnie za sobą. — Niesłychane cierpienie zakrył on spokojnym liców pozorem. — Ciągle za nim wije się rój złych myśli, wzorem czarnych owadów — a po

drugiej stronie leci rój dobrych w błękitnawe iskry. — Pierwsze osiadają mu serce i toczą je krwawo, drugie krew spiekłą wypalą z serca i rany zabliźnią — lecz nowe, coraz głębsze powstają. — Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — nie ma komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa jak arcydzieła sztuki, i posiadł je — i stał się panem spojrzeń, sztuki i łez i ruchów swoich, aż jasność równa dziennym promieniom znikła z jego źrenicy. — Boże! i same szaty jego stały się kłamstwem; zrzucił dawne w których latał po stepie, wziął na głowę czuby piór i chudy oręż przypasał do boku; tłum jął przed nim się cofać i koń go własny nie poznał gdy wchodził na podwórze pałacu swojego — pogłaskał mu grzywę, a on nie zarżał — chciał skoczyć nań jak dawniej, a on dęba stanął. — Gniewem zdjęty pchnął więc konia szpadą; szlachetny rumak oderwał się od słupa, krwią bryzgnął i uciekł grzmiąc podków łoskotem. — Ślad iskier długi bruk osypał za nim i zagasł w zmierzchu. — Ach! już była nadeszła zmierzchu godzina!

Wtedy po trzeci raz w dniu owym, z przyjacielem spotkał się młodzieniec; ujrzałem ich obu w kościele. — Ten kościół stał na ustroniu i krzyż na nim różny był od wszystkich innych zatkniętych na świątyniach miasta. — Ubogie ołtarze i stropy grubą powleczone żałobą, a trzy gromnice tylko paliły się śród szerokiej ciemności. — Jedną z nich wziął do ręki pieszy wędrowiec i patrzał na przyjaciela pełnym żalu wzrokiem. — Tamten zrazu nie mógł słowa wyrzec, bo zapomniał był słowami głąb duszy objawiać; raz tylko krzyknął. — W tym krzyku cała ozwała się prawda — ducha niechcącego upaść w powolne niszczenie! — I złożył głowę na ramię towarzyszowi i spuścił powieki jakby marząc, iż może uda mu się zasnąć na wieki w tej chwili! — Lecz towarzysz ocucił go i rzekł: — Za mną, za mną! byś sobie postać matki przypomniał. — I poszedł przodem ku roztwartym drzwiom za wielkim ołtarzem. — Mroźny wicher buchał z podziemiów — gromnica przewodnika biła się z powiewem w długie iskry rozczochrana. — I szli oba długo bardzo, coraz niżej zstępując do łona nocy, aż z ciasnego przejścia wydobyli się na głuche i niezmierzone obszary.

Ogniki nocne spadały czasem nakształt zlatujących gwiazd — czasem podnosiły się z dołu jak wschodzące księżyce. — W ich świetle snuły się długie smętarze jeden po drugim, a na każdego bramie tlało srebrne imię Ludu, który na nim leżał zamordowany, — Po kościach i czaszkach przechodził młodzieniec i czytał napisy. — Zdawało mu się, że cienie umarłych pomykają się przed nim spłoszone i jęcząc uciekają dalej — aż zrósł się z nich tuman podobny do burzy, co chwila ogromniejszy, szumiący tysiącem smętnych pieśni rodzinnych. — Znać było jakoby migotanie szabel i przewiew sztandarów w powietrzu. — Łuny pożarów jak błyskawice rozlewały się w przestrzeniach i gasły na przemian, a coraz hyżej i coraz dalej toczył się wir duchów, aż nagle spuścił się na dół, rozsypał się jak zeschłe liście, przyległ do ziemi jak letnia kurzawa, wołając: — Ojcze niebieski! zmiłuj się nad nami! — Wtedy zatrzymał się przewodnik i kląkł przed wnijściem do otwartego grobu, na którym imię po sześćkroć zabitej paliło się białym płomieniem — a kiedy powstał, drżał od stóp do głów świętem przerażeniem zdjęty; a kiedy próg przestępował, zaczął płakać rzewnie!

Smętne światło jesiennych pogód oświecało tamtejsze przestwory. — Niby to wieczór już nadchodzi, a na wzgórzu łagodnie pochyłem leży trumna pod wysmukłą sosną; na jej szczycie orzeł przeszyty, w własnej krwi uśpiony — a w trumnie postać z krzyżem na piersiach, z zasłoną na twarzy, z okowami na ręku, z koroną na czole. I wzgórzów takich sześć po sobie, przedzielonych zielonemi smugi, kędy krew płynie na wzór szemrzących ruczajów, kędy oręż połamany zielskiem zarasta; a na każdem wzgórzu taż sama trumna i postać taż sama, jedno coraz więcej krwi, coraz na dłoniach leżącej cięższe łańcuchy i światło jesienne co chwila bledsze; wreszcie u stóp ostatniej wyżyny, zmarzłe sterczą krwi potoki, na sosny konarach wiszą sople lodu i miasto zasłony, śniegiem twarz umarłej przykryta. — Tam gdy doszedł młodzieniec, padł czołem na grudę zimową i przeklął życie!

Dalekie pozostałych cieniów u bram grobu słychać westchnienia, płacze; wreszcie zapytały: — Czy skonała już po sześćkroć przebita, czy nie powstanie już nigdy i nas biednych

nie wywiedzie? — Starszy wędrowiec nic nie odpowiedział, bo okiem miłości patrzał na towarzysza w tej chwili i dźwigał go z ziemi ramieniem. — Wtedy powstało narzekanie wszystkich dalekich pomarłych ludów i jednym krzykiem ogromnym ciszę śmierci zrzucili: — Ojcze niebieski; tyś zdradził nas! Tyś wydał nas piekłu, bo Święta nasza skonała. — Ale przewodnik odegrzmiał im z oddali: — Nie bluźńcie, bo Święta wasza oddycha jeszcze. — Widzę ją! śpi w trumnie ostatniej na zamarzłem wzgórzu — za niem już nie masz siódmego, tylko jedno jest zmartwychwstanie. — A ryk duchów wołających opadł i przerzucił się w szmer cichy i słodki jak początek nadziei!

Wtedy spostrzegł młodzieniec niedojrzane dotąd za trumną obszary. — Tam pałał blask jutrzenki na błękicie bez końca; ztamtąd było słychać szczęk, jeszcze nienarodzonych bitew i pieśń zwycięztwa. — Lecz zorza przez chwilę tylko jaśniała, chrzęst przez chwilę tylko dzwonił, milczenie i zmierzch i zimno wróciły. — Czas już odejść. — Oba wstąpili na wzgórze, pochylili czoła i usta na stopach postaci złożyli i z pod śniegu słabiuchny oddech ust jej zasłyszeli. — Potem tąż samą widziałem jak wracali drogą, strasznemi wiążąc się przysięgi.

A starszy żegnając młodszego u wnijścia do kościoła, rzekł dziwnie zaklinającym głosem: — Nie daj się uwieść, tym którzy chcą zgubić duszę twoją i wymazać imię twoje z rzędu słów zacnych na ziemi. Pamiętaj że cokolwiek ujrzysz tej nocy jest piekieł złudzeniem. — I położywszy dłonie na sercu młodzieńca: — Ojcze niebieski! zawołał, zlituj się nad nim i nademną; bo jeśli on tej okropnej próby ni wytrzyma, ty wiesz, że ja sam jeden zostanę na świecie. — Po tych słowach każden z nich różną poszedł drogą.

Teraz już ciemna noc była w onem wielkiem mieście. — Mnogie po ulicach ruszały się tłumy, wszystkie w stronę jedną, kędy światło tysiącznych lamp wołało do zamku brzmiącego wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach miedzianych wiodących w górne komnaty, wspinają się młodzi i starzy, męże i niewiasty; wszyscy spiesznie, chciwie, jakby szli do nieba. — Powoli mijają godziny nocy, dłuższe niż wszystkie poprzedzające dnia tego, a o którejś z nich ujrzałem młodzieńca na owych

wschodach, z daleko starszą już twarzą, na której ślady przysiąg zręcznie się ukryły. — Cisnął się za nim orszak sług, rzucił im płaszcz swój i darł się wyżej strojny i wspaniały, gość równy pysznym godom! — Lecz zaledwo wszedł i pojrzał na tysiące w tych miejscach, na przepych rozwieszonych łupów, na oręże pryśnięte i wprawione w sklepienia wzorem mozajki, zbladł od gniewu i zgryzł wargę do krwi — ale tłumy lecące porwały go między siebie — tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów, pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzideł wkradła mu się do mózgu, jedwabne kobierce lubieżnie łaskotały go w stopy, co chwila innej barwy światła grały mu w oczach — aż znękany, upojony, siadł na uboczu i pochyliwszy skronie zamarzył się o licach niewieścich, o snieżnej dłoni jakiejś. — Wtedy usłyszałem, jak biła jedna długa nocy godzina.

Kiedy podniósł oczy, ujrzał przez rzęd rozwartych podwoi w dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący po nad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział Jedynowładca życia i śmierci, pod wiązaniem z chorągwi. — Z jednej, rozdartej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca! — Na ten widok, wszystką siłą duszy odegnał wabiące mamidła i spojrzał wzrokiem czystym od pokus, tak jak w godzinie poranku.

Wtem tłumy rozginać się zaczęły w prawo i na lewo — od tronu aż do młodzieńca wytknęła się szeroka ścieszka przez wszystkie komnaty. — I z tronu zstąpił Pan zamku i szedł zwolna, jakby Bóg jaki śród padających na ziemię — prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zboczył, zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny i silny! — Tamten wstał i śmiało spojrzał mu w oczy — pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem rzekł łudzącym głosem: — Chodź! przejdziem się razem — i dziwy ci zamku mojego pokażę — a kiedy młodzieniec stał jak przykuty, on sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą.

Z trumną matki wijącą się przed oczyma szedł młodzieniec, a ramię jego drgało krwi kipiącej biciem na twardem ramieniu mocarza, który srogim głosem grzmiąc ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąż przemawiał

do towarzysza. — Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imię matki zabitej bez wzdrygnienia, jakby jej śmierć nie ciężyła na jego sumieniu; nie zdał się na chwilę powątpiewać że znikła już z ziemi na zawsze i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość ogromną, wyrytą w księgach przeznaczenia — nęcił ku niej młode jego żądze, nie szczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie gdyby prorok Boga. — Od twarzy jego urodziwej jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęsny młodzian. — Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce i z niej robak się wylęgał. — Tak przeszli razem długi szereg komnat śród ludzi czołem bijących o malakity posadzek.

Na drugim końcu zamku, nagle na rozkaz pana spiżowe bramy się rozwarły i tysiące podźwignąwszy głowę, chciwie po za ich progi spojrzały: — Oto skarbiec mój, rzekł mocarz, patrz i uwierz we mnie. — A młodzieńcowi się wydało że stoi na brzegu kopalni ciągnących się bez końca. — Blask bijący z ich jarów i urwisk pożerał źrenicę — toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra; tęczą przeskakiwały nad nimi łuki z ametystu. — Słychać były gwizdy podziemnych płomieni, trzęsły się wzgórza, rwały się jaskinie, a świeże djamentowe bryły lepiły się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szczęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności jak czarne plamy księżyca. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem, postacie wznosiły ręce i tłukąc łańcuchami przeciągle wołały o jedną kroplę wody, o jedną chwilkę odetchnienia. — On nie raczył im odpowiadać, a co chwila jedne padały w ogień wnętrzny kopalni, a drugie równie okute i umierające na ich miejsce wschodziły. — Zdało się młodzieńcowi, że rysy niektórych widział gdzieś dawniej na powierzchni ziemi, lecz błyskawice przesłoniły mu ich twarze — szum topniejących kruszców zagłuszył ich jęki — blask równy pogodzie pustyni wszystko zalał i pokrył. — Wtedy bramy śpiżowe zawarto, a pan życia i śmierci odchodząc rzekł: — O dwunastej bądź w sali tronowej — tam zasiędziesz do biesiady przy mnie. —

Teraz gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana. — Pytali się jakie pieśni lubi, i wnet muzyka je grała — przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje. — On dziwił się i gardził zrazu, potem spojrzał dumnie i rozkazywać zaczął.

W prześlicznej ustroni, śród pachnących krzewów, na aksamitnych kobiercach spotkał pań zamężnych i hożych dziewic grono. — Ledwo wszedł, one go otoczą; każda go wita różanym uśmiechem, każda mu szepcze do ucha w przelocie i rzuca kwiatami na niego. Gorączką nabiegły mu lica, uczuł że zdołałby w zamku wroga być szczęśliwym i to uczucie jak piorun strzaskało mu serce. — Ucieka — one gonią za nim, szumiąc powiewnemi szaty. — Przez dwie długie tej nocy godziny widziałem jak splątany, pomięszany, walczący, prosił się czasami ojca niebieskiego o siłę i cnotę, to znów w rozpaczy przebiegał sale godowe i szukał broni, by pchnąć się w piersi — ale nie znalazł jej nigdzie! — Były inne w których, odwróciwszy się do czarownych postaci, przeklinał je i lżył, rozdzierał ich muślinowe przesłony i deptał nogami. — One płacząc i korząc się wołały: — O raz, raz tylko powiedz, że jednę z nas kochasz! — Wreszcie krzyknął w obłąkaniu: — kocham! — Porwał w objęcia cudzego rodu dziewicę, wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlekła do sali tronowej.

Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytemi sztandary. — Uderzyła jakaś nocy godzina — dworzany stanęli w około. — Zwinęła się w górę makata kryjąca drzwi platynowe. — Herold zawołał na czekających za progiem, a weszli posłanniki królów wschodu i zachodu. — Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał u stóp tronu urnę szczerozłotą, napełnioną popiołami tych, którzy walcząc w świętej sprawie po różnych stronach świata polegli — a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny, w książęcych gronostajach i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię matki zabitej na jej wypukłości — stało mu się ciemno przed oczyma — nic nie widział przez chwilę, nawet kraśnej towarzyszki — słyszał tylko zapytanie pana:

— Czy zaprawdę umarli i nie powstaną? — i odpowiedź posłów wszystkich: — Zaprawdę nie powstaną nigdy — a wtedy przystąpili dworzanie i po obu stronach sali na słupach z czarnego granitu rozstawiwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli. — Zapaliły się prochy sinym ogniem, blade dymy powiły się w powietrze i poniosły panu woń śmierci!

I zdało się młodzieńcowi, że wszystko co widział o godzinie zmierzchu, snem było; zdało mu się że te tłumy są świata panami, a król ich wszechmocny na zawsze. — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął śród urn płonących. Dziewica prosiła oblubieńca, by zasiadł do biesiady; pan schodząc z tronu sam skinął na niego i miejsce mu wskazał i wszyscy którzy tam byli, gdy dwunasta biła, zasiedli do onego stołu.

Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup dźwigający matki popioły. — Ile razy nań spojrzał, puhar upuszczał na ziemię; acz mu go nazad podawała narzeczona. — Jednak naraz groźniej i straszniej pasował się duch jego obłąkany, usiłując powrócić do dawnych wiar i nadziei; ale wszystko co go otaczało, grubą zasłoną ćmiło mu poznanie. — Zatrute krążyły zdrowia — on na cześć pana wychylać je musiał — osłabły piersi, dreszcz rozwiązał członki; skronie zimnym potem zlane pochyliły się; ludzie, urny, sklepienia, pogmatwały się przed jego wzrokiem. — Głosy rozmów, dźwięki muzyki, słowa oblubienicy, pomięszały się w okropny hałas nieznośny mdlejącemu — — i tak minęły przedostatnie godziny!

On żył jeszcze, ale nędznem serca biciem, kiedy ostatnia uderzyła jak grzmot po nad jego głową. — Rozemknął powieki — płomienie urn dogasały. — Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się łaskawie: — Gościu biesiady mojej — rzekł — czas byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia — i rzucił mu przez stół garść djamentowych krzyżów, dodając: — noś to na pamiątkę moją. — Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, a konający powtarzał słowo po słowie, nie słysząc własnego głosu. — Głowa jego opadała na łono oblubienicy, usta jeszcze się ruszały, ale już bielmem

zachodziły oczy — i wymówił tak wszystkie wyrazy, aż do ostatniego! — Lecz zaledwo skończył, wstał Pan życia i śmierci! — Sługo sług moich — zawołał — śmierć od powrozu kata cię czeka, jeśli kiedy złamiesz przysięgę — potem roześmiał się gardłem całem. Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszem spojrzeniem, spotkał urnę matki — lecz miasto jej nagrobku inne tam już słowo stało: — Hańba — wyczytał młodzieniec. — Hańba — krzyknął zrywając się z miejsca ostatkiem sił — hańba — odrzekły mu tysiące z tyłu, z przodu, z boków. — Hańba — powtórzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbcu kopalnie; a jedni z pośród tłumu zaczęli nań wołać jego nowem, cudzoziemskiem imieniem; drudzy skacząc na około, przypinali mu krzyże. — Inni kazali mu by się im kłaniał; inni by deptał po matki niedopalonych popiołach!

To mu krew napowrót pchnęło do serca i rzucił się naprzód, rozbił otaczających, wyleciał z komnaty, szuka wzrokiem narzeczonej — ona gdzieś w oddali stoi już oparta na ręce drugiego i szydzi także. Jak może więc sunie po za posągami, przepada w framugach; lecz zaraz go wykryją i znów uciekać musi — w sto manowców zamek plącze się przed nim, a nigdzie schronienia: wszędzie na około obelgi i groźby, a w nim samym przekleństwo! — Obrócił się ku wrogom: pasował się długo, aż zrzucili go pod stopy i przeszli po nim śpiewając mu pieśń jakąś z stron jego ojczystych. Gdy powstał, inni nadbiegli, a on wyzywał ich jeszcze, aż spieniony, krwawy, znów zacznie się cofać i szukać wyjścia z zamku. I bił się i tarzał i biegał i padał aż do pierwszych świtu brzasków — wtedy runął ze wschodów miedzianych i stoczył się na podwórzec zamkowy.

Tu go uchwyciły silne ramiona i uniosły daleko aż na stopnie kościoła widzianego o godzinie zmierzchu. — Teraz już bliski wschód słońca — lecz dla młodzieńca nie będzie drugiego poranku na ziemi!

On odzyskał przytomność i w niemej rozpaczy stał na wschodach przed starszym wędrowcem który rzekł ponuro: — Wiem że w innym czasie i na innem miejscu mógłbyś był zajaśnieć bohaterem — ale śród ciężkiej próby nazna-

czonej ci od losów, nie umiałeś być cnotliwym. — Widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą; zgubionyś! — Wróć mi konia! — krzyknął młodzieniec — wroć mi szaty stepów i dawną broń moją, a ujrzysz jak mścić się będę krzywd bratnich i własnego shańbienia. — I czepiał się rąk przyjaciela i zawieszał mu się na szyi gorejąc wściekłością: — a tamten smutniej jeszcze odpowiedział jemu: — Czas głośnej walki nie nadszedł. — Długo jeszcze dni milczących poświęceń trwać muszą, a choćbyś się doczekał sądu i zmartwychwstania, policzą cię właśni bracia w poczet odrzuconych! — Ztamtąd, czy słyszysz, już wrogi gonią za tobą! Jeśli cię schwytają, przez resztę życia ty będziesz ich woli służalcem, ich zbrodni spólnikiem, ich żartu igraszką. Jeden tylko, jeden ratunek pozostał dla ciebie — i dobył sztyletu. — Młodzieniec zrozumiał i z dziką odwagą rozdarł szaty nad piersiami. — Uderzaj! — zawołał — umieram synem matki po sześćkroć zabitej — cześć na wieki! — Jęknął wędrowiec i w tych nagich piersiach żelazo utopił — padł bez krzyku nieszczęśliwy w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o tej samej porze, o której wczora pełen nadziei i siły, pchnął był konia z góry na dół w poprzek stepów życia. — Upadł, a oko jego gasnąc błysnęło dawną iskrą światła. Kląkł przy ciele towarzysz i wzniósł w górę załamane ręce: — Ojcze niebieski! ty wiesz, że go wśród wszystkich najmocniej kochałem na ziemi. — Pókim mógł, broniłem go od pokus piekła; a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku duszę jego wydarłem wrogom i posłałem Tobie. — Ojcze niebieski zbaw ją w wieczności, a niech ta krew przezemnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego — i wraz z nią spadnie na głowy kusicieli. — Po tych słowach widziałem jak sam drasnął się pod serce żelazem, i na kamieniu po nad głową umarłego czerwonym ostrzem napisał: — Z ręki przyjaciela. — Wtem wrzaski walącej zgrai huknęły w pobliżu — porwał się wędrowiec i uchodząc znikł z przed oczów moich w przybytku kościoła.

Tak przeszedł i zakończył się ów dzień jeden mojego widzenia.

O! matko po sześćkroć zabita! kiedy wstaniesz ze snu, kiedy znów zasiądziesz nad łanami zbóż, śród zielonych borów od morza do morza, a w chwili odmłodnienia przypomnisz sobie długą zmorę śmierci, straszne widziadła męczeństwa — nie płacz matko moja! nie płacz nad onymi którzy polegli w imieniu twojem na rodzinnych lub zamorskich niwach. — Choć sępy i wilki rozdarły ich zwłoki, oni szczęśliwi! — Ani płacz nad tymi, którzy śród katów w głuchych umarli podziemiach — choć im kaganiec więzień jedyną gwiazdą, choć im twarde słowo ucisku, ostatniem na ziemi pożegnaniem było — oni szczęśliwi! — Ale uroń łzę litości, o uroń łzę, matko moja! nad losem tych, których rozum blichtrami fałszu złudzili morderce twoi, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie, przemocy rozkazem. — Oni, matko! oni więcej wycierpieli niż reszta synów twoich. — Omylone nadzieje jak noże przeszyły im piersi, w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew co grzmią w obliczu słońca chrzęstem stali i łoskotem dział. — Widmo twoje służyło im za cień własny; lśniące oczy wrogów sprowadzały ich pochyłością lodu ku głębi zimna wiecznego, a na każdem urwisku zatrzymując się, płakali za tobą! — Aż serce wyschło im z tęsknoty, aż wychudły im ręce i nogi w niewoli bezwidomych kajdan — i stali się jako trupy żyjące, sami śród nienawistnego ludu, sami w domach własnych, sami jedni na szerokiej ziemi! — Matko moja! ty nad dolą ich, ty nad męką mąk wyrzeknij ciche słowo przepomnienia!

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.